

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

Rozmowa z
Kornelą
Morawiecką

Cena DM 8.-

Rewizyta Reagana



ISSN 0930-9500 Cens. Zuzia 45.- 6S; Krianda 6.-; Zuzia; Francja 42.- FT; Szwajcjo 22.-; ukr. USA — 6.5; Ameryka; Wiosna artystania — 2,26 E

Pogląd

Andrzej P. Wołyn	
Szczyt (wszystkiego)	2
Paweł Kot	
Polska prawdziwa	17
Wywiad z członkami	
KS Huty im. Lenina	21
Mirosław Czerny	
Wydarzenia	
kwietniowo-majowe	24
Rozmowa z	
Kornelm Morawieckim	32
Jakub Szerman	
Naturalna śmierć	
Kultury Niezależnej	38
Rozmowa z	
Janem Andrzejem Górnym	42
Rozmowa z	
Waldemarem Kuczyńskim	46
Zuzanna Sobotta	
Chora medycyna	52
Henryk Smuga	
Przetopić stal	
na mieszkania!	58
Leszek Wyrwa	
Nie, bo nie	63
Jarosław Zbyszewski	
Sytuacja ekologiczna	
polskiej wsi	69
Stanisław Dawidowicz	
Świergoty jaskółki,	
że najlepsze są spółki	73
Wiktor Grotowicz	
Afganistan:	
Wyjście smoka	78
„Polski”	
National Geographic	81
Bogdan Szczelowski	
Donosy na Reagana	85
Wiktor Grotowicz	
ZSRS przed Wszczęziązkową	
Konferencją Partyjną	87
Taras Kuzio	
Problemy narodowościowe	
w sowieckich republikach	
bałtyckich	90
Piotr Kowalczyk	
Gorzkie żale	
braci Litwinów	94
Robert Zuzowski	
Polacy w Australii	105
Wybory we Francji	109
Z Kopenhagi... ..	114
Marta Waliszewska	
Z biblioteczek emigrantki	115
Leszek Szaruga	
Nim będzie pogrzebany	118
Andrzej Wirecki	
Wymięte flagi	121
DOKUMENTY	125
KRONIKA EMIGRACYJNA	127

Oddano do druku dn. 24.06.89r.

BIERNOŚĆ I APATIA?

str. 24

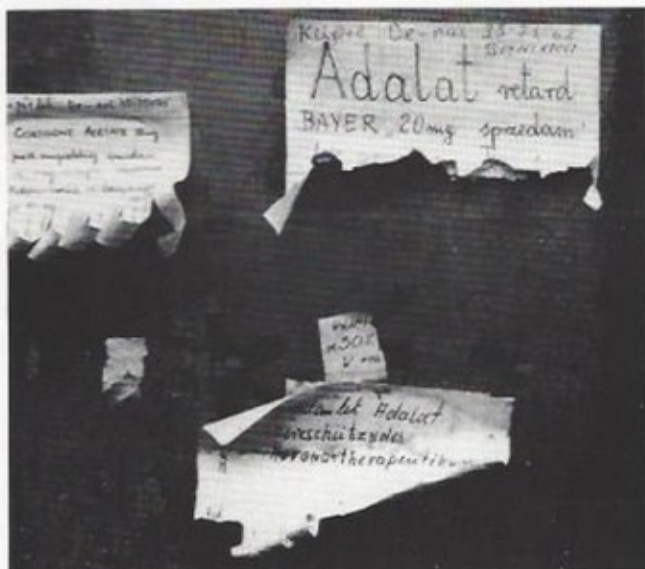


Mirosław Czerny w artykule WYDARZENIA KWIETNIOWO-MAJOWE zarzuca kierownictwu „Solidarności” gotowość do ustępstw w zamian za zalegalizowanie Związku, a bierność i apatię społeczeństwa tłumaczy brakiem konkretnego, zrozumiałego programu i odpowiedniego przywództwa politycznego opozycji. Zdaniem autora Episkopat po raz kolejny, wbrew własnej woli, stał się narzędziem w rękach władzy. Mediacja wysłanników Kościoła uspiła czujność robotników w Nowej Hucie.

„Kierownictwo Związku zlekceważyło rewindykacje placowe...”

CZYM LECZYĆ?

str. 52



Zamiast apteki

Tragiczny stan polskiej medycyny, brak leków, miejsc w szpitalach i aparatury opisane w artykule CHORA MEDYCZYNA skłaniają autorkę Zuzannę Sobottową, do postulowania... ponownego uspołecznienia służby zdrowia w PRL: „Dlaczego służba zdrowia ma pozostawać na łasce budżetu państwa, skoro właśnie ZUS powinien jej koszty refundować!”

AFGAŃSKI PAX SOVIETICA

str. 78



Sowiecka mina — zabawka dla dzieci i jej ofiary

Sowieci zatrąbili do odwrotu i wygląda na to, iż po trwającej 10 lat wojnie wycofują się spod Hindukuszu pozostawiając po sobie zgłiszcząca, tysiące kalek i niejasną sytuację polityczną. Na sprawców zbrodni miast Międzynarodowego Trybunału czekają w domu order, zaś ich mocodawcy wg zgodnej opinii prasy zachodniej przedzierzgnęli się nagle w gołąbki pokoju. O sytuacji w Afganistanie pisze Wiktor Grotowicz na str. 78.

PODZWONNE DLA
KULTURY NIEZALEŻNEJ

str. 38



Jakub Szerman stwierdza, iż pokłosem działalności twórców w nielegalnym obiegu kultury były dzieła politycznie jak najstuszniejsze, artystycznie zaś żadne. Coraz liczniejsze przypadki przechodzenia „niezależnych” pod skrzydła mecenatu państwowego stały się dla autora powodem ogłoszenia klepsydry o ŚMIERCI NATURALNEJ KULTURY NIEZALEŻNEJ na str. 38. Natomiast Leszek Szaruga w polemice z J. Szermanem (NIM BĘDZIE POGRZEBANY, str. 118) sugeruje, iż są to jedynie udane wybieczki do obozu przeciwnika, a „niezależna” twierdza broni się nadal.

Już niepotrzebna?

Z prasy podziemnej



Z dobrze poinformowanych źródeł donoszą, że „Major” Frydrych wystąpił z hasłem przyłączenia Dolnego Śląska do Armenii. Muzułmańska większość redakcji „Horyzontu” kategorycznie protestuje. (*Horyzont*, nr 14, 24.04.88)

KOMANDO MATHIAS RUST

czyli poznańska odmiana „Pomarzańczowej Alternatywy” w dn. 7.04, o godz. 15.30 na ul. Półwiejskiej, już po raz trzeci urządziła uliczny happening. Licznie zgromadzony tłumek ciekawskich poznaniaków z uśmiechem przypatrywał się zabawie ok. 300 „czerwonych kapturków”, zmuszonych do ucieczki przez złego wilka, który lał czerwone kapturki — tym razem wodą. Dwa wyróżnione, męskie kapturki, trzymały duży transparent: „Babciu czemu masz taką dużą pałę”. (...) Niestety, po raz kolejny władze poznańskie i tzw. siły porządkowe (również licznie zgromadzone na ul. Półwiejskiej, na swoim happeningu) nie wykazały poczucia humoru i zaatakowały bezbronne kapturki. Kilka osób zostało pobitych, kilkanaście zatrzymanych, większość została zwolniona tego samego dnia. (...) (*Solidarność Walcząca*, oddz. Poznań, nr 8, 18.04./1.05.)

* * *

Jak donoszą nasi wykładowcy z Uniwersytetu Warszawskiego,

modny stał się ostatnio proceder fałszowania indeksów „w drugą stronę” — studenci sami wpisują sobie oceny niedostateczne, aby przedłużyć okres studiowania. (NAI)

NA OSŁODE... LIZAKA

Ofiarami inflacji są klienci PZU, pobierający renty z tytułu ubezpieczenia na życie. Na przykład 77-letnia Irena S. z Włocławka otrzymuje obecnie... 765 zł renty miesięcznie. W 1979 r. państwo S. sprzedało gospodarstwo i postanowiło zabezpieczyć swoją przyszłość wykupując w PZU polisę na życie. (...) Po śmierci pana S. jego żona otrzymywała 60% przysługującej jej renty i wówczas mogła za nią kupić: albo 36 kostek masła, albo 51 kg cukru, albo 77 bochenków chleba, albo 245 butelek zwykłego mleka. Od tamtego czasu — czyli przez 9 lat — renta dożywotnia pani S. wzrosła do 765 zł i może w tej chwili za nią kupić: albo 4 kostki masła, albo 4,5 kg cukru, albo 14 bochenków chleba, albo (jeśli dołoży 4 zł) 40 butelek mleka, albo na osłodę... lizaka i za resztę cukierków (...). (Horyzont, nr 14)

BEZDOMNI W PRL

Towarzystwo Pomocy im. Adama Chmielowskiego ocenia ilość bezdomnych w Polsce na 200-250 tys. W stolicy jest ich wg różnych szacunków od 7 do 25 tys. Towarzystwo skupia 800 osób dobrej woli, posiada 6 małych i jedno duże schronisko. Od dawna też zabiega bezskutecznie o pomoc od państwa. (NAI) (Dzień 2323, nr 3/110, 22.04.88)

KOSZTA VEGETACJI W PRL

W wyniku kolejnego (już 14) badania cen przeprowadzonego w dn. 1-15.03.88 ustalono, że w okresie marzec 1987 — marzec 1988 ceny artykułów objętych koszykiem vegetacji wzrosły o 65,5%. W tym ceny żywności o 72%, a odzieży o 61%. Koszt vegetacji w marcu 1988 wyniósł 15.470 zł na osobę miesięcznie. Minimum socjalne dla rodziny

ANDRZEJ P. WOLNY

Szczyt (wszystkiego)

W kilka dni po powrocie z Moskwy prezydent USA Ronald Reagan przyjął delegację Kongresu Polonii Amerykańskiej, która m.in. wręczyła mu pismo wyrażające ubolewanie z powodu nie przyjęcia jej przed wyjazdem do Sowieców. Polscy Amerykanie pragnęli przed czwartym z kolei spotkaniem Reagana z Gorbaczowem zwrócić uwagę prezydenta na problemy krajów Europy Wschodniej. Jest rzeczą oczywistą, że właśnie ten region współczesnego świata — mimo demonstracyjnych deklaracji dotyczących przestrzegania praw człowieka — najmniej w chwili obecnej interesował administrację amerykańską. Ważniejsze są sprawy zupełnie inne. Przemawiając do moskiewskich studentów Reagan podkreślił: „Cieszyłbym się niezmiernie, jeśli mógłbym dożyć tego dnia, w którym impresario, powiedzmy w Anglii, mógłby zaprosić sowiecką grupę rockową, nie uciekając się do usług resortów rządowych, a ona mogłaby wystąpić w Liverpoolu wieczorem następnego dnia.”

Można przypuszczać, że spotkania z sowieckimi dysydentami miały przebieg i wymowę nieco inną. Niemniej w dialogu, jaki wywiązał się z dziennikarzami prezydent zdobył się na słowa nie przynoszące mu specjalnego zaskoczenia: „Również w ojczyźnie mam spotkania z niezbyt przyjemnymi ludźmi.” Dziennikarz zbaraniał: „Czy pan, panie prezydencie, uważa dysydentów za niezbyt przyjemnych ludzi?” Odpowiedź: „Nie to miałem na myśli. Pan wie, co chciałem powiedzieć.” Jeżeli jest prawdą, że Reagan wraz z małżonką korzystają z usług wróżki, o czym donosi jego były współpracownik Regan, to trzeba przyznać, że naszczył się także postugiwania językiem Pytli.

Jak przystało na doświadczonego aktora, prezydent nie odmówił sobie przyjemności zgoła niespodziewanych występów, jak miało to miejsce już pierwszego dnia, gdy wraz z małżonką udał się na spacer po dobrze wymytych płytach i brukach Placu Czerwonego — ochrona osobista z trudem potrafiła utrzymać w ryzach gromadzący się tłum, co zachodni dziennikarze skomentowali jako wyraźny dowód przewagi popularności Reagana w Moskwie nad popularnością Gorbaczowa w USA. Wydaje się, że jest to jedyna przewaga Amerykanina nad jego nowym przeciwnikiem. W czasie

samego spotkania bowiem inicjatywa wyraźnie znajdowała się w rękach gospodarza, zaś Reagan ograniczał się głównie do wyrazów zachwytu nad postępami „przebudowy” i „otwartości”. Fakt, że czynił to w samym centrum krainy nazwanej jeszcze kilka lat temu przez niego samego Imperium Zła, wydaje się świadczyć o tym, że stanowisko prezydenta uległo gwałtownej zmianie. Nie tak gwałtownej jednak, na szczęście, by uznać oficjalnie niezależne przedstawicielstwa dyplomatyczne Litwy, Łotwy i Estonii. Niemniej, jak stwierdził prezydent, w tej chwili Sowiety są zupełnie innym krajem niż przed kilku laty.

Pomijając zwiedzanie sowieckich zabytków i spotkania z ciekawymi ludźmi (dysydenci, literaci, studenci, moskwianie), Reagan osiadał w Moskwie niewiele. Nie podpisano w zasadzie żadnych poważniejszych porozumień, zaś wyrażane w trakcie wizyty przekonanie o możliwości szybkiego podpisania układu START uległo po powrocie do domu wyraźnemu stonowaniu. Na efekty nie ujawnionych treści rozmów o głównych ogniskach zapalnych współczesnego świata przyjdzie zapewne poczekać — faktem jest, że Sowioci coraz wyraźniej wykazują zainteresowanie zmniejszeniem kosztów utrzymania imperium, co wyraża się m.in. w dążeniu do ograniczenia swej wojskowej obecności w takich krajach jak Angola czy Kambodża, nie mówiąc o Afganistanie.

Niemniej, jak się zdaje, w ZSRS nadal obowiązuje znana definicja USA, mówiąca o tym, że jest to obecne mocarstwo wtrącające się bez przerwy w wewnętrzne sprawy Związku Sowieckiego w każdym punkcie naszego globu. Jest sprawą oczywistą, że w kwestii utrzymania najważniejszych dotąd zdobytych punktów strategicznych Rosjanie pozostaną nieustępliwi i na przyszłość rysuje się prawdopodobnie coś w rodzaju rozszerzonego układu jałtańskiego, do którego obecne rozmowy zdają się być fazą przygotowawczą. Wykluczenie z rozmów problemów europejskich jest jednym z potwierdzeń faktu, że USA trwale uznały sowiecką interpretację Jałty, więc w tej dziedzinie raczej nie oczekują nas żadne niespodzianki.

Obecne spotkanie w Moskwie miało ze strony amerykańskiej jeden wyraźny cel — utrwalenie obecnego stanu stosunków między USA a Sowiecami jako podstawy działania przyszłej administracji amerykańskiej. Daje się tutaj zaobserwować ciągłość tej polityki od czasów prezydentury Cartera, który po raz pierwszy podniósł w stosunku do krajów bloku moskiewskiego problem przestrzegania praw ludzkich. Jak zwykle, odpowiedź sowiecka brzmi: „A u was biją Murzynów!” Oto słowa twórcy „pierestrojki”: „Zaproponowałem prezydentowi, aby omówić tę sprawę szerzej, ponieważ odnośną wrażenie, że obie strony nie mają prawdopodobnie właściwego obrazu rzeczywistej sytuacji w dziedzinie praw człowieka w Związku Sowieckim i w Stanach Zjednoczonych.” Zwłaszcza, jak można się domyślać, szczególnie skomplikowany jest ten problem w USA. Niemniej, trzeba przyznać, Gorbaczow wypowiada się na ten temat relatywnie łagodnie od wszystkich swoich poprzedników. Utrzymanie presji w tej dziedzinie — mimo świadomości, że efekty tego pozostaną raczej symboliczne — jest dość istotnym elementem ciągłości polityki amerykańskiej w ostatnich dwóch dekadach. Nie należy też zapominać o tym, że — przy całym możliwym dystansie i

4-osobowej wynosiło 78.090 zł, co w przeliczeniu na jednego członka rodziny daje 19.522 zł.

W grudniu minimum socjalne wynosiło 16.290 zł. Jest to kwota większa niż przyznane dotychczas „dotatki osłonowe” i wzrost zasiłków rodzinnych przypadających na rodzinę typu 2+2 (...).

(Przegląd Wiadomości Agencyjnych, nr 18, 4.05.88)

ŚWIADKOWIE O AKCJI PACYFIKACYJNEJ W NOWEJ HUCIE

5 maja godz. 2.00 w nocy — rozpoczęła się szturm na Hutę. W pierwszej fazie wkracza brygada antyterrorystyczna, następnie wdzierają się jednostki ZOMO (parę tysięcy osób) uzbrojone w helmy z przyłbicami, broje, pałki 75 cm. Następuje regularne masakrowanie ludzi.

Walcownia Karoseryjna: Grupa ZOMO-wców z siekierami rozbiła wszystkie drzwi, wybija szyby w oknach. Bije, nierządno do nieprzytomności, każdego napotkanego człowieka. Na jednej z hal, gdzie pracują w większości kobiety, ZOMO-wcy każą położyć się wszystkim pracownikom na podłodze, twarzą do ziemi, a następnie depeczą po nich i palują przez dłuższy czas.

Zdewastowany zostaje ołtarz, przy którym odprawiano mszę św. dla strajkujących. Abłasiński, członek Komitetu Strajkowego wyprowadzony zostaje z krwawiącą raną głowy.

Walcownia Zgniatacz: Tłum ZOMO-wców wtargnął do hali prowadzony przez żołdaka z karabinem, który strzelał w powietrze. Cały czas padają strzały z pistoletów służących do wystrzeliwania pocisków ogłuszających.

Trwa katowanie ludzi, kopanie, zrzucanie z pomostów. Ciężko raną suwnicową (prawdopodobnie złamanie nogi) z kombinatu wywozi karetka reanimacyjna. Pracowników gromadzi się na rampie przed halą i prowadzi selekcję zadając każdemu pytanie, czy ma zamiar pracować. Sama odmowa odpowiedzi (milczenie) starcza, by pracownika bić i pa-

kować do budy (...).

(Aktualności SI RKS, wydanie specjalne, nr 3 /strajkowy/, 6.05.88)

7 maja w Krakowie kolegia wydała wyroki na pracowników Huty, którzy mieli stawiać milicji opór (sześciu „prowodyrów”, głównie członków komitetu strajkowego otrzymało tzw. „sankcję prokuratorską”). 15 hutników dostało karę 1 miesiąca bezwzględnej pozbawienia wolności, 2 hutników karę 3-tygodniowego pozbawienia wolności, a 15 dalszych maksymalną grzywnę w wys. 81 tys. zł (50 tys. + 30 tys. tzw. „nawiązki” i 1 tys. kosztów).

(PWA, nr 19/11.05.)

GLÓDÓWKA

Dnia 15 maja 1988 r. uczestnicy ruchu WiP i „Solidarności Polsko-Czechosłowackiej” w Międzynarodowym Dniu Więzionych za Odwołanie Służby Wojskowej podjęli głódówkę domagając się uwolnienia Sławomira Dudkiewicza oraz uwiezionych w ostatnim czasie. Głódówkę prowadzi 21 osób z Wrocławia, Gdańska, Warszawy i Częstochowy. Rzecznikiem głodujących jest Jacek Kuroń: Warszawa, tel. 393964. Adres głodujących: Wrocław, ul. Sielska 19. (Region, nr 13/22.05.)

PISZA O NAS...

Londyński „Puls” i „Aneks”, paryski „Kontakt” i oczywiście „Kultura” — to pisma polskiej emigracji politycznej, których tytuły dobrze znane są na krajowym niezależnym rynku czytelnicy. Stosunkowo mniej natomiast wiadomo o miesięczniku „Pogląd”, wydawanym od kilku lat w Berlinie Zachodnim (RFN) przez zachodniemieckie „Towarzystwo Solidarność”. A szkoda, że niewiele wiadomo, bo pismo jest interesujące a w dodatku ukazuje się w doskonałej szacie graficznej.

Dotychczasową lukę wypełnia obecnie Wydawnictwo Wolnego Pisma „Most”. Jego nakładem ukazał się właśnie krajowy reprint grudnio-

nieufności wobec Sowietów — mamy ostatnio do czynienia ze zjawiskami w tym kraju zupełnie nowymi. Stosunkowo łagodne represje wobec aktywistów opozycji, pewne otwarcie w sferze dyskusji na temat historii i aktualnych problemów społecznych — wszystko to może stanowić podstawę ostrożnego sądu o postępie.

Gorbaczow skoncentrował się, jak wynika z dotychczasowych informacji, na osiągnięciu możliwie największych korzyści ze współpracy gospodarczej — zainteresowane są tym zresztą obie strony: rynek sowiecki jest jednym z najbardziej chłonnych na świecie i opanowanie go jest jednym ze stałych marzeń państw zachodnich. Pytanie tylko, na jakich to ma się odbywać warunkach? Moskwa bez wątpienia nastawiona jest obecnie na nadrabianie zaległości cywilizacyjnych, przede wszystkim jednak technologicznych, co z punktu widzenia społecznego jest jakby mniej istotne, choć odgrywa poważną rolę w rozwoju militarnym. Znalezienie rozwiązania pozwalającego na zwiększenie współpracy gospodarczej z Sowietami przy jednoczesnym zminimalizowaniu zagrożenia wynikającego z dostarczania im współczesnych technologii stanowi jedną z najtrudniejszych łamigłówek dyplomatycznych.

Czwarte spotkanie obu polityków można określić przede wszystkim jako zatwierdzenie trzech poprzednich, rodzaj podsumowania, które — wobec gotującej się zmiany administracji amerykańskiej — ma stanowić podstawy przyszłych stosunków między mocarstwami. „Szczyt” zatem niczego nie rozwiązał i w obecnej sytuacji rozwiązać nie mógł, ale też warto podkreślić, że w wielu politycznych komentarzach oceniających przebieg rozmów pojawia się ze strony zachodniej pewien dystans i ostrożność, skądinąd chwalebne i rozsądne.

W trakcie spotkania ze strony amerykańskiej pojawiła się sugestia zinstytucjonalizowania w przyszłości podobnych rozmów tak, by były one niezależne od aktualnej temperatury wzajemnych stosunków. Pozostała bez odpowiedzi. I to, z politycznego punktu widzenia, jest znakiem dość wymownym. ■



wego (1987) numeru *Poglądu*. Daje on pojęcie o skali zainteresowań i stylu tego miesięcznika.

Obok szerokiego przeglądu prasy niezależnej z kraju i prasy zagranicznej, zawiera ciekawe teksty publicystyczne, m.in. Dariusza Fikusa i Leszka Wyrwy podsumowania jesiennego referendum w PRL, rozmowę z Jadwigą Morawicką, esej Władysława Bartoszewskiego „Różnorodność kulturowa czy kulturowa jedność Europy”, oraz źródłowy, bogato ilustrowany artykuł Piotra Kowalczyka „Tybet a imperializm chiński”. (*CDN*, nr 237/238, 28.5.)

Kraj w prasie zachodniej



NIEBEZPIECZNE KONTAKTY?

W dn. 7-11.05.88 w Berlinie Zachodnim gościła delegacja polskiego Stronnictwa Demokratycznego usiłując przedstawić propozycje ściślejszej współpracy gospodarczej między PRL a Berlinem Zachodnim. Podczas konferencji prasowej przedstawiciel FDP w Senacie Berlina Zachodniego Fabig oświadczył, iż jedną z przeszkód na drodze zacieśnienia współpracy gospodarczej jest niewystarczająca struktura komunikacyjna oraz długie oczekiwania na odprawę celną na granicy PRL-NRD.

Poza tym okazało się, iż propozycja poczty zachodniemieckiej dotycząca podwołania 110 łącz telefonicznych istniejących między Polską a RFN, nie spotkała się z za-

interesowaniem strony polskiej.

(*Tagesspiegel*, 12.05.88)

POLSKA-RFN: KWITNIE HANDEL (AMFITAMINA)

W dn. 13.05.88 w Stuttgarcie policja zachodniemiecka zaarrestowała małżeństwo polskiego pochodzenia, usiłujące spieniężyć amfitaminę. W mieszkaniu handlarzy narkotyków znaleziono 3,2 kg leku o wartości ok. 200 tys. marek.

Amfitamina, wysoko ceniona w środowisku narkomanów, popularnie znana pod nazwą „speed” została nielegalnie wyprodukowana w Polsce i równie nielegalnie przesmyglwana do RFN.

(*FAZ*, 14.05.88)

MSZ OSTRZEGA ŻURNALISTÓW

Przedstawiciel MSZ-u w Warszawie zagroził przedstawicielom szefściu zachodnich mass mediów wycofaniem akredytacji ze względu na ich „zachowanie się” podczas ostatniego strajku w Stoczni Gdańskiej. Dziennikarzom zarzucono łamanie polskiego prawa.

Ostrzeżenie otrzymali: korespondent I programu telewizji zachodniemieckiej ARD, współpracownik DPA, agencji Reutersa, AP, *Financial Times* i *Newsweek*.

(*Tagesspiegel*, 14.05.88)

PRZEMÓWIENIE WAŁĘSY W GDAŃSKU

Jak donosi zachodniobierliński *Tagesspiegel* z dn. 17.05.88, Lech Wałęsa wystąpił w dn. 15 maja w Gdańsku po mszy św. odprawionej na wolnym powietrzu z udziałem ok. 50 tys. wiernych, wśród nich 30 biskupów. Msza odbyła się z okazji pożegnania obrazu Czarnej Madonny — Matki Boskiej Częstochowskiej, prezentowanego od lutego br. w różnych parafiach gdańskich. Wałęsa powiedział m.in.:

„Tylko solidarność ludzi i grup społecznych może być kluczem do rozwiązania kryzysu w Polsce. Ludzie są tylko wtedy gotowi pracować

dla wspólnego dobra, kiedy respektuje się ich prawa.”

(*Tagesspiegel*, 17.05.88)

STRAJK GŁODOWY WE WROCŁAWIU

Süddeutsche Zeitung z dn. 17.05.88 informuje o rozpoczęciu 7-dniowego strajku głodowego przez 13 polskich pacyfistów. Rzecznik grupy Jacek Kuroń oświadczył w dn. 16 maja, iż strajkującym chodzi o zwolnienie z więzienia Sławomira Dudkiewicza skazanego za odmowę służby wojskowej i prowadzącego głodówkę od listopada ub. roku. Poza tym strajkujący domagają się uwolnienia dalszych 13 aresztowanych za odmowę służby wojskowej.

Ten sam dziennik donosi o spotkaniu Kiszczaka z ministrem spraw wewnętrznych Austrii Karlem Blecha w Wiedniu w dn. 16 maja. Spotkanie poświęcone było m.in. problemowi polskich uchodźców w Austrii. Po zniesieniu obowiązku wizowego między obu krajami na początku br. do maja 1798 osób poprosiło o azyl polityczny w Austrii, której obozy dla uchodźców są — jak oświadczył Blecha — „pełne po brzegi”.

WIZYTA STRANGERA

Przybyły z 7-dniowej wizyty w Polsce do Bonn przedstawiciel zachodniemieckiego MSW, poseł do Bundestagu Stranger, oświadczył w dn. 19.05.88, iż jego zdaniem dodatkowa pomoc gospodarcza i techniczna dla PRL powinna zostać udzielona tylko wtedy, jeśli władze PRL zgodziłyby się postępować z niemiecką mniejszością narodową tak, jak postępuje z innymi mniejszościami. (*FAZ*, 20.05.88)

ZGUBIONE RAKIETY

Zachodniobierliński *Tagesspiegel*, z dn. 20.05.88 powtórzył meldunek agencji PAP, zgodnie z którym w dn. 19 maja sowiecki samolot zgubił nad Dolnym Śląskiem dwie rakiety, w wyniku czego zniszczony został jeden dom i sieć wysokiego napięcia.

CO ROBI OLSZOWSKI?

Tagesspiegel z dn. 21.05.88 potwierza informację wydrukowaną w *New York Times* z dnia poprzedniego, zgodnie z którą dwukrotnie minister spraw zagranicznych w latach 72-85 i członek KC odpowiedzialny za sprawy gospodarcze żyje od dwóch lat w Nowym Jorku u boku swej przyjaciółki zatrudnionej w ambasadzie PRL przy ONZ. „Oboje prowadzą życie przeciętnej rodziny amerykańskiej.”

ZŁAGODZENIE WYROKÓW NA CZŁONKÓW „SOLIDARNOŚCI”

Zgodnie z doniesieniami *Süddeutsche Zeitung* z dn. 24.05.88 sąd w Gdańsku zmienił Bogdanowi Lisowi i Czesławowi Nowakowi kary za „nawoływanie do strajku i przynależność do »Solidarności« ” z trzech miesięcy do trzech tygodni więzienia, a 6-tygodniowy areszt dla rzecznika Związku Janusza Onyszkiewicza zamieniony został na 20 godzin pracy społecznej.

Ten sam dziennik donosi, iż w dn. 22.05.88 we Wrocławiu zakończył się strajk 13 polskich pacyfistów domagających się zwolnienia z więzienia Sławomira Dudkiewicza. Strajk ten zorganizowano w porozumieniu z grupami w Czechosłowacji i na Węgrzech domagającymi się prawa do odmowy służby wojskowej w swoich krajach.

OCENZUROWANO TARGI KSIĄŻKI

Tagesspiegel z dn. 25.05.88 informuje, iż w dn. 23 maja podczas 6-dniowych, 33 Międzynarodowych Targów Książki cenzura wycofała z zachodnoniemieckiego stoiska trzy tytuły: wspomnienia Wałęsy pt. „Droga nadziei”, książkę „Polska” byłego korespondenta FAZ w Warszawie, Jörga Bremera i znajdującą się od tygodnia na liście bestsellerów w RFN powieść Andrzeja Szczypiorskiego „Początek”.

Dziennik berliński informuje, iż po trwającym od 1982 r. zastoju,

jeśli chodzi o zakup książek wydanych w tym roku na Zachodzie, strona polska przeznaczyła na zakupy 900 tys. dolarów.

O SŁUŻBIE WOJSKOWEJ W SEJMIE

W dn. 25.05.88 oficjalny rzecznik praw obywatelskich p. Ewa Łętowska zwróciła się do Sejmu o uznanie prawa do odmowy służby wojskowej i zastąpienie jej służbą cywilną. W uzasadnieniu p. Łętowska podkreśliła, iż każdy obywatel PRL powinien mieć prawo do odmowy służby z bronią, o ile jest to silnie i mocno ugruntowane przekonanie. (*Tagesspiegel*, 26.05.88)

SYTUACJA POLSKICH UCHODźCÓW W BERLINIE ZACHODNIM

Rzecznik zachodnioberskiego Senatu d/s przesiedleńców i uchodźców Schültke oświadczył na konferencji prasowej w dn. 25 maja, iż obóz przejściowy w berlińskiej dzielnicy Marienfelde pęka w szwach i uchodźcy śpią na łóżkach dostawnych. W szczególności ciężkiej sytuacji są Polacy (w marcu br. przybyło z Polski 1100 osób, w marcu ub. roku 433), zwłaszcza trudności na jakie napotyka przy poszukiwaniu mieszkań i absolutnym braku miejsc w zatłoczonych lokalach Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Rzecznik Schültke przewiduje, iż w czasie letniego „szczytu uchodźczego” z Polski sytuacja będzie krytyczna i nie jest wykluczone, że Polacy będą spać w namiotach. (*Tagesspiegel*, 2.06.88)

KARDYNAŁ GLEMP W MOSKWIE

Po raz pierwszy w historii, jak zauważa *Tagesspiegel* z dn. 8.06.88, polski kardynał odwiedził ZSRS. Prymas Glemp przybył do Moskwy w dn. 7 czerwca w ramach obchodów 1000-lecia chrztu Rusi. Jak podaje dziennik, wizyta będzie trwała tydzień. Przed wyjazdem kard. Glemp wyraził nadzieję, iż jeszcze w roku bieżącym uzyska od władz so-

wieckich zezwolenie na wizytę w „ośrodkach polskiego katolicyzmu”.

Ten sam dziennik informuje, iż pod listem do „braci i siostr w CSRS” wyrażającym solidarność polskich katolików ze swymi braćmi w Czechosłowacji w walce o prawdziwą wolność wyznania podpisało się 16 tys. polskich katolików z 10 miast.

WIZYTA KOHLA NIEPEWNA

W dn. 9 czerwca w Bonn kanclerz RFN Helmut Kohl oświadczył, że zapowiedziana na jesień br. jego wizyta w Warszawie nie jest wcale pewna. Kohl stwierdził, iż do wizyty dojdzie jedynie wtedy, o ile będzie ona miała szansę przynieść jakieś konkretne rezultaty. Pomoc gospodarza na jaką oczekuje Warszawa, szacowana jest zbyt wysoko, poza tym uzależniona ona będzie od postępu i urzeczywistnienia reform gospodarczych, a także postępu w dziedzinie respektowania praw człowieka. (*Tagesspiegel*, 10.06.88)

Kraj w prasie PRL



SZKOŁY TYLKO DLA GLUPICH

W roku 1964 średnie wynagrodzenie osób z wyższym wykształceniem wynosiło ok. 3200 zł i było 1,78 razy wyższe od średniej płacy w

gospodarce uspołecznionej (1815 zł). W roku 1968 ten stosunek był minimalnie niższy i wynosił 1,77.

W roku 1980 nadjechał walec i zaczął równać - wynagrodzenie osób z wyższym wykształceniem było już tylko 1,11 raza wyższe (6454 zł i 5789 zł). Początek obecnej dekady pogrzyżył materialnie inteligencję jeszcze bardziej. Średnia płaca spadała poniżej średniej krajowej, a wskaźnik ten wynosił już tylko 0,91. (...) Z fragmentarycznych danych za rok 1986 wynika, że te proporcje nie zmieniły się. (...)

Nigdzie wśród krajów wysoko uprzemysłowionych nie występuje sytuacja, że ludzie z wyższym wykształceniem zarabiają mniej niż wynosi średnia krajowa, mniej niż urzędnicy i mniej niż robotnicy. (...)

Inteligencja traktowana jest jak kłopotliwy dodatek do społeczeństwa i czuje się zresztą często niepotrzebna. Należy się domyślać, że przedstawiona polityka płac w Polsce nie jest dziełem przypadku, lecz zamierzonych działań.

(Przegląd Tygodniowy, nr 17)

„TOWARZYSZE! BRONMY SIĘ PRZED GLUPOTĄ”

zaapelowała Janina Dziarnowska - literatka i tłumaczka literatury radzieckiej, członek jury Nagrody im. L. Waryńskiego w wywiadzie dla *Trybuny Ludu* (13.05.):

- Praca idzie mi wolno, nawijam ją jak babcia nitkę wełny na kłębek. Jednocześnie nie zaniedbuje śledzenia polskiej i radzieckiej literatury.

Oderwana od aktywności zachłystuje się „pieriestrojką” i kultem pracy, wynalazczości i chwijnym postępowaniem przyjaciół pokoju. Ostatnie wydarzenia, fale strajków, bezmyślne wybryki młodzieży, przerażyły mnie. Nie chcę, protestuję! Nie chcę, żeby te rzeczy przeżywały moje wnuki i prawnuki. Pragnę uczynić coś, krzyżeć, bronić świątełek, które błyskały już w mroku. Ludzie, przyjaciele, towarzysze, wnukowie, brońmy się przed kultem zła i głupoty.

* * *

Na centrum Zdrowia Matki-Polki ofiarowali 15 rubli i 75 kopiejek uczestnicy narady specjalistów krajów RWPG. (*Polityka*, 14.05.88)

A PARTIA KONTROLUJE...

13 bm. w Centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR odbyła się narada z przewodniczącymi wojewódzkich komisji kontrolno-rewizyjnych.

Omówiono aktualną sytuację społeczno-gospodarczą kraju oraz nakreślono wnioski z niej wynikające dla działalności komisji kontrolno-rewizyjnych PZPR. Ustalono, że zasadniczymi kierunkami działalności komisji w bieżącym roku będzie wsparcie procesów reformy gospodarczej. Omówiono koncepcję VI Plenum CKKR, które oceni stan realizacji II etapu reformy gospodarczej w świetle wyników kontroli komisji kontrolno-rewizyjnych oraz sprecyzuje zadania komisji w tym zakresie.

Określono warunki sprzyjające podnoszeniu skuteczności działalności komisji kontrolno-rewizyjnych. Komisje w większym stopniu powinny analizować stan realizacji wniosków pokontrolnych przyjętych przez instancje i organizacje partyjne, a także w większym zakresie prowadzić rekontrole. Wskazano na konieczność zwiększenia aktywności komisji stopnia podstawowego i zakładowego w pracy profilaktyczno-wychowawczej i orzeczniczej.

Wskazywano również potrzebę uwzględniania w działalności kontrolnej i orzeczniczej w partii zmian, które zachodzą w życiu politycznym i gospodarczym kraju.

(*Trybuna Ludu*, 14.05.88)

NA TARCZY ALE Z ORDERAMI

Wszystkie niedzielne dzienniki radzieckie opublikowały orędzie KC KPZR „Do żołnierzy-internacjonalistów powracających z Republiki Afganistanu”. W orędziu wita się w ojczyźnie tych, którzy z honorem i

męstwem spełnili swój żołnierski obowiązek, w praktyce dowiedli szlachetnego poczucia internacjonalizmu. Pozostały za nimi dni ciężkich prób, w których przetrwaniu pomagała im głęboka wiara w słuszną sprawę pomocy bratniemu narodowi. Spełniali rozkaz ojczyzny. W ogniu bitew nauczyli się jeszcze mocniej kochać kraj ojczysty, rodzinny dom, przyjaciół i bliskich. Poznali, czym jest nienawiść wrogów.

W niedzielę odbyła się w Moskwie uroczystość dekoracji grupy radzieckich żołnierzy afgańskimi medalami pamiątkowymi „Żołnierzy-internacjonalistów od wdzięcznego narodu afgańskiego”. Podobne uroczystości odbyły się w Leningradzie, Kijowie, Mińsku, Taszkencie i Nowosybirsku.

(*Trybuna Ludu*, 16.05.88)

ANDERS WZBOGACIŁ TRADYCJE LWP

Bitwa o Monte Cassino podobnie jak i walki na wszystkich innych frontach tamtej wojny stoczone przez Polaków z najeźdźcą hitlerowskim mają trwałe miejsce we wdzięcznej pamięci naszego narodu. Wszystkie one wzbogacają tradycje Ludowego Wojska Polskiego obchodzącego swoje 45-lecie.

(*Trybuna Ludu*, 18.05.88)

NOWA GRUPA W RWPG

Polsko-radziecka grupa mieszana do prowadzenia prac nad doskonaleniem ekonomicznych mechanizmów powiązań integracyjnych powstała 6 kwietnia br. Główne kierunki działania grupy, to doskonalenie i ustalanie mechanizmów finansowo-walutowych, stosowanie walut narodowych dla określonej sfery rozliczeń, problemy metodyki prowadzenia polityki wymiany walut w bardzo szerokim kontekście, jako jednego z instrumentów całokształtu zarządzania gospodarką narodową, przede wszystkim zaś współpracy z zagranicą. Drugi krąg problemów, to wypracowywanie konkretnych mechanizmów integracji socjalistycznej,

instrumentów w płaszczyźnie dwustronnej i wielostronnej, co jest szczególnie przydatne w kontekście decyzji 43 sesji RWPG, przewidujących prace nad utworzeniem w przyszłości zintegrowanego rynku współpracy krajów socjalistycznych. Trzeci kierunek prac grupy to doskonałe instrumentów prawno-organizacyjnych.

(Trybuna Ludu, 20.05.88)

A GDZIE 14% PRODUKCJI

Aleksander Bocheński, pisarz, publicysta, autor „Dzieciw głupoty w Polsce”, w rozmowie z korespondentem PAP: „Od 31 grudnia 1978 r. do końca grudnia 1986 r. ludność nasza wzrosła o 2,5 mln osób. Dokładnie z 35,1 do 37,6 mln, czyli o 7,1%. Czy ktoś pamięta, że cała Dania czy Finlandia liczą po ok. 5 mln mieszkańców. A więc o tym, że aby wyżywić, ubrać, »zadomowić« ten nasz przyrost w postaci 2,5 mln Polaków powinniśmy byli wybudować przemysł i powiększyć zbiory rolne o połowę tego, co produkuje każdy z tych dwóch krajów. Prawda jest taka, że zamiast podnieść dochód (choćby po to, aby utrzymać dawny stan, bez żadnej podwyżki o liczbę ludności 7,1%), to nasz dochód narodowy obniżyliśmy od 1978 r. do 1986 r. o 7,2%. Nawet człowiek nieobeznany z matematyką zgodzi się, że zabrakło 14% produkcji”.

(Polityka, 21.05.88)

PO KONTROLLI... REKONTROLA

Minister rynku wewnętrznego Jerzy Józwiak 23 bm. podczas narady poświęconej wynikom kontroli stwierdził:

Nieprawidłowości stwierdzono w 70% badanych placówek. Kontrole, przeprowadzone 10 i 11 bm. ujawniły praktyki zawyżania rachunków, błędne ustawiania wag, oferowania gorszych warunków mięsa i wędlin po zwykłych cenach, sprzedaży towarów o obniżonej jakości lub wręcz nie nadających się do spożycia. W czasie kontroli wykazano również niezgodności w „kartkowej” sprzedaży mięsa oraz ukry-

wanie atrakcyjnych gatunków. Na dodatek stwierdzono zły stan sanitarny badanych sklepów.

Podsumowując spotkanie minister Józwiak zaproponował przeprowadzenie szerokiej rekontroli w sklepach mięsnych.

(Trybuna Ludu, 24.05.88)

PZPR WALCZY O ZDROWY ROZUM

Z wielu stron dobiegają głosy o słabej kondycji partii. Zespół Centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR d/s gromadzenia i upowszechniania dobrych doświadczeń w pracy partyjnej, powołany przed rokiem, już samą swą nazwą przeciwstawia się tym opiniom.

I sekretarz KW PZPR w Łomży, Mieczysław Czerniawski:

— Zespół funkcjonuje po to, by torować w partii drogę nowoczesnemu myśleniu. Zachęcać do poszukiwań i łamania schematów. Główną przeszkodą były bariery psychologiczne i organizacyjne. Towarzysze, którzy dopracowali się dobrych form i metod u siebie, nie wychodzili z tym na zewnątrz, obowiązując się zawiści lub nie będąc do końca przekonanymi, czy postępują słusznie: zgodnie z dyrektywą, czy spodobą się to na wyższym szczeblu...

Stworzono zatem system wylania, weryfikowania i upowszechniania pozytywnych doświadczeń.

Podczas ostatnich posiedzeń zespół omawiał między innymi proces przygotowywania, upowszechniania i realizacji uchwał partyjnych.

(Trybuna Ludu, 24.05.88)

ZSRS EMANCYPUJE AMERYKĘ ŁACIŃSKĄ

Prasa latynoska podkreśla z uznaniem fakt, że kredyty uzyskiwane od Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych nie uzależniają dłużników od siebie, ale przeciwnie dopomagają ich emancypacji. Ponadto obszar RWPG zupełnie inaczej niż USA czy EWG gotowy jest przyjąć tytułem spłaty zadłużenia niemal wszystkie towary, produkty i surowce latynoamerykań-

skie. Państwa Ameryki Łacińskiej — Już obecnie w Boliwii na ogół tylko lekarze powyżej 45 roku życia kończyli studia w USA. Natomiast ich młodzi koledzy posiadają przeważnie dyplomy radzieckich akademii medycznych.

(Trybuna Ludu, 25.05.88)

ZHP: ZAMIAST RELIGII PORADNIKI I NAMIOTY

Udział w obrzędach religijnych to coś na kształt odry czy świnki, przez którą przechodzi dwie trzecie harecerstwa, przy czym w bardzo nielicznych przypadkach zostawia to trwałe ślady. Tego rodzaju objawy stanowią ok. 80% wszystkich przypadków.

Czy jest szansa, aby te 20%, jeśli nie całkiem zniwelować, to choćby zminimalizować? Oczywiście:

— po pierwsze — należałoby dążyć do wyeliminowania z pracy tzw. instruktorów młodzieżowych drużynowych w wieku 15-17 lat, często bez znajomości dokumentów organizacyjnych i bez przeszkolenia; to oni właśnie są chyba w największym stopniu odpowiedzialni za organizowanie gierki religijnych, nie zdając sobie sprawy z odpowiedzialności;

— po drugie — zapewnić powszechną dostępność do poradników metodycznych, wydawać nowe, prowadzić w ZHP intensywne prace szkoleniowe, obejmujące całą kadre i kandydatów do niej;

— i po trzecie — zapewnić każdej drużynie i każdemu zastępowi możliwość zakupu np. namiotów, sprzętu turystycznego i sportowego, organizować po prostu czas wolny młodzieży.

(Trybuna Ludu, 18.05.88)

Trybuna Ludu z dn. 26.05. z całą powagą donosi, iż „z okazji 33 rocznicy powstania Ogólnego Stowarzyszenia Koreańczyków zamieszkałych w Japonii, w ambasadzie KRDL w Warszawie odbył się pokaz filmu fabularnego „Wiosenne roztopy”.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

GORBACZOW: „PIERIESTROJKA” WYWOŁAŁA ZAMĘT I PANIKĘ

Z opublikowanych w 4-dniowym opóźnieniem w sowieckiej prasie fragmentów przemówienia Gorbaczowa do przedstawicieli środków masowego przekazu i związków twórczych w dniu 7 maja wynika, iż przywódcy sowieccy stwierdzili chaos w głowach robotników, intelektualistów i kadry przywódczej spowodowany... „pieriestrojka”. Jednakowoż pierwszym hamulcem „pieriestrojki” jest konserwatyzm, któremu na drodze do „pieriestrojki” zgotować trzeba klęskę.

Przywódcę sowieckiego zaniekował stan zaopatrzenia sklepów, zwłaszcza w mięso, warzywa i owoce. Gorbaczow zażądał: sklepy muszą być wypełnione towarami. Przedstawiciele prasy oświadczyli, iż rozczarowani są tempem wprowadzania reformy gospodarczej. Z wypowiedzi Gorbaczowa wynikało, iż powiodła się reforma kadrowa. W międzyczasie zmieniono: 66% ministrów, 61% partyjnych sekretarzy prowincjonalnych, jak i 65% I-szych sekretarzy w miastach.

(*Tagesspiegel*, 12.05.88)

W ZSRS: ANI WÓDKI, ANI CUKRU

Süddeutsche Zeitung z dn. 13.05.88 w komentarzu pt.: „Pieriestrojka bez cukru” tak analizuje problemy zaopatrzenia sklepów spożywczych w ZSRS: „Świadoma kampania antyalkoholowa zmusiła miliony pijaków do przerzucania się na inne środki. Tanie perfumy, środki czyszczące i pasta do zębów (równie wysoko ceniona ze względu na zawartość alkoholu) praktycznie znikły z półek sklepowych, co więcej — zwiększa się liczba i produkcja nielegalnych bimbrowni, co zachwiało zaopatrzeniem w cukier. Oczywiście za brak wódki i cukru w sklepach klienci obwiniają Gorbaczowa.”

Jak zauważa *Izwestia* z dn. 3.05.88, „niezadowolenie z powodu braku wyrobów cukierniczych jest równie niebezpieczne jak problem alkoholizmu”.

UKRAIŃSCY KATOLICY W ZSRS

Przebywający od lata 1987 r. na Zachodzie 44-letni przewodniczący podziemnego komitetu centralnego ukraińskich katolików Josyp Terelja, więziony w Sowietach przez 20 lat za działalność religijną, przybył do Monachium na spotkanie Międzynarodowej Organizacji Praw Człowieka (IGFM) i Komitetu Pomocy Księżom na Wschodzie.

Podczas konferencji prasowej w dn. 12 maja Josyp Terelja poinformował m.in., iż na Ukrainie katolicy zawierają śluby i chrzczą swoje dzieci nielegalnie, a na msze św. spotykają się w okolicznych lasach. Terelja przypomniał, iż Stalin w 1946 r. przyporządkował Ukraiński Kościół Katolicki rosyjsko-ortodoksyjnemu patriarszemu Moskwy, a księża uznających w dalszym ciągu zwierzchnictwo Watykanu wymordował lub aresztował. Terelja wyraził nadzieję, iż sowieccy komuniści przeprowadzą rozmowy z delegacją Watykanu, która przybędzie do Moskwy z okazji obchodów 1000-lecia chrztu Rusi Kijowskiej w sprawie zalegalizowania Ukraińskiego Kościoła Katolickiego (ok. 5 mln wiernych).

Terelja tuż przed swoim wyjazdem z ZSRS spotkał się z sekretarzem KC Jegorem Ligaczowem i poinformował go o sytuacji katolików na Ukrainie.

W odpowiedzi usłyszał: „A więc z tego powodu na Zachodzie robi się tyle szumu! Trzeba im dać kościoły, żeby się mogli modlić.” Terelja przypomniał, iż na Ukrainie w więzieniach przebywa ok. 2 tys. katolików, oskarżonych o przestępstwa kryminalne. Mimo prześladowań istnieją podziemne Seminarium Duchowne i nielegalnie działa 1200 księży, jak i 24 biskupów, spośród

których KGB udało się przechwycić tylko 9-ciu.

(*Süddeutsche Zeitung*, 14.05.88)

CZERNOBYL: BEZ PANIKI

W dniu 15 maja w Kijowie zakończyła się międzynarodowa konferencja poświęcona następstwom czernobylskiej katastrofy z kwietnia 1986 r. Podczas konferencji prasowej sowieccy naukowcy zarzucili lekarzom zachodnim wywoływanie niepotrzebnej paniki, a amerykańskiemu lekarzowi Robertowi Gale, który na miejscu leczył wiele ofiar i stwierdził, iż w następnych 50-ciu latach w następstwie katastrofy umrze minimum 3 tys. osób, chęć zastraszenia ludzkości. Według oficjalnych danych sowieckich do tej pory zanotowano 31 śmiertelnych ofiar katastrofy czernobylskiej.

(*Süddeutsche Zeitung*, 17.05.88)

NOWE RENTY W JUGOSŁAWII?

Jak doniosła w dniu 15 maja jugosłowiańska agencja prasowa Tanjug, tysiące Jugosłowian czyni wszystko, aby udokumentować swą kolaborację z włoskimi faszystami podczas drugiej wojny światowej. W ten sposób osoby te mogą liczyć na rentę z Włoch. W samej Kroacji, jak stwierdza agencja, złożono ponad 30 tys. takich wniosków, a drugie tyle w Bośni.

(*Süddeutsche Zeitung*, 17.05.88)

DALSZE PROTESTY ARMEŃCZYKÓW

W dn. 17 maja br. ok. 15 tys. osób demonstrowało w Erywaniu, a 20 tys. w Stepanaker przeciwko łagodnemu wyrokowi 15 lat pracy przymusowej dla 20-letniego Azerbejdżanina, któremu udowodniono udział w mordach z lutego br. na Armeńczykach w Sumgait. Demonstranci domagali się miast procesów sądowych radykalnego politycznego rozwiązania sytuacji Armeńczyków

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

w Górnym Karabachu należącym do Azerbajdżańskiej SSR. Przed sądami sowieckimi ogółem stanęło lub stanie 80 Azerbajdżan.

W tym samym dniu w angielskim wydaniu dziennika *Moscow News* oskarżono przedstawicieli milicji w Sumgait o inercję. Dziennik domaga się postawienia przed sądem 15 milicjantów, których ze względu na „zaniedbanie obowiązków jedynie zwolniono z pracy”.

(*Die Welt*, 19.05.88)

BULDOŻER ROZWIĄŻE PROBLEMY RUMUNÓW

Ostateczne rozwiązanie kwestii mniejszości narodowych w swoim kraju planuje 70-letni wódz Rumunów. W okręgach Anath, Bihor i Maramure, gdzie w przeważającej większości mieszkają Rumuni pochodzenia niemieckiego i węgierskiego, zniknąć ma 8.000 z 13 tys. wsi. Jak donosi węgierska agencja prasowa MII, szalony pomysł zrodził się już w 1982 r. i ma zostać zrealizowany w zbliżających się miesiącach.

Ofiarą padnie 350 tys. ha ziemi, na której rocznie produkowano ok. dwóch milionów ton kukurydzy. W ramach „procesu urbanizacji” zlikwidowane zostanie wszystko — łącznie z kościołami i cmentarzami. Podający tę informację *Tagesspiegel* z dn. 12.05.88 przypomina, iż od 1984 r. trwa rozwalowywanie starego miasta w Bukareszcie, na miejscu którego powstaje ma „Bulwar socjalistycznego zwycięstwa”. Podobnie postąpiono w delcie Dunaju, jednego z największych pomników natury w Europie, który, w przeważającej mierze pracą więźniów, zamieniony został na pola kukurydziane.

ZMIANA WARTY NA WĘGRZECH

W dn. 23 maja br. w Budapeszcie po 3-dniowych obradach konferencji partyjnej i zaciętych dyskusjach opuścił swoje stanowisko 76-letni sekretarz generalny węgierskiej

partii Janos Kadar; objął on specjalnie dla niego stworzony urząd przewodniczącego partii o charakterze typowo reprezentacyjnym. Kadar został także wykluczony z Politbiura. Nowym sekretarzem został Karoly Grosz 58-letni dotychczasowy premier. Stara gwardia Kadara opuściła w całości Politbiuro, gdzie liczbę członków zmniejszono z 13 do 11.

Ofiarą najnowszej czystki padli Karoly Nemethy — porządni formalny szef państwa; Georgi Lazar — poprzedni premier i wiceszef partii; szef związków zawodowych Gaspar. Usunięto także odpowiedzialnego za gospodarkę Havasiego, szefa kancelarii Kadara Ovariego. Do nowego Biura Politycznego weszli m.in. Imre Pozsgay, sekretarz generalny Patriotycznego Frontu Ludowego i aktywny zwolennik procesu demokratyzacji w polityce, jak i Rezső Nyers — „ojciec węgierskiej reformy gospodarczej”.

Co ciekawe, za wyjątkiem Ovariego sekretariat KC pozostawiono nienaruszony, a György Fejtő (odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa i zagadnienia wojskowe) nie został wybrany do Biura Politycznego, podobnie jak Matyas Szücs — odpowiedzialny za politykę zagraniczną.

(*Süddeutsche Zeitung*, 25.05.88)

ZOŁNIERZE SOWIECCY W NRD POD OSTRZAŁEM „KRASNEJ ZWIEZDY”

Wojskowy dziennik *Krasnaja Zwiezda* ukazujący się w Moskwie, opublikował w dn. 25 maja artykuł sowieckiego ministra obrony Jazowa, w którym zajął się on sytuacją ideologiczną wśród ok. 380 tys. sowieckich żołnierzy stacjonujących w NRD. Minister stwierdził, iż komuniści wśród żołnierzy sowieckich jeszcze nie przestawili się na wymagany przez Moskwę kurs reform. W rozwoju świadomości politycznej wśród żołnierzy panuje stagnacja, politycy interpretują świat nadal w sposób uproszczony i nie biorą pod

uwagę aktualnych wydarzeń w świecie. Poza tym wiele do życzenia pozostawia traktowanie żołnierzy przez oficerów. Wszystko to negatywnie wpływa na stan gotowości bojowej żołnierza sowieckiego.

(*Tagesspiegel*, 26.05.88)

WOJNA FUTBOLOWA W TV RFN

Po trwających dwa tygodnie dyskusjach i negocjacjach, mimo protestu opinii publicznej, Niemiecki Związek Piłki Nożnej zdecydował się za 135 mln marek sprzedać prawa do transmitowania rozgrywek Bundesligi w najbliższych trzech latach prywatnemu koncernowi filmowemu Ufa. Transmitujące dotychczas mecze I i II ligi, posiadające status instytucji użyteczności publicznej programy ARD i ZDF były w stanie zaofiarować zaledwie 70 mln marek. Problem polega na tym, iż prywatna spółka Ufa obsługuje jedynie sieć telewizji kablowej, którą objęte jest zaledwie 20% posiadaczy telewizorów w RFN. W dn. 25 maja doszło do kompromisu, zgodnie z którym ARD i ZDF będą mogły transmitować rozgrywki Bundesligi jednak w formie krótszej niż dotychczasowa, a umowa dotyczy jedynie zbliżającego się sezonu.

(*Tagesspiegel*, 26.05.88)

ŻYCIE RELIGIJNE W ZSRS

W dn. 26 maja zachodniobrytyjski *Tagesspiegel* zamieścił streszczenie tajnego protokołu przemówienia przewodniczącego sowieckiej Rady d/s Religijnych Karczowa, wygłoszonego do kadry partyjnych w Moskwie, a wydrukowanego in extenso w katolickim czasopiśmie paryskim *Le Croix*. Wg Karczowa partia i państwo mają w coraz większym stopniu tracić kontrolę nad wierzącymi. Po 70 latach istnienia władzy sowieckiej, mimo przesładowań ze strony państwa, 30% rodzin chrześcijańskich w obrzędki religijne odrywa się 20-30% pogrzebów.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

Ogólnie liczbę wierzących szacuje się na 70%. Choć działalność rosyjskiego Kościoła ortodoksyjnego jest ograniczona i kontrolowana, na terenie ZSRS istnieje 47 innych wyznań. „Kościół niekontrolowany” jak baptyści czy adwentyści zdobywają sobie coraz więcej wyznawców i w zasadzie wymykają się spod kontroli partii. Jak stwierdza Karczow, partia komunistyczna poprzez wrogi nastawienie do religii wpadła we własną pułapkę. Aby opanować dalszy rozwój wpływów religijnych, partia musi przede wszystkim przyjąć do wiadomości ich istnienie.

CSRS: TRZY KLASY WROGÓW SOCJALIZMU

Jak wynika z informacji dostarczonych przez przedstawicieli Karty 77 do Wiednia, obecnie wśród członków komunistycznej partii Czech i Słowacji krąży list, w którym klasyfikuje się podług zażartości „wrogów socjalizmu”: 1. Członkowie Karty 77 i zagraniczni agenci imperialistyczni; 2. Aktywiści Kościoła katolickiego; 3. Ok. pół miliona ludzi wykluczonych z partii po 1968 r.

(FAZ, 7.06.88).

Jakby na potwierdzenie tych informacji, w dn. 2 czerwca organ partynny *Rude Pravo* opublikował artykuł, z którego wynika, iż najbardziej niebezpieczną formą zachodniej infiltracji jest propaganda socjologiczna (? - red.), która w ostrej ideologicznej konfrontacji między socjalizmem i kapitalizmem usiłuje pośród społeczeństw państw socjalistycznych upowszechnić apolityczny sposób myślenia.

W tym samym artykule list arcybiskupa Pragi, kardynała Tomasza, w którym domagał się on od władz nawiązania dialogu z Kościołem, określono jako prowokację i dostarczenie prasie zachodniej pretekstu do ataków na CSRS.

(FAZ, 7.06.88).

NASTĘPNA FAŁA ANTYSEMIZYTU W SOWIETACH?

Tagesspiegel z dn. 9 czerwca podaje za Reuterem, iż w dn. 8 czerwca przedstawiciele osób żydowskiego pochodzenia na spotkaniu z korespondentami prasy zachodniej w Moskwie poinformowali o nowej fali antysemityzmu. Dzienni-

karzom przedstawiono jedną z kopii rozpowszechnianych w stolicy ZSRS ulotek, datowaną 8 maja. W treści ulotki znajdują się skrajnie nacjonalistyczne i antyżydowskie hasła. Jak wynika z podpisu, autorem i dystrybutorem ulotek jest grupa „Pamięć” (patrz *Pogład* nr 18/139 - przyp. red.). Ulotki kończą się wezwaniem: „Śmierć organizacjom Żydów”.

Jak wyjaśnił w tygodniku *Moscow News* znany poeta Jewtuszenko, siły konserwatywne, przeciwnie tendencjom reformatorskim w ZSRS, usiłują w ten sposób przy okazji obchodu 1000-lecia chrztu Rusi, rozbudzić dawne, antysemickie tendencje prawosławia wśród wierzących.

(*Tagesspiegel*, 9.06.88).

ZSRS: KONIEC ZSYŁKI TATARÓW

Po trwającej już ponad rok akcji protestacyjnej krymskich Tatarów, zgodnie z doniesieniami *Prawdy* z dn. 9 czerwca, będą oni mogli liczyć na pewne ułatwienia. I tak Tatarzy będą mogli dowolnie wybierać miejsce swojego zamieszkania, pracy i studiów. Jednakże nie dojdzie do stworzenia Autonomicznej Republiki Tatarskiej na Krymie. Jednakowoż 2,5 tys. Tatarów, którzy od rozpoczęcia protestów, czyli czerwca ub. roku, powrócili nielegalnie do swej ojczyzny na Krym, będzie mogło tam pozostać.

Podający tę informację *Tagesspiegel* z dn. 10.06.88 przypomina, iż w latach 1944-45 Stalin za rzekomą współpracę z Niemcami w czasie II wojny światowej zesłał z Krymu do Uzbekistanu 300 tys. Tatarów.

W tej chwili na Półwyspie Krymskim mieszka 2,5 mln osób (780 tys. w 1945 r.), w przeważającej części Rosjan i Ukraińców. Już w tym roku Tatarzy (oficjalnie rehabilitowani w roku 1967) w Uzbekistanie będą mogli liczyć na wprowadzenie jeź. ojczystego do szkół, jak i transmisje tatarskich audycji telewizyjnych i radiowych.

"AN EKS"

kwartalnik polityczny

ANEKS, 61 Dorset Road
LONDON W5 4HX, ENGLAND

PIERŚCIEN NIBELUNGA

Ostatnia sensacja w Warszawie to realizacja teatrolonii muzycznej Richarda Wagnera „Pierścień Nibelunga” składająca się z czterech oper: „Złoto Renu”, „Walkiria”, „Zygfryd” i „Zmierzach bogów” w Teatrze Wielkim pod dyrekcją Roberta Satanowskiego. Do współpracy reżyserskiej Satanowski zaprosił intendenta opery monachijskiej Augusta Everdinga, barwną postać zachodniemieckiej sceny muzycznej, który dotychczas rzadko reżyserował opery Wagnera.

Recenzent muzyczny *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (10.05.) Gerhard R. Koch podkreśla szereg trudności piętrzących się przed realizacją tego zadania, i to nie tylko trudności technicznych.

Jak pisze — polskie sceny muzyczne nie posiadają właściwie żadnych tradycji wagnerowskich. Choć jego opery były wystawiane w okresie międzywojennym, to jednakże ze względu na rozmiar przedsięwzięcia nigdy nie zrealizowano w całości teatrolonii „Pierścień Nibelunga”. Po wojnie żaden z teatrów muzycznych nie podjął się tego zadania. Trudności natury politycznej były nie do pokonania.

Satanowski podjął to wyzwanie i — zdaniem Kocha — odniósł sukces. Jako dyrygent świetnie przygotował orkiestrę. Natomiast realizacja musiała przybliżyć polskiej publiczności obcy jej świat sag starogermańskich. Everding wraz ze scenografem Schneider-Siemssenem zrezygnowali z typowych dla zachodniemieckich scen operowych analogii z niedawną przeszłością, przedstawiając realistyczno-romantyczny świat germańskich bogów, niezbyt różniących się w swych dążeniach, których motorem jest żądza władzy czy też seks od przeciętnych ludzi. Warszawska publiczność przyjęła premierę owacyjnie.

Role drugoplanowe śpiewali polscy artyści, wywiązując się doskonale ze swego zadania. „Zygfryd” i „Zmierzach bogów” będą miały premierę w marcu 1989 roku. Koch niezwykle pozytywnie wypowiada się również o innych inscenizacjach opery warszawskiej, zwłaszcza o „Bramach raję” do muzyki Joanny Bruzdowicz.

* * *

Z inicjatywy zachodniobermberskiego senatora d/s kulturalnych Hassemera (CDU) ufundowano europejską nagrodę filmową, która zostanie po raz pierwszy przyznana 26 listopada br. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego gdyby nie fakt, iż w konkursie wezmą udział także kraje Bloku Wschodniego. Jak dotąd, bojkotowały one prawie wszystkie imprezy kulturalne czy sportowe, odbywające się na terenie Berlina Zachodniego. (*Tagesspiegel*, 18.08.)

CANNES 1988

Na tegorocznym festiwalu filmowym w Cannes film Krzysztofa Kieślowskiego „Krótki film o zabijaniu” otrzymał nagrodę jury oraz wysoko cenioną nagrodę krytyki FIPRESCI. Jak informuje szwajcarski dziennik *Neue Zürcher Zeitung* (19.05.), było to jedno z nielicznych dzieł filmowych, które podzieliły salę kinową na dwa obozy: zagorzałych krytyków i zwolenników. Kieślowski opisuje z całą dokładnością morderstwo (kiluminatowa scena) dokonane na taksówkarzu przez młodego człowieka, ukazując równocześnie brak jakiegokolwiek motywów tego czynu, a potem przedstawia scenę egzekucji mordercy po zapadnięciu wyroku śmierci. Dla

wielu zachodnioeuropejskich krytyków film Kieślowskiego jest aluzją do beznadziejnej sytuacji w Polsce.

PREMIERA OPERY SZYMANOWSKIEGO W BREMIE

Jak pisaliśmy w ostatnim numerze *Poglądu*, Krzysztof Zanussi podjął się inscenizacji „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego. Zarówno *FAZ* jak i *Neue Zürcher Zeitung* zamieściły obszerne recenzje z premiery. Niestety, zdaniem krytyków inscenizacja Zanussiego pozostawia wiele do życzenia. Akcja opery ma miejsce w XII w. na Sycylii przedstawiając zderzenie się dwu kultur: bizantyjskiej i pogańskiej; libretto daje dużą możliwość przedstawienia na scenie wyrafinowanej zmysłowości i kunsztu uwodzieńczego, pielegnanego w tradycji antycznej — elementy, zdaniem krytyki prawie zupełnie pominięte przez reżysera.

Natomiast Frieder Reininghaus w *FAZ* (19.05.) podkreśla walory muzyki Karola Szymanowskiego, stwierdzając, iż jest ona pomostem łączącym okres pomiędzy następcami Wagnera a modernizmem.

NIE WIE PRAWICA CO CZYNI LEWICA?

Na tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie wystawcom zachodniemieckim władze polskie skonfiskowały książkę Andrzeja Szczypiorskiego „Die schöne Frau Seidenman” (tytuł oryginalny w j. polskim „Początek”). Tymczasem Adam Krzemiński pisze w *Polityce* (14.05.): „Przed wszystkim powinniśmy ją (książkę Szczypiorskiego — przyp. red.) przeczytać w wydaniu PIW-u czy »Czytelnika«...”

* * *

W ramach „Berliner Werkstatt 1988” odbyła się premiera nowej sztuki Tadeusza Kantora „Jamais je ne retournerai ici” (Nie wrócę tu już więcej). Jest to sztuka autobiograficzna z Kantorem w roli głównej. Na scenie przewijają się obrazy z jego życia zawierające również elementy z wcześniejszych sztuk Kantora. Sybille Wirsing (*FAZ*, 30.05.) określa nową sztukę jako rewiew opowiadająca o śmierci i zabijaniu oraz konieczności ponownych narodzin.

JURIJ LJUBIMOW W MOSKWIE

Jurij Ljubimow, były dyrektor moskiewskiego Teatru na Tagance otrzymał zezwolenie władz sowieckich na dokoliczenie inscenizacji „Borysa Godunowa” Puszkina, która została wstrzymana przez cenzurę w grudniu 1982 r. Ljubimow reżyserował akurat „Tarnhäuser” Wagnera w Stuttgarcie, kiedy otrzymał z Moskwy propozycję dokonania swej inscenizacji.

Władze sowieckie nie spieszyły się jednak z wydaniem wiza. Na dwa dni przed ustalonym terminem przyjazdu ambasada sowiecka w Bonn na telefoniczne zapytania stale odpowiadała, iż nie przyszło żadne zezwolenie. Dopiero w dniu premiery w operze stuttgarckiej zawiadomiono reżysera, iż wizę wjazdową otrzyma na lotnisku w Frankfurtu.

Komentarz Ljubimowa w czasie lotu do Moskwy: „Nie chodzi wcale o kulturę, znów stałem się obiektem politycznych rozgrywek”. (*Neue Zürcher Zeitung*, 27.05.)

■

GDZIE INWESTOWAĆ?

Szwajcarski Instytut Badań Gospodarczych (BERI) w Genewie opublikował listę państw stwarzających najdogodniejsze warunki do inwestowania kapitału. Jeśli za warunki optymalne uznać liczbę 100, najwyższe na liście stoi Singapur (76), Szwajcaria (74), Tajwan (74), Japonia (72), Korea Płd. (71), Holandia (67), Belgia (66), RFN (63), Norwegia (61), USA (60), Francja (58), Filipiny (57), Szwecja (51), Wlk. Brytania (50), Brazylia (47), Turcja (46), Włochy (46), Tajlandia (39), Maroko (32).

Polski na liście brak. (*Süddeutsche Zeitung*, 14.05.88)

RWPG - EWG

W czasie wizyty w Moskwie zachodnioniemieckiego ministra gospodarki Martina Bangemanna (14-15.05.88), który do końca czerwca br. piastuje funkcję przewodniczącego Rady EWG, Gorbaczow jak i szef rady ministrów Ryzków wypowiedzieli się za jak najszybszym podpisaniem długofalowej umowy i normalizacją stosunków między RWPG i EWG. Moskwa na własną rękę zaproponowała firmom zachodnim udział w modernizacji sowieckiego przemysłu spożywczego, wykorzystania złóż naturalnych na Półwyspie Kola, poza tym ZSRS otrzymał nowy kredyt w wys. 3,5 mld marek. (*Süddeutsche Zeitung*, 17.05.88)

**EKONOMICZNE SKUTKI
SOWIECKIEGO NAJAZDU NA AFGANISTAN**

Jak zauważa komentator *FAZ* z dn. 17.05.88, 8,5 roku, obecność Sowieców w Afganistanie kosztowało ten kraj nie tylko ok. miliona zabitych i ponad 5 mln uchodźców, ale i kompletny upadek gospodarki prowadzonej na modłę sowiecką. Totalna zależność gospodarki afgańskiej od Wielkiego Brata nie będzie łatwa do zlikwidowania. Jeśli chodzi o budowę maszyn, zależność ta sięga 84%, produktów pochodnych ropy naftowej 96%, produkcji cukru 100%. Podobnie rzecz ma się z ryżem, pszenicą i produktami z bawełny. Ceny afgański gaz ziemny płynie rurociągiem do Sowieców i to za ceny o wiele niższe od obowiązujących na rynku światowym i tych, które Związek Sowiecki pobiera za eksport swojego gazu do Europy Zachodniej. W połowie lat 80-tych wydatki Moskwy na Afganistan wynosiły ok. 12 mld dol. rocznie, których kosztą ponosiła całkowicie gospodarka Afganistanu. Pamiętać należy o 2 mld dol. rocznej pomocy wojskowej, która jednak nie udzielana była gratis, jak w przypadku Wietnamu czy Kuby. Poza tym ofiarą wojny padła ponad połowa szkół i szpitali, jak i 75% dróg.

CZY SOWIECI BĘDĄ SPÓŁKOWAĆ?

W dn. 24.05.88 w Najwyższym Sowiecie w Moskwie dyskutowano projekt prawa dotyczącego spółek, przypuszczalnie najbardziej znaczącego elementu gospodarki rynkowej w centralnie sterowanej gospodarce sowieckiej. Po raz pierwszy w historii ZSRS doszło do klótni „deputowanych”. Szef rządu Ryzków w prawie 2-godzinym przemówieniu oświecał zebranych w kwestii projektu nowej ustawy. Dziennik rządowy *Izwezia* donosił w dn. 24.05.88 o „żywość debacie” oraz „rewolucyjnym charakterze” planowanej ustawy. Natomiast agencja TASS podała do wiadomości, iż przeciwnikami planowanej działalności spółdzielczej są towarzy-

szcze obawiający się „zmiękczenia socjalizmu”.

Ustawa przewiduje, iż ceny za towary produkowane w spółkach winne być regulowane przez prawa rynkowe, czyli popytu i podaży, zysk natomiast oprocentowany progresywnie. Działalność spółek ma być finansowana przez specjalnie do tego celu stworzone banki spółdzielcze. Jak stwierdził Ryzków, dotychczasowy system gospodarczy doprowadził do tego, iż od 1963 roku ZSRS jest importermem zbóż; 10% mięsa i 20% owoców pochodzi z importu.

Ryzków podał do wiadomości, że od początku 1987 r. powstało 14 tys. spółek, z czego 6 tys. od lutego br. Nowa ustawa wkracza w życie z dniem 1.06.88. (*Frankfurter Rundschau*, 25.05.88)

PODWYŻKI W JUGOSŁAWII

W dn. 28 maja dalszej dewaluacji o 23,9% uległ dinar, zmniejszono także wprowadzone w listopadzie ub. roku zamrożenie cen na blisko 60% artykułów i usług. Ponadto wprowadzono podwyżki taryfy kolejowej o 38,5%, opłat pocztowych o 28,1%, energii elektrycznej o 31,4%, węgla o 33,3%, ropy naftowej i jej pochodnych o 36,1%, cementu o 25,1%. Podjęte kroki mają zmniejszyć dotychczasową inflację (160% w skali rocznej) do 95%. (*Süddeutsche Zeitung*, 30.05.88)

BEZROBOCIE W RFN

Jak podało w dn. 6 czerwca do wiadomości zachodnioniemieckie Ministerstwo Pracy w Norymberdze, w miesiącu maju liczba bezrobotnych w RFN w porównaniu z kwietniem zmniejszyła się o 112,5 tys. i wynosi obecnie 2 mln 150 tys., jednak jest to o 50,5 tys. więcej niż w maju ub. roku. Przeciętą wynosi 8,4% w porównaniu z 8,3% w maju 1987 r. Najgorzej sytuacja przedstawia się na północy RFN: w Bremie 14,6%, Hamburgu 13,1%. Natomiast najlepiej na południu: w północnej Bawarii 6,4%, południowej Bawarii 5,2%, Badenii-Wirtembergii 4,9%, Berlin Zachodni: 11,1%.

Ministerstwo Pracy nie widzi realnych szans na poprawę sytuacji w najbliższym czasie. (*Süddeutsche Zeitung*, 7.06.88)

SILA NABYWCZA MARKI ZACHODNIONIEMIECKIEJ

Przed szczytem urlopowym w RFN dziennik *Süddeutsche Zeitung*, z dn. 17.05.88 opublikował dane dotyczące siły nabywczej marki po dokonaniu oficjalnej wymiany. I tak 1,-DM warta jest w Turcji 1,95, w Jugosławii 1,69, w Grecji 1,40, w Portugalii 1,29, w USA 1,27; we Włoszech, Wlk. Brytanii, Francji, Holandii, Hiszpanii i Austrii marka ma tę samą siłę nabywczą, natomiast mniejszą w Szwecji 0,85, w Norwegii 0,79, w Danii 0,76, w Finlandii 0,73 i w Szwajcarii 0,71.

FATALNA SYTUACJA GOSPODARCZA WIETNAMU

Zachodniobierliński *Tagespiegel* z dn. 28.05. zamieszcza relację swojej korespondentki w New Delhi, Gabriele Venzky, poświęconej sytuacji w Wietnamie. Na początku maja br. rząd Wietnamu zwrócił się z apelem o pomoc dla 7 milionów głodujących Wietnamczyków. Gospodarką Wietnamu jest bliska załamania, w 8 z 12 północnych prowincji panuje głód. Tylko w tym roku Wietnamczycy, by przeżyć do czerwca następnego roku, potrzebować będą 65-120 tys. ton ryżu,

• EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA • EKONOMIA •

oleju i mleka w proszku — jak wynika z informacji dostarczonych ONZ-owi przez Hanoi, Tegoroczne zbiory były o połowę mniejsze niż ubiegłoroczne, zaś w delecie Mekongu, ryżowym spichlerzu Wietnamu, zbiory spadły w porównaniu z zeszlatorocznymi aż o 40%. Wg szacunku ONZ-u, pomoc winna osiągnąć aż 1,5 mln ton, a więc 10-krotnie więcej niż wynika to z raportu Wietnamczyków. Jednakże taka pomoc ze strony wielu krajów uwarunkowana jest ewentualnym wy-

cofaniem 120-tysięcznej armii wietnamskiej okupującej Kambodżę. Plagą gospodarki wietnamskiej jest centralne planowanie, korupcja i brak wydajności. Inflacja w skali rocznej sięga 1000% (!), np. kilogram ryżu przed rokiem wart 50 dongów, obecnie kosztuje na czarnym rynku 700 dongów, w marcu 1 dolar kosztował na czarnym rynku 1200 dongów, a w maju już 3000 (wg oficjalnego kursu 368 dongów).

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

MOSKWA. W dn. 8 maja br. w Moskwie sowieccy bojownicy o przestrzeganie praw człowieka postanowili złożyć partię opozycyjną w trzy dni później. 11 maja agencja TASS wyjaśniła, iż ludzi ci, to „zawarżdziiali kłamcy” prowadzący „szkodliwą i antyspołeczną działalność” oraz, iż „jest to twórczość złożona z „oszczerstych pyskaczy”, którzy świadomie okłamują zacnych obywateli, by przeszkodzić procesowi „pierestrojki”. (Tagesspiegel, 12.05.88)

MOSKWA. Jak wynika z artykułu, który ukazał się w dn. 11 maja br. na łamach tygodnika „Moskowskoje Nowosti” pt.: „Portret rodziny akademika Andrzeja Sačharowa” — jest on żywym przykładem zdecydowania i niezłomności rosyjskich intelektualistów, ponieważ w jego memoriale do sowieckiego rządu z 1968 r. zawarte zostały idee postępu, pokojowej koegzystencji i wolności ducha, a więc te, które reprezentujemy dzisiaj. (Tagesspiegel, 12.05.88)

BONN. W dn. 11.05.88 zachodniemieckie Ministerstwo Poczty zwróciło się z apelem do mieszkańców RFN o niewysyłanie paczek do Rumunii z drogą koleją, ponieważ nadawane w ten sposób przesyłki z zagranicy przestały być przyjmowane przez Rumunów z dniem 10 maja. (Tagesspiegel, 12.05.88)

MOSKWA. Metropolita kijowski Kościoła rosyjsko-ortodoksyjnego Filaret oświadczył podczas konferencji prasowej w dn. 11.05.88, iż jego Kościół zwrócił się do sowieckiego przywódcy z prośbą o udzielenie wiernym pozwolenia na uprawianie zorganizowanej działalności charytatywnej, dotychczas prawnie zabronionej. (Tagesspiegel, 12.05.88)

MOSKWA. W centralnym organie mniejszości niemieckiej w ZSRS „Neues Leben” zażądano w dniu 11.05.88 autonomii dla Niemców nadwołżańskich, stwierdzając, iż taką cieszą się Mołdawianie (1,3 mln), podczas gdy Niemców sowieckich oblicza się na 2 mln, przy czym dodano, iż ewentualne przyznanie autonomii przez władze sowieckie byłoby z ich strony aktem pojednania i sprawiedliwości. (Tagesspiegel, 12.05.88)

TOKIO. W dn. 10.05.88 tokijska policja zaaresztowała członka japońskiej „Frakcji Armii Czerwonej” — terrorystę, który w dn. 31.03.1970 r. porwał samolot japońskiej linii lotniczej ze 130 pasażerami do Korei Północnej i przed rokiem na podstawie fałszywego paszportu powrócił do Japonii. (Tagesspiegel, 12.05.88)

MANAGUA. W dn. 11.05.88 nieznanymi sprawcy uprowadzili z hotelu w San Salvadorze korespondenta „Prawdy” Jurija Stroew. (Frakfurter Rundschau, 12.05.88)

MONACHIUM. „Süddeutsche Zeitung” z dn. 13.05.88 podaje ilość tytułów i nakłady dzienników ukazujących się obecnie w Europie Zachodniej: RFN (375 tytułów, łączny nakład: 20,9 mln), Wlk. Brytania (100, 21,1 mln),

Francja (88, 9,9 mln), Włochy (78, 8,4 mln), Holandia (48, 4,5 mln), Hiszpania (102, 3 mln), Belgia (36, 2,2 mln), Dania (46, 1,8 mln), Grecja (129, 1,3 mln), Portugalia (25, 0,4 mln). (Süddeutsche Zeitung, 13.05.88)

ZAGRZEB. W dn. 12.05.88 republika Kroatii (po Słowenii) udzieliła wotum nieufności centralnemu rządowi Brancu Mikulicza w Belgradzie. (Süddeutsche Zeitung, 13.05.88)

MOSKWA. W dn. 11.05.88 w wieku lat 76 zmarł w Moskwie „szpieg stulecia”, od 25 lat mieszkający w Moskwie, Brytyjczyk Harold „Kim” Philby — agent sowiecki pracujący przez blisko 30 lat w wywiadzie brytyjskim, będąc m.in. „odpowiedzialnym” za brytyjskich agentów w ZSRS. (Süddeutsche Zeitung, 13.05.88)

STEPANAKER. W dn. 12.05. w stolicy zamieszkałego przez Armeńczyków, a należącego do republiki azerbejdżańskiej stolicy Górnego Karabachu doszło do masowej demonstracji przeciwko mianowaniu Azerbejdżanina wiceprokuratorem okręgu. (Süddeutsche Zeitung, 14.05.88)

EREWAN. W dn. 12.05.88 w stolicy Armenii Erywaniu 100 tys. osób wzięło udział w demonstracji solidarnościowej z mieszkańcami Stepanaker. (Tagesspiegel, 14.05.88)

MOSKWA. W dniu 11.05.88 papież Jan Paweł II odrzucił zaproszenie metropolity kijowskiego Filareta do Moskwy z okazji obchodów 1000-lecia chrztu Rusi, ponieważ władze sowieckie nie wyraziły zgody na pielgrzymkę Ojca Świętego na Litwę. (Frakfurter Rundschau, 14.05.88)

ISLAMABAD. Afgański rząd w Kabulu, tuż przed rozpoczęciem wycofywania wojsk sowieckich z Afganistanu, zmienił gubernatorów w 23 z 30 prowincji afgańskich. (Süddeutsche Zeitung, 14.05.88)

BERLIN ZACHODNI. „Tagesspiegel” z dn. 14 maja podał do wiadomości, iż w pierwszych czterech miesiącach br. 2775 osób przybyło z NRD do NRF nielegalnie, przy 1553 osobach w analogicznym okresie roku poprzedniego; legalnie przesiedlono z NRD do RFN — 4817 osób.

WASZYNGTON. W dn. 13.05.88 kolejnym owocem konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a panamskim dyktatorem gen. Noriega, było zamknięcie wszystkich 30 konsulatów panamskich w USA. (Tagesspiegel, 14.05.88)

PEKIN. Agencja prasowa Nowe Chiny doniosła, iż mianowany przez Watykan katolicki biskup Szanghaju 87-letni Gong-pin Mei po 30 latach został wypuszczony z więzienia i pozwolono mu na podróż do krewnych w USA, ponieważ „okazał skruchę”. (Tagesspiegel, 14.05.88)

PARYŻ. Liga Obrony Praw Człowieka w Rumunii podała do wiadomości, iż 14.04.88 rumuńska tajna policja zaaresztowała matematyka Pawelescscu i emerytowanego inżyniera Stancescu za to, iż 13 kwietnia udzielił on wywiadu francuskiej stacji tv Gamma, której dziennikarze 15 maja zostali usunięci z Rumunii. (Tagesspiegel, 15.05.88)

• JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM • JEDNYM ZDANIEM •

BUDAPESZT. W dn. 14.05.88 powstał na Węgrzech pierwszy od 40 lat niezależny związek zawodowy pod nazwą „Unia Demokratyczna Pracujących Naukowo”. (Tagesspiegel, 15.05.88)

PRAGA. W dn. 14.05.88 policja rozpendziła spotkanie działaczy Karty 77 w jednej z praskich restauracji, aresztując na wiecie godzin około 50 osób, które przed aresztowaniem zdołały podjąć rezolucję stwierdzającą, iż „ostatnie strajki w Polsce, powstanie sieci niezależnych inicjatyw na Węgrzech i Unii Demokratycznej w ZSRS wskazują na coraz silniejszą potrzebę politycznej i związkowej wolności w krajach bloku wschodniego”. (Tagesspiegel, 17.05.88)

PEKIN. W dn. 15.05.88 w angielsko-języcznym wydaniu dziennika „China Daily” podano do wiadomości, iż w Chinach żyje 670.123 wścogów i żebraków. (Tagesspiegel, 17.05.88)

BERLIN WSCHODNI. W dn. 16.05.88 dwaj mieszkańcy Poczdamu skazani zostali na 14 miesięcy więzienia za wywieśnienie w swoim oknie w dn. 26 lutego br. transparentu z napisem: „Domagamy się wolności i sprawiedliwości dla wszystkich”. (FAZ, 17.05.88)

MOSKWA. W dn. 16.05.88 po raz pierwszy w historii telewizja sowiecka nadała film dokumentalny pod tytułem „Proces”, będący zestawieniem zdjęć dokumentalnych z procesów pokazowych końca lat 30-tych w ZSRS, rozmów z ofiarami i historykami. (Süddeutsche Zeitung, 15.05.88)

MIAMI. Ambasador Hondurasu w Panamie Regelado Lara został zatrzymany 18 maja na lotnisku w Miami z 12,5 kg kokainy w walizce. (Tagesspiegel, 18.05.88)

MOSKWA. W dn. 17.05.88 rzecznik prasowy sowieckiego MSW Gierasimow oświadczył, iż ewentualne wstąpienie Austrii do Wspólnego Rynku jest nie do pogodzenia ze statusem neutralności tego kraju, ponieważ EWG z organizacji gospodarczej przestacza się stopniowo w organizację polityczną i militarną. (Tagesspiegel, 18.05.88)

MONACHUM. Przebywający czasowo w RFN polski historyk, profesor Władysław Bartoszewski, laureat Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich w 1986 r., zaapelował w Monachium do Gorbaczowa i patriarchy Kościoła rosyjsko-ortodoksyjnego o zalegalizowanie Ukraińskiego Kościoła Katolickiego. (Tagesspiegel, 18.05.88)

MOSKWA. Wydawany w języku angielskim dziennik „Moscow News” z dn. 18.05.88 poinformował, iż w najbliższej przyszłości do nabycia w kioskach moskiewskich, leningradzkich i w stolicach innych republik, będą m.in. brytyjskie dzienniki „Times” i „Financial Times” oraz amerykańskie tygodniki „Newsweek” i „Time” (do tej pory w całym ZSRS rozprowadzano po 80 egzemplarzy w/w czasopism, głównie w hotelach i na użytek zachodnich turystów). (Tagesspiegel, 19.05.88)

MOSKWA. „Literaturnaja Gazieta” z dn. 18.05.88 podała do wiadomości, iż na filmach wideo z orgii, jakie aranżował uprzedni sowiecki minister spraw wewnętrznych Szczołokow, który był oskarżony o sprzeniewierzenie 700 tysięcy rubli i popełnił samobójstwo w areszcie śledczym, rozpoznaje można osoby należące do najlepszych towarzyszy sowieckich, które po wielkiej części są dziś czołowymi bojownikami o „pierestrojkę”. (Tagesspiegel, 19.05.88)

GWATEMALA. W dniu 19.05.88 doszło tam do zamachu bombowego na biuro sowieckiej agencji prasowej TASS, w wyniku którego zdemolowane zostały pomieszczenia i zaparkowane w pobliżu samochody; ofiar w ludziach nie było, do zamachu przyznała się ultrapravicowa organizacja terro-

rystyczna „Manoplazna”. (Tagesspiegel, 19.05.88)

BONN. Od dnia 18.05.88 w RFN, Austrii i Szwajcarii można otrzymać niemieckojęzyczne wydanie dziennika „Prawda”. (Tagesspiegel, 19.05.88)

KOUROU. W dn. 18.05.88 powiódł się start europejskiej rakiety typu „Ariane 2”, z satelitą, który krążyć będzie na orbicie nad Brazylją i ma służyć transmisji programów telewizyjnych, jak i rozmów telefonicznych z północnej Ameryki do Europy Zachodniej i północnej Afryki. (Tagesspiegel, 19.05.88)

MOSKWA. Podczas konferencji prasowej w Moskwie historyk sowiecki Rosental w dn. 19.05.88 oświadczył, iż szacunki zachodnie, zgodnie z którymi w Afganistanie poległo od 12 do 15 tys. sowieckich żołnierzy, są mniej więcej prawidłowe. (FAZ, 20.05.88)

BAZGOK. Minister spraw zagranicznych Tajlandii Siddhi Savetsila oświadczył w dn. 19.05.88 po powrocie z Moskwy, iż szef sowieckiego MSZ Szewardnadze zapewnił go, że Związek Sowiecki przeprowadzi poważne rozmowy z wietnamskimi przyjaciółmi odnośnie wycofania ich wojsk z Kambodży. (Tagesspiegel, 20.05.88)

MOSKWA. W dn. 18.05.88 w południowo-rosyjskim mieście Abińsku protestowało około tysiąca Tatarów krymskich przeciwko policyjnej kontroli i niedopuszczeniu ich na Półwysep Krymski. (Süddeutsche Zeitung, 20.05.88)

BAKU, EREWAŃ, STEPANAKER. W dn. 18.05.88 doszło tam do demonstracji wielu tysięcy ludzi, którzy w Stepanaker i Erewaniu domagali się przyłączenia Górnego Karabachu do Armenii – natomiast w Baku 100 tys. osób demonstrowało za utrzymaniem status quo. (Süddeutsche Zeitung, 20.05.88)

MOSKWA. W dn. 23.05.88 z powodu masowych demonstracji w Azerbejdżanie i Armenii z 18 maja, Gorbaczow salomonowym wyrokiem zwołał ze stanowisk po dwóch przywódców partyjnych w Erywanii i Baku. (FAZ, 24.05.88)

BERLIN ZACHODNI. Sąd w Berlinie Zachodnim wydał decyzję o pozbawieniu Wilhelma Staeglichta tytułu doktora, ze względu na „antysemickie, podżegające do nienawiści rasowej treści” w jego książce pt. „Oświęcim – mity, legenda czy rzeczywistość”. (Süddeutsche Zeitung, 24.05.88)

MOSKWA. „Prawda” z dn. 22.05.88 donosiła o jednolitym strajku kierowców w litewskim porcie Kłajpeda, którzy domagali się powrotu do przed-gorbaczowskiego systemu naliczania zarobków. (Tagesspiegel, 25.05.88)

WILNO. W dn. 22.05.88 policja rozpendziła bez użycia siły ok. 300 osób, które zebrały się w centrum miasta dla upamiętnienia 40-tej rocznicy masowej deportacji Litwinów przez NKWD (około 200 tysięcy osób – przyp. red.). (Tagesspiegel, 25.05.88)

MOSKWA. W dn. 24.05.88 na posiedzeniu Najwyższego Sowietu jednogłośnie usunięto z prezydium byłego szefa partii w Moskwie Jelcyna; jego los podzieli usunięty na początku br. ze stanowisk partyjnych szef republiki Uzbekistanu, uwikłany w skandale korupcyjne. (Frankfurter Rundschau, 25.05.88)

MOSKWA. W dn. 25.05. rzecznik Ministerstwa Obrony ZSRS podał do wiadomości na konferencji prasowej, iż od początku maja br. w Afganistanie zginęło 13.300 sowieckich żołnierzy, rannych zostało 35.478, zaginionych 311. (Tagesspiegel, 26.05.88)

BERNO. W dn. 25.05. Prokuratura Generalna w Szwajcarii wydała za swego terytorium attache sowieckiej ambasady za szpiegostwo. (Tagesspiegel, 26.05.88)

BUDAPESZT. W dn. 27.05. ponad 2 tys. osób demonstrowało przed ambasadą Austrii w Budapeszcie domagając się, by Austria nie finansowała wspólnego z Węgrami i Czechosłowacją projektu budowy zapory na Dunaju z powodu przypuszczalnych szkód, jakie budowa ta może spowodować w środowisku naturalnym. (Süddeutsche Zeitung, 30.05.88)

BERLIN WSCHODNI. Począwszy od 1 czerwca br. w kioskach w NRD po raz pierwszy w historii można kupić pisma zachodniemieckie - „Flora”, poświęcone hodowli roślin, i „Sandra” zajmujące się modą. (Tagesspiegel, 2.06.88)

GENEWA. Jak podała do wiadomości na konferencji prasowej w dn. 31 maja Wysoki Komisarz ONZ d/s Uchodźców, od roku 1979 w ramach oficjalnego programu ONZ Wietnam opuściło 136 tys. mieszkańców, przyjętych następnie przez 20 krajów. (Tagesspiegel, 2.06.88)

BONN. Zachodniemiecki minister d/s młodzieży, pani Süßmuth oświadczyła w dn. 3 czerwca podczas konferencji prasowej, iż w tym roku rząd federalny liczy się z ok. 150 tys. Niemiec przesiedleńców z ZSRS i innych krajów wschodnioeuropejskich, czyli dwukrotnie tyle, co w roku ubiegłym. (Tagesspiegel, 4.06.88)

MOSKWA. W dn. 5 czerwca w mieście Arsamas, w pobliżu miasta Gorkij, w okolicy dworca kolejowego eksplodowało 120 ton materiałów wybuchowych w wagonach... zaccypionych tuż za lokomotywą, w wyniku czego zginęło minimum 73 osoby a 229 odniosło rany; zniszczonych zostało 250 budynków mieszkalnych. (Tagesspiegel, 7.06.88)

MOSKWA. Jak doniosła agencja TASS 6 czerwca, w dn. 5.05.88 „zaaranżowano” na specjalne potrzeby zachodnich dziennikarzy przybyłych do Moskwy na obchody 1000-lecia chrztu Rusi demonstrację ok. 50 Armieńczyków, Tata-

rów krymskich i członków nowej grupy opozycyjnej pod nazwą Unia Demokratyczna, niosących plakaty: „Precz ze stalinizmem”, „Uwolnić więźniów politycznych”, „Chcemy systemu wielopartyjnego”; milicja nie reagowała. (Tagesspiegel, 7.06.88)

STUTTIGART. Władze miejskie tego miasta zgłosiły inicjatywę zorganizowania Olimpiady letniej w roku 2004. (Süddeutsche Zeitung, 7.06.88)

WASZYNGTON. Po wygraniu przedwyborów prezydenckich w dn. 7 czerwca w 4 stanach (m.in. w Kalifornii), Michael Dukakis gubernator z Massachusetts, jest praktycznie pewnym kandydatem Demokratów i stanie do wyborów prezydenckich w dn. 8 listopada br. naprzeciw kandydata Republikanów, obecnego wiceprezydenta Georga Busha. (Tagesspiegel, 9.06.88)

MOSKWA. Jak donosi agencja Reutersa, w dn. 8 czerwca ponad 5 tys. osób za pozwoleniem władz demonstrowało w Jarosławiu krytykując sposób, w jaki wybrano przedstawicieli na zapowiadzaną na koniec czerwca br. Wszechzwiązkową Konferencję Partyjną w Sowietach - tj. bez udziału bazy i kolektywu robotniczego. (Tagesspiegel, 10.06.88)

MOSKWA. Jak wynika z informacji podanych w moskiewskiej „Prawdzie” 10.06, w Górnym Karabachu leżącym w republice Azerbejdżanu trwa od trzech tygodni strajk generalny zamieszkujących ten region Ormian domagających się przyłączenia do Armeńskiej SRS; partia straciła kontrolę nad sytuacją. (Tagesspiegel, 11.06.88)

EREWAŃ. W dn. 13.06, w Armeńskiej SRS rozpoczął się strajk generalny, którego uczestnicy solidaryzują się z żądaniem rodaków w Górnym Karabachu. (Tagesspiegel, 14.06.88)

LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'Île — 75004 Paris, France
Metro: Pont Marie
Tel 43-26-51-09
polecia swoje wydawnictwa

KRZYSZTOF RUTKOWSKI

Braterstwo albo śmierć

stron 278

Cena FF. 95.00

... Na pozór jeszcze jedna rzecz o Mickiewiczu, Towiańskim, romantyzmie i polskim weń wpleceniu. A jednak pod podkładem merytorycznym, przy bardzo sumiennym i często odkrywczym warsztacie naukowym, kryje się pasjonująca opowieść nie tylko o ludziach Wielkiej Emigracji, lecz także o nas. Zadziwiająca aktualność przeszłości pomoże nam zrozumieć wiele aktualnych problemów. Pasjonująca i wzbogacająca lektura, która z pewnością wzbudzi refleksje i polemiki.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Polska prawdziwa

Rozmowa z Alojzym Szablewskim, inżynierem, przewodniczącym „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej, przewodniczącym Komitetu Strajkowego w maju 1988 r.

Paweł Kot: Czy strajk był przygotowany?

Alojzy Szablewski: Tajna Komisja „Solidarności” ogłosiła gotowość strajkową na poniedziałek, 2 maja, aby poprzeć hutników z Nowej Huty, którzy już strajkowali. Rozrzuciliśmy po stoczni kilka tysięcy ulotek. Ale nastrój załogi był taki, że ulotki zapowiadające gotowość strajkową potraktowano jako natychmiastowe wezwanie do strajku. Około godz. 11.00 grupa młodych robotników z wydziału K-1 przemaszerowała w kierunku Stoczni Północnej z napisem „Solidarność”. Pomyślałem, że coś się zaczyna. Jako też wkrótce w biurze konstrukcyjno-projektowym, gdzie pracuję, pojawił się znajomy z „Solidarności” i poprosił, abym przyszedł pod budynek dyrekcji. Wiedziałem, co to znaczy. Zapakowałem wszystkie swoje papiery do szuflady. Kierownik zapytał mnie, czy aby zastanowiłem się nad tym, co robię. Odparłem: tak. Kierownik poinformował o tym szefa naszego biura, który za chwilę stanął przede mną pytając: Panie Szablewski, dokąd pan chce iść? — Do młodych stoczniowców — odparłem. — Panie Szablewski, niech pan będzie rozsądny — powiedział i podjął słuchawkę telefonu.

Podobnie jak kierownik, starał się zaasekurować przed swoim szefem. Połączył się z dyrektorem stoczni, oddając mi zresztą słuchawkę. Przywitałem się z dyrektorem bardzo uprzejmie i zapytałem, czy mnie przyjmie. Padła odpowiedź twierdząca. Szef biura chciał nawet dać mi samochód, żebym pojechał do dyrekcji wygodnie, ale podziękowałem. Przed budynkiem dyrekcji zastąpiłem grupę młodych ludzi, których zapytałem: O co strajkujecie, chłopcy? — O podwyżkę, o „Soli-

darność” — padły odpowiedzi. — No, to uporządkujemy te żądania.

Spisaliśmy na kartce pięć żądań. Na pierwszym miejscu postulat płacowy (15 do 20 tys. zł podwyżki), kiedyś z Waleśą rozmawialiśmy o tym, że żądania w kwestii zarobków powinny być zawsze na pierwszym miejscu, jako najbardziej dla wszystkich zrozumiałe. Na drugim wnioszek o rejestrację „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej, punkt trzeci: uwolnić więźniów politycznych, punkt czwarty: przywrócić do pracy represjonowanych za przekonania polityczne. W punkcie piątym upominaliśmy się o własne bezpieczeństwo — aby nie represjonowano strajkujących.

— **Czy z tymi żądaniami poszedł Pan do dyrektora sam?**

— Nie. Zapytałem chłopców: Kto chce iść ze mną na ochotnika? Bali się. Wyzaczyłem trzech, których znałem. Gdy weszliśmy do gabinetu dyrektora, zastaliśmy tam oprócz naczelnego dwóch SB-ków. Dyrektor ustosunkował się do punktu pierwszego twierdząc, że co do innych spraw jest niekompetentny. Powiedział, że jest właśnie opracowywana nowa siatka płac i zgodnie z nią przewiduje się podwyżkę o 15,5 tys. zł w stosunku do zarobków w ostatnim kwartale ub. roku. Natychmiast zorientowałem się, że taka podwyżka jest fikcją, bo od końca grudnia ubiegłego roku robotnicy otrzymali dodatek 6 tys. zł, jako rekompensatę za podwyżki cen, a także premie. Nie mieliśmy więc o czym rozmawiać.

Poprosiłem dyrektora, żeby przekazał nasze żądania władzom zwierzchnim, pożegnaliśmy się grzecznie i wyszliśmy. Tymczasem w stoczni pa-



Alojzy Szablewski: lat 62, były AK-owiec, po wojnie pracował jako oficer w wojsku, które zmuszony był opuścić ze względu na przekonania religijne. Po maturze szykanowany wliczonym biletem ukończył Politechnikę z dużym opóźnieniem. W roku 1955 zaczął pracować w Centralnym Biurze Konstrukcji Okrętów przy Stoczni Gdańskiej. W roku 1980 wybrany został przewodniczącym „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej. W stanie wojennym więziony za organizację strajku w stoczni. Nadal pracuje w niej jako inżynier.

nowała już nerwówka. Bramy zamykano, część ludzi wychodziła ze stoczni, nie zatrzymywaliśmy nikogo. Unikaliśmy wszelkiej przemocy.

— **Początek strajku, to jak początek wielkiej rozgrywki. Od pierwszych kroków zależy nieraz powodzenie całej akcji. O co trzeba zadbać przede wszystkim?**

— O bramy. Najważniejsze, aby nie przedostali się do zakładu niepowołani ludzie. Powiedziałem stoczniowcom: Rozłokujcie się po wydziałach i wybierzcie ochotników do komitetu strajkowego. Zgłosiło się 12. Pomyślałem: To dobrze, jest ich tyłu, co apostołów. Wśród młodych panował antuzjizm, porozwieszali transparenty, udekorowaliśmy główną bramę, podobnie jak w Sierpniu. Pierwszej nocy było w stoczni 1500 osób. Rano przystąpiliśmy do agitacji. Przychodzącym do pracy robotnikom tłumaczyliśmy, że jest strajk i wyjaśniliśmy dlaczego. To samo robiłem w sierpniu 1980 r. Tego dnia przeprowadziliśmy na wydziałach sondę informacyjną. Za strajkiem opo-

wiedziało się ok. 7,5 tysiąca osób (załoga liczy 12 tys. osób), ale praktycznie nikt nie pracował.

— **Jak ustosunkował się do strajku nowy związek zawodowy i ilu stoczniowców do niego należały?**

— Do neozwiązków, jak my mówimy, należy jedna trzecia załogi — około 4 tysięcy osób. Związek nie poparł strajku, ale jego członkowie z początku w pewnym stopniu biernie w nim uczestniczyli.

— **Skoro na początku strajk popierało ok. 7 tys. ludzi, dlaczego później liczba ich raptownie zmalała?**

— W środę rano dyrektor wezwał na odprawę kierowników i zażądał, aby ostro przeciwstawiali się strajkowi. Każdemu, kto przyłączał się do strajkujących, kierownicy brutalnie mówili: Już w stoczni nie pracujesz, wynoś się! To podziałało. Poza tym przymuszano do pracy wwożąc robotników autobusami na statki. Wiadomo, że ze statku nikt się nie wycofa. Wtedy zabrałem ze sobą 100

ludzi, sztandar i przeszliśmy przez kilka wydziałów. Pamiętam na jednym z nich rozmowę z kierownikiem. Przedstawiłem się przez megafon: Tu Alojzy Szablewski, przewodniczący „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej, panie kierowniku, wzywam pana na rozmowę, proszę się nie bać. Przyszedł z kimś. Hala wysoka, udekorowana napisami „Nie ma wolności bez Solidarności”, wszyscy robotnicy przysłuchują się naszej rozmowie. — Panie kierowniku, nie mam do pana pretensji — powiedziałem — dostał pan polecenie odgórne, żeby ludzi zatrzymać w pracy. Ale to nie jest walka fair. Ludzie chcą strajkować i nie można ich zastraszać. Zapewniam pana, że nie będziemy stosować przemocy i jeśli ktoś chce pracować, my nie będziemy mu przeszkadzać. Ale niech pan nam też nie przeszkadza.

Wie Pan, na tych kierowników, którzy nieczar bardzo arogancko odnoszą się do robotników, każdy przejaw siły działa błyskawicznie. Natychmiast się łamią. Wystarczyło, że widzieli ze mną gromadę ludzi i pod wpływem moich łagodnych przecieżeń słów, pozbawionych podrózek, ustępowali. Radziłem sobie z nimi na początku dobrze.

I dyrektor przestraszył się. W nocy ze środy na czwartek ZOMO zaatakowało robotników Nowej Huty, a w czwartek dyrektor zawiesił pracę stoczni. To był ciężki dzień. Byliśmy przygnębieni wiadomościami napływającymi z Krakowa. Dyrekcja utworzyła tzw. służby ochrony cywilnej, w istocie były to bojówki kierowników i majstrów, którzy chodzili po stoczni z kijami. Robotnicy zaczęli opuszczać stocznice, a gdy bramy za nimi zamknęły się, stocznia została oblężona przez ZOMO. Na strajku zostało 1500 ludzi, w przeważającej większości dwudziestoparoletnich. Powiedziałem im: Chłopcy, widzicie, co was czeka. W każdej chwili ZOMO może nas zaatakować. Ale pamiętajcie: godną postawę trzeba zachować do końca. Jeśli tu do nas wejdą, nie opluwajcie ich, nie wyzywajcie, niech nas wyniosą. Zachowajcie spokój i nie bójcie się.

— **Spodziewał się Pan ataku ZOMO tej nocy, która nastąpiła po spacyfikowaniu Nowej Huty?**

— Spodziewałem się ataku ZOMO cały czas, ale tej nocy najmniej. W czwartek powiedziałem nawet dziennikarzowi, który był wtedy w stoczni: Dziś będą spać spokojnie, po Nowej Hucie nie zaatakują nas, bo jednak pacyfikacja huty wywołała wielkie oburzenie w świecie. Tak powiedziałem, ale całą noc nie spałem. Czuwaliśmy przy nastu-

chu, ZOMO robiło podjazdy pod bramę, wzywali do ataku, potem rozjeżdżali się. Prowadzili z nami wojnę psychologiczną.

— **Takie zachowanie musiało budzić nienawiść robotników.**

— Staralem się ją łamać. Podczas modlitw porannych pozdrawialiśmy ZOMO. Wyglądało to nawet czasem komicznie. Pytałem przez megafon ZOMO-wców: Czy panowie mnie słyszają? I widziałem, że oni za bramą kiwają głowami. Usiłowałem tak działać, żeby odbierać milicji motywację walki z nami.

— **Jak przyjął Pan przyjazd mediatorów z ramienia Kościoła — Tadeusza Mazowieckiego, Andrzeja Wielowieyskiego, Andrzeja Celińskiego?**

— Bardzo się z ich przybycia ucieszyłem. To ludzie dużego formatu, mieli list od prymasa, to też coś znaczy. Szczególnie dużą rolę odegrał pan Mazowiecki, który został z nami do końca.

— **Pan również uczestniczył w rozmowach z dyrekcją?**

— Oczywiście.

— **Jak te rozmowy przebiegały?**

— Było ich pięć. Pierwsza miała miejsce w sobotę po południu, ostatnia w poniedziałek o czwartej rano. Dyrektor do niczego nie chciał się zobowiązać. Nawet do tych podwyżek, których żądaliśmy. Jeśli idzie o pozostałe sprawy, twierdził, że jest niekompetentny. Na temat uwolnienia więźniów politycznych otrzymaliśmy jedynie ustne przyrzeczenie. Na papierze zapewniono nas tylko o dwóch sprawach: że stoczniowcy wyrzuceni z pracy za przekonania zostaną przyjęci, o ile stocznia będzie ich potrzebowała oraz to, że uczestnicy strajku nie będą po jego zakończeniu represjonowani. Rozmowy z dyrekcją poniosły więc kompletne fiasko. Sprawą, która ostatecznie zdecydowała o przerwaniu rozmów był postulat o wyłonieniu spośród strajkujących 5-osobowej komisji interwencyjnej do spraw ludzkich, która działałaby przy radzie pracowniczej. Z początku dyrektor zgodził się na nią, a później przedstawił w tej sprawie tekst, który był dla nas nie do przyjęcia. Było w nim napisane: Dyrektor stoczni zwróci się do rady pracowniczej o powołanie komisji. Nie mogliśmy na to przystać.

Dalsze prowadzenie strajku nie miało sensu. Z dyrekcją nie było już o czym gadać! Z żywnością mieliśmy coraz większe kłopoty, choć dzieci (wspaniałe dzieci) przynosiły nam do stoczni chleb, papierosy. Za bramą stało ZOMO i jasne

było, że w którymś momencie wejdą. Zrobiłem tajne spotkanie komitetu strajkowego. Powiedziałem: Z tymi siłami, jakie tu mamy, nie wygramy. Polska nie strajkuje, „Ursus” załamał się, ludzie są zmęczeni. Major Sucharski, jak opuszczał Westerplatte miał za sobą jeszcze 90% ludzi, martwych bohaterów nie potrzebował. Czy nie lepiej zakończyć strajk? 12 osób powiedziało — tak, 3 nie.

— **Przecież powiedział Pan, że w Komitecie Strajkowym było 12 robotników, tyle co apostołów.**

— Potem doszło jeszcze kilku. Postanowiliśmy więc zakończyć strajk. Ale jak o tym powiedzieć ludziom? Wyczekiwałem odpowiedniego momentu. We wtorek blokada wokół stoczni zacieśniła się. Zrobiliśmy naradę przedstawiając strajkującym stanowisko komitetu strajkowego. Przyjęli je ze łzami. Nie chcieli opuszczać stoczni. O godz. 20.00 zdecydowaliśmy się jednak to uczynić. Wydaliśmy oświadczenie w imieniu komitetu strajkowego Stoczni Gdańskiej, w którym m.in. jest napisane: „Robotnicy Nowej Huty i my ze Stoczni Gdańskiej wygraliśmy sprawę bezcenną. Po kilku latach bierności i poczucia bezradności — polskie społeczeństwo odżywa. Przede wszystkim młodzież, która lepiej niż kilka miesięcy temu zdaje sobie sprawę z konieczności podjęcia walki o swoje prawa.”

— **Pozwoli Pan, że przytoczę również fragment oświadczenia, które napisali ludzie towarzyszący strajkowi, m.in. Tadeusz Mazowiecki, Aleksander Hall, Andrzej Celiński; „Dziś Polska prawdziwa i Polska oficjalna to dwa różne kraje. To tragiczne rozdarcie musi zostać przezwyciężone, abyśmy mogli pokonać nasz kryzys. Na utrzymywanie starego systemu, po prostu nas nie stać!”**

Jak odbyło się wyjście ze stoczni?

— Przed otwarciem bramy odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, wzniesiliśmy parę okrzyków „Nie ma wolności bez Solidarności”. A potem już szliśmy w milczeniu trzymając się za ręce. Na przodzie kroczył Szcudłowski niosąc krzyż. ZOMO rozstępowało się. W spokoju doszliśmy do kościoła św. Brygidy, gdzie odbyła się msza święta.

— **Jak ocenia Pan znacznie strajku?**

— Przeszkolona została kadra młodych robotników. Tak to mogę określić. Doświadczenie, które zdobyli stoczniowcy podczas 9 dni strajku na pewno nie pójdzie na marne. Strajk też trzeba umieć zrobić. ■

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄD”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego miesięcznika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e.V. „Pogład” Sparkasse der Stadt Berlin West Konto Nr 122 001 238 2 BLZ 100 500 00	lub Postcheckkonto 586 90-102 BLZ 100 100 10 Postcheckamt 1000 Berlin (West)
--	---

Na Towarzystwo Solidarność

- | | |
|---------------------------------|----------|
| 1. R. Brodnicki, Dortmund | DM 30,- |
| 2. I. I. Bekata, Thaleschweiler | DM 40,- |
| 3. R. Zarzycki, Köln | DM 20,- |
| 4. J. Brzozowski, Lüden | DM 25,- |
| 5. Bezimiennie z Saarbrücken | DM 25,- |
| 6. G. Lachmann, Albitshheim | DM 150,- |
| 7. A. Mroczek, Kabelhorst | DM 20,- |
| 8. M. Kukieła, Oldenburg | DM 20,- |
| 9. Z. Miszyk-Miński, Heilbronn | DM 30,- |
| 10. Bezimiennie z Asperg | DM 50,- |
| 11. Bezimiennie z Asperg | DM 40,- |
| 12. Bezimiennie z Asperg | DM 20,- |
| 13. Z. Baron, Velbert | DM 30,- |
| 14. J. Kowalski, Velbert | DM 30,- |
| 15. W. Szalachowski, Velbert | DM 30,- |
| 16. J. Dobrogowski, Hamm | DM 30,- |
| 17. M. Kwiatkowski, Hamm | DM 30,- |
| 18. A. Pionka, Düsseldorf | DM 150,- |
| 19. M. Dobosz, Velbert | DM 30,- |
| 20. J. Pietkun, Velbert | DM 30,- |
| 21. R. Lewandowski, Velbert | DM 30,- |
| 22. M. Madej, Velbert | DM 30,- |
| 23. R. Kołodziejczyk, Velbert | DM 30,- |
| 24. W. Wornicki, Rheda | DM 40,- |
| 25. St. Brodnicki, Dortmund | DM 12,- |
| 26. W. A. Sewarczak, Witten | DM 60,- |
| 27. J. Sazon, Dortmund | DM 30,- |
| 28. R. Flak, Kiel | DM 20,- |
| 29. A. Z. Dominik, Hagen | DM 16,50 |
| 30. B. Władyka, Berlin | DM 15,- |

Na Fundusz Wydawniczy „Pogład”

- | | |
|--|---------|
| 1. P. Blicharski, honorarium autorskie | DM 85,- |
|--|---------|

Na „Solidarność Walczącą”

- | | |
|----------------------------------|---------|
| 1. Niezależne Koło PSL, Mannheim | DM 30,- |
|----------------------------------|---------|

Na aresztowanych podczas ostatnich strajków

- | | |
|----------------------------------|----------|
| 1. M. Bantoch, Neunburg | DM 100,- |
| 2. G. M. Rogalewicz, St. Ingbert | DM 20,- |

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

Wywiad z członkami KS Huty im. Lenina

(Przedruk za wydawnictwem podziemnym „Region” nr 13)

R: Jaka jest w tej chwili sytuacja w Kombinacie? Rozumiem, że strajk absencyjny jest zakończony, przeszłście na ukrytą jakby formę protestu?

Odp: No, nie. To nieściste. W swoim komunikacie zwolniliśmy jakby od obowiązku podporządkowania się wcześniejszym decyzjom KS o strajku absencyjnym, ale zaznaczyliśmy jednocześnie, że sprawa dalszej kontynuacji protestu przez absencję jest sprawą indywidualną. Zdania są bowiem podzielone: jedni uważają, że nadal trzeba strajkować absencyjnie, szczególnie w sytuacji, gdy byli pobici i ranni, a także dlatego, że część kolegów siedzi w więzieniu. Inni są jednak zmęczeni tą sytuacją, a widmo utraty pracy jest zbyt przerażające. Trzeba zrozumieć ludzi, zwłaszcza, że sytuacja finansowa wielu rodzin stała się dramatyczna. Są też tacy, którzy od lat czekają na mieszkania, więc przychodzą po poradę, co robić dalej. Tym wszystkim wyszliśmy naprzeciw dając możliwości bezkonfliktowego podjęcia pracy, zalecając im jednak strajk na sposób „włoski”, co polega na tym, że egzekwuje się wszystkie przepisy, instrukcje itp. Stawia to administrację w bardzo trudnej sytuacji, która często na bieżąco i w sytuacji pozastrajkowej przekracza te przepisy, by wykonać plan.

— Jaka jest sytuacja KS? Część z Was siedzi, a część się ukrywa.

— Był taki etap, kiedy zeszlśmy do podziemia i tylko poprzez łączników kontaktowaliśmy się ze strajkującymi (absencyjnie), natomiast pracownicy skupili się wokół duszpasterstwa w Mistrzejowicach i na os. Szklanych Domów. Ponieważ

zostawała coraz mniejsza grupa ludzi nie chcących podjąć pracy (nawet decydując się na opuszczenie kombinatu), warunkiem ich powrotu do pracy była nasza odpowiedź na pytanie „co robić?”.

Ludzie odbierali to emocjonalnie, nie chcieli wchodzić do kombinatu, gdzie stoi ZOMO...

— Niemniej wykrusza się kadra tych, którzy chcą nadal strajkować...

— Tak, ale nie należy zapominać, że to już 19-ty dzień strajku, który obfitował w niesamowite napięcia emocjonalne, brutalną pacyfikację itd. Dziesięć dni udanego strajku absencyjnego, to przecież wielkie osiągnięcie! To, że się wykruszają nie jest niczym dziwnym... Nasza sytuacja była naprawdę trudna, jedni bowiem mają moralnego kaca, ale chcą powrócić do pracy, gdyż ich sytuacja jest dramatyczna, inni znów chcą twardo odmówić pracy pod pałą ZOMO.

Między młotem, a kowadłem, taka była nasza sytuacja w momencie wydania oświadczenia. Wyraziliśmy w nim więc dbałość o tych najtwardszych, najbardziej zdecydowanych, są oni bowiem wielkim kapitałem w naszej walce i byłoby niepowetowaną stratą, gdyby dyrekcji udało się ich zwolnić. Dlatego wracają, ale tylko pod warunkiem zmiany *formy strajku* (na „włoski”), że będą struktury strajkowe itd. Ludzie intuicyjnie wyczuwają, że KS będzie załącznikiem nowego związku zawodowego i czy on się nazwie „Solidarność” (Nazwał się — red.) czy inaczej, to sprawa wtórna.

— Kto ten strajk zorganizował, prowadził, kto w nim uczestniczył?

— „Solidarność”, aczkolwiek nie zawsze byli

to członkowie Związku, albo jego struktur. W samym KS było tylko trzech-czterech członków tajnych struktur „S”. Tajne struktury ujawniły się tylko na niektórych wydziałach, w większości pozostały tajne dla samych siebie.

— (Do A. Szewczuwańca) Czy ty uważasz się za członka „Solidarności”?

— Czułem się sympatykiem „S” i liczyłem na to, że moja czynna postawa będzie świadczyć na rzecz mojego zaangażowania w idee propagowane przez członków ruchu „Solidarność”. Strajk na Zgniataczu zorganizowałem wraz z kolegami, których uważałem za dobrych fachowców, tj. z A. Ciepiclewskim, A. Skałbanią i T. Szczypczyńskim. Wiedziałem, że ci koledzy byli członkami „Solidarności”, roznosili bibułę itd.

— (Do A. Szewczuwańca) Mógłbyś coś powiedzieć o sobie...

— Mam 38 lat, wykształcenie średnie. Studiowałem na Politechnice i Akademii Medycznej, ale nie ukończyłem studiów. Jestem żonaty (żona ekonomistka). Mam córkę i syna. Mieszkam w Krakowie (ul. Włotowa 10/14). Na terenie Huty pracowałem łącznie 7 lat, z czego ostatnie dwa na Zgniataczu, jestem operatorem.

— Czy przygotowywaliście się, planowaliście „jak i co”, czy to wszystko wypłynęło w jednej chwili?

— Psychoza strajku narastała od podwyżek lutowych. Pierwszy miesiąc jest zawsze miesiącem przeliczeniowym, ale kiedy wszyscy zorientowali się, że te 6 tys. „osłonowego” absolutnie nie rekompensują wzrostu cen, wystosowano do dyrekcji żądanie o podniesienie dodatku osłonowego do 12 tys., a pod tym żądaniem podpisała się załoga ZW, — ok. 1000 podpisów (ZW — Zakład Walcowniczy). W odpowiedzi dyrekcja zaproponowała spotkanie z poszczególnymi zmianami ZW, odbyły się one 1, 2, 4, 7-go.

Idąc na pierwsze spotkanie wszyscy liczyli na to, że ten dodatek zostanie zwiększony, bo poparła ten postulat Rada Pracownicza, a tekst wywieszono w gablotkach. Rychło przekonaliśmy się, że jest to kamuflaż i frekwencja na kolejnych spotkaniach malała. Uczestniczyłem np. na spotkaniu z dyrektorem d/s Kadr, Zatrudnienia i Plac. Zobowiązano mnie (mówi A. Szewczuwańca — red.) do wypowiedzenia się w imieniu Zgniatacza. Zasugerowałem dyrektorowi, że ostatnio prowadzi się podstępny politykę płacową, podnosi się stawki, a obniża premie (żeby na zewnątrz wyglądało, że zbliżamy się do średnich stawek w prze-

myśle), ale było to jak „grochem o ścianę”, bo dyrektor sprowadził wszystko do tzw. narady produkcyjnej. Wszyscy byli oburzeni postawą dyrekcji. Niezadowolone było bardzo duże.

Rozpoczęliśmy sondowanie atmosfery, przeprowadziliśmy szereg rozmów, a jeszcze do tego wybuchł ten udany strajk w Bydgoszczy. Podjęliśmy działania już poprzedniego dnia, ale w fazie spontaniczności ten strajk się jeszcze nie wykrył. Przychodząc rano (26.04. — red.) do pracy, wyczuliśmy wzrost atmosfery, emocji, szczególnie po podpisaniu porozumień płacowych w Bydgoszczy. Rozmawialiśmy na poszczególnych stanowiskach pracy, szczególnie na mostach, przeprowadziliśmy rozmowy z suwnicowymi oraz powołaliśmy grupę stanowiącą załóżkę KS, w której skład weszli Andrzej (Ciepiclewski) i Adam (Skałbani). W tym składzie rozpoczęliśmy 3-godzinne przygotowania już tylko od strony technicznej. Wszyscy uważali, że tradycyjnie zawsze my — technolodzy na mostkach rozpoczynaliśmy, ale w tym właśnie widziałem niebezpieczeństwo. Opracowaliśmy inną taktykę: od drugiej strony, od końca, tam gdzie jest odbiór produkcji. I te przemyślenia się sprawdziły. Nie byłoby strajku, gdybyśmy zaczęli od mostków rozpoczynających walcownicę...

O godz. 9.00 w dniu 26.04. ogłosiłem przez radiowęzeł rozpoczęcie strajku. Przyjechali v-dyrektorzy, ale nie mieli żadnych kompetencji. Proponowali byśmy przestali strajkować do czasu przyjazdu naczelnego. Ściągnęto go w nocy z Warszawy i wówczas doszło do pierwszych rozmów. Dyrektor powiedział, że obniżono progi podatkowe, w związku z tym „uwolni” się pula, która przyniesie podwyżki w granicach 50%... Ale to, co mówił dyrektor było tak niezobowiązujące, wykrętne, że odeszliśmy od stołu wychuwając, że to nie dyrektor decyduje. Następnie podjęto rozmowy z nie strajkującymi opzowcami...

Neozwiązki w 1-2 dniu strajku nas poparły, mówili, że się solidaryzują, ale w momencie, gdy dyrekcja uznała na podstawie decyzji Prokuratury strajk za nielegalny, oni uznali, że mają wyczyszczone pole, bo KS jest nielegalny, strajkująca załoga jest też nielegalna, a oni są legalni, więc wchodzi na to pole, próbując już „osiadłego konia” ujeżdżać, uzurpując sobie prawo do reprezentacji załogi. Aż mdli człowieka od tej postawy... Zresztą skończyło się niczym, bo postulaty, które od nas „zerzneli”, okazały się też nie do przyjęcia przez dyrekcję.



©DEMENTI

Andrzej Szewczuwaniec, przewodniczący Komitetu Strajkowego w KM HiL

— Jakich metod używano, by strajk zakończyć?

— Wszystkich. Łącznie z kopaniem po jajkach. Uruchamiano np. urządzenia bez powiadamiania załogi, ryzykując nawet wypadki śmiertelne (nie przestrzegano podstawowych przepisów, które regulują rozruch takich urządzeń, np. silnik o mocy 3320 KW na Zgniataczu). Wymuszano zdawanie przepustek pracowniczych, albo podsuwano deklarację, czy przystąpiłem do strajku — czy nie? itd. My byliśmy zabarykadowani na swoich wydziałach, natomiast teren kombinatu był „ziemią niczyją”, straż przemysłowa jeździła nocami i starała się wylapywać tych, co przemykali między wydziałami... Dostawialiśmy telefony, że ZOMO już wjeżdża itd. Były też i takie telefony: „Tu mówi pracownik Konsulatu Amerykańskiego. KS ma załatwione wize do USA, gorzej będzie z szeregowymi robotnikami, ale może się uda coś załatwić dla niektórych”. Někano też rodziny strajkujących, w mieszkaniu M. Macha wylamano drzwi.

— Czy między zerwaniem rozmów przez dyr. Pustówkę a przyjazdem grupy mediacyjnej (4.04) trwały jakieś negocjacje?

— Niestety, nie. Dopiero po przyjeździe grupy mediacyjnej z pełnomocnictwami Episkopatu zarysowała się możliwość wszczęcia negocjacji. Ustalono nawet, że dyrekcja o 8 rano da odpowiedź na propozycję rozmów z KS bez warunków wstępnych. To było o 4 po południu, a jak wiemy o 5 nad ranem dnia następnego...

Wiedzieliśmy, że nie można sobie pozwolić na rozluźnienie. ■



©DEMENTI

Strajk studentów Uniwersytetu Wrocławskiego 6-7.05.88

Znaczkí Powstania Warszawskiego



Blok poczty „Solidarności” do nabycia w redakcji 4. DM

Wydarzenia kwietniowo-majowe. Kilka uwag

Mamy więc znów kolejny „polski miesiąc” w dziejach PRL: wydarzenia kwietniowo-majowe. Jest co wspominać, jest co analizować, wyciągać wnioski i rozważać tę nową lekcję historii.

Przypomnijmy sobie jak to się zaczęło. Żeby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość, zatrzymajmy się na dacie 1 lutego 1988 roku — dniu, w którym weszła w życie pierwsza część podwyżki cen. Okazuje się, że luty jest dobrym miesiącem na podwyżki. Poprzednia wielka „regulacja cen” też miała miejsce w lutym (1982), w dwa miesiące po wprowadzeniu stanu wojennego. Tegoroczna nie korzystała wprawdzie z parasola stanu wojennego, ale była starannie przygotowana od strony politycznej i psychologicznej. Od wielu miesięcy władze przekonywały, że podwyżka cen — jeśli nastąpi — będzie częścią operacji zwanej reformą gospodarczą; częścią wprawdzie trudną do przyjęcia, ale niezbędną dla pomyślnej realizacji; zaś sama reforma już za 2-3 lata uwolni nas od wielkości obecnych kłopotów gospodarczych. Podwyżka cen obecnie jest więc ceną przyszłej podwyżki... naszej stopy życiowej. Przygotowanie psychologiczne to listopadowe referendum, w którym ludzie mieli zdecydować sami, o ile chcą sobie podwyższyć ceny.

Poza tym skutki podwyżki usiłowano początkowo zneutralizować dużymi jednorazowymi wypłatami różnych dodatków płacowych — ludzie spostrzegli, że mają nagle dużo pieniędzy. Z dru-

giej strony operacja cenowa została rozłożona na raty, więc pierwsze uderzenie nie ujawniło jeszcze w pełni ostrości całego przedsięwzięcia.

W rezultacie ludność przyjęła początkowo podwyżkę cen detalicznych w skali 45%, skompensowanej tylko w niewielkiej części kwotowym dodatkiem drożyznianym nadzwyczaj spokojnie. Co więcej, prawie sielankowo potraktowało tę ogromną podwyżkę cen kierownictwo „Solidarności” uznane za trzon opozycji wobec rządu — jej rzecznik oświadczył, że „społeczeństwo musi pomóc sobie samo...”, a Wałęsa posunął się jeszcze dalej — pogratulował ludziom pracy w Polsce godnego — jak się wyraził — przyjęcia podwyżek cen, obniżających przecież poziom dochodów realnych o 20%. Jeśli w taki sposób i w takiej sytuacji zachowuje się opozycja, to każdy rząd powinien sobie takiej opozycji życzyć. (W 1933 roku, gdy chleb podrożał o 1 grosz na kilogramie (4%), Komunistyczna Partia Polski wezwała do strajków i do wielkiej fabryki w małym mieście musiała przyjeżdżać wielka policja z dużego miasta, a strajk trwał kilka tygodni.)

Jednak wraz z upływem czasu sytuacja uległa zmianie. Przebieg dalszych wypadków znamy, został zresztą szczegółowo przedstawiony w poprzednim wydaniu *Poglądu*.

Te 16 dni, które wprawdzie nie wstrząsnęły krajem, zmieniły jednak sytuację polityczną w PRL, a przy tym ujawniły kilka zjawisk dotych-

czas niezbyt wyraźnie postrzeganych lub nawet ukrytych. Spróbujmy więc wyciągnąć naukę z tej krótkiej lekcji historii.

Najpierw analizujemy taktykę kierownictwa „Solidarności”. Jak już powiedzieliśmy, na drażniącej podwyżkę cen „Solidarność” zareagowała miękko, wręcz pokojowo. Ze strony kierownictwa Związku nie padło z tej okazji ani razu wezwanie do strajku, choćby krótkotrwałego, symbolicznego, ani do manifestacji protestacyjnej, choćby tylko takiej, która pozwoliłaby ludziom zachować poczucie własnej godności. Zamiast tego Wałęsa obiecał, że wezwie społeczeństwo do protestów (pokojowych, a jakże) w... sierpniu. Z punktu widzenia elementarnych zasad psychologii działań politycznych takie odroczenie akcji na czas odległy od wydarzeń, które są jej przyczyną, jest fatalnym błędem i spowodowałoby — gdyby do tego doszło — zmarnowanie nagromadzonej energii społecznej buntu.

Toteż strajki kwietniowe wybuchły spontanicznie, bez wyraźnego udziału „Solidarności” jako ośrodka przywódczego. Można by nawet odnieść wrażenie, że struktury zakładowe „Solidarności” dały się nieco zaskoczyć rozwojem wydarzeń. Np. strajk w Bydgoszczy, jak się wydaje, pokazał, że inny ośrodek związkowy podjął inicjatywę, dobrze odczytał nastrój załogi i placową ugodowość władz, uderzył i wygrał, choć jeden z dawnych, wybitnych przywódców „Solidarności”, Jan Rulewski próbował indywidualnie włączyć się do negocjacji i upolitycznić postulaty strajkowej.

Między Bydgoszczą a Nową Hutą upłynęło zaledwie kilkanaście godzin, a więc za mało było czasu, by „Solidarność” mogła z Bydgoszczy wyciągnąć wnioski i zmienić taktykę. Wprawdzie lokalni działacze „Solidarności” widząc co się dzieje, włączyli się do komitetu strajkowego, ale kierownictwo Związku zachowało rezerwę. Wałęsa jeszcze w pierwszych dniach strajku nowohuckiego stwierdzał, że nie wzywa bynajmniej do strajków, a zagraniczni dziennikarze chwalili go za umiarkowane wypowiedzi. Ze swej strony Kuroń, czołowy — jak się go nazywa — doradca „Solidarności” tłumaczył, że wrywanie pieniędzy przez poszczególne zakłady nie da, a więc podważał główny postulat strajkujących, zarówno tych w Nowej Hucie jak i jakichkolwiek innych, którzy chcieliby się do nich przyłączyć. Z kolei w dniu 1 maja Wałęsa wezwał robotników do akcji solidarnościowych ze strajkiem w Nowej Hucie, ale nie mówił o strajkach. A gdy stocznicy jednak

strajk zorganizowali — wyraził zdziwienie i prawie rozczarowanie, że jednak do tego doszło.

Całe to zachowanie się kierownictwa „Solidarności” w czasie wydarzeń kwietniowo-majowych: owo zwleknięcie, niezdecydowanie, brak ofensywności — było zgodne z dotychczasową linią postępowania, jakiej trzymają się kierownice struktury Związku od lat. Polega ona na tym, żeby z jednej strony deklarować władzom gotowość porozumienia za cenę przywrócenia legalnego działania Związku, zaś z drugiej pacyfikować nastroje mas pracowniczych, stępiać odruchy protestu, wykazywać ludziom beznadziejność jakiegokolwiek otwartego przeciwstawiania się władzom. W szczególności doradcy Związku ze szczególną gorliwością tępią wszelkie pomysły i idee opozycji politycznej, politycznych form i programów walki z totalitarną władzą komunistyczną, uważając że wystarczy domagać się tylko pluralizmu związkowego.

Jest oczywiste, że druga część taktyki kierownictwa Związku podcinała szanse pierwszej. Im bardziej kierownictwo Związku osłabiało wołę organizowania politycznych form oporu i lekceważyło rewindykacje placowe, tym mniej władze skłaniały się ku zawarciu ze Związkiem jakiegokolwiek porozumienia. Taktyka „Solidarności” była bowiem odwrotnością taktyki komunistów. PZPR sformułowała hasło „linii porozumienia i walki” głosząc chęć porozumienia, a stosując walkę, natomiast „Solidarność” ogłosiła „linię porozumienia bez walki” głosząc porozumienie, a stosując kapitulację i poddanie się. Taktyka komunistów jest zgodna ze starą rzymską zasadą „si vis pacem para bellum” (jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny — przyp. red.) i oczywiście ma na celu pokój i porozumienie na ich warunkach. „Solidarność” natomiast próbuje odwrócić tę zasadę, głosząc „si vis pacem para pacem”, co oczywiście do pokoju i porozumienia nie doprowadzi.

Ta dziwna taktyka była stosowana przez ściśle kierownictwo „Solidarności” (Wałęsa + doradcy) jeszcze przed grudniem 1981 i jest kontynuowana przez cały czas po stanie wojennym wywołując nieporozumienie wewnątrz Związku i zniechęcając wielu wybitnych działaczy terenowych. W klasycznym ujęciu została ona zaprezentowana w ostatnio szeroko reklamowanym artykule Kuronia „Krajobraz po bitwie”, z którego wynikało, że heroiczny okres walki „Solidarności” i ludzi pracy w Polsce jest już zakończony i zamknięty i że teraz pozostaje tylko praca ograni-



1.05.88. Pomieszczenie Komitetu Strajkowego na wydziale Walcowni Zgniatacza. Od lewej: Jan Ciesielski, Stanisław Handzlik

czona w legalnych formach, na które łaskawie zezwolą (być może) władze.

Oczywiście taka taktyka prowadzi do ideowego i politycznego rozbrojenia i do głębszej dezorientacji społeczeństwa, które ciągle chce jeszcze widzieć w „Solidarności” bohaterką i skuteczną formę oporu społecznego przeciw totalitarnej władzy.

Aby podtrzymać tę wiarę w „Solidarność” i zachować wpływ ideowo-polityczny na społeczeństwo, kierownictwo Związku od lat już wysuwa hasło, które można nazwać programem zastępczym. Jest to hasło reformy, początkowo reformy gospodarczej, a ostatnio również reformy politycznej. Rzecz jasna, zasadnicze zmiany polityczne i gospodarcze są absolutnie konieczne, jeżeli kraj ma uniknąć katastrofy, ale po co używać eufemizmu reforma? Chodzi o zmianę ustroju społecznego i systemu politycznego. Jednak hasło „reforma” jest wygodne dlatego, że z jednej strony akceptuje je władza, która od lat już głosi, że sama wprowadza i pogłębia reformę, a z drugiej pełni ono rolę alibi, które ma wykazać, że Związek jest jednak radykalny i pryncypialny, choć nie wzywa do strajków i manifestacji. Jednak słabość hasła „reforma”, jako głównego punktu

programu Związku polega na tym, że hasło to jest społecznie mało nośne. Nie dlatego, żeby ludzie nie chcieli zmian, ale dlatego, że samo pojęcie reformy i choćby elementarny jej wykład jest mało zrozumiały nawet dla specjalistów, a coś dopiero mówić o szerokich warstwach społeczeństwa. Jest wprost żenujące, w jaki sposób — prawie infantylnie — mówi np. o reformie Wałęsa, a więc człowiek, który ten program powinien wyrazić celnie, precyzyjnie, a przede wszystkim przekonywająco. Nie lepiej zresztą jest i po stronie rządowej, gdy o reformie mówi Jaruzelski. Dyplomowany generał i dyplomowany elektryk nie mogą wyjść poza banalne ogólniki, z których najbardziej konkretnym jest stwierdzenie, że „musimy iść do przodu” (vide: przemówienie Jaruzelskiego na Kongresie Stronnictwa Ludowego w marcu '88).

Poza tym program reformy — nawet najrzetelniej przeprowadzonej — mówi otwarcie o negatywnych konsekwencjach, które odbijają się na społeczeństwie, przynajmniej w początkowym okresie funkcjonowania nowego systemu. A przecież rząd każdy kolejny etap reformy zaczyna od posunięć negatywnych, to znaczy od podwyżek cen. Z drugiej strony nie sposób sprawdzić realizacji programu. Rząd twierdzi, że od lat wprowadza re-

CEMENTI

formę, pogłębia ją i rozszerza, wydaje w tej sprawie dziesiątki ustaw; opozycja zaś uważa, że są to zmiany powierzchowne i pozorne, i że właściwie żadnej reformy nie ma.

Dlatego też program reformy gospodarczej nie nadaje się do mobilizacji mas, nie jest jednoznaczny. Ludzie muszą otrzymać program prosty, który przyniesie im obietnice szybkiej, doraźnej poprawy w ich codziennych trudnościach zawodowych i życiowych; który ich zapewni, że nie za 2-3 lata, ale już jutro, w najbliższy wtorek, w przyszłym miesiącu w konkretnych sprawach, w zakładzie, w urzędzie, w sklepie, w szpitalu, w szkole nastąpią zmiany na lepsze, będzie więcej pieniędzy, towarów, wolności i sprawiedliwości. Dlatego też strajki, które są zawsze najwyższą mobilizacją ludzi w fabrykach i wymagają olbrzymiej determinacji i wytrwałości, odbywają się zawsze pod takimi konkretnymi, zrozumiałymi hasłami i wysuwają żądania, których spełnienie można zawsze sprawdzić. Takim właśnie żądaniem jest domaganie się podwyżki płac i w tej sytuacji głoszenie — jak to czyni Kuroń — że „podwyżki płac nie dadzą” stanowi po prostu dywersję wobec rewindykacji robotniczych i całego ruchu protestu społecznego. Podważanie rewindykacji płacowych ze strony doradców „Solidarności” dowodzi, że komuniści zdołali wmówić pewnej części opinii publicznej, iż struktura produkcji w kraju nie może ulec zmianie, więc dóbr konsumpcyjnych i usług na rynku nie przybędzie.

Tymczasem jest to po prostu nieprawda. Można w krótkim czasie tak zmienić politykę gospodarczą, przestawić produkcję i handel zagraniczny w taki sposób, że podwyższone płace znajdą pokrycie towarowe. O to właśnie chodzi, żeby zmusić rząd do takiej zmiany polityki gospodarczej, do zmiany struktury gospodarki. Ale kierownictwo „Solidarności” uparcie nie dostrzega rzucającego się w oczy faktu, że rynek jest ogołocony z towarów mimo drastycznej podwyżki cen, a więc że drenaż gospodarki polskiej na rzecz zbrojeń i serwitutów zagranicznych trwa nadal. A to właśnie jest przyczyną, że „podwyżki płac nie dadzą”.

Spójrzmy teraz na działania strajkujących. Obecnie w komentarzach podkreśla się, że w strajku brali udział głównie ludzie młodzi. Ważniejsze jednak jest to, że byli to ludzie nowi, z poza dotychczasowych struktur „Solidarności”. Oni tworzyli komitety strajkowe, mobilizowali i organizowali robotników, formułowali żądania,

prowadzili negocjacje z dyrekcjami zakładów. Podstawowym punktem w żądaniach strajkujących były oczywiście postulaty płacowe wynikające z przeprowadzonych podwyżek cen. Dołączano do nich żądania poprawy warunków pracy. Ale obok spraw ekonomicznych i socjalnych wysuwano również żądania polityczne: lokalne — przywrócenie do pracy usuniętych pracowników, głównie działaczy „Solidarności” oraz ogólnie — przywrócenie tzw. pluralizmu związkowego, czyli ponowne zalegalizowanie NSZZ „Solidarność”. Żądanie przywrócenia legalnego działania „Solidarności” podniosło rangę strajków kwietniowo-majowych i świadczyło o tym, że ludzie pracy w Polsce w 1988 r. to ludzie o dużej dojrzałości politycznej. Jako dodatkowe żądanie strajkujących w Nowej Hucie wysunięto postulat podniesienia płac dla wszystkich pracujących, a w szczególności dla zatrudnionych w służbie zdrowia i w oświacie. Tym postulatem Huta postawiła się w roli rzecznika interesów wszystkich ludzi pracy w Polsce.

W każdym sporze strajkowym najważniejsza jest determinacja stron. Wśród strajkujących sytuacja w tym względzie była zróżnicowana. Oba wielkie zakłady: Huta i Stocznia wykazywały dużą determinację i stałą wolę podtrzymania strajku. Jednak w wielu innych zakładach strajki zapowiedziane jako strajki solidarnościowe z Hutą i Stocznia albo nie wyszły poza fazę zapowiedzi i pogotowia strajkowego, albo kończyły się po kilkunastu godzinach lub paru dniach. Zapowiedziany na 30. kwietnia strajk w Krakowskich Zakładach Komunikacyjnych w ogóle się nie rozpoczął. W okresie od 25 kwietnia do 10 maja fala strajkowa w żadnym momencie nie przekroczyła skali pojedynczych ośrodków. Spokój panował na Górnym Śląsku i w Zagłębiu, milczała Łódź, gdzie poziom płac jest szczególnie niski, pracowal bez przestojów Poznań, nie ruszył się właściwie żaden z wielkich zakładów warszawskich, strajku w Stoczni nie poparło Wybrzeże, jak to miało miejsce w 1980 r. Strajkujący w Hucie i Stoczni twardo trzymali się wszystkich swoich postulatów strajkowych i nie dali się kupić podwyżką płac. Natomiast w innych fabrykach strajkujący szybko rezygnowali z żądań politycznych lub półpolitycznych (przywrócenie ludzi do pracy) i zgoda (lub obietnica zgody) na podwyżkę płac kończyły strajk najwyżej po paru dniach, lokalizując go przy tym od początku w pojedynczych oddziałach fabryk czy kopalni. Rzeczywisty front walki poli-

tycznej ograniczył się do dwóch zakładów: Huty i Stoczni.

Jak w tej walce zachowały się władze? Zgodnie z koncepcją reformy, w usamodzielnionych przedsiębiorstwach ciężar negocjacji ze strajkującymi i ewentualne odparcie ich żądań powinien spoczywać na dyrekcjach. Wtedy konflikty placowe zostałyby sprowadzone do poziomu przedsiębiorstw, nie angażowałyby władz państwowych i straciłyby swe ostrze polityczne. Tak się to początkowo odbywało i postawiło dyrekcje fabryk w nowej sytuacji: w sytuacji przeciwnika klasowego robotników, przeciwnika, który stosował klasyczne metody kapitalistyczne (groźba lockoutu w Stoczni) i używał też innych, podstępnych metod kapitalizmowi nieznanym. (Np. dyrektor Nowej Huty rozpoczynał rozmowy ze strajkującymi późnym wieczorem i kończył je — bez porozumienia — nad ranem dając otwarcie do zrozumienia ludzi z komitetu strajkowego, co zresztą okazało się skuteczne). W Hucie i Stoczni dyrekcje okazały się za niskim szczeblem do podejmowania decyzji przekraczających żądania placowe, toteż strajkujący w Hucie wezwali na rozmowy przedstawiciela rządu odpowiedzialnego za reformę, wicepremiera Sadowskiego. Zdawało się więc, że może powtórzyć

się schemat z sierpnia 1980 r. Jednak Sadowski, podręcznikowy profesor ekonomii, ale papierowy wicepremier ani nie chciał, ani nie nadawał się do roli, w jakiej wówczas wystąpił Jagielski i wołał udzielić drętwego wywiadu BBC niż rozmawiać z robotnikami.

Co charakterystyczne, w czasie gorących dni kwietnia i maja, gdy nie wiadomo było jaką wysokość osiągnie fala strajków, nie zabrał głosu żaden z przedstawicieli władz partyjnych i państwowych. Jaruzelski odczytał tylko szablonowe przemówienie 1-majowe nie nawiązując bezpośrednio ani jednym słowem do strajków, zniknął z życia publicznego zawsze mający tyle do powiedzenia Rakowski. Głos zabrało tylko ciało zbiorowe i traktowane prawie anonimowo — Biuro Polityczne — zagrzewając w swoich uchwałach rząd do położenia kresu wicherzycielskim niepokojom. Taka wstępna faza milczenia i wstrzymywania się od personalnych wystąpień, nie jest taktyką nową. Władze stosowały ją zawsze w sytuacjach niepewnych i wychodziły do ludzi z obłudnymi przemówieniami i apelami dopiero wtedy, gdy jako tako zapanowały nad wydarzeniami. W fazie wcześniejszej monopol na kontakt ze społeczeństwem posiadają zomowcy w wozach pancernych.



1.05.88. Msza święta celebrowana przez ks. Kazimierza Jancarza na Wydziale Karoseryjnym w KM HiL

Taktyka władz: spełnianie żądań płacowych i odrzucanie żądań personalno-politycznych była powtórzeniem metody stosowanej we wszystkich poprzednich konfrontacjach i miała na celu odpolitycznienie strajków i oddzielenie załóg od aktywu związkowego. Jednak w stosunku do Huty i Stoczni metoda ta nie działała: strajk trwał i przedłużał się. W miarę jego trwania władze były pod rosnącą presją sytuacji i zastanawiały się jakiego użyć rozwiązania. Oczywiście sytuacja strajkowa i próba sił z robotnikami i „Solidarnością” musiała wywołać w ekipie rządowej wewnętrzne spory i różnice co do dalszego postępowania. Niektórzy skłonni są widzieć tam podział na gołębie i jastrzębie i pojednawcze gesty przypisać tym pierwszym, a demonstracje siły tym drugim. Podział ten jednak był iluzoryczny a spory dotyczyły metody, a nie zasady.

W obliczu zagrożenia, jakie sytuacja mogła nieść realnemu socjalizmowi, wszyscy w ekipie rządzącej stawali się jastrzębiami i nawet bezpartyjni jakoby wicepremier Sadowski pokazywał pazury w wywiadzie radiowym. Pytanie więc nie polegało na tym czy uderzyć, ale jak i kiedy, aby to było skuteczne. Z jednej strony władze nie chciały powtórzyć twardego „rozwiązania” z grudnia 1970 r., gdyż w zmienionej sytuacji politycznej pociągnęłyby to za sobą ostre konsekwencje i koszty polityczne takiego działania byłyby olbrzymie. Z drugiej strony władze nie chciały powtórzyć rozwiązania negocjacyjnego z sierpnia 1980 r., gdyż wówczas zostały wciągnięte w tzw. umowy społeczne, które trzeba było przeciąć stanem wojennym. Wybrały więc rozwiązanie siłowe „miękkie”. Najpierw stosowano groźby, zastraszenia, zatrzymania i demonstracje siły w postaci zgromadzenia wokół Huty i Stoczni zmotoryzowanych oddziałów milicji. Te środki zastraszenia i szantażu (przetrzymywanie, wzięcie głodem) wymagały jednak czasu, a w stosunku do Huty władze nie mogły czekać, ponieważ jest ona dostawcą wyrobów walcowanych dla dziesiątków zakładów zbrojeniowych i każdy dzień strajku piętrzył w Hucie trudności produkcyjne. Wobec strajku w Hucie zastosowano drugą fazę rozwiązania „miękkiego”: rozbicie strajku siłą. Palki i gaz łzawiący stanowią więc kompromis między rozmowami a ostrym strzelaniem.

Warto zanalizować rolę Kościoła w tych wydarzeniach. Jest oczywiste, że każde rozwiązanie sporów społecznych i politycznych poza ostrym strzelaniem i więzieniami wymaga, aby w prze-

strzeni społecznej między władzą, a opozycyjnymi grupami ludności istniała szara strefa pośredników — nazwijmy ich umownie realistami politycznymi — wg mnie oportunistów i kolaborantów, cieszących się umiarkowanym zaufaniem obu stron.

Władze PRL szczególnie w okresach dla nich trudnych, podtrzymywały i rozbudowywały te strefy. Dawniej ich rolę pełniły „stronnictwa” ZSL i SD, w szerszej skali był to Front Jedności Narodu, po stanie wojennym kolejna atrapa: PRON. Kościół — z powodów ideologicznych traktowany był jako siła opozycyjna, ale niektóre środowiska afiliowane do Kościoła, lub tylko do katolicyzmu ochnocho spełniały rolę szarej strefy. W ostatnich wydarzeniach — niespodziewanie chyba dla siebie samej — roli tej podjęła się hierarchia kościelna. Stało się to szczególnie wyraźne w Gdańsku.

Oczywiście szara strefa służyła zawsze głównie komunistom, była przez nich sterowana i pomagała im w utrwalaniu ich władzy. Hierarchia kościelna — z pewnością wbrew swej woli — dała się wmanipulować i pomogła władzom przez to, że w krótkich, ale decydujących chwilach strajków stała się negocjatorem zastępczym. Opinia publiczna, zwłaszcza na Zachodzie — gdyż z tą się władze liczyły — zarzucała rządowi PRL, że nie chce rozmawiać ze strajkującymi. Rząd nie chciał rozmawiać z komitetami strajkowymi i ze stojącą za nimi „Solidarnością”, gdyż rozmawiać oznacza zawsze uznać podmiotowość drugiej strony. Znajdując zastępczego negocjatora w ludziach Kościoła, a nawet w jego strukturach hierarchicznych (biskup gdański), władze uwolniły się od zarzutu, że nie chcą rozmawiać, a jednocześnie mogły pominąć strajkujących, czyli tych, którzy byli rzeczywistą stroną w sporze. Dzięki temu władzom udało się szczególnie korzystnie rozwiązać, tzn. zlikwidować strajk w Stoczni, gdzie wystarczyła pierwsza faza miękkiej metody siłowej: ludzie wyszli z zakładu, przy czym władza nie była zmuszona do stosowania pałek i gazów — pełne zwycięstwo odniosła zręczna taktyka reżimu w posłużeniu się ludźmi Kościoła.

W inny sposób interwencja Episkopatu okazała się pomocna dla władz przy rozbiciu strajku w Hucie. Pośrednictwo wysłanników kościelnych w rozmowach między komitetem strajkowym a dyrekcją uspiło czujność robotników, pozwoliło stosunkowo łatwo opanować milicji teren Huty kosztem relatywnie niewielkiej liczby pobitych i

poturbowanych i zaarrestować komitet strajkowy. Wykorzystując w ten sposób ludzi Kościoła władze jednocześnie celowo go skompromitowały w oczach społeczeństwa, udowadniając, że parasol kościelny nie chroni bynajmniej przed milicyjną pałką i aresztowaniem.

Przełamując strajk w Hucie przy pomocy siły, chociaż „miękkiej”, władze rozważyły dwie okoliczności: brak masowego poparcia w kraju w dziewiątym dniu strajku oraz słabą reakcję Zachodu, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. W opinii kół miarodajnych w USA w tym momencie (koniec kwietnia) wystąpiła obawa, że zaostrzenie sytuacji politycznej w Polsce, osiągnięcie przez protest robotniczy skali zagrażającej bezpośrednio władzy komunistycznej, zaszkodzi procesowi przemian w Związku Sowieckim, osłabi Gorbaczowa, skompromituje „pieriestrojkę” i „glasnost”, wzmocni tam siły konserwatywne, a może nawet — broń Boże — wstrzyma żądane wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu. Doszło nawet do tego, że prezydent Reagan, ten największy w ocenie Polaków współczesny mąż stanu, uważał za stosowne wyrazić nadzieję, że te „wydarzenia (w Polsce) nie zaszkodzą atmosferze spotkania z Gorbaczowem w końcu maja”. Brzmiało to tak, jakby przeproszał Gorbaczowa za to, co się w Polsce dzieje...

Stanowisko Zachodu uległo pewnej zmianie po ataku milicji na Nową Hutę. Wtedy (5 maja) z-ca sekretarza Stanu USA powiedział, że takie postępowanie radykalnie zmniejsza szanse PRL na pomoc finansową ze strony Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Amerykańska interwencja okazała się skuteczna — w Stoczni nie użyto pałek i gazów. Można sądzić, że gdyby wypowiedź Whiteheada nastąpiła 3 maja, również i w Hucie władze nie zdobyłyby się na atak, a ponieważ — inaczej niż w Stoczni — nie mogły czekać, podjęłyby negocjacje ze strajkującymi. A wtedy ruszyłaby lawina poparcia i rewindykacji w całej Polsce i wynik tego wiosennego starcia byłby inny.

Wróćmy teraz do pytania, dlaczego brak było silnego poparcia w kraju dla tego robotniczego protestu? Odpowiedzi nie należy szukać w tym, że „społeczeństwo jest zmęczone, że panuje uczucie beznadziejności, apatii” itd. Społeczeństwo, naród to nie osoby, pojedynczy ludzie, którzy mogą być zmęczeni, osłabieni, okresowo zniechęceni! Społeczeństwo składa się z różnych generacji. Jest ono stale zasilane przez nowe generacje, no-

we roczniki, które nie są zmęczone i zniechęcone, a przeciwnie: wchodzą do życia społecznego z nowymi siłami, potrzebą czynu i zaznaczeniem swej obecności i to jest najzupełniej naturalne.

A więc dlaczego bierność? Przyczyna leży — moim zdaniem — w braku odpowiedniego przywództwa politycznego i w braku programu, który może być dla ludzi zrozumiały, konkretny, zawierać w sobie wartości, na które ludzie są szczególnie wrażliwi i zapowiadać ich szybką realizację. Tylko taki program może przelamać bierność. W sierpniu 1980 r. były nim wolne związki zawodowe, przekształcone później w ideę „Solidarności”. Dziś, gdy jest jasne, że współistnienie, a cóż dopiero współżycie wolnych związków zawodowych z władzą komunistyczną jest niemożliwe, program protestu i oporu społecznego musi iść dalej — musi to być program walki z władzą komunistyczną i z jej bezczelną uzurpacją. Z ową przewodnią rolą PZPR. Samo żądanie pluralizmu związkowego, to dziś za mało.

Natomiast reforma gospodarcza nie może być takim programem. W swoim hasłowym skrócie postulat reformy jest to eufemizm, który ukrywa to, co jest ważne, ale przez to osłabia to, co mogłoby być w nim silne. W dzień po zakończeniu strajku w Stoczni Gdańskiej rząd pokazał jak rozumie program reformy: kazał sobie udzielić w Sejmie specjalnych pełnomocnictw dla nakazowego kierowania reformą. Dyktatorskie pełnomocnictwa rządu dla zwiększenia samodzielności przedsiębiorstw (co jest najważniejszym elementem reformy) to środek zupełnie sprzeczny z celem, a komedia z uchwalaniem pełnomocnictw dla dyktatorskiego przeciw rządu odgrywana jest po to, by uzasadnić kolejne pogrzebanie kolejnej próby reformy.

Obok postulatów reformy Wałęsa i jego doradcy głoszą gotowość do porozumienia z władzą. Dotychczas rząd odrzucał z pogardą tę ofertę. Ale przypuśćmy na chwilę, że władza podejmie tę propozycję, zacznie rozmowy, zawrze porozumienie z Wałęsą i jego grupą, włączy w to jeszcze jakieś KIK-i i inne kluby dyskusyjne. Będzie to szatańska pułapka na opozycję wszelkiej proweniencji, gdyż uwikła ją w kolaborację bez warunku istotnych zmian w ustroju politycznym. Każda współpraca z komunistami to dla opozycji śmierć polityczna. Trzeba przecież zdać sobie sprawę z tego, że komuniści mają cechy mitycznego króla Midasa, tylko że *à rebours*. Midas, czego się dotknął, zamieniało się w złoto, czerwoni czego się

dotkną, zamienia się, ale nie w złoto... Falszywa idea porozumienia paraliżuje kierowniczą grupę „Solidarności” do tego stopnia, że gdy przychodzi godzina politycznego wyboru i można by przywrócić swą wiarygodność w oczach społeczeństwa, grupa ta znów ogłasza kolaboracyjne deklaracje. Zbliżają się tzw. „wybory” do rad narodowych. Odbędą się one na podstawie niedemokratycznej ordynacji wyborczej, która nie daje społeczeństwu najmniejszych szans na wybór swoich autentycznych przedstawicieli. Co w tej sytuacji można zrobić? Minimum, to wezwać do bojkotu owych wyborów. Całe szczęście, że w ostatnim dniu maja kierownictwo NSZZ „Solidarność” wezwało jednak do bojkotu wyborów do tzw. rad narodowych, podobnie jak „Solidarność Wiejska” po niedawnym ukonstytuowaniu się jej władz.

Co będzie dalej? Niektórzy widzą tu analogię między wydarzeniami kwietniowo-majowymi z 1988 r., a czerwcem 1976. Jak w każdym porównaniu, tak i tu są podobieństwa i różnice. Różnica polega na tym, że po strajkach kwietniowo-majowych, rząd nie wycofał podwyżki cen, jak to miało miejsce w czerwcu 1976 r. Natomiast podobieństwo leży w tym, że po strajkach w czerwcu '76 i kwietniu-maju '88, ekipa rządowa nie zmieniła się. Sporóbujmy jednak na podstawie tego porównania ekstrapolować wydarzenia. Po czerwcu '76 ekipa rządowa nie zmieniła się, ale tamte strajki przygotowały grunt do protestu w sierpniu '80, po którym rządy Gierka — Jaroszewicza upadły...

Również obecnie 16 dni z przelomu kwietnia-maja mogą być początkiem nowej walki, która doprowadzi do zmiany. I niekoniecznie trzeba będzie na to czekać aż cztery lata.

Opozycja, a z nią naród polski przegrały kolejną konfrontację z władzą komunistyczną. Przegrały bitwę, ale nie przegrały walki. Porażka ta jest tylko chwilowym zwycięstwem władzy. Teraz, gdy opada fala mobilizacji sił zomowskich, esbeckich i wojskowych i gdy przyjdzie stawić czoła codziennej rzeczywistości gospodarczej, okaże się, że na pobojuwisku leżą gruzy nie tylko z porozbijanych bram Huty, ale gruzy ze społecznej stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa, gruzy z równowagi rynkowej, gruzy nawet z tej biurokratycznej reformy Sadowskiego, gruzy z oczekiwanej pomocy zagranicznej, gruzy z tych atrap „porozumienia” narodowego, które budował Jaruzelski, PRON-u, czy Rady Konsultacyjnej, posypało się nawet kilka cegieł z wątego pomostu stosunków między państwem a Kościołem.

Komuniści utrzymali władzę przy pomocy pałek milicyjnych, ale teraz muszą na tych pałkach siedzieć. A społeczeństwo zapadnie głębiej, wytrzyma, przeżyje i po pewnym czasie znów poderwie się do walki. Naród może sto razy przegrywać i zawsze będzie zdolny do nowej próby. Ale gdy raz wygra, władza komunistyczna już się nie podniesie i zniknie nieodwołalnie. Zaś komuniści słabną i wydaje się, że tego procesu nie zatrzyma żadna „pierciostroika” czy reforma. ■

Pogląd

sprzedajemy także: **AUSTRIA** — Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; Polnische Buchhandlung — „Dwójka”, Margaretenstr. 2-4, 1040 Wien; **FRANCJA** — Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, 75004 Paris; **RFN** — Stodiek's Buchhandlung, Richard-Wagner-Str. 39, 1000 Berlin 10; **ARKADY** Kunst und Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; Osteuropäische Buchhandlung **WAWEL**, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1; Buchhandlung **DIALOG**, Gutleutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; **USA** — **POLONIA** Books Store & Publ. 2886 Milwauke Ave., Chicago Ill. 60618; Księgarnia „Nowego Dziennika”, 21 West Bloov Street, New York 10018; **WIELKA BRYTANIA** — Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5.

Rozmowa z Kornelem Morawieckim przewodniczącym „Solidarności Walczącej”

KORNEL MORAWIECKI, lat 47, doktor fizyki, żonaty, ojciec czworga dzieci. Od roku 1979 wraz z Janem Waszkiewiczem redagował „Biuletyn Dolnośląski”, pismo Dolnośląskiego Klubu Samoobrony Społecznej. W latach 1980-81 był członkiem „Solidarności” na Politechnice Wrocławskiej i delegatem na Walne Zebranie Wyborcze Regionu Dolnośląskiego oraz na I. Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. 13 grudnia uniknął internowania i natychmiast wyłączył się do działalności Regionalnego Komitetu Strajkowego. W czerwcu 1982 r. rozstał się z RKS-em i powołał do życia „Solidarność Walczącą”. Był najdłużej ukrywającym się działaczem podziemia firmującym swoją działalność własnym nazwiskiem. Aresztowany został 9 listopada ubiegłego roku we Wrocławiu, skąd szybko przewieziono go do aresztu śledczego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Władze wysunęły przeciw niemu oskarżenie o przemyt m.in. „materiałów i urządzeń o charakterze terrorystycznym”.

Wskutek interwencji Kościoła Kornelowi Morawieckiemu i jego koledze Andrzejowi Kołodziejowi, przewodniczącemu gdańskiego oddziału „Solidarności Walczącej”, zaproponowano czasowe zwolnienie z więzienia, by mogli poddać się leczeniu za granicą. Początkowo obaj wdźrągali się przed opuszczeniem kraju, jednakże po przedstawieniu im ekspertyz wskazujących na poważne zagrożenie zdrowia Andrzeja Kołodzieja i zagwarantowaniu możliwości powrotu do Polski w każdej chwili, zdecydowali się polecieć do Rzymu. Było to 30 kwietnia wieczorem. 3 maja Kornel Morawiecki podjął pierwszą, nieudaną próbę powrotu: samolotem LOT-u z Rzymu do Krakowa. Kiedy — mimo wcześniejszej rezerwacji — okazało się, że na pokładzie tego samolotu nie ma dla niego miejsca, udał się jeszcze tego samego dnia do Frankfurtu, by nazajutrz polecieć stamtąd do Warszawy. 4 maja w południe samolot Lufthansy wylądował na Okęcu. Kornel Morawiecki został natychmiast aresztowany. Po kilku godzinach dwóch funkcjonariuszy SB umieściło go przemocą w samolocie PLL LOT do Wiednia. Dopiero na lotnisku w Wiedniu oddano mu paszport. Tym razem był to dokument upoważniający tylko do jednokrotnego przekroczenia granicy polskiej. Przy sobie miał tylko małą podręczną torbę i wiązanek biało-czerwonych goździków...

Aureliusz M. Pędziwoł: *Zacznijmy może od tej wiosny, która miała być nasza. Wtedy właśnie, gdzieś pod koniec maja '82 po raz pierwszy pojawiła się nazwa „Solidarności Walczącej”. Jak do tego doszło? Co spowodowało, że ramy RKS-u przestały Ci wystarczać?*

Kornel Morawiecki: Takim zwrotnym punktem była chyba reakcja władz na oświadczenie Prymasowskiej Rady Społecznej. To był bardzo umiarkowany dokument, ale jednym z jego punktów była kwestia istnienia „Solidarności”. Może w trochę ograniczonej, trochę zmienionej postaci, ale „Solidarności”. Reakcja władz na ten dokument była negatywna. Wtedy wydawało nam się — nam, to znaczy grupie osób, która współpracowała ze mną w RKS-ie — że dalsze próby negocjowania z władzą nie przyniosą żadnego rezultatu i trzeba raczej odpowiednio mocno nacisnąć na te władze, trzeba te ustępstwa wywalczyć. Stąd się właściwie wzięła ta nazwa „Solidarność Walcząca”.

Bardziej bezpośrednim powodem mojego odejścia z RKS-u były kontrowersje między mną a Władkiem Frasyniukiem — kontrowersje dotyczące na przykład manifestacji pierwszomajowej. Uważałem, że RKS powinien wczuć do obchodów tego dnia i ciężko mi przyszło nie umieścić takiego wezwania w piśmie, które wówczas prowadziłem — (*Z Dnia Na Dzień RKS-u*). I Wrocław był jednym z niewielu miast, w którym manifestacja pierwszomajowa nie odbyła się.

Były też inne problemy, na przykład reprezentacji krajowej, która powstała 22 kwietnia (to była oczywiście TKK) — moim zdaniem trochę za późno. Chodziło też o taktykę: czy manifestacje uliczne mają sens, czy też nie? Jednym z pierwszych wezwań „Solidarności Walczącej” było wezwanie do manifestacji 13 czerwca we Wrocławiu. To była taka słynna demonstracja na placu Pereca, który od tego czasu nazywany jest gaz-placem.

— **Jakie cele postawiła sobie „Solidarność Walcząca”? Czy się one różniły od celów NSZZ „Solidarność”?**

— Przede wszystkim od początku naszym celem jest niepodległość. Poza tym chodziło o ponowną legalizację „Solidarności”, co wbrew pozorom nie zawsze było celem naszego Związku.

W tym czasie ukazało się kilka tekstów programowych, z których najbardziej znanym był manifest z grudnia '82. Metody walki nie różniły się specjalnie od stosowanych przez Związek. Chodziło może o podkreślenie większej determinacji,

cele były zaś wyraźniej stawiane. Mówiliśmy otwarcie, że dążymy do wolnej, niepodległej, demokratycznej Rzeczypospolitej Solidarnej; że chcemy tę władzę pozbawić władzy; że nie chcemy dogadywania się z komunistami na temat samego istnienia związku „Solidarność”; że w ogóle nie chcemy komunizmu.

Oczywiście można uważać, że są to tylko slogany.

— **Głos „Solidarności Walczącej” docierający do ludzi, to przede wszystkim czasopismo. W jakim stopniu odzwierciedlają one to, co można by nazwać linią działania organizacji, w jakim zaś należy traktować zawarte w nich treści jako prywatne poglądy autorów?**

— Poszczególne wypowiedzi na łamach tych pism są prywatnymi poglądami ich autorów. Wydaje mi się jednak, iż do „Solidarności Walczącej” przychodzą tacy ludzie, którzy mają poglądy zgodne z jej programem, z tym, co ona uważa za swe ideały, co głosi, co zamierza. Mogą się oczywiście pojawiać między nimi duże różnice zdań — między całymi redakcjami nawet, ale łącznie odzwierciedla to jakość ducha tej struktury.

Chciałbym tu podkreślić, iż nasze redakcje cieszą się dosyć dużą autonomią i nie istnieje nic w rodzaju cenzury prewencyjnej. Co najwyżej mogą się zdarzyć uwagi krytyczne już po opublikowaniu, które kierownictwo „Solidarności Walczącej” ma prawo, a czasami nawet obowiązek przesyłać redakcjom. Poza tym naturalnie mamy wpływ na kształtowanie zespołów redakcyjnych. To są ludzie, którzy z jednej strony godzą się z tym, co jest do tej pory wypracowane w myśli „Solidarności Walczącej”, z drugiej zaś myśl tę dalej rozwijają.

— **A czy bywały wypadki usunięcia kogoś z zespołu redakcyjnego, gdyż jego poglądy nie odpowiadały kierownictwu organizacji?**

— Nie, nie znam takiego przypadku. Zdarzało się oczywiście, że ludzie od nas odchodzili sami, nikt jednak nie został przez nas odsunięty. Wbrew temu, co się o nas sądzi, każdy, kto chce z nami współpracować, jest mile widziany.

— **Czy nie zdarzyły się wypadki wykrycia, że organizacja jest infiltrowana, na przykład przez SB?**

— Wysoko nie. W redakcjach, czy w kręgach kierowniczych nie takiego jeszcze się nie zdarzyło. Nie zdarzyło nam się wykryć ale i — jak myślę — nie zdarzyło nam się infiltrowanie. Trzeba oczywiście powiedzieć o fałszywkach, które robi SB. To



Od prawej: Kornel Morawiecki i Aureliusz M. Pędziwoł

© by Proti Zafuski

jest jedna z metod ich walki. Mieliśmy do tego duże „szczęście”. Tych fałszywek — ulotek i samego pisma — było już sporo. Ale to się dzieje poza naszą strukturą. No, oczywiście gdzieś na jej peryferiach, nasze kanały kolportażu dochodzą i do nich. To jest jasne, tego nie ukrywamy.

— **To nawet dobrze, że dochodzą.**

— No tak, oczywiście. To jest inna sprawa. Prowadzimy również prenumeratę naszych pism. Dla tych, którzy nam za to płacą, ale i dla SB-ków.

— **Czyli oni nie płacą?**

— Tak, tak, nie płacą. Poza tym wygląda to trochę inaczej, bo te pisma wysyłamy po prostu na ich adresy.

— **Program „Solidarności Walczącej” przewiduje trójfazowy, czy może raczej trójetapowy rozwój sytuacji. Jak więc należy ów scenariusz wydarzeń rozumieć: jako scenariusz właśnie, czy raczej jako sugestie, wskazanie ważnych kierunków działania?**

— To są sugestie. Jednakże mogę już teraz powiedzieć, że wydarzenia rozwijają się niejako według tego, co nasz program przewidywał. Niedługo minie rok od jego ogłoszenia i jesteśmy już świadkami działania podjętego przez władze odpowiadającego mniej więcej fazie A naszego programu: liberalizacja gospodarki, drugi etap refor-

my, zgoda na zakładanie stowarzyszeń społecznych. Oczywiście nasz program nie przewidywał terminów wybuchów społecznych, mówiliśmy jednak, że takie zmiany nastąpią do połowy lat dziewięćdziesiątych, pełna zaś demokratyzacja, upodmiotowienie społeczeństwa do końca tego stulecia. A może nastąpi to szybciej?

— **W ten sposób dotarliśmy do pojęcia nazywanego w programie „solidaryzm”. Jest to nazwa nowego i lepszego ustroju...**

— Jest to może nie do końca wyartykułowana projekcja. W moim odczuciu komunizm nie jest dopasowany do tego, co oczekuje świat w najbliższych latach i dziesięcioleciach: do komputeryzacji, automatyzacji, do tych wszystkich wielkich zdobyczy naszej zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji. Komunizm jest do tego niedostosowany i albo ulegnie zmianie, albo trzeba będzie go zmienić. Problem tylko: na co? Czy ma to być wrót do stanu, jaki był przedtem, czy też warto szukać nowych dróg? Jedno jest przy tym ważne: Nowe powinno wyrastać z tego co dobre i dobrze sprawdzone w Starym. Za takie wartości uważam właśnie wolność i solidarność...

— **Dlaczego jednak nie — po prostu — sterować w kierunku ustroju może nie najlepszego, ale właśnie dobrego i dobrze sprawdzonego: demo-**

kracji w stylu zachodnim? Dlaczego powoływać nowe słowo, nową wizję, która, kto wie, czy nie jest utopią?

— Uważam, że zawsze powinno się chcieć czegoś lepszego. W naszym programie piszemy jednak wyraźnie, że ten ustrój, który proponujemy, „jest w gruncie rzeczy modyfikacją demokratycznego kapitalizmu. Uwzględnia on doświadczenia i fiasko dziesięcioleci kapitalizmu oraz społeczne uwarunkowania ukształtowane przez te dziesięciolecia”. Ponieważ jesteśmy za demokracją, za rynkiem, w jakimś sensie te podstawowe instytucje obecne w świecie zachodnim akceptujemy i chcemy je utrzymać. Zapewne jest w tym pewien element utopijny, bo Nowe jest zawsze nieoczekiwane i nie musi się udać. Ale taka właśnie wizja daje większą podniecie do jej realizacji.

— **Cofnijmy się nieco w czasie. Kiedy Zjazd „Solidarności” uchwalił posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej, spotkało się ono nie tylko z ostrym atakiem *Trybuny Ludu* i *Żołnierza Wolności*, ale i krytyką tzw. umiarkowanych działaczy Związku. Jaki miał wkład w powstanie tego posłania?**

— Niewielki. Opublikowaliśmy w *Biuletynie Dolnośląskim* tekst posłania z Rosji, z Moskwy, do Zjazdu. To posłanie rozeszło się wśród delegatów i spotkało się z przychylnym przyjęciem. Być może posłanie Zjazdu było właśnie odpowiedzią na nie, ale nie ja byłem jego autorem.

— **Dziś współpraca opozycjonistów krajów komunistycznych nie jest zjawiskiem niezwykłym. Co — Twoim zdaniem — jest najważniejsze w tej wymianie myśli? Jakie kierunki?**

— Ważne są oczywiście te wspólne kontakty, wspólne oświadczenia, które później rozpowszechniane są za pośrednictwem rozgłośni zachodnich. Jednak to, co mi się marzy, to ścislejsza współpraca konspiracyjnych organizacji, które stawiają sobie za cel wyjście z komunizmu, a nie działają np. jedynie na płaszczyźnie praw człowieka.

— **A jak dziś przedstawia się międzynarodowa działalność „Solidarności Walczącej”?**

— Skromnie. Udało nam się kiedyś przerzucić parę tysięcy ulotek do Związku Radzieckiego, mamy swoich sympatyków w Moskwie, mamy pewne kontakty z Węgrami, troszeczkę z Czechami. Niestety, nie mamy jeszcze żadnego oddziału „Solidarności Walczącej” w żadnym z tych krajów.

To ożywienie w Związku Radzieckim przynosi i nam pewne wymierne korzyści, ale wciąż

jeszcze działalność tajna, choć jawnie antysowiecka, budzi strach — również przed prowokacją. Władimir Bukowski w książce „I powraca wiatr” jest przeciwny jakiegokolwiek zorganizowanej działalności antykomunistycznej i uważa, że to jest walka indywidualna, że powinno się to robić samemu. Każda organizacja to według niego jakaś prowokacja.

— **Pomówmy trochę o Tobie. Jak trafiłeś do działalności opozycyjnej? Jeśli się nie mylę, zaczęło się to od *Biuletynu Dolnośląskiego*?**

— No nie, dużo wcześniej. W '68 z moim przyjacielem Jurkiem Bedniakiem, który jest teraz w Stanach, drukowaliśmy ulotki na 1 Maja. W '70 we Wrocławiu rozrzucaliśmy znowu jakieś ulotki, które oczywiście żadnego wpływu nie wywarły. To były początki mojej opozycyjnej działalności. Ale rzeczywiście zacząłem się tym regularnie zajmować dopiero od czasu *Biuletynu Dolnośląskiego*. Potem była pierwsza wizyta papieża, na którą jechałem z transparentem „Wiara i Solidarność”. Był to jedyny taki transparent na placu Zwycięstwa w Warszawie. Uważam, że ten transparent to było więcej, niż cała moja późniejsza działalność. Ten transparent, który trzymaliśmy z grupą moich ośmiu, może dziesięciu przyjaciół...

— **Potem przyszedł Sierpień...**

— W Sierpniu drukowaliśmy i rozrzucaliśmy ulotki *Biuletynu Dolnośląskiego* informujące o sytuacji w Gdańsku i wzywające do poparcia stoczni. To było jeszcze przed strajkami we Wrocławiu. A potem byliśmy obecni w VII Zajezdni, wspieraliśmy MKS. Tam przeżyłem tę noc, kiedy ogłoszono koniec strajku.

— **Między turami Zjazdu...**

— Między turami Zjazdu siedziałem parę dni w więzieniu. Wtedy oskarżono nas o naruszanie sojuszy, bo w *Biuletynie Dolnośląskim* wydrukowaliśmy ulotkę do żołnierzy radzieckich. Po polsku i po rosyjsku. No i drugą sprawą było to posłanie, o którym mówiliśmy.

— **Nadszedł 13 grudnia. Jak to się stało, że uniknąłeś internowania?**

— Przypadkiem. Myśmy wprawdzie w *Biuletynie* przewidywali, że będzie coś takiego, jak stan wyjątkowy lub interwencja, i że stanie się to w nocy z soboty na niedzielę, tym niemniej to, że nie było mnie w domu, nie wynikało z mojej ostrożności, lecz stało się tak po prostu dlatego, że rozwoziłem *Biuletyn* po kolporterach. Jak się później dowiedziałem od rodziny, po mnie byli już przed dwunastą.

— Niemalże natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego ukazał się dziennik Zarządu Regionu, czy raczej w tym momencie już RKS-u *Z Dnia Na Dzień*. Jak już wspominałeś, byłeś jego redaktorem, zresztą nie było to chyba tajemnicą we Wrocławiu i Twoje nazwisko kojarzono właśnie z tym pismem...

— Na początku zresztą słusznie. *Z Dnia Na Dzień* było chyba pierwszym pismem „Solidarności” w stanie wojennym. Pierwszy numer ukazał się już 14 grudnia. Ten i kilka następnych „wojennych” numerów tej gazety, wydawanej trzy razy w tygodniu, wydrukowane zostały przez zespół i na maszynach *Biuletynu Dolnośląskiego*.

— O tym, co było później, już mówiliśmy. Zróbmy więc skok do przodu, do 9 listopada 1987...

— Wszedłem do mieszkania, w którym był kontakt na wydawanie. Przyszedłem z książką Władysława Bartoszewskiego „Warto być uczciwym”. Po dziesięciu minutach weszli tam SB-cy, to znaczy wylamali drzwi, wtargnęli do mieszkania z rewolwerami, z kajdankami. Zakuli mnie, moją przyjaciółkę Hanię. Potem byli grzeczni. Jak ich poprosiłem, by zdjęli kobiecie kajdanki, bo skoro ich jest dziesięciu, to im nie ucieknie — zgodzili się.

— A potem szybko znalazłeś się na Rakowieckiej?

— Tak, szybko. Po nocy spędzonej w Komendzie Wojewódzkiej we Wrocławiu w południe następnego dnia przewieziono mnie helikopterem do Warszawy. Tam znowu jedną noc spędziłem w więzieniu na Puławskiej (jest to bodajże więzienie Ministerstwa Sprawiedliwości), po czym przewieziono mnie na Rakowiecką.

— I tam już zostałeś do 30 kwietnia tego roku, kiedy to, wskutek interwencji Kościoła zezwolono Tobie i Andrzejowi Kołodziejowi na lot do Rzymu. Od tej chwili wydarzenia potoczyły się tak szybko, że wiadomości o Tobie były już nieaktualne w chwili, gdy spadały z dalekopisów czy nadawano je w radiowych i telewizyjnych dziennikach. 4 maja via Frankfurt wróciłeś do Warszawy. Gdy agencje prasowe podały, że zostałeś aresztowany, byłeś już na lotnisku w Wiedniu. Co się wtedy zdarzyło?

— O godz. 12.00 samolot Lufthansy wylądował na Okęciu. Przyleciałem z Frankfurtu, gdyż dzień wcześniej, w Rzymie, nie chiano mnie wpuścić na pokład samolotu LOT-u, chociaż miałem rezerwację. Rzekomo nie było wolnych

miejsz. Proponowano mi na dzień następny połączenie kombinowane, przez Budapeszt, ale taki wariant mi nie pasował. Połączenie więc jeszcze tego samego dnia — na własny koszt — Lufthansą do Frankfurtu. Jak wychodziłem z samolotu w Warszawie, już na mnie czekali, na dole trapi. Wzięli mnie pod rękę i zaprowadzili do osobnego samochodu, tak że niejechałem już autobusem z pasażerami. Zawieźli mnie do swoich pomieszczeń no i trzymali, trzymali — przez cztery godziny. A potem odwieźli mnie z powrotem na płytę lotniska do samolotu LOT-u, do którego wciągnęli mnie siłą. To był samolot do Wiednia. Dwaj funkcjonariusze polecili ze mną. Dopiero w Wiedniu oddali mi paszport. Ale to już nie był ten sam paszport. Stare wpisy były anulowane, za to wbili mi nowe pieczętki, z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy.

— Dziękuję Ci serdecznie za rozmowę i życzę, byś jednak po powrocie do kraju nie musiał wracać na Rakowiecką.

Rozmawiał Aureliusz M. Pędziwoł



Paszport Kornelia Morawieckiego: wpis na str. 6 był jedynym, który w tym paszporcie figurował, gdy K. Morawiecki wraz z A. Kołodziejem wyjeżdżali 30.4.1988 do Rzymu. 4.5.1988 wpis ten został anulowany podczas kilkugodzinnego pobytu na Okęciu po powrocie z Rzymu via Frankfurt.

PS: Natychmiast po wylądowaniu w Wiedniu Kornel Morawiecki poruszył wszelkie możliwe siły, by poinformować świat o wydaleniu go z kraju. Już następnego dnia skierował on do delegacji uczestniczących w obradującej we Wiedniu Konferencji Pohelsińskiej za pośrednictwem Międzynarodowej Federacji Helsińskiej Praw Człowieka memorandum, w którym określił akt swej deportacji jako „pogwałcenie międzynarodowych porozumień i zwyczajów przyjętych w cywilizowanym świecie”. Ze swej strony Federacja Helsińska wystosowała protest na ręce przewodniczącego delegacji PRL, ambasadora Włodzimierza Konarskiego, w którym wezwała go do „uczynienia niezbędnych kroków, aby Kornel Morawiecki mógł wrócić do Polski”. Jednocześnie Federacja domagała się, by po powrocie do kraju przewodniczący „Solidarności Walczącej” nie był dłużej więziony bez sprawiedliwego procesu.

Ostro zareagował również polski Episkopat, oszukany przez władze PRL gwarant powrotu Morawieckiego i Kołodzieja do Polski, który w swym oświadczeniu stwierdził, iż „prawo powrotu Kornela Morawieckiego do kraju było wyraźnie stawiane przez stronę kościelną i przez władze akceptowane”. Skutek był piorunujący. Już w nocy z 7 na 8 maja ksiądz Orszulik, dyrektor Biura Prasowego Episkopatu mógł powiadomić Kornela Morawieckiego, że może wracać. Zaś tydzień później również konsulat PRL w Wiedniu poinformował przewodniczącego „Solidarności Walczącej”, że władze wyraziły zgodę na jego powrót i w związku z tym konsulat jest uprawniony do dokonania stosownego wpisu w jego paszporcie.

Zagadką pozostaje, czym się kierowały władze PRL deportując Kornela Morawieckiego z kraju? Już na Okęciu oświadczył on funkcjonariuszom SB, że nie będzie w Wiedniu siedział cicho i że władzom ta deportacja nie będzie się opłacać. (amp)



Kolejna stronie w paszporcie. Tym razem wpis jest ważny. Mówi o tym, że paszport jest ważny na WSZYSTKIE KRAJE ŚWIATA, ale upoważnia jedynie do „jednokrotnego przekroczenia granicy polskiej”. Interesująca jest na tej stronie data: 29.4.88, chociaż wpis dokonany został również 4.5.88. To prymitywne fałszerstwo ma sugerować, że Kornel Morawiecki wyleciał do Rzymu z paszportem w jedną stronę, a zatem jego powrót był nielegalny.

Naturalna śmierć Kultury Niezależnej?

Bogacz, któremu podczas uroczystego święta przypadł zaszczyt odczytania na głos całego rozdziału z Pięcioksięgu, pyta siedzącego obok Arki Przymierza rabina:

— *Rabbi, jak się wam podobało moje czytanie?*

— *Podziwiam twoją genialną pamięć, mój synu.*

— *To mnie ogromnie cieszy, rabbi.*

— *Tak jest. Powtarzasz dokładnie wszystkie błędy z ubiegłego roku.*

Ten skromny szmonces dedykuję wszystkim luminarzom kultury niezależnej. Pojęcie „Kultura Niezależna” pojawiło się i zaczęło nawet robić karierę w momencie ugruntowania się stanu wojennego, wówczas gdy legitymacje partyjne oddawali nawet ci, którzy jeszcze 13 grudnia pozostawali wcale aktywnymi członkami tej organizacji. Wówczas, gdy euforia protestu opanowała jeszcze niedawnych prominetów, posłów, liderów partyjnych, zespołów twórczych, gdy duch zbiorowej kontestacji po brzegi wypełnił warszawskie (głównie) salony. Rozpadały się całe redakcje onegdaj opiniotwórczych tygodników i miesięczników. Dyrektorzy teatrów i prezesi stowarzyszeń twórczych rezygnowali ze swych stanowisk, na działkach osobistości życia umysłowego znajdowano powielacze i sterty świeżo zadrukowanej bibuły. Ruch odnowy objął właściwie wszystkie środowiska twórcze: aktorów, reżyserów, plastyków, pisarzy i poetów, dziennikarzy, a nawet muzyków.

Pierwszym krokiem w stronę instytucjonalizacji spontanicznego i emocjonalnego (od) ruchu było powołanie odnośnych ciał społecznych, czyli

Komitetów (Niezależnych, oczywiście): Kultury, Oświaty i Nauki, istniejących poza strukturami „Solidarności”.

Pojęcie kontrkultury zakłada istnienie kultury. Pojęcie kultury niezależnej zakłada istnienie tej drugiej, czyli zależnej. Obie však winny aspirować do bytu całkowicie autonomicznego, całościowego. Próbowano więc stworzyć faktyczną alternatywę w sferze kultury, która objęłaby swym zasięgiem nie tylko skryte głęboko pod ziemią wydawnictwa, ale również obszar dotąd zarezerwowany dla mecenatu rządowego: działalność wystawienniczą, teatr, koncerty muzyczne, a nawet film. Powołano do życia pismo *Kultura Niezależna*, będące czymś w rodzaju oficjalnego organu Komitetu Kultury Niezależnej. Zaczęły się pojawiać mniej lub bardziej efemeryczne „nierregularniaki” poświęcone niemal wyłącznie sprawom ducha (vide: *Szkiele*). Artystom, dziennikarzom i komu się jeszcze dało, zaczęto wręczać doroczne, prestiżowe nagrody Komitetu Kultury Niezależnej.

Komitety były, nagrody były, pisma (czyli organy) też były, tak więc można śmiało powiedzieć, że kulturę robiono naprawdę, czyli solidnie i z iście polską fantazją.

Artyści zaś zaczęli chodzić do kościoła. Niezależnie bowiem od potrzeb finansowych (dotacje, stypendia, pensje etc.), wyjąwszy wydawnictwa, pozostałej działalności: wystawom plastycznym, spotkaniom dyskusyjnym wszelkiej maści, koncertom i recitalom, projekcjom video etc. patronować mógł tylko Kościół, gdyż tylko on (poprzez jednak respektowaną czasami nienaruszalność kościelnych włości) mógł stworzyć w miarę

cywilizowane warunki działania poza cenzurą i kontrolą władzy. Toteż licznie obrodziły galerie kościelne a w pierwszej linii walki o byt całkiem niezależny stanęło ponownie utworzone (kwiecień '81) Muzeum Archidiecezji Warszawskiej prowadzone silną ręką dyrektora ks. Andrzeja Przekazińskiego.

Bez mała *toute Varsovie* bywała na recitalach Gintrowskiego i Szczepanika, na występach Holoubka, Łapickiego, Marii Chwalibóg czy Hanny Skarżanki, wieczorach martyrologiczno-dyskusyjnych organizowanych przez Krzysztofa Kłopotowskiego. Dział Sztuki Współczesnej Muzeum objęła Danuta Wróblewska (w pierwszych miesiącach stanu wojennego jeszcze członek redakcji miesięcznika *Projekt*). Wydarzeniami towarzyskimi (politycznymi pewnie też, przynajmniej w przekonaniu samych twórców) były tematyczne, wielkie jak Pałac Kultury wystawy sztuki prawdziwie niezależnej, organizowane przez Rostworowskiego i małżeństwo Boguckich w murach Muzeum jak i w warszawskim kościele na Żytniej. Prowincja też próbowała dotrzymać kroku w marszu ku niezależności: Dominikanie w Krakowie, Jezuici w Łodzi, Bernardyni w Gdańsku i tak dalej...

Mogłoby się więc wydawać, że wymarzony ideał „żyj jak człowiek wolny” został osiągnięty. Niestety, wraz z instytucjonalizacją (komitety i fundusze) pojawiła się ukochana biurokracja. Ideały zaczęły się nieuchronnie degradować, gdy wyszły na wierzch niebezpieczne nawyki ludzi wychowanych w komunizmie. Obok działaczy pojawili się urzędnicy, a wraz z nimi wszystkie atrybuty urzędowania ze *sprawozdawczością* na czele. Sam zmuszony byłem pisać takie sprawozdania i to wcale nie w jednym egzemplarzu. Dodajmy jeszcze, że gdy w Warszawie narosło wokół ruchu Niezależnej Kultury coś na kształt promieniującej elity, prowincja niestety świeciła światłem ledwie odbitym. Tamtejsze Duszpasterstwa Środowisk Twórczych nie stały się ośrodkami życia towarzyskiego pozostając klubami coraz bardziej zmęczonych i sfrustrowanych kombatanów, otoczonych wianuszkami ciotek rewolucji. Stało się tak pewnie za sprawą bojkotu, który poza granicami miasta stołecznego po prostu jakoś nie wyszedł.

Dziś można już stwierdzić, że ruchu Kultury Niezależnej nie udało się przekształcić w organizm w pełni samodzielny. Pozostał jedynie suplementem, uzupełnieniem tej drugiej kultury — zależnej. Często uzupełnieniem niewiele znaczą-

cym, gdyż pozbawionym kontekstu. Widać to wyraźnie na przykładzie plastyki. Właściwie żadnej z kościelnych galerii z artystycznego, a nie politycznego, punktu widzenia nie udało się wyjść poza zjawisko marginalne, nieco prowincjonalne, niekiedy cokolwiek zatechłe. Sami artyści dosyć stanowczo zbojkotowali jedynie Centralne Biuro Wystaw Artystycznych wraz z przyległościami znajdującą ujście w galeriach muzealnych, domach kultury, galeriach studenckich, młodzieżowych organizacjach, czy wreszcie w powstających licznie galeriach prywatnych. Wielu artystów nie skrywających swej niechęci do władzy i systemu nigdy nie wystawio swoich prac w kościelnych galeriach. W pełną, „prawdziwą” niezależność poszło niewiele. Ci zaś, trochę siłą bezwładu, zbili się w stabilną, choć nie zorganizowaną grupę objeżdżającą wszystkie możliwe kościoły w PRL.

To, że sztuka nie znosi cenzury wiedzą już dzieci i starcy: ani czerwonej cenzury, ani też czarnej. Niestety, Kościół nie potrafił, nie chciał, albo też nie mógł zostać mecenasem z prawdziwego zdarzenia. Nie zdołał stworzyć klimatu odpowiedniego dla chwycniejszej i niczym kwiat delikatnej duszy artysty. Faktem zaś jest, że żadne z ważnych i nowych zjawisk w polskiej sztuce lat 80-tych nie pojawiło się nawet w pobliżu galerii kościelnych. Ani zanarchizowana sztuka młodych spod znaku polskiego „Neue Wilde” (warszawska Grupa), ani nie mieszczące się w żadnych definicjach poczynania grupy „Łódź Kaliska”, czy działania Krzysztofa Bednarskiego — nie powstały w sferze wpływów Kultury Niezależnej.

Wśród tych, którzy mieli odwagę powiedzieć władzy swoje stanowcze NIE i zgłosili akces do kruchty, znaleźli się również niedawni liderzy awangardowych lat 70-tych, byli profesorowie, postkonceptualiści et consortes. Najpierw zdumienie wzbudził fakt ich powrotu do sztalug i warsztatów graficznych, a później zdumiały krzyże (od jesieni '84 również stopy kamieni), polskie Madonny, umęczone twarze ludu pracującego oraz liczne symbole zniewolenia narodu zapelniające ich płótna i grafiki. Zdumiała łatwość, z jaką duch martyrologicznego cierpienia opanował zrewoltowane umysły artystów. Zdumiała łatwość, z jaką to, co w założeniu miało być prawdziwe i jedynie niezależne przekształciło się w czarny socrealizm a rebours: ciężki jak kowadło schematyzm, publicystyczna wręcz dosłowność, publicystyczna też doraźność, polityczna jednoznaczność, graniczająca z dydaktyzmem i demagogią —

tak to niestety wygląda dziś w swej masie. O ile bardziej płodna w refleksje i niejednoznaczne skojarzenia była chociażby wystawa Krzysztofa Bednarskiego „La rivoluzione siamo noi” w galerii Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Warszawie.

Trudno stwierdzić, czy to duch kruchty tak niepodzielnie zapanował nad umysłami artystów, czy może należy to złożyć na karb zwykłego koniunkturalizmu (choć brzmi to co najmniej dziwnie w tym kontekście), że weszli w ślepą uliczkę, że stworzyli dzieła bez wątplenia politycznie jak najbardziej słuszne, ale artystycznie — żadne. Niewielu spośród nich udało się zachować autentyzm. Przede wszystkim tym, którzy, jak np. Nowosielski, w latach 80-tych malowali tak, jak czynili to w latach 70-tych i jeszcze wcześniej. Z niewielkiej grupy młodych związanych z galeriami kościelnymi wybija się na pewno krakowianin Tadeusz Boruta (ur. 1957). Nie tylko dlatego, że jest świetnym malarzem, ale też dlatego, że jego ogromnych rozmiarów obrazy naprawdę powstają z ducha głęboko przeżytego mistycyzmu i współbrzmiją z renesansem myślenia w kategoriach personalistycznych. Dalej nad plastyką nie ma co się zęcać. Pozostaje jeszcze literatura, o której można jedynie powiedzieć, że jaka jest — każdy widzi.

W roku ubiegłym ('87) obchodzono z należytą pompą jubileusz 10-lecia istnienia niezależnego ruchu wydawniczego i trzeba by oddzielnego tekstu na należyte podsumowanie tego, co wydano, jak wydano i po co. Dzięki Bogu, wydawnictwa niezależne były i są w gruncie rzeczy przede wszystkim prywatnymi, w większości przypadków zarabiającymi na siebie, a więc wolnymi od wszelkich komitetów, rad, stowarzyszeń czarnych i czerwonych.

Już w latach 70-tych pojawiła się grupa pisarzy kontestatorów, czyli tych co u państwowego nie wydają i nie wydadzą nigdy, choćby ich „państwowy” na kolanach prosił. Tylko czy coś z tego wynikało dla polskiej literatury współczesnej? Czy wolny prawdziwie i jedynie słusznie pisarz stworzył w tych warunkach dzieło, którego wielkość, słuszność i niekłamana wolność powaliłaby na pierwiec na kolana, a potem nieodwracalnie zmieniłaby bieg naszej literatury? Czy powstały dzieła, wobec których poronione płody pisarzy zależnych i niewolnych powinny tak skarcić żeby ich nie było widać? W przeciągu tych dziesięciu lat wydano zbyt wiele książek, które nie mogły ukazać się ofi-

cialnie tylko ze względu na cenzurę polityczną. Wypuszczono w Polskę znaczną ilość politycznie właściwych literackich budżetów, a nie sięgnięto po wiele wartościowych nazwisk, których państwowy wydawca przez czterdzieści lat nie wydał, choć mógł, bez jakichkolwiek cenzuralnych cięż. Wydawnictwom zabrakło jakby pewnej bezinteresowności. Zbyt często bowiem argumenty polityczne przesłaniały argumenty artystyczne. Trudno więc nazwać to obiegiem, raczej trzeba użyć nazwy dopływ.

Z całą świadomością przesadnej generalizacji mogę stwierdzić, że tak naprawdę pisarz niezależny niewiele różni się od zależnego: obaj nie umieją pisać, obaj z jednakową zaciętością spychają tę nieszczęsną literaturę na pozycje, z europejskiego punktu widzenia, całkowicie marginalne i obaj jednakowo wierzą w swoją jedyną i słuszną, w swą ciężką, usianą łzami i potem misję służenia narodowi.

Poza polityczną kontestacją nie ma co mówić o alternatywie. I sztuce i literaturze stworzono drugi obieg i nie z tego nie wyszło. Nie pojawiły się nowe postawy, odmienne jakościowo, wymierne w kategoriach estetycznych, a nie ze względu na odrębność przekonań politycznych, dla których zarezerwowane są łamy gazet a nie powieści, wiersze i galerie.

Tadeusz Konwicki, pisarz, prorok i sumienie narodu powiedział, że tak naprawdę to cieszy się, że „państwowy” znów chce go wydawać, bo ci niezależni to tych książek nie czytają, nie ma żadnej redakcji, nie ma korekty, co się przyniesie, to od razu na maszynę i drukują... Nie pogadają, nie podyskutują z autorem nad jego powieścią... Tak, jakby ich to w ogóle nie obchodziło.

Niestety, literatura to nie kielbasa. Są tacy, co bez niej żyją i Bóg im zdrowie daje, długie życie i śmierć spokojną, choć słowo drukowane oglądają tylko w szalecie.

By powyższy wizerunek Kultury naprawdę Niezależnej uczynić pełniejszym, należy jeszcze dodać liczne spotkania z ciekawymi ludźmi, jak również seanse poezji i pieśni patriotycznej i cierpiennej, podczas których dochodzi do swoistego fenomenu, jakim jest jednomyślne i swoiste samoudręczanie w wylewaniu łez nad umęczoną ojczyzną.

Po tych kilku, siłą rzeczy niewesołych refleksjach można by dojść do wniosku, iż jedynie w majorze Frydrychu i jego wesołej czeradce tkwi cała nadzieja, że nie umrzemy zapłakani na

śmierć. Szczęśliwie na koniec wiadomość optymistyczna: Kultura Niezależna po prostu umiera. Umiera powoli i w podrygach, ale obawiam się, nieodwracalnie. Aktorzy bojkot odwołali i dziś nikt nie ma czasu zdzierać gardła w kościołach. Plastyki, nawet ci uchodzący za skrajnych ekstremistów, powoli, niekiedy bardzo dyskretnie przepraszają się z CBWA. Władza też (jak głośność to głośność) szerzej odkręciła zawór bezpieczeństwa: „półkownicy” maszerują przez ekrany (nawet telewizyjne), a w księgarniach coraz liczniej widać nazwiska tych, o których mniemano, że w oficjalnym obiegu nikt ich już nie zobaczy. Galerie kościelne także powoli przymierzają się do tego, by zejść ze sceny. Po pierwsze dlatego, że już nikt ich nie odwiedza i nikt nie chce już w nich wystawiać; po drugie: sam Kościół odtrąbił do odwrotu i dyplomatycznie, czasem pod pretekstem remontu, zamyka ich podwoje.

Oczywiście nie ma co rozrywać szat na tym bez wątpienia smutnym stanem rzeczy. Jako że

starą prawdą jest, iż totalitaryzmy najbardziej boją się śmiechu, nie wątpię, że Jacek Federowicz nadal będzie zmuszony robić swoje wysmienite video-programy nielegalnie, a major Fryderych długo jeszcze nie otrzyma od ojców miasta oficjalnego zezwolenia na zorganizowanie choćby jednego happeningu.

Sławny talmudysta Cwi Chajes, rabin z Żółkwi, przysłuchiwał się raz kazaniu młodego rabina z Brna. Gdy ten skończył swą przydługą orację, rabbi Chajes uścisknąwszy mu serdecznie dłoń powiedział:

— Najbardziej błyskotliwym punktem pańskiego kazania był bez wątpienia pański cylinder.

Jakub Szerman to pseudonim aktywisty „kulturalnego podziemia” w kraju. Tytuł artykułu pochodzi od redakcji.

W dalszej części numeru (str. 118) publikujemy polemikę z artykułem Szermana autorstwa Leszka Szarugi.



Rozmowa z Janem Andrzejem Górnym

Jan Andrzej Górny (lat 32) technik-elektronik był jednym z organizatorów strajku hutników w sierpniu 1980 r., a następnie członkiem Komitetu Strajkowego, Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych, członkiem Zarządu i wiceprzewodniczącym MKZ NSZZ „Solidarność” w Katowicach. 13 grudnia 1981 uniknął aresztowania. Działal w podziemnych strukturach „Solidarności”, pozostając nieprzerwanie w ukryciu. Organizował kolportaż niezależnych wydawnictw, utworzył latającą biblioteczkę i wydawnictwo „Oficyna Śląska”. Redagował i wydawał niezależne pismo społeczno-polityczne „Przegląd Katowicki”. Od 20 stycznia 1986 r. pełnił funkcję przewodniczącego RKW NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, a od 27 stycznia 1986 był członkiem TKK.

— **Panie Janku, witamy Pana na wolności, kiedy Pan wyszedł?**

— Nastąpiło to 29 kwietnia w godzinach popołudniowych. Po rozprawie rewizyjnej w Sądzie Wojewódzkim w Katowicach zostałem zwolniony.

— **Gdzie Pan siedział w więzieniu?**

— Cały czas w areszcie śledczym w Katowicach przy ulicy Mikołowskiej, Wydział Izolacyjny.

— **Jak nastąpiło Pańskie aresztowanie, jak to było?**

— W dniu 11 listopada ubiegłego roku wracając z Gdańska ze spotkania Krajowej Komisji, spędziłem dwa dni w Warszawie w naszych interesach „solidarnościowych” i wróciłem do jednego ze swoich mieszkań dyskretnych, konkretnie w Gliwicach. Następnego dnia rano zadzwonił dzwonek, weszło dwóch: jeden umundurowany, drugi tajny — pod pretekstem, że są tutaj z donosu w związku z referendum, żądają dowodu okazania tożsamości itd., itd.

— **Do nas docierały wiadomości, że jest Pan aresztowany pod zarzutem — jak mówił rzeźnik Urban — nieplacenia alimentów i nie posiadania dokumentu tożsamości, przy czym jakoś później ten drugi zarzut nie był podnoszony. Jak to było naprawdę?**

— Tutaj rzeczywiście doszło do galimatiasu informacyjnego. Byłem również zdezorientowany. Docierały do mnie informacje o tym, jak wygląda moje życie osobiste, często nieprawdziwe. W każdym bądź razie, chronologicznie, po aresztowaniu przedstawiono mi zarzuty, ja zaś domagałem się wyjaśnienia, spotkania z żoną i oczywiście zwolnienia, twierdząc że mam szereg zaległości różnego typu, również finansowych zobowiązań wobec różnych osób i instytucji ze względu na to, że się 6 lat ukrywałem. W tej chwili działam publicznie, jawnie, więc proszę mi nie przeszkadzać w rozwiązywaniu moich spraw osobistych. Oczywiście bezskutecznie. Przedstawiono mi na dodatek zarzut posługiwania się cudzym dokumentem tożsamości. Na tej podstawie zastosowano sankcję.

12 stycznia 1987 r. stanąłem przed Kolegium w Gliwicach, które to Kolegium swoją decyzją położyło rękę na wszystkich zakwestionowanych przedmiotach, które w tym mieszkaniu znaleźniono: wydawnictwach, publikacjach i moich osobistych tekstach literackich, sprzecz i środkach finansowych. Jednocześnie z tej sprawy wyjęto dowody osobiste i w Sądzie Rejonowym w Dąbrowie Górniczej 25 lutego br. sąd skazał mnie na pół-

tora roku więzienia za to, że byłem winny Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych 130 tys. zł tytułem niepłacenia alimentów i za posługiwanie się cudzymi dowodami tożsamości. Do tych zarzutów nie przyznałem się. Oczywiście Prokuratura przedstawiła to zupełnie inaczej, korzystając z jakichś tam swoich dowodów, które dopisano i sfałszowano mój podpis pod protokołem z przesłuchania w Prokuraturze.

— **Mówiło się, że Pańska żona nie może domagać się od Pana alimentów, ponieważ jest za granicą. Jak to było?**

— W 1987 roku latem otrzymałem informację, że moja żona jest za granicą. Później, tuż przed aresztowaniem, dostałem informację, że nie jest to prawda, ponieważ jest ona w kraju. Owszem, czyniła starania o wyjazd do swojej rodziny do RFN, ale nie otrzymała zgody urzędów ze względu na brak mojej zgody na wyjazd z dzieckiem. Okazało się to barierą prawną nie do przejścia, ale rzeczywiście ja w pewnym okresie czasu byłem przekonany, że moja żona jest z dzieckiem na stałe za granicą. Tymczasem żona była w Polsce i stąd wynikała cała afera alimentacyjna. Sąd i prokuratura, służba bezpieczeństwa i propaganda przedstawiły mnie, jako niemoralnego ojca, zaniedbującego przez szereg lat obowiązki rodzicielskie itd., itd. Z pewnością kwestia pieniędzy nie była tutaj istotna, nie była to suma w ogóle istotna. Przed rozprawą uregulowałem moje zobowiązania wobec ZUS-u. Pozostała tylko sprawa skandalu. Władza posługuje się metodami ewidentnie niemoralnymi oskarżając mnie o niemoralność. W moim przypadku zastosowano tego typu pociągnięcie z nadzieją, że sprawa „chwycei” i że będzie to korzystne dla władzy w walce z „Solidarnością”.

— **Powiedział Pan: „z nadzieją, że sprawa chwycei”. Na ile Pańskim zdaniem sprawa chwycei?**

— Myślę, że tutaj trzeba mówić o reakcji szerokiej opinii publicznej, która generalnie nie wierzy w to, co mówi Urban i w to, co głosi propaganda komunistyczna. Jednak spotkałem się z różnymi opiniami, ludzie byli zdezorientowani, więc w tej chwili wyjaśniam, spotykam się z tymi ludźmi, rozmawiam.

— **Czy można być nieskazitelnym działając w podziemiu? W końcu Pan może na ten temat najwięcej powiedzieć, dlatego że z działaczy „Solidarności” był Pan najdłużej ukrywającym się człowiekiem w kraju.**

— Tutaj trzeba dokonywać bez przerwy bardzo jednoznacznych, nieraz dramatycznych wyborów. Bo albo się jest w podziemiu, działa się i ryzykuje i ma to być skuteczne, albo nie. Ta pierwsza opcja wymaga bardzo często wyrachowanego łamania prawa. Łamanie prawa przeze mnie polegało na tym, że pewnych rzeczy robić nie mogłem. Nie mogłem narażać ludzi i musiałem wyczekać na moment, kiedy ujawnię się i będę mógł załatwić swoje sprawy, chodzić po urzędach itd. Robię to teraz — paradoksalnie jestem bez pracy, bez mieszkania, bez adresu, bez swojego dokumentu tożsamości i właściwie nikogo to nie obchodzi. Nikt mnie w tej chwili za to nie zamyka. (Śmiech)

— **Jesteśmy kilka dni po wyciszeniu atmosfery strajkowej. Jak Pan ocenia sytuację w kraju? Jak Pan ocenia to, co się wydarzyło w ostatnim czasie?**

— Wszyscy spodziewaliśmy się jakiejś reakcji, buntu w związku z wprowadzeniem drastycznych podwyżek cen. Wszyscy obliczaliśmy ten bunt na okres letni, nawet wczesnej jesieni. Nastąpiło to wcześniej, przyczyny było czysto ekonomiczne, po prostu wypompowanie się budżetów rodzinnych. Ceny i realna siła nabywcza pieniędzy w Polsce okazała się tak niska, że już na przełomie kwietnia i maja doszło do kryzysu. Oczywiście próbowaliśmy w tym wszystkim uczestniczyć, w tej grze politycznej między władzą i społeczeństwem, grze dyplomatycznej, bo przecież chodzi o Polskę i polską ekonomię, o jej podnoszenie, jej dźwiganie. Więc uczestniczyliśmy w tym wszyscy, po to, by ewentualna fala protestów wspierała korzystne dla Polski zmiany. Okazało się, że władza w obecnym kształcie — myślę tutaj o tandemie Jaruzelski-Messner — nie była zdolna dokonać jakiegoś zasadniczego zwrotu. Myślę, że jedynym zwrotem, jaki mogła zrobić, to ustąpić. Tymczasem usztywniła się, wygrała na czasie, wymusiła na Sejmie specjalne prerogatywy dla rządu, prerogatywy ekonomiczne, gospodarcze i zyskała parę miesięcy. Co będzie się działo w ciągu tych paru miesięcy? Oczywiście najwięcej atutów i możliwości ma władza.

— **Proszę Pana, czy można nazwać ten bunt, którego byliśmy świadkami, buntem jedynie ekonomicznym, czy był to także bunt o naturze politycznej?**

— Oczywiście był postulat przywrócenia do pracy znanych w Krakowie i Nowej Hucie działaczy „Solidarności” i było to przedmiotem sporu między negocjującymi stronami, tj. między komi-

tetem strajkowym i dyrekcją. Był to dylemat doradców z kręgów kościelnych, którzy starali się pokojowo i rozsądnie rozwiązać konflikt nowohucki. Dla mnie ta sprawa wygląda następująco: w systemach totalitarnych, a znamiona takiego właśnie charakteru ma system społeczno-polityczny w Polsce, każdy bunt, każdy protest w najmniejszym nawet wymiarze ma charakter polityczny i napotyka na każdym kroku na bariery, które są barierami typowo politycznymi. Wiemy doskonale, że rozwiązanie problematyki ekonomicznej w Polsce jest problemem politycznym i w związku z tym wymagane są zmiany o charakterze typowo politycznym. Dlatego ta sprawa z jednej strony miała podłoże ekonomiczne, ale miała wyraźny kontekst polityczny ze względu na system totalitarny.

— W wydawnictwach podziemnych często spotykałem głosy, że należy dbać o przyszłość, o przyszłe pokolenie, o zmianę warty wśród działaczy „Solidarności”. Czy wśród przywódców strajku byli ludzie, których na takich przywódców upatrywała „Solidarność”, czy wyłonili się oni sami?

— Byli to nowi ludzie, jednak należący do pokolenia posolidarnościowego, których mentalność została ugruntowana przez pokolenie solidarnościowe. Upominano się o „Solidarność” z działaczami z przełomu lat 80-tych, a jednocześnie pojawił się postulat Stoczni przywrócenia legalnego działania „Solidarności”. Ale byli to ludzie nowi. Upłynęło już prawie 10 lat — do głosu dochodzi nowe pokolenie, bardziej doświadczone, bardziej dotknięte kryzysem ekonomicznym, okresem naszych sukcesów z lat 1980-81, doświadczone okresem stanu wojennego i szokiem psychicznym, pewnym kaczem moralnym wynikającym z tamtejszej porażki, jeśli rozpatrujemy to w kategoriach wygranych i przegranych. Myślę, że można mówić o pewnym inwestowaniu działaczy „Solidarności” i całego ruchu „Solidarność” przez szereg lat w młode pokolenie i bardzo charakterystyczne jest zachowanie się Lecha Wałęsy w Stoczni, który przychodził, odchodził i w pewnym momencie stwierdził, że: „Najlepiej to sobie wybierzcie nowego Wałęsę, nawet dwóch, ja mam już inną pozycję, inną sytuację, wy sami musicie ocenić swoją sytuację i powiedzieć władzy czego chcecie. Sami musicie się zorganizować, wybrać swoje przedstawicielstwo.”

To co jest w tej chwili „Solidarnością” w sensie organizacyjnym i kadrowym nie blokuje, nie

przeszkadza tym, którzy teraz wchodzą w życie społeczne i polityczne w kraju i całe nasze delikatne zadanie polega na tym, żeby tym ludziom nie przeszkadzać, żeby ich dostrzegać, wciągać do pracy, a jednocześnie żeby ludzie ci byli autentyczni i samodzielni, żeby mówili własnym głosem. Być może przyjdą po nas i zrobią coś lepszego.

— Czy Pan nie doszedł nigdy do wniosku, że młodzi robotnicy będą w was widzieć grono gwiazdorów?

— Być może takie stanowisko pojawia się tu i ówdzie. Uważam je za bardzo naturalne. Na pewno istnieje trend do samodzielności, do niezależności, zwłaszcza wśród ludzi młodych i oni powinni sami rzeczywiście wypracować jakieś nowe formy i metody działania. Naszym zadaniem jest dostrzegać to, popierać, bronić, osłaniać. Czyli powinniśmy spełniać rolę inspirującą i opiekuńczą.

— Jak Pan ocenia po kolei reakcję władz, propagandy, Kościoła i środków masowego przekazu Zachodu na to, co działo się w Polsce jeszcze kilka dni temu?

— Myślę, że one były różne, ale na pewno dominowało może nie zwerbelizowane wyraźnie, ale ukryte przeczcucie, że to jeszcze nie jest to. I we wszystkich reakcjach, zarówno działaczy „Solidarności” czy władzy i doradców Kościoła dominowało uczucie, że to jeszcze nie jest moment, aby pójść dalej, aby postawić tej władzy twardo jakąś sprawę do rozstrzygnięcia i w związku z tym pojawiła się pewna niewiara i wątpliwość, próba pokojowego i szybkiego rozstrzygnięcia, próba uniknięcia totalnego starcia. I to było charakterystyczne dla postępowania władzy, Kościoła jak i części działaczy „Solidarności”, opinii zachodniej również.

Na nieszczęście jesteśmy w takiej sytuacji ekonomicznej, że na totalne starcie i zatrzymanie całej Polski po prostu nas nie stać. Musimy być odpowiedzialni i szukać wszelkich możliwych rozstrzygnięć. Strajk jest ostatecznością i my musimy się tutaj też zachowywać odpowiedzialnie. Z tym, że ludzie nie mogą żyć w nędzy i jest pewna granica, której przekroczyć nie możemy, bowiem wtedy kończy się jakakolwiek polityka i dyplomacja. Musimy krzyknąć — nie! I ten krzyk ujawnił się dosyć wyraźnie. Jeszcze nie weszła, ale myślę, że stoi przed tą wzbierającą i powracającą falą.

— A jak Pan myśli, kiedy może nadejść ten czas? Bo jak przypominam sobie z piosenki Jana

Pietrzaka: „to wiecie towarzyszu, to jeszcze nie ten czas”.

— Myślę, że władza wygrała kilka miesięcy. Wspomniałem już o specjalnych uprawnieniach dla rządu i nie wiadomo jak to będzie wyglądało w praktyce, bo ustawa, jak zwykle w naszym systemie, sformułowana jest bardzo ogólnie, enigmatycznie i działania praktycznie mogą pójść w bardzo różnych kierunkach. Dlatego myślę, że przede wszystkim ta ustawa będzie służyła władzy do pacyfikowania nastrojów w zakładach pracy — poprzez zręczną manipulację relacji zarobków pomiędzy poszczególnymi grupami zawodowymi, bo tak się teraz dzieje, że jednym się nie daje, drugim daje i w rezultacie dzięki manewrom propagandowym, niektórzy mówią: górnicy, hutnicy zarabiają, tam na Śląsku pracują itd., a my tutaj nie.

— **Przyzna Pan, że samodzielność, jaką wywalczyli sobie robotnicy, decentralizacja przemysłu jest jednocześnie kijem, który grubszym końcem może ich zacząć walić po głowie, bo oto mamy paradoksalną sytuację: to już nie władza odpowiada za zarobki robotników, tylko dyrektor. Czyli robotnicy nie mogą na temat swojej sytuacji z nikim pertraktować tylko z dyrektorem, a dyrektor może powiedzieć, że bank nam nie dał kredytów i do widzenia.**

— Zgadzam się. Chciałbym tylko wyjaśnić zasady tej całej gry, którą rząd zastosował wobec przedsiębiorstw. Myślę tutaj o tzw. statusie samodzielności przedsiębiorstw. Polega to na tym, że na przedsiębiorstwa nakłada się pewne zobowiązania produkcyjne, a jednocześnie ściągają się ogromny podatek od zysków rządu 80-90%. I te wygospodarowane zyski rządu 10-20% mają starczyć na całą sferę socjalną, zarobków, amortyzacji itd. Jak sobie dobrze przypominam, w czasie ostatniej akcji strajkowej we Wrocławiu pojawił się postulat odebrania rządowi tego typu przywilejów, bo powyżej 50% „podatków” w niektórych sferach działalności ekonomicznej jest po prostu złodziejstwem i nie ma mowy o żadnej ekonomii. Jest tylko niewolnicza praca i niesprawiedliwy system. Związki zawodowe, samorządy pracownicze, dyrektorzy przedsiębiorstw są bezradni, ponieważ prawo finansowe ich łupi. Po prostu ich okrada.

— **A prawo jest prawem, którego nie wolno przekraczać.**

— Dlatego właśnie pozostaje nam tylko przygotowanie się na bunt. Musimy to wszystko zmienić i przywrócić do jakiejś równowagi.

— **A gdyby Pan miał ocenić to co się stało, oceniałby Pan to w kategoriach sukcesów czy porażek?**

— Starcie było zbyt krótkie i niczego nie rozstrzygające dla obu stron. Myślę, że władza jest w o wiele gorszej sytuacji niż „Solidarność”, bo jednak „Solidarność” zdobyła ogromne doświadczenie, nie zeszała ze sceny politycznej i będzie wyciągała z tego wnioski na przyszłość. Myślę, że się jeszcze wyraźniej zorientuje na nowe pokolenie. Mówi się o pewnej inicjacji młodej inteligencji, inicjacji w życie społeczne i polityczne w kraju, zaangażowanie się na rzecz solidarności z robotnikami, z ludźmi pracy i to jest bardzo korzystne, cenne doświadczenie. W tej chwili cała działalność „Solidarności” poza sferą pracowniczą, czysto związkową, powinna się przeorientować na inwestowanie w młodą inteligencję, w młodzież, żeby wszelkie inicjatywy, które tam się pojawiają były odpowiednio dostrzegane, osłaniane i wspierane. Myślę tutaj zarówno o NZS-ie, który bardzo pięknie zachował się w całym kraju we wszystkich ośrodkach akademickich, jak również o ruchu takim jak ruch „Wolność i Pokój” czy innych formacjach młodzieżowych.

— **Proszę Pana, te pół roku, które spędził Pan w więzieniu, to na pewno czas, który mógł Pan wykorzystać na szereg przemysłów. Gdzie Pan upatruje największą słabość „Solidarności”?**

— Myślę, że chodzi jak zwykle o informację, która w okresie strajku nie funkcjonowała dobrze między regionami. Chodziło oczywiście o informację o strajkach, o wiarygodność tych informacji i to jest problem, który będzie istniał zawsze. W tym momencie działacze znanych, jawnych eliminuje się z gry. Niewiele możemy zrobić, ale zainwestowanie w technikę, w dobrą łączność, w ośrodki, które informacje gromadzą, analizują itd., jest niewrażliwym punktem, który musimy dostrzegać, w który musimy inwestować.

Policja nie przebiegała w środkach i to wyeliminowało wielu znaczących ludzi z gry. Można mówić o pewnym braku ideologicznej podbudowy dla strajku. Mówią o tym głównie doradcy, czy ludzie zajmujący się jakby z natury, ze swoich zainteresowań osobistych problematyką ideologiczną. Pojawiły się zarzuty, że zabrakło jakiegoś jednoczącego hasła, które byłoby niewygodne dla władzy, a zrozumiane i popierane przez opinie światową.

Sierpień 1980 – maj 1988

porównanie

Rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim – byłym doradcą Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej w Sierpniu 1980 roku, obecnie pracownik naukowy Ecole des Hautes Etudes Sociales w Paryżu

Wiktor Grotowicz: Proszę Pana, w sierpniu 1980 roku był Pan członkiem Grupy Ekspertów przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku. Chciałbym abyśmy porozmawiali o różnicach między tamtą falą strajków, a ostatnimi procesami robotniczymi w Polsce. Pierwsze pytanie: jaką różnicę widzi Pan w genezie obu protestów?

Waldemar Kuczyński: Zaczniemy może od przyczyn ostatniej fali strajkowej. Otóż moim zdaniem przyczyną tą nie jest ani wzrost cen, ani problem stopy życiowej, aczkolwiek obydwie te czynniki, to znaczy fakt, iż na początku roku ceny zaczęły rosnąć szybciej niż w minionych paru latach, i również to, iż stopa życiowa Polaków znacznie się obniżyła, i że jakość życia jest bardzo niska – te obydwie przyczyny oczywiście odegrały swoją rolę. Ale moim zdaniem są to czynniki, które określiłbym jako constans, jako stale obecne w ostatnich latach. Główną przyczyną tych ostatnich protestów jest według mnie rozbieżność jaka zarysowała się w ostatnich dwóch, trzech latach pomiędzy polityką wewnętrzną władz, którą od września 1986 roku cechuje pewna, nawet wyraźna, tendencja liberalizacyjna. Rozbieżność między tą liberalizującą polityką z jednej strony i brakiem sukcesów ekonomicznych z drugiej strony. Jednak ta liberalna polityka nigdy nie dorosła do poziomu społecznych aspiracji rozbudzonych przez Sierpień, a co za tym idzie polityka ta nie zdobyła społecznego uznania.

Natomiast to ogólne odprężenie w polityce wewnętrznej doprowadziło do zmiany obrazu władzy w oczach społeczeństwa. Zmiany z obrazu władzy surowej, która za zachowania niedozwolone bije i wsadza na wiele lat do więzienia (obraz ten ukształtowany został przez stan wojenny) na obraz władzy, która znowu jest słaba, cofa się, jest wewnętrznie skłócona, nie wie co robić itd. Bezpośrednim skutkiem tej polityki liberalizacyjnej było pewne ośmielenie społeczeństwa. A brak sukcesów ekonomicznych, który dotkliwie odczuwany jest przez ludność odegrał rolę czynnika, który wyzwała proces – i stąd według mnie wzięła się fala strajków w kraju.

– To są przyczyny tej najnowszej fali strajków. A jakie widzi Pan różnice między tymi protestami, a Sierpniem 1980?

– Moim zdaniem najważniejszą różnicą jest różnica czegoś, co nazwałbym różnicą tła – psychologicznego tła. Otóż fala strajkowa w 1980 roku ruszyła przy zupełnie innej jak gdyby pamięci społecznej, niż ta w roku 1988. W Sierpniu robotnicy mieli w pamięci kilka wygranych zrywów strajkowych. W roku 1970 co prawda padli zabici, ale nastąpiła zmiana ekipy i wycofanie podwyżki cen. W roku 1976 pod wpływem akcji strajkowych i demonstracji doszło do wycofania następnej podwyżki cen. Potem, w drugiej połowie lat 70-tych cały szereg izolowanych strajków pozwolił robotnikom wywalczyć różne rewindykacje ekonomiczne. Czyli wtedy w pamięci społecznej do-

minował przede wszystkim czynnik wygranej, jaką się w poprzednich latach uzyskało w stosunku do władzy. W roku 1988 głównym elementem tego psychologicznego tła był 13 grudnia 1981 roku. Element ten, jak już powiedziałem, przybladł nieco w ostatnich dwóch latach, ale pomimo tego był on stale obecny i wystarczyło uderzenie w Nowej Hucie, żeby tę pamięć 13 grudnia odświeżyć i przywołać obraz władzy, która potrafi użyć siły i to skutecznie. I właśnie ta różnica tła psychologicznego jest według mnie przyczyną, iż ta ostatnia fala strajkowa była znacznie mniejsza i dlatego też słabą, czy może lepiej: izolowaną interwencją policyjną udało się falę tę na jakiś czas powstrzymać.

— Czy jednak nie patrzy Pan na historię społecznych protestów w PRL zbyt optymistycznie? Nie wydaje mi się by lata poprzedzające Sierpień 1980 odznaczały się jakimiś tryumfami społecznymi wobec władzy. Każdy zryw powodowany był pogorszeniem warunków życia i kończył się (po krótkim pozorze zwycięstwa) klęską protestujących. Podwyżki wycofywano by wprowadzić je zaraz w innej formie, a przyrzeczeń danych strajkującym nigdy nie realizowano. 13 grudnia był oczywiście szokiem, był zniweczeniem nadziei jakie wiązano z Sierpniem, ale nie był czynnikiem zmieniającym radykalnie spojrzenie społeczne na władzę. Stan wojenny „wprostował” jakby to spojrzenie i potwierdził (po raz kolejny), iż władza ta jest taka, a nie inna. Czy nie sądzi Pan, iż poczucie wygranej było jedynie udziałem strajkujących w 1980 roku?

— Poruszył Pan tutaj dwa problemy. Pierwszy to ocena wystąpienia społecznych poprzedzających Sierpień 1980, a drugi to konsekwencje stanu wojennego dla społecznych wyobrażeń o władzy. Jeżeli chodzi o pierwszą sprawę ulega Pan moim zdaniem stereotypowi, który zuboża te wydarzenia. Podstawą stabilności każdej dyktatury jest coś, co nazywam barierą lęku. To znaczy uformowanie w społeczeństwie przekonania, że z władzą się nie wygrywa.

Otóż zarówno odsunięcie Gomułki jak przede wszystkim cofnięcie podwyżki cen w lutym 1971 roku po strajku włóknianek w Łodzi towarzyszyło odczuciu ogromnej wygranej, którego sam doznałem i które miałem okazję obserwować na przykładzie zwykłych kobiet w Miejskich Pralniach i Farbiarniach, gdzie wtedy pracowałem. „Z nich jednak udało się coś wydusić” — powiedziała jedna z nich i to był ten moment narodzin nowej

psychologii, jaka określiła zachowania społeczne aż do 13 grudnia 1981 roku. Wprowadzenie stanu wojennego było moim zdaniem punktem zwrotnym, powiedzmy, próbą przywrócenia, jeżeli tak można powiedzieć, psychologicznego status quo sprzed grudnia 1970 r., to znaczy sytuacji, gdy ludzie znów są przekonani, że nie ma co „podskakiwać” bo się od „nich” niczego nie wywojuje. Krótko mówiąc w surowej atmosferze stanu wojennego miała zostać odbudowana owa bariera strachu chroniąca komunistów przed społeczeństwem. I częściowo to się udało. Komunistów niecierpiących (i na dodatek takich, którzy już niczego nie mogą) zastąpił w społecznych wyobrażeniach obraz komunistów zniczanawidzonych, ale niestety takich, co to skutecznie machają pałką. I temu moim zdaniem obrazowi zawdzięczamy słabość ostatniej fali strajkowej.

— Organizacja i przebieg strajku. Dzisiejszym protestom robotniczym brakuje rozmachu i entuzjazmu jaki panował w Stoczni w roku 1980. Czym jest to według Pana spowodowane? Czy główną przyczyną jest tylko pamięć o 13 grudnia?

— To jest spowodowane przede wszystkim tym, że strajki te umierają, zanim zdążą się na dobre rozwinąć. Gdyby protesty te miały warunki do pełnego rozwinięcia się to niewykluczone, że pojawiłyby się bardzo wiele elementów organizacji jak również symboliki z tamtego okresu. Ostatnie protesty przyrównać by można do ognia, który pali się na mokrym drzewie. I z punktu widzenia interesów Polski wcale nie jest jednoznaczna odpowiedź na pytanie, czy należy sobie życzyć, by drzewo to szybko wyschło. Czy to polskie drzewo wyschnie, by znów zapalić się bardzo groźnym płomieniem, groźnym nie tylko dla Polaków, ale także dla całego naszego rejonu, uzależnione jest w dużym stopniu od polityki generała Jaruzelskiego.

Myszę, że te ostatnie wydarzenia w kraju są bardzo poważnym ostrzeżeniem dla tej ekipy, ostrzeżeniem, które powinno określić nowe kierunki jej działania. Oni w tej chwili mają kilka możliwości wyboru. Myszę, że w żadnym razie nie zdecydują się na otwarcie polityczne, które związane byłoby z restauracją „Solidarności”. Wydaje mi się, że nie mogą również pozwolić sobie na przystosowanie polityki wewnętrznej do braku sukcesów gospodarczych, tzn., że mocno przykręcać śrubę. Jest to niemożliwe w warunkach zmian zachodzących w Rosji, która przeżywa proces liberalizacji gorbaczowskiej. Jeżeli Jaruzelski



Wiktor Grotowicz (tyłem) w rozmowie z Waldemarem Kuczyńskim

© by P. Załuski

chce pozostać w pierwszym szeregu tych zwolenników *perestrojki* (a wydaje mi się, że bardzo chce), to nie może sobie pozwolić na poważne przykręcenie śruby. Wobec tego jedyne co mu zostaje, to rozpoczęcie w bardzo przyspieszonym tempie procesu, który nazwałbym „demontażem socjalizmu w gospodarce”.

— No tak, ale tu pojawia się stary problem, czy można coś zmienić w sferze gospodarczej bez naruszania sfery politycznej? Dotychczasowe doświadczenia z komunizmem wskazują, iż jest to raczej niemożliwe.

— To jest możliwe. Nigdy nie zdarza się by elementy społecznej rzeczywistości były do siebie tak precyzyjnie dopasowane jak części mechanizmu szwajcarskiego zegarka. Zawsze istnieją pewne możliwości manewru. To nie jest tak, że system komunistyczny jest do tego stopnia integrystyczny, że jakaś złagodzona forma dyktatury partyjnej nie mogłaby współistnieć z gospodarką opartą w poważnym stopniu na zachodnich mechanizmach rynkowych. I to co dzisiaj można by doradzić generałowi Jaruzelskiemu to to, żeby jak najszybciej zaczął demontować socjalizm w gospodarce. Rozumiem przez to zniesienie przede wszystkim państwowej własności fabryk i stworzenie sytuacji, w której ludzie przedsiębiorcy mieliby dużo

swobody. Natomiast nie rozumiem przez to likwidacji różnych zdobyczy socjalnych. Sądzę, że w systemie komunistycznym istnieje dość znaczna możliwość ewolucji, co prawda nie w kierunku demokracji, bo żadna dyktatura w kierunku demokracji nie ewoluuje. Ewolucja ta oznaczać może jedynie inną formę dyktatury, taką, która potrafi lepiej współżyć z gospodarką rynkową, a tym samym w mniejszym stopniu będzie przynosiła społeczeństwu.

— A jak oceniliby Pan sposób i przebieg aktualnych negocjacji w Stoczni Gdańskiej? Brał Pan bezpośredni udział w negocjacjach w sierpniu '80 roku. Co dzisiaj doradziłby Pan strajkującym?

— Z daleka ja nie mogę niczego strajkującym radzić. Negocjacje, sposób ich prowadzenia i to co jest do wygrania są zawsze rezultatem pewnego układu sił. Nie ulega wątpliwości, że wtedy, w sierpniu 1980 roku, kiedy toczyły się rozmowy z komisją rządową, układ sił był zupełnie inny, niż w tej chwili. To jest bardzo trudna sytuacja i ja nie mogę tutaj nic radzić Wałęsie.

— W Polsce roku '88 panuje dużo mniejsza solidarność między poszczególnymi zakładami produkcyjnymi, między poszczególnymi rejonami kraju, między regionalnymi grupami opozycyjnymi

mi, niż było to osiem lat temu. Czy zgadza się Pan z tą opinią? Co jest tego przyczyną?

— Moim zdaniem głównym powodem są doświadczenia lat 1980-81, szczególnie doświadczenia stanu wojennego. Myślę, że ludzie nie wierzą w to, że strajk jest skutecznym narzędziem wymuszenia na władzy jakichś ustępstw, a nie wykluczone, że również w świadomości społecznej Polaków (coraz więcej wyjeżdża ich za granicę) narasta przekonanie, że poprawa własnego, indywidualnego losu, własnej stopy życiowej, nie może być osiągnięta poprzez dodrukowywanie pieniędzy.

— **Jedyną pozytywną różnicą w stosunku do sierpnia roku '80 wydaje się być dzisiaj nieporównywalnie większa niż wtedy ilość grup opozycyjnych w kraju. Jak oceniliby Pan działalność tych grup od początku konfliktu w Nowej Hucie?**

— Oświadczenia wydawane przez opozycję w Polsce były czasem mądre, a czasem tromtadrackie, jak na przykład oświadczenie KPN-u. O ich realnych działaniach nic nie wiem. Ale nie zgadzam się z Panem, że jedyną pozytywną rzeczą w stosunku do Sierpnia jest dziś duża ilość grup opozycyjnych, ale to już inna kwestia.

— **A jak wygląda w Pana ocenie reakcja Zachodu na najnowszą falę strajków w Polsce? Czy Zachód zmienił w ciągu tych ośmiu lat swój stosunek do „sprawy polskiej”?**

— Wygląda na to, że z naszego polskiego punktu widzenia reakcja Zachodu w naszej sprawie zmieniła się raczej na gorsze. Najistotniejszą różnicą w tej sprawie międzynarodowej, w której odbywają się wydarzenia w Polsce jest niewątpliwie proces uruchomiony przez Gorbaczowa. W roku 1980 to była Rosja Breżniewa, w której się nic nie działo, Rosja, po której w przypadku rozruchów w Polsce można się było spodziewać jakichś niejasnych zagrożeń dla Europy.

Teraz mamy do czynienia z Rosją Gorbaczowa, w której odbywa się pewien proces, proces liberalizacji, z którym Zachód wiąże bardzo duże nadzieje, i słusznie moim zdaniem. Jedynym mankamentem jest to, że na Zachodzie przywiązuje się czasem zbyt dużą wagę do tego, co dzieje się na samym szczycie, a za mało zwraca uwagi na to, co dzieje się w „duszy” tego narodu. Naród ten jest obecnie w fazie odtajania po 70 latach straszniego mrozu. Jednak moim zdaniem Zachód słusznie wiąże nadzieje z *pierestrojką*, bo oczywiście lepiej jest dla Europy mieć za sąsiada Rosję, która będzie krajem bardziej liberalnym i przez to

nie będzie mogła być tak agresywna i ekspansywna. W tej sytuacji wydaje mi się, że Zachód patrzy na to, co dzieje się w Polsce z większą obawą niż w roku 1980. Myślę też, że wszyscy uczestnicy tej gry w Polsce zdają sobie sprawę z tego, że w roku 1988 odpowiedzialność Polski za losy Europy jest większa, niż była w roku 1980.

— **Dziękuję Panu za rozmowę.**

Dokończenie ze str. 45

Zabrakło hasła, które by zamknęło ten protest na płaszczyźnie politycznej, odebrało władzy argument, że nam chodzi o pieniądze, odebrało władzy możliwość jak gdyby przekupywania strajkujących, postawiło na pierwszym miejscu postulat o charakterze politycznym, a wtórnie dopiero postulat placowy.

— **Co Pan zamierza, jak Pan pokieruje swym losem? Przecież Pańska sytuacja zmienia się w sposób radykalny. Może Pan chodzić sobie po ulicy i mówić: oto idę ja, Andrzej Górný.**

— No więc mogę i chodzić po ulicach tak jak przedtem. Może nieco inaczej, ale robię to teraz, działam, jestem w tym wirze, który wywołały ostatnie akcje strajkowe, spotykam się z ludźmi, próbuję chodzić po urzędach i załatwiać swoje zaległe sprawy sprzed lat i bieżące jak: zameldowanie, praca, mieszkanie itd.

To oczywiście następcza mi szereg sytuacji stresowych, ale próbując przez to przebrnąć, przede wszystkim myślę o działalności na rzecz „Solidarności” i na rzecz różnych środowisk, które funkcjonują wokół „Solidarności” lub od niej niezależnie.

Myślę, że po tym wszystkim co się stało, pojawiają się w Polsce różne niezależne podmioty społeczne i polityczne i trzeba będzie je inspirować, pomagać im. Widzę potrzebę jakby nowej zmiany jakościowej na naszej mapie opozycyjnej. Myślę, że ten czas, który przczyliśmy na przełomie kwietnia i maja będzie dla nas dobrą wskazówką, co należy dalej robić i jak należy dalej kierować samą „Solidarnością”.

— **Dziękuję Panu serdecznie za rozmowę i życząc sukcesów. Życzę także zdrowia.**

— Dziękuję bardzo.

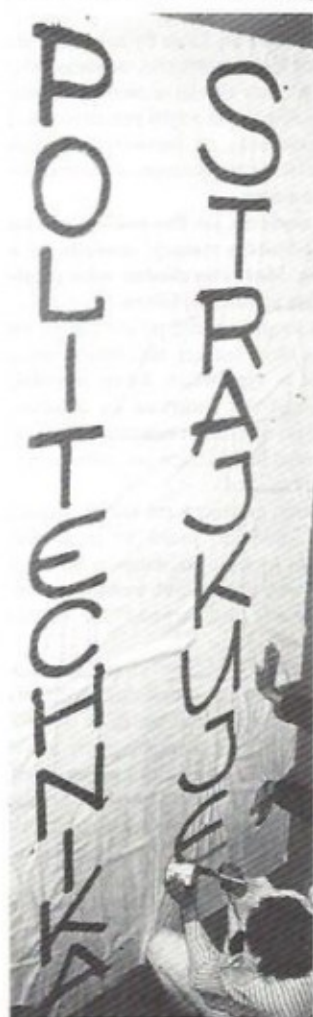
maj 1988



Wrocław: strajk studentów na Uniwersytecie



Wrocław: otoczenie kościoła św. Doroty



Wrocław: strajkna Politechnice



Wrocław: 1 maja 1988



Wrocław: Wiec studentów na pl. Uniwersyteckim 5.05.1988

Ostatnie wydarzenia w Polsce oczyma agencji „Dementi”



Hubert Łutycz, spikacz Komitetu Strajkowego z robotnikami od
lewicy A. Szczerzowski, B. Klich, M. Gil



Pracownicy Komitetu Strajkowego z robotnikami z zakładu PEFKIM w Warszawie



Spikacz Komitetu Strajkowego KM HEB z robotnikami



Kraków, maj 1988

Chora medycyna?

Konstytucja PRL pośród wielu niedotrzymanych obietnic (zgodnie z ludowym dowcipem: nie ma potrzeby, by ją zmieniać, jest bowiem jeszcze całkiem dobra, nieużywana) wymienia i taką, sformułowaną w artykule 70-tym: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy. Coraz pełniejszemu urzeczywistnianiu tego prawa służą: (...) rozwój organizowanej przez państwo ochrony zdrowia oraz podnoszenie poziomu zdrowotnego ludności, bezpłatna pomoc lekarska (...) stałe polepszanie warunków bezpieczeństwa, ochrony i higieny pracy, szeroko rozwinięte zapobieganie chorobom i ich zwalczanie...”

Po 36-ciu latach od uchwalenia Ustawy lekarze i pomocniczy personel medyczny odpowiadają masowym protestem przeciwko „stałemu deprecjonowaniu służby zdrowia, spychaniu jej do roli usług charytatywnych przy cynicznym odwoływaniu się do etyki zawodowej”, przeciw nieznośnym warunkom pracy służb medycznych i nieludzkim warunkom, w jakich pacjenci żyją, chorują i umierają, domagają się dla siebie godziwych warunków życia i pracy, powołania samorządu pracowniczego, w tym izb lekarskich, sprawujących kontrolę nad wykonywaniem zawodu.

Tak kończy się kolejny komunistyczny mit, mit dobrego, opiekuńczego państwa, fundującego swym obywatelom (ciekawe, za co?) bezpłatną, powszechną i staranną opiekę zdrowotną.

Nim powrócimy do sytuacji pracowników służby zdrowia, przypatrzmy się przez chwilę potrzebom zdrowotnym polskiego społeczeństwa. Oto dane z „Rocznika Statystycznego Służby Zdrowia GUS 1985 r.” (anachroniczność daty nie powinna dziwić — średnio „szybki” druk książki trwa w Polsce około 3 lat, z zasady tej wyjęte są

tylko artykuły Urbana, Rakowskiego czy przemówienia Generała, tzn. publikacje szczególnie „pilne”, które korzystają z tzw. ścieżki szybkiego druku). Według więc tego opóźnionego — a i dość bałamutnego zresztą — rocznika, zachorowania na nowotwory złośliwe wzrosły z 172,4 (na 100 tys. mieszkańców) w roku 1970 do 183,3 w roku 1983. Zachorowania na salmonelozę z 11,8 w okresie 1971-75 do 50 w roku 1984. Na zapalenie opon mózgowych — z 9,3 w latach 1971-75 do 21,4 w roku 1983. Na nerwice — u 162,4 w 1975 roku do 204,7 w roku 1983. Skądinąd wiadomo, że mamy w kraju najwyższą w Europie zapadalność na wszczepienne zapalenie wątroby, jeden z najwyższych wskaźników umieralności na choroby krążenia, tzw. nadumieralność mężczyzn w wieku 40-50 lat życia, a także „nadumieralność”... samych lekarzy. Jeden z klasycznych wskaźników cywilizacyjnych — wskaźnik umieralności niemowląt wg wspomnianego rocznika wynosił w 1983 roku 13,4 zgonów (na 1000 żywych urodzeń), zaś za rok ubiegły aż 18,4 — wg statystyki oficjalnej, która wymaga w tym względzie korekty o prawie plus 4 punkty, co w efekcie daje wskaźnik 22,1.

Warto może przy okazji wyjaśnić — choć nie należy to do tematu — skąd wzięła się owa, wymagająca korekty różnica. Otóż do 1962 roku definicja urodzenia żywego dziecka uwzględniała noworodki wykazujące choćby jedną z oznak życia (bicie serca, oddychanie, tętnienie pępownicy, skurcze mięśni zależnych od woli) o wadze od 601 do 1001 g wagi, także, jeśli nie przeżyły 24 godzin. Od czerwca 1962 roku na mocy instrukcji ministrów Zdrowia i Opieki Społecznej, Obrony Narodowej (!), Spraw Wewnętrznych (!), Komunikacji (!!) oraz Sprawiedliwości (Monitor Polski nr 48 z 16 VI 62) noworodki takie zaliczone zosta-

ły do odrębnej kategorii urodzeń i zgony ich nie są uwzględniane w statystyce zgonów niemowląt, co jest wprawdzie sprzeczne z terminologią stosowaną w innych krajach, ale znakomicie służy sztucznemu zaniżaniu wskaźnika umieralności. Odpowiada to ogólnej zasadzie peerełowskiej statystyki, której celem jest nie tyle ukazywanie zjawisk i tendencji, co raczej ich zaciemnianie.

Drugim ważnym wskaźnikiem stanu zdrowotnego społeczeństwa jest długość życia ludzkiego. Chłopiec urodzony w latach 1975/76 miał szansę żyć 67,24 lat, zaś urodzony w 1983 roku — 67,07 lat. Mężczyzna, mający 45 lat w okresie 1975/76, miał hipotecznie przed sobą jeszcze 27,47 lat — jego rówieśnik z roku 1983 już tylko 26,8 lat życia.

Jak gdyby w odpowiedzi na te potrzeby zmniejsza się w ostatnich latach liczba łóżek szpitalnych i stacji sanitarno-epidemiologicznych. Wzrasta — coraz wolniej — liczba lekarzy (jest ich ok. 19 na 100 tys. ludności), „stoi w miejscu” wskaźnik liczby stomatologów, wzrasta w minimalnym stopniu (z 45,9 na 46,4 w latach 1983/84) liczba pielęgniarek. Tragicznie przedstawia się sprawa zaopatrzenia w leki. Brak dewiz nie tylko na import gotowych preparatów, ale także na składniki niezbędne do produkcji leków krajowych. Szaleje prywatny „import” i czarny rynek leków, na którym np. 1 gram depónedrolu osiąga

cenę 47-krotnie wyższą od ceny 1 grama... złota! (*Polityka* z dn. 8.05.87). Brak nawet środków antykoncepcyjnych, gdy tymczasem liczba sztucznych poronień od lat wynosi około 1 miliona rocznie, dwukrotnie przewyższając liczbę urodzeń (wg Memoriału Episkopatu Polski do władz PRI z dn.18.06.70). Wg oficjalnej ekspertyzy Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego „wysiłki zastąpienia przerywania ciąży przez dobrą antykoncepcję właściwie nigdy nie zostały zorganizowane”.

Dehumanizacja medycyny, o której tyle pisze się na Zachodzie, w Polsce ma aspekt szczególny. Umiera się tu w szpitalnym korytarzu, na rozkładanym łóżku polowym, obok wiecznie zepsutej ubikacji, pod niewypranym kocem. Jak powiedziała doc. dr Zofia Kuratowska, internista i hematolog, ustrój postawił lekarza w sytuacji konieczności dokonywania selekcji, co jest najbardziej niemoralne i nie może pozytywnie rzutować na jego poziom etycznie-zawodowy jak i samopoczucie.

Życie w Polsce nie należy do zajęć zdrowych. Sprawy zdrowia zaczynają się daleko od drzwi przychodni lekarskiej czy szpitala. Trudne warunki egzystencji, pauperyzacja społeczeństwa, nierozwiązany problem mieszkaniowy, zanieczyszczenie środowiska, niehigieniczne warunki życia i pracy, stres wynikający z powszechnego braku sa-



Tak czcila „Dzień służby zdrowia” Pomarańczowa Alternatywa we Wrocławiu

tysfakcji, poczucie bezradności i braku nadziei, nie sprzyjają społecznej kondycji fizycznej ani psychicznej. Państwo, również jako pracodawca, nie wywiązuje się z obowiązku zapewnienia odpowiednich warunków pracy. Co najmniej jedna trzecia zatrudnionych w przemyśle pracuje w warunkach szkodliwych dla zdrowia, szacunek ten zresztą nie jest wiarygodny z wielu względów, między innymi dlatego, iż — jak to przyznaje oficjalnie Instytut Medycyny Pracy w Łodzi — poszczególne wojewódzkie stacje sanitarno-epidemiologiczne nie dysponują jednolitymi kryteriami „zagrożeń”, stąd dane nie są porównywalne i mogą być przedmiotem swobodnych interpretacji, czytaj — manipulacji. Około połowa stanowisk w przemyśle jest niezmechanizowana i jak zapowiada prof. Wójcik z Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR „w najbliższych latach nastąpi w wielu gałęziach gospodarki intensyfikacja pracy żywej i związany z tym wzrost zagrożeń-zawodowych”.

Dodajmy do tego złą żywność (np. mleko, przed którym ostrzegają nawet środki masowego przekazu), niedostatek snu (szczególnie u kobiet), nadmierną otyłość (co trzecia Polka ma nadwagę), nikotynizm (pali dwie trzecie mężczyzn i jedna trzecia kobiet, statystyczny Polak wypala rocznie 2300 papierosów, prawie dziesięciokrotnie więcej niż przed wojną — co pisze, pociągając kolejnego papierosa), alkoholizm (pięć milionów Polaków nadużywa alkoholu, półtora miliona kwalifikuje się do leczenia wedle tutejszych — pozbawionych rygorystu — kryteriów). Wg Andrzeja Bujwida, 14 milionów Polaków żyje na obszarach klęski lub zagrożenia ekologicznego, półtora miliona Ślązaków powinno być NATYCHMIAST ewakuowanych ze swoich miejsc zamieszkania. Tylko 10% zasobów wodnych odpowiada standardom spożycia, tylko trzecia część ścieków jest unieszkodliwiana przed ponownym wprowadzeniem ich do zbiorników wodnych. Trucizna sypie się z nieba — 200 kg siarki na 1 osobę rocznie, 7 kg ołowiu na 1 km drogi. Groźne dla życia staje się nawet mleko w proszku dla niemowląt, a sałata, rzodkiewka i inne zieleniny zawierają takie stężenie szkodliwych związków chemicznych (głównie azotyny), że należałoby je w ogóle przestać uprawiać na polskiej ziemi.

Od chwili wprowadzenia stanu wojennego w grudniu 1981 roku spadają w kraju wszystkie współczynniki charakteryzujące stan zdrowia społeczeństwa. W latach 1980/81 odnotowano

wyraźny spadek zgonów, natomiast od 1982 roku ich liczba zaczęła szybko wzrastać. Mamy, jak się zdaje, do czynienia z dwoma równoległymi, niezwykle niebezpiecznymi zjawiskami: całkowitym brakiem odpowiedzialności ze strony władz za stan zdrowotny narodu i kraju (nie mam tu na myśli świadomie złych intencji, lecz istotne mechanizmy systemu, w którym CAŁOKSZTAŁT warunków życia skupiony jest w JEDNEJ, całkowicie ARBITRALNEJ gestii) oraz z pewną, także typową dla systemu, gnuśnością społeczeństwa, jego brakiem odpowiedzialności za promocję własnego zdrowia — słowem z sytuacją, którą bez wielkiej przesady można by nazwać zbiorowym, rozkładanym na raty, samobójstwem.

Polak bardzo często źle się czuje i dość często się leczy. To ostatnie oznacza w praktyce dodatkowy stres i dodatkowe kolejki. Na przyjęcie do szpitala (w poważniejszych przypadkach ludzie pragną się leczyć w klinice, bowiem tylko klinika zapewnia minimum poczucia bezpieczeństwa) czeka się często 6 miesięcy, na ambulatoryjne wykonanie badania typu ekg, czy specjalistyczne prześwietlenie, parę tygodni, na uzyskanie przysługującej protezy czy aparatu korekcyjnego — parę miesięcy, na zakup najprostszego lekarstwa w aptecce (jeśli jest!) co najmniej godzinę (przy czym wata i podstawowe środki opatrunkowe są właściwie artykułami niedostępnymi). Informacja w „znajomej” aptece — wate dostajemy raz na dwa miesiące i w ciągu paru godzin sprzedajemy całą dostawę. Jatrogenność polskiej medycyny ma charakter szczególny i wyraża się poctozną opinią, iż na to, aby się leczyć, trzeba mieć dużo zdrowia. W najlepszej sytuacji od pacjentów są lekarze pozbawieni podstawowych narzędzi i środków do pracy, przemoczeni, pracujący w nieustannym stresie spowodowanym niewłaściwymi warunkami uprawiania zawodu i pogonią za dodatkowymi zarobkami oraz trudnościami dnia codziennego (ogromna ich część to kobiety), które dotyczą ich w tym większym stopniu, iż w pracy nie mogą pozwolić sobie na ucieczkę od odpowiedzialności.

Oto, typowa zresztą, sytuacja w jednym z warszawskich szpitali klinicznych. Na oddziale chirurgicznym brak rękawic, tych samych używa się w nieskończoność, dezynfekując je, dopóki się nie rozpadną — chirurg często operuje w dwóch różnych rękawicach, nierzadko za ciasnych. Brak jednorazowego sprzętu do transfuzji krwi, brak jednorazowych igieł do iniekcji, plastra, by przy-



Coraz częściej pobyt w szpitalu kończy się w ten sposób...

kleić cewnik, nie ma też cewników, dobrych nici chirurgicznych, rurek intubacyjnych itd., itp. Ostatnio przez kilka miesięcy nieczynny był aparat do badania elektrolitu (bez wyniku tego badania nie można pacjentowi podać narkozy). Dodajmy do tego takie „normalne” trudności, jak brak czystych prześcieradeł (czy też fakt, że lekarze piorą fartuchy sami), bo pralnia jest niewydolna, psujące się nieustannie windy (wtedy nie tylko pacjentów, ale i bardzo ciężkie butle z tlenem trzeba na piętra wnosić na plecach), brak podstawowych leków, także anestetycznych i reanimacyjnych, brak antybiotyków. Nie istnieje system sterylizacji łóżek szpitalnych, koce pierze się dopiero po kilkunastu pacjentach.

Od lat trwa ciągły „remont”, którego celem nie jest bynajmniej modernizacja szpitala, lecz troska o utrzymanie stanu dotychczasowego. Przybyli tu kiedyś z wizytą amerykańscy dziennikarze naiwnie zapytali — czy nie byłoby bardziej opłacalne zburzyć ten szpital, niż go tak stale remontować! Doktor anestezjolog z II stopniem specjalizacji (oczywiście kobieta) informuje mnie z odcieniem szyderczej dumy: — Dorobiliśmy się

już własnego szczepu bakteryjnego — zezjadliwego gronkowca, którego „nie biorą” najprze-myślniejsze nawet antybiotyki!

Praca w takich warunkach jest niezwykle trudna i pozbawiona satysfakcji. Jest w dodatku niebywale nisko opłacana — nawet jak na polskie warunki. Wyliczono, że za poważną operację chirurg otrzymuje mniej, niż mechanik samochodowy za kilkuminutową wymianę filtra powietrza. Lekarze (by pominąć sprawę jeszcze znacznie bardziej krzywdzących zarobków pielęgniarek) zarabiali właściwie zawsze mniej, niż wynosiła tzw. średnia płaca w gospodarce uspołecznionej. Wspomniana już doktor anestezjolog po 16 latach pracy otrzymuje miesięcznie 21.300 zł pensji podstawowej (obecnie średnia płaca w gospodarce narodowej wynosi ok. 30 tys. zł) plus 6.400 zł za specjalne dodatki (zabiegowy, specjalizacyjny, za pracę w specjalności deficytowej) oraz — jak dobrze pójdzie, czyli jeśli uda się jej dostać raz w miesiącu dyżur weekendowy — dyżury te są wyżej płatne, więc trzeba je pomiędzy pracowników dzielić sprawiedliwie — jeszcze 13.600 zł za sześć dyżurów.

Jeździ starą syrenką, na której utrzymanie i reperacje właśnie przestaje jej już wystarczać, kupioną za zarobki w pierwszych dziesięciu latach pracy na prowincji, gdy mieszkała razem z utrzymującymi ją rodzicami. Była wtedy jedynym anestezjologiem w 12-tysięcznym mieście, pracowała po 16 godzin dziennie, często przez 3-4 dni w ogóle nie wracała do domu, w chwilach wolnych od pracy musiała być stale dla szpitala uchwytana; zabierano ją do operacji karetką ze spaceru, z łóżka, z kościoła. Skończyło się to żółtaczką zakaźną (jest to w Polsce choroba zawodowa lekarzy), wyczerpaniem i przyjęciem propozycji pracy w warszawskiej klinice. Rodzice kupili jej za swoje oszczędności (są tzw. prywatną inicjatywą) 38-metrowe mieszkanie w Warszawie. Zezwolenie na zameldowanie w stolicy załatwiła jej po znajomości pacjentka, której mąż pracował w organie prasowym PZPR. Parę lat temu pracowała trzy miesiące w szpitalu w jednym z krajów skandynawskich, gdzie na jednego lekarza przypada 3 razy mniej zabiegów. Wywozła stamtąd przekonanie, że polski lekarz jest bardziej zaradny, bardziej uniwersalny i skłonny do podejmowania decyzji i odpowiedzialności oraz nie gorzej przygotowany do pracy od strony teoretycznej, naukowej — choć to ostatnie zakrawa na cud, skoro światowe piśmiennictwo medyczne zdobywa się u nas z zagra-

nicy, głównie przez znajomości i osobiste „układy”.

Oczywiście, klinika to medycyna w wydaniu luksusowym. Większość kontaktów ze służbą zdrowia odbywa się w nieporównanie bardziej zaniedbanych przychodniach i szpitalach rejonowych.

Zasadniczy podział służby zdrowia w Polsce, to podział na opiekę otwartą i zamkniętą. Podstawowym ogniwem otwartej opieki zdrowotnej jest przychodnia rejonowa, w której przyjmują lekarze młodzi, niedoświadczeni i lekarze o najniższych kwalifikacjach, ograniczający się najczęściej do paruminutowego obejrzenia pacjenta, wypisania najbanalniejszych leków (królują: aspiryna, sulfonamidy, antybiotyki i środki uspokajające), lub wypisania sterty skierowań na badania specjalistyczne, których wykonanie jest prawdziwą udręką i udaje się tylko pacjentom najbardziej operatywnym lub najbardziej zdesperowanym (wytrwałym). W efekcie, ten pierwszy, podstawowy kontakt z lekarzem o charakterze niemal biurowym, zresztą zurzędniczym zawodu lekarza (brak pomocy biurowych, konieczność wypisywania niezliczonych formularzy i sprawozdań różnego rodzaju) jest zmartwieniem wszystkich placówek służby zdrowia. Lekarze pogotowia ratunkowego to bardzo często studenci medycyny, tak więc pierwsze zetknięcie ze służbą zdrowia jest kontaktem z najniższym poziomem wiedzy i doświadczenia oraz wyposażenia medycznego — a bywa on czasem decydujący dla dalszego procesu leczenia pacjenta.

Oczywiście, jak w każdej innej dziedzinie życia społecznego, w komunizmie obywatele dzielą się pod względem dostępności do leczenia na „równych” i „równiejszych”. Powołana pod hasłem leczenia i profilaktyki zagrożeń, wynikających z postępującej industrializacji, przemysłowa służba zdrowia, wykazująca poziom usług uzależniony wprost proporcjonalnie od siły i znaczenia sponsorującego ją resortu, dysponuje urządzeniami medycznymi niedostępnymi dla zwykłego śmiertelnika. Dobrą opinią cieszą się więc szpitale wojskowe i MSW — lepiej zaopatrzone w leki, sprzęt medyczny, nowoczesne urządzenia diagnostyczne, a także — kadrę medyczną.

Od dziesięcioleci kursuje w Polsce powiedzenie, że kumoterstwo jest ostatnim ludzkim uczuciem na drodze do socjalizmu. Ten tragikomiczny paradoks w odniesieniu do służby zdrowia nabiera znaczenia dosłownego.

Mówi chirurg z Instytutu Chirurgii AM w Warszawie: — Każdy z nas połowę swego czasu służbowego poświęca na pomoc prywatną, na leczenie i załatwianie badań, zabiegów, leków dla rodziny, znajomych, znajomych znajomych itd. Ponieważ opieka zdrowotna w Polsce jest tak zorganizowana, iż ztratzyła cechy OPIEKI, lekarz rejonowy jest urzędnikiem, lekarza domowego nie ma w ogóle, a istniejący system „opieki” medycznej rzucił chorego na margines służby zdrowia. Poprzez znajomości, układy, koneksje, protekcje kompensujemy pacjentowi to, czego odmawia służba zdrowia i robimy to w tej samej przychodni, czy w tym samym szpitalu, w którym bez znajomości mógłby się czuć anonimowy, opuszczony i zaniedbany. Oczywiście — pacjentowi, który potrafi się w tę sieć prywatnych stosunków jakimś sposobem włączyć. A co z innymi?

Procederem notorycznym są prezenty dla lekarzy, nielegalne honoraria, czy wręcz łapówki sięgające często i do 500 dolarów za skomplikowaną operację. Jest to zjawisko, o którym wszystkim wiadomo, choć nie lubi się o tym mówić.

Nielegalność i protekcjonizm nierzadko bywają sprzymierzeńcami chorego. Bo kiedy sytuacja jest już naprawdę dramatyczna, a zespół leczący przyzwyczajony — co, o dziwo, zdarza się znacznie częściej, niżby to wynikało z deprymujących i demoralizujących warunków pracy — lekarze niemal stają na głowie, by pomóc, wykorzystując kontakty prywatne, znajomości ze szkoły, studiów czy miejsca pochodzenia, „pożyczają” leki z lepiej



Wielu pacjentów, zwłaszcza dzieci, zapada w szpitalach na infekcje

zaopatrzonych, uprzywilejowanych placówek, byle ratować. Gorzej, jeśli nie jest się ani pacjentem protekcyjnym, ani ciekawym medycznie, czy dramatycznym życiowo przypadkiem...

Od lat w państwowej — niesłusznie przez władze zwanej społeczną — służbie zdrowia narasta przekonanie o jej podrzędności i lekceważącym stosunku władz, zarówno do jej potrzeb, jak i do zdrowia publicznego.

W sierpniu 1980 roku, po raz pierwszy środowisko medyczne — z natury swej tak przecież zhierarchizowane, zindywidualizowane i rozproszone — zdobyło się na zbiorowy protest wobec warunków swego życia i pracy i zorganizowało w Gdańsku strajk okupacyjny, z którego następnie wyrósł NSZZ „Solidarność” Pracowników Służby Zdrowia. Działa on nadal, wydaje swoje pismo i różne biuletyny, próbuje wydawać monograficzne prace na temat warunków życia społecznego, opracował program uspołecznienia polskiej służby zdrowia.

Ostatnio, dzięki „zasługom” władz, doszło do kolejnego, cementującego środowisko medyczne konfliktu: kłamliwa informacja ministra zdrowia (w niezwykle arogancki sposób zdementowana następnie przez Urbana) o wydanej podwyżce plac (średnio o 14.900 zł na osobę) okazała się bluffem. W istocie, po odliczeniu automatycznie wypłacanego wszystkim pracownikom tzw. dodatku osłonowego (związanego z podwyżką cen), normalnych funduszy na awanse, przeszerogowania, nagrody jubileuszowe itd. oraz... zeszloneczne awanse, na które w ubiegłym roku zabrakło pieniędzy — podwyżka okazała się kilkakrotnie niższa od zapowiedzianej, bo wahała się w granicach od 2-4 tys. zł i uznana została przez środowisko za swego rodzaju prowokację.

Posypały się protesty do dyrektorów szpitali, ministra zdrowia, Sejmu PRL i wszelkich możliwych instytucji. Kiedy piszę ten tekst, wiadomo, iż w Gdańsku podpisało protest 5 tys. osób, w Płocku 3 tysiące; podpisują go masowo lekarze i pielęgniarki w szpitalach warszawskich. — Jesteśmy gotowi na demonstracje uliczne — powiedziała mi prezentowana wyżej doktor anestezjolog (zresztą, taka 600-osobowa demonstracja odbyła się już w Gdańsku). W wielu placówkach pracownicy posuwali się do desperackiego kroku nieprzyjęcia nowoobliczonych zarobków. Rozważano i inne formy protestu, ale każda z nich: niewypisywanie aktów zgonu, odmawianie pomocy poza przypadkami ostrymi itd. godzi przecież nie we władzę,

lecz przede wszystkim w chorych i ich rodziny.

Lekarze, przez dziesięciolecia obrażani nie tylko niedogodnią zapłatą i niedostatkami warsztatu pracy, ale także bezustannymi wypomnieniami, iż państwo „Joży” na ich kosztowne i „bezproduktywne” utrzymanie, zaczynają z wolna myśleć również w kategoriach obywatelskich i gospodarskich. Pytają, co się dzieje z kwotą 40 proc. zarobku — każdego zarobku — która co miesiąc jest przez zakłady pracy odprowadzana do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych? Dlaczego właściwie służba zdrowia ma pozostawać na „Jasce” budżetu państwa i być od tego państwa całkowicie uzależniona, skoro to właśnie ZUS (który wspomniane wyżej sumy, rzecz jasna, przekazuje do budżetu państwa) powinien jej koszty refundować! Być może dopiero wtedy okazałoby się, czy do medycyny się dopłaca, czy też ona sama na siebie zarabia. A w każdym razie powstałaby możliwość uniknięcia nachalnej i arbitralnej ingerencji państwa w sprawy, o których winni decydować fachowcy — tak, jak dzieje się to w całym demokratycznym świecie. Potrzeba uspołecznienia służby zdrowia staje się w środowisku medycznym coraz powszechniej rozumianym hasłem. Osobiście obawiam się, iż nie ma ono większych szans realizacji niż hasła uspołecznienia przemysłu, szkolnictwa, czy jakiegokolwiek innej dziedziny naszego zswietyzowanego życia. Jest jednak wyrazem brzemiennej przemiany dokonującej się w polskim społeczeństwie. Być może właśnie przez lekarskie okulary najdokładniej widać, do czego prowadzi ten ustrój. ■

AESCULAP

APTEKA WYSYLKOWA
ARZENEIMITTELVERSAND
AESCULAP

Ostwall 97, 4150 Krefeld — RFN
tel. 0049-2151-801710

Postgiroamt Essen Konto Nr. 17164-438

Apteka nasza wysyła wszystkie lekarstwa dostępne na rynku RFN na podstawie recepty wystawionej przez polskiego lekarza. Wysyłka bezpośrednio do kraju lub rodziny zamieszkałej zagranicą. Nasze ceny są do 20% niższe niż w aptekach na terenie RFN. Wysyłka następuje po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na nasze konto lub przesłaniu czeku na nasz adres. Informacji udzielamy listownie lub telefonicznie w godz. 9 do 12.

ZARZĄD APTEKI

Przetopić stal na mieszkania!

Problem mieszkaniowy jest jednym z kilku dyżurnych tematów publicystyki społeczno-gospodarczej w Polsce. Istota tematu dyżurnego polega na tym, że powszechnie stwierdza się istnienie jakiegoś ważnego problemu społecznego, ale liczne wypowiedzi i formułowane propozycje odnośnie jego rozwiązania nie przynoszą żadnego rezultatu. Większość publicystów wybiera drogę najłatwiejszą, ograniczając się bądź do analizowania danych statystycznych, bądź przedstawiania przykładów szczegółowych, co nie pozwala na sięgnięcie do istoty problemu, a przede wszystkim przyczyn jego powstania.

W całym okresie powojennym mamy do czynienia ze zjawiskiem braku równowagi na rynku mieszkaniowym. Rosnące zapotrzebowanie nie znajduje pokrycia w ilości nowych mieszkań, i w rezultacie sytuacja mieszkaniowa pogarsza się systematycznie. Lata osiemdziesiąte przyniosły spadek oddawanych do użytku mieszkań do poziomu uzyskanego już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Trzeba jednak pamiętać, że w końcu lat sześćdziesiątych dominowała tzw. technologia wielkoblokowa, znacznie bardziej pracochłonna niż powszechna dziś technologia wielkopłytowa, choćby ze względu na konieczność wykonania tynków wewnętrznych, zastąpionych współcześnie malowaniem bądź tapetowaniem surowych prefabrykatów. Tak więc regres budownictwa mieszkaniowego jest daleko większy.

Państwowy plan na rok 1988 przewiduje oddanie do użytku 203 tys. nowych mieszkań, a więc najwięcej jeśli chodzi o ostatnie pięć lat. Dla po-

równania, z oficjalnych danych wynika, że w latach 1980-86 zawierano w Polsce średnio 300 tys. małżeństw rocznie i mniej więcej tyle rodziło się dzieci. Oznacza to, że liczba oddanych do użytku nowych mieszkań nie zaspokaja nawet bieżących potrzeb, wynikających z wrastającej liczby nowych rodzin. Dodać należy do tego kilka milionów obywateli oczekujących na mieszkania od kilkunastu lat.

W krajowej publicystyce dominuje przekonanie, że wszystkiemu winne są przedsiębiorstwa budowlane, coraz mniej sprawne i efektywne. O skutkach, szczególnie społecznych, pisze się jakby mniej, starannie unikając jakiegokolwiek odniesienia zaistniałej sytuacji do systemu gospodarczego w trakcie pierwszego lub w progu drugiego etapu reformy. Mnożą się programy uzdrowienia budownictwa mieszkaniowego oraz wyprowadzenia go z kryzysu. Ich wspólną cechą jest brak analizy przyczyn zaistniałej sytuacji, a przede wszystkim kompleksowego ujęcia problemu. Formułowane recepty koncentrują się zwykle na procesie budowy mieszkań, rzadziej obejmują proces przygotowania inwestycji, pomijając z reguły gospodarkę istniejącymi zasobami. Nikt nie zadaje sobie pytania, czy władze naprawdę dążą do rozwiązania problemu mieszkaniowego w Polsce. Pomija się wreszcie fakt krańcowo różnej sytuacji na wsi i w miastach. Budowa własnego domu zespolonymi siłami własnymi i sąsiadów, choćby z największym nakładem sił i środków, a tkwienie od kilkunastu lat w pamięci komputera Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej jako jedna z dziesiątek tysięcy pozycji, to dwa różne światy tej samej socja-

listycznej rzeczywistości. Tymczasem do rangi symbolu urastają coraz częściej sytuacje, w których młoda rodzina po 20 latach oczekiwania ma wreszcie realną szansę na przydział mieszkania, które przyczynić musi dla... swych dorastających lub już dorosłych dzieci.

Spróbujmy przyrzeć się temu problemowi z nieco innej perspektywy, ograniczając pole widzenia do dużych aglomeracji miejskich i pomijając żonglerkę statystyczną w skali makro. Powołajmy się nie na statystykę, lecz na opis realnej rzeczywistości, możliwy do zweryfikowania niemal gołym okiem przez zainteresowaną społeczność, uwzględniając szeroki wachlarz zjawisk mających wpływ na efekty polityki mieszkaniowej państwa. Teoretycznie powinna ona przynieść w Polsce powszechną dostępność samodzielnego mieszkania dla kolejnych pokoleń.

W polityce mieszkaniowej trzeba wyróżnić cztery obszary uwarunkowań determinujących stopień zaspokojenia potrzeb społecznych.

Pierwszy — to zestaw decyzji centrum gospodarczego, określający ogólne warunki budowy nowych mieszkań oraz niezbędnej infrastruktury. Decyzje te mają charakter polityczno-gospodarczy i dotyczą wielkości nakładów na budownictwo mieszkaniowe, rozmiarów zaopatrzenia przedsiębiorstw w materiały, sprzęt, transport oraz, o czym się często zapomina, określają reguły działania przedsiębiorstw w ramach tzw. reformy gospodarczej. W tym ostatnim przypadku chodzi przede wszystkim o stworzenie (bądź zablokowanie) szans rozwoju potencjału przedsiębiorstw wykonawczych.

Reguły dotyczące opodatkowania przyrostu środków na wynagrodzenia uniemożliwiają praktycznie zwiększenie stanu zatrudnienia. Równoległe brak materiałów, maszyn i urządzeń oraz środków transportowych także wyklucza rozwój potencjału wykonawczego. Wynika to z prostego faktu, że pomimo istniejącej sytuacji i społecznej rangi problemu mieszkaniowego, nie ustanowiono praktycznie priorytetu dla tej gałęzi gospodarki narodowej. Bywało, że hasła o nadaniu szczególnej rangi budownictwu mieszkaniowemu pojawiały się w uchwałach najwyższych władz politycznych i gospodarczych, ale niezbędne środki nadal były kierowane zupełnie gdzie indziej.

Oznacza to, że władze nie podjęły decyzji o rozwiązaniu problemu mieszkaniowego i jest to pierwsza przyczyna, dla której istniejąca nierównowaga wciąż się pogłębia.

Drugi obszar uwarunkowań obejmuje szeroko pojęty proces przygotowania inwestycji mieszkaniowych.

Przekazywanie do użytku nowych osiedli mieszkaniowych wymaga poniesienia uprzednio ogromnych nakładów na wykup terenów budowy obiektów produkcyjnych i uzbrojenia terenu.

Przez wiele lat budowano niemal wyłącznie bloki mieszkalne, zaniedbując wyprzedzające roboty uzbrojeniowe, co dziś stało się poważną barierą utrudniającą przyrost ilości mieszkań przekazywanych do użytku. Pokonanie tej bariery wymagałoby nie tylko znacznych nakładów finansowych, ale także poważnego rozwoju przedsiębiorstw inżynierskich. Zadanie to jest niemożliwe do zrealizowania bez poważnych decyzji centrum.

Trzeci obszar uwarunkowań to sfera wykonawstwa budowlanego, a konkretnie problematyka związana z organizacją, sprawnością i efektywnością przedsiębiorstw budowlanych, zajmujących się budownictwem mieszkaniowym.

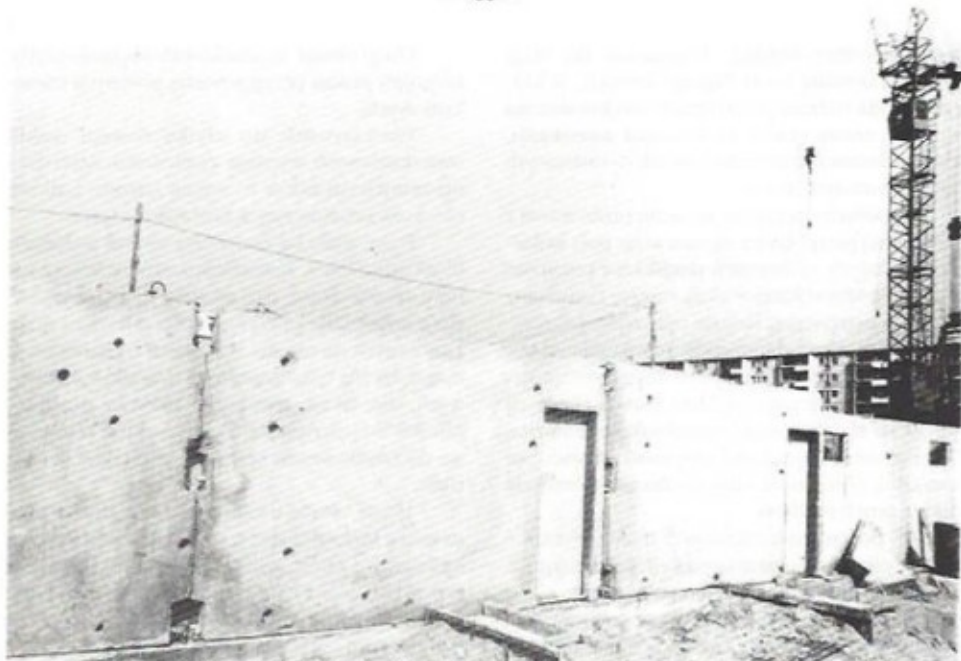
Władze centralne, generalnie nie zainteresowane podjęciem decyzji o charakterze kompleksowym, podporządkowały większość przedsiębiorstw radom narodowym, które dysponują wyłącznie możliwościami na skalę lokalną, najczęściej zbyt skromnymi, by zadbać o odpowiednie zaopatrzenie w materiały, sprzęt, środki transportowe i narzędzia. Możliwości finansowe rad narodowych są tak dalece ograniczone, że nawet regulowanie należności w stosunku do przedsiębiorstw przebiega ze znacznym opóźnieniem, powodując nieustanne kłopoty finansowe.

Można zaryzykować tezę, że przedsiębiorstwa są osamotnione w walce o rozwiązanie problemu mieszkaniowego. Nie są im w stanie pomóc władze lokalne, które dodatkowo znajdują się pod prężeniem rozliczających je wojewódzkich organów partyjnych.

Obniżyła się także wyraźnie sprawność samych przedsiębiorstw, które z wielu powodów nie są dostatecznie zainteresowane ani ilością, ani jakością przekazywanych użytkownikom mieszkań. Główną przyczyną tego stanu rzeczy leży w niewielkiej zależności pomiędzy ilością i jakością oddawanych mieszkań a poziomem wynagrodzeń.

I wreszcie czwarty obszar — gospodarka istniejącymi zasobami mieszkaniowymi.

Mamy tu do czynienia z wieloma różnymi problemami, począwszy od polityki przydziału mieszkań, przez wykorzystywanie powstałej w



Lata 80-te przyniosły spadek liczby oddawanych mieszkań.

ubiegłych latach substancji mieszkaniowej, aż po działalność remontową.

Ujmując rzecz systematycznie, rozdział nowych mieszkań przebiega trzema torami.

Pierwszym z nich jest wydzielona z góry i niebagatelna pula do dyspozycji wielkich zakładów pracy oraz wojska i służb bezpieczeństwa, stanowiąca ważny instrument pozyskiwania nowych pracowników oraz utrzymania istniejących załóg. Czas oczekiwania na mieszkania jest tu znacznie krótszy od przeciętnego, a ponadto ich użytkownicy mogą liczyć na bezzwrotne pożyczki na zagospodarowanie. Ta część substancji mieszkaniowej jest więc całkowicie wyłączona spod kontroli społecznej.

Druga pula mieszkań, najskromniejsza ze wszystkich, to lokale kwaterunkowe, będące w gestii rad narodowych. Przeznacza się je dla ludzi o najniższych dochodach, których nie stać na mieszkania spółdzielcze oraz na potrzeby związane z wykwaterowaniem. Z puli tej przydziela się często mieszkania osobom szczególnie potrzebnym w danym regionie, co ma charakter całkowitego uznaniowy.

Wreszcie trzecią pulę mieszkań stanowią lokale spółdzielcze. Od wielu lat funkcjonuje system oszczędnościowych książeczek mieszkani-

wych, które można otwierać nawet dla małych dzieci. Książeczki te służą do gromadzenia środków na pokrycie kosztów przyszłego mieszkania, a także bilansowania potrzeb mieszkaniowych. Ich właściciele rejestrowani są w Wojewódzkich Spółdzielniach Mieszkaniowych, gdzie po zgromadzeniu pełnego wkładu mieszkaniowego oczekują na skierowanie do konkretnej spółdzielni i rozpoczęcie właściwego okresu oczekiwania na nowe mieszkanie.

Aktualnie w rejestrach wojewódzkich figuruje ponad milion obywateli, którzy po uzyskaniu pełnoletności oraz zgromadzeniu pełnego wkładu oczekują na prawo... formalnego oczekiwania na mieszkanie. Są to więc ludzie co najmniej 18-letni, w imieniu których zaangażowano środki finansowe, a otrzymali oni w zamian tylko numer ewidencyjny. Rejestry wojewódzkie obejmują także obywateli, którzy bądź nie zgromadzili pełnego wkładu, bądź nie uzyskali pełnoletności. Ich liczba nie została podana do publicznej wiadomości.

Niezależnie od uwzględnionych w rejestrach wojewódzkich, znaczna ilość osób ułokowała swoje wkłady w konkretnych spółdzielniach mieszkaniowych, gdzie okres oczekiwania wynosi od 10 do 20 lat. Przydziały w spółdzielniach realizowane są w dwóch formach. Zasadnicze znacze-

nie mają listy przydziału mieszkań, realizowane w zależności od czasu wyczekiwania, ale funkcjonują także listy przyspieszeń, na których umieszcza się osoby o szczególnie trudnych warunkach mieszkaniowych. Nietrudno zgadnąć, że na tym tle rodzą się różne nieprawidłowości, co potwierdzają rozliczne kontrole.

Z punktu widzenia dostępności mieszkań, obywatele dzielą się na szereg kategorii, od najbardziej uprzywilejowanych z tytułu miejsca pracy lub zajmowanego stanowiska, po pozbawionych wszelkich przywilejów szeregowych członków spółdzielni. Osobny problem stanowi gospodarka lokalami już zasiedlonymi. Obowiązujący przez wiele lat tryb zmiany mieszkań oraz brak konsekwencji w realizowaniu ustawowej zasady o prawie jednej rodziny do jednego mieszkania, doprowadziły do niewykorzystania istniejącej powierzchni mieszkaniowej, a zatem znacznego różnicowania warunków życia obywateli. Dokonana obecnie nowelizacja prawa lokalowego niewątpliwie usprawni procedurę zmiany mieszkań, ale trzeba będzie wielu lat, aby przyniosło to konkretne, społecznie odczuwalne rezultaty.

Po wojnie wielka ilość lokali mieszkalnych została przeznaczona na biura rozmaitych urzędów i instytucji. Nierzadko całe budynki mieszkalne zajmowane są przez zarządy przedsiębiorstw. O rozmiarach problemu można sądzić tylko na podstawie ilości tablic informacyjnych przed wejściem do wielu budynków w dużych miastach, nie ogłoszono bowiem żadnych oficjalnych danych na ten temat.

I wreszcie problem działalności remontowej. Od wielu lat zakres remontów ogranicza się do zabiegów kosmetycznych i w efekcie narasta niebezpieczeństwo lawinowego przyrostu potrzeb remontowych, niezbędnych po 30 do 50 lat użytkowania budynków. Wiadomo, że konieczne remonty zaangażują znaczny potencjał i środki, a tym samym uszczuplą możliwości budowy nowych mieszkań. Jak dotąd, nie istnieje nawet koncepcja rozwiązania tego problemu. Warto pamiętać, że w wielu ośrodkach miejskich zanieczyszczenie środowiska zagraża nie tylko zdrowiu mieszkańców, ale także powoduje szybsze zużywanie się budynków mieszkalnych oraz wszelkiego rodzaju instalacji, szczególnie podziemnych. Staje się więc oczywiste, iż problemowi mieszkaniowemu nie nadano w systemie gospodarczym odpowiedniej rangi. Rozwiązanie problemu mieszkaniowego w Polsce musi być poprzedzone szereg

regiem działań wstępnych. Fundament stanowić powinna decyzja polityczna władz, potwierdzająca konkretną wołę rozwiązania problemu, formułująca cel oraz termin realizacji. Wobec wieloletnich zaniedbań i powagi aktualnej sytuacji na kompleksowe rozwiązanie problemu nie ma co liczyć przed upływem przynajmniej 20 lat. Nie wyklucza to oczywiście możliwości podjęcia szeregu działań doraźnych.

Konsensu podjęcia decyzji politycznej powinno być dokonanie pełnego bilansu istniejących zasobów oraz zapotrzebowania perspektywicznego, ze szczególnym uwzględnieniem istniejącej już substancji użytkowanej w celach innych niż mieszkalne.

Bilans, o którym mowa, uzupełniony wynikami badań demograficznych, powinien stać się podstawą określenia konkretnego programu potrzeb rzeczowych dla nowego budownictwa mieszkaniowego. Ów program musi uwzględniać wielkość substancji możliwej do odzyskania przez usprawnienie gospodarki lokalami, ale także potrzeby wykwaterowań z tytułu niezbędnych zabiegów remontowych.

Niezwykle istotne jest skójżarzenie programu potrzeb rzeczowych ze skutkami szeregu działań wspomagających. Chodzi o sensowne zasady gospodarki rolnej, odwracające falę migracji ze wsi do miast, program budowy centrów administracyjnych dla uwolnienia lokali mieszkalnych użytkowanych dotychczas jako biura oraz usprawnienie komunikacji, zachęcające do osiedlania się nawet w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miejsc pracy.

Bilans potrzeb rzeczowych musi stać się wyznacznikiem odrębnego programu pozyskiwania terenów pod nowe budownictwo oraz ich kompleksowego uzbrojenia, biorący pod uwagę także budowę źródeł zasilania (elektrownie, ciepłownie) oraz sieci urządzeń do uzdatniania wody i oczyszczania ścieków.

Programy rzeczowe, rozpisane oczywiście w czasie, stanowić mogą podstawę do zbilansowania niezbędnych środków potencjalnych, w tym szczególnie materiałów budowlanych. Ponieważ budownictwo korzysta z produkcji wielu resortów, przydziały materiałów dla budownictwa powinny być realizowane w formie zamówień rządowych. Podobnie powinno odbywać się zasilanie przedsiębiorstw w maszyny i środki transportowe, tym bardziej, że trzeba będzie ograniczyć dostawy na rzecz wielkich inwestycji przemysłowych.

Osobny kompleks działań stanowi modyfikacja zasad gospodarczych dotyczących przedsiębiorstw budownictwa mieszkaniowego, które należy zachęcić do rozwoju. Przy utrzymaniu eksportu budownictwa, co zapewne okaże się niezbędne, należy wyposażyć firmy budowlane w prawo do odpisów dewizowych, które mogłyby wzbogacić proces produkcji o nowe licencyjne techniki a choćby tylko nowoczesne narzędzia.

W odrębnym trybie należy opracować program potrzeb remontowych oraz określić niezbędne środki i zasady organizacji.

Dopiero na tle konkretnych programów rzeczowych budownictwa mieszkaniowego stanie się możliwe wypracowanie koncepcji szeroko pojętej polityki mieszkaniowej. Wydaje się niezbędne przyjęcie dwóch podstawowych form własności mieszkań: spółdzielczej i prywatnej. Dla obu tych form, które powinny być powszechnie dostępne, bez żadnych wyjątków, niezbędne będzie wypracowanie zasad kredytowej pomocy państwa na wzór rozwiązań zachodnich. Nie wydaje się, aby istniały przeszkody dla pokrycia długoterminowymi kredytami 90% kosztów nowych mieszkań, co urealniloby ich powszechną dostępność jako normalnego towaru rynkowego.

Przy ustanowieniu powszechnego systemu kredytowego niezbędne okazać by się musiało zlikwidowanie wszelkich pul mieszkań będących w gestii zakładów pracy i instytucji, które mogłyby wspierać finansowo swoich pracowników, ale nie dysponowałyby prawem przydziału mieszkań.

Przedstawiona koncepcja rozwiązania problemu mieszkaniowego obejmuje jedynie zadania o charakterze zasadniczym. Ich realizacji powinno towarzyszyć wyzwołanie inicjatywy społecznej. W tym względzie decydujące znaczenie mieć będzie przekonanie obywateli o konkretności i realności celu oraz jednoznaczności i jednolitości zasad dla wszystkich.

Jest jasne, że decyzja polityczna określająca wolę rozwiązania jednego z najbardziej palących problemów społecznych współczesnej Polski, musi oznaczać daleko idącą reorientację polityki inwestycyjnej państwa, a przede wszystkim rezygnację z dotychczasowych rozmiarów rozbudowy przemysłu ciężkiego. Wybór przebiega pomiędzy godnymi warunkami życia polskich rodzin a bezużyteczną masą stali. ■

**Do Przewodniczącego
Towarzystwa „Solidarność”
Geßlerstr. 10
D-1000 Berlin 62**

**Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa
„Solidarność” jako członka wspierającego.**

Imię i nazwisko:

Adres:

.....

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

.....
Podpis

Nie, bo nie

O próbach rejestracji niezależnych związków zawodowych

Niewielka sala Sądu Najwyższego wypełniona jest po brzegi. Rozpoczyna się właśnie dwudziesta dziewiąta z kolei sprawa o rejestrację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” pracowników Akademii Medycznej im. M. Kopernika oraz Państwowego Szpitala Klinicznego w Krakowie. Pod wnioskiem komitetu założycielskiego figurują 334 podpisy, zaś wśród nich nazwiska znanych profesorów, kierowników klinik, ordynatorów. Pełnomocnikiem komitetu założycielskiego jest krakowski adwokat dr Andrzej Rozmarynowicz. Nikt na sali nie ma złudzeń, co do finału sprawy. Wiadomo z góry, że mniej więcej za godzinę zakończy się przegrana komitetu założycielskiego, podobnie jak było w dwudziestu dziewięciu poprzednich przypadkach. Na razie jednak rozprawa toczy się tak, jakby celem jej było zgodne z obowiązującym prawem orzeczenie sądu. Sędziowie słuchają wystąpienia dr A. Rozmarynowicza, twarze mają poważne, przewodniczący sięga nawet od czasu do czasu po pióro, jakby chciał zanotować któryś z padających argumentów.

Obecni na sali w skupieniu słuchają przemówienia. Adwokat mówi o prawie Polaków do swobodnego zrzeszania się zagwarantowanego konstytucją, przytacza przepisy zawarte w Paktach Praw Człowieka i konwencjach międzynarodowych MOP zapewniających wolność związkową, również ratyfikowanych przez Polskę. Są i nowe elementy. Przed rozprawą dr A. Rozmarynowicz poczynił kroki zmierzające do wyjaśnienia z urzędu przez kompetentne instytucje niezgodności ustawy o związkach zawodowych z dnia 8 października 1982 r. z ustawą zasadniczą i akceptowanymi przez PRL normami prawa międzynaro-

dowego. Problem dotyczy w istocie jednego tylko przepisu. Art. 60 ust. 3 ustawy o związkach zawodowych stanowi mianowicie, że istnienie pluralizmu związkowego w Polsce stanie się możliwe dopiero wówczas, gdy zezwoli nań Rada Państwa wydając odpowiednią uchwałę. Władze PRL uznają jak dotąd tylko oficjalne neozwiązki, nie chcąc dopuścić do pluralizmu, choć w innych artykułach przewiduje go ta sama ustawa.

Gdy adwokat kończy — obecna na sali publiczność nagradza go rzęsistymi brawami. Skład orzekający (sędziowie SN — G. Szymański, E. Brzeziński i F. Mzyk) słucha ich w milczeniu, przewodniczący nie przywołuje obecnych do porządku, choć oklaski są zabronione na salach sądowych. Nie reaguje też, gdy po krótkiej przerwie i ogłoszeniu postanowienia oddalającego prawomocnie wniosek o rejestrację, publiczność ostentacyjnie opuszcza salę, wznosząc okrzyki: „Wstyd!”, „Hańba!”. Sąd i to znosi bez słowa komentarza. Na sali pozostają tylko ci, którzy, jak ktoś określił, przyszedli tu służbowo — prawnicy zainteresowani pomimo wszystko uzasadnieniem wyroku, dziennikarze prasy niezależnej oraz funkcjonariusze SB. Niektórzy z nich przybyli tu oddelegowani aż z Krakowa. Gdy przewodniczący E. Brzeziński zaczyna wygłaszać uzasadnienie, słowa jego zagłusza śpiew dobiegający z korytarza. Ci, którzy przed chwilą wyszli, śpiewają pod drzwiami sali „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wszystko to dzieje się dnia 7 kwietnia, który wyznaczono dniem protestu służby zdrowia.

★ ★ ★

Od przeszło roku, w rozmaitych zakładach

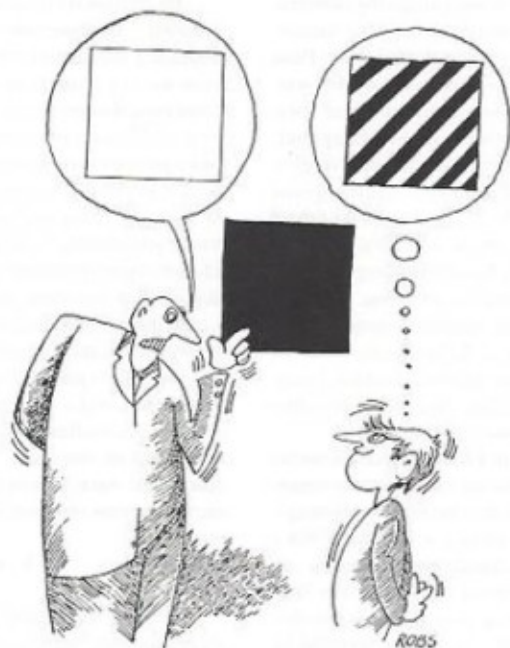
pracy w całym kraju powstawać zaczęły komitety założycielskie niezależnych, samorządnych związków zawodowych, z których niemal wszystkie przybierały nazwę „Solidarność”. Jako pierwsze powstały w listopadzie 1986 r. komitety w dwóch przedsiębiorstwach Świnoujścia, a mianowicie w Morskiej Stoczni Remontowo-Budowlanej i w Porcie. Potem, pomimo odmów rejestracji, z którymi komitety owe spotykały się kolejno najpierw w sądach wojewódzkich prowadzących rejestry związkowe, a następnie w drugiej instancji przed Sądem Najwyższym, ruch ten nie osłabł, a nawet wprost przeciwnie — wyraźnie się rozwinął. Do chwili obecnej powstało łącznie około 45 komitetów założycielskich, w tym w znanych w kraju zakładach przemysłowych, jak „Ursus”, huta w Stalowej Woli, w Zakładach im. Marchlewskiego w Łodzi, w porcie w Szczecinie, a także w niektórych ośrodkach naukowych, jak wspomniana już Akademia Medyczna w Krakowie, Politechnika Szczecińska, Uniwersytet Warszawski, a ostatnio również Uniwersytet Wrocławski. Do połowy kwietnia br. Sąd Najwyższy odrzucił trzydzieści rewizji komitetów założycielskich, co również nie zachwiało związkowców w walce o prawo do tworzenia niezależnych organizacji związkowych. Już po paru pierwszych rozstrzygnięciach Sądu Najwyższego nikt nie spodziewał się pomyślnego wyniku postanowienia sądowego, pomimo nieodpartych z punktu widzenia prawa argumentów adwokatów.

Nie starano się nawet zachować pozorów obiektywnego i wnikliwego rozpatrywania spraw wpływających na wokandę. Narady sędziowskie trwały zawsze za ledwie po parę minut, uzasadnienia brzmiały nielogicznie i sztampowo. Kolejne składy sędziowskie powoływały się na wspomniany już art. 60 ust. 3 ustawy o związkach zawodowych, wyjaśniając, że dopóki Rada Państwa nie udzieli stosownego zezwolenia, dopuszczając pluralizm związkowy, możliwe jest działanie z zakładach pracy tylko jednej organizacji związkowej. Rozmaicie natomiast rozprawiał się Sąd Najwyższy z racjami reprezentowanymi przez pełnomocników komitetów założycielskich, powołujących się na Konstytucję PRL oraz konwencje międzynarodowe. Niektóre argumenty brzmiały wręcz niepoważnie i były wprost kompromitujące, biorąc pod uwagę, że firmowała je najwyższa w kraju instancja sądowa. Tak więc np. sędziowie SN lansowali pogląd, iż swobodę zręczania się w związkach zawodowych można interpretować ja-

ko wolność wyboru wstąpienia do istniejącego związku zawodowego lub pozostania poza nim, albo utrzymywali, że Konstytucja, zapewniając w zasadzie wolność związkową nie precyzuje, jakie ma ona przybrać formy, te ostatnie więc mogą być rozmaicie regulowane przez władze. Interpretacja taka jest zaprzeczeniem zasady respektowanej we wszystkich cywilizowanych krajach, a stanowiącej, że dozwolone jest wszystko, czego wyraźnie nie zabrania prawo. Zdziwiająco były też fragmenty uzasadnień Sądu Najwyższego dotyczące ratyfikowanych konwencji międzynarodowych. Z ust „najwyższych sędziów” można było usłyszeć, iż w zasadzie prawo międzynarodowe w PRL nie obowiązuje, ratyfikacji dokonuje bowiem Rada Państwa, nie zaś Sejm będący władzą ustawodawczą. Równało się to twierdzeniu, że ratyfikacja jest jedynie gestem kurtuazyjnym wobec opinii światowej, nie rodzącym żadnych skutków prawnych. Podobny wydzwięk miał również argument, że konwencje międzynarodowe nie wiążą sądów, podlegających tylko ustawom wewnętrznym. Najwięcej szczerości okazał sędzia Sądu Najwyższego Perestaj, który odmawiając rejestracji związku w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich w Szczecinie powiedział w uzasadnieniu: „Nie, bo nie”.

Od wielu lat PRL przyjmując i ratyfikując konwencje międzynarodowe, zapewniając szeroką sferę wolności i praw obywatelskich, nie stosowała ich w praktyce. Nigdy jednak nie posuwała się publicznie do tak cynicznej szczerości. W rzeczywistości, pomimo zapowiedzi liberalizacji ogłoszonych w kraju i za granicą, władze stawiają zdecydowaną tamę wszelkim inicjatywom niezależnym, wśród których jako najbardziej groźny jawi się im wolny ruch związkowy. Sytuacja wedle rządzących kształtuje się tym bardziej niebezpiecznie, że aż do dziś znaczna liczba pracujących pozostaje poza oficjalnym ruchem związkowym. W zakładach pracy, w których dochodzi do powstania komitetów założycielskich „Solidarności”, poza związkiem jest często większa część pracowników, pomimo rozmaitych przywilejów, z jakich korzystają neozwiązkowcy. Oni to przede wszystkim otrzymują przydziały mieszkań z puli przedsiębiorstw, skierowania do sanatoriów, na wczasy i kolonie letnie dla dzieci oraz często korzystają z rozmaitych przydziałów, których są pozbawieni inni.

Pozostawanie poza neozwiązkami wymaga więc pewnej siły charakteru i niejednokrotnie wy-



rzeczeń. Pomimo to presja społeczna, jaką część zatrudnionych stara się wyrzucić na władze, wyraźnie się nasila. Znajduje to m.in. swój wyraz w atmosferze sal sądowych, na których rozstrzygane są sprawy rejestracji niezależnych związków. Na salach tych stale przybywa publiczności, która nie krępuje się w swych reakcjach, co od pewnego czasu cierpliwie znoszą sędziowie. Sami często wydają się jakby zażenowani narzuconą sobie rolą, a w wygłaszanych uzasadnieniach zamiast arbitralności i poczucia władzy, pobrzmiwających jeszcze przed kilkoma miesiącami, pojawia się łagodny, jakby przeproszający ton: *— Jestem pewien, że nadejdzie dzień, w którym znów zaczniemy rejestrować* — powiedział do mnie przed kilkoma dniami w prywatnej rozmowie jeden z sędziów sądu wojewódzkiego — *naturalnie, nie wiadomo kiedy, ale nie wykluczam, że już niedługo.*

W sukurs niezależnym związkowcom przyszli także przedstawiciele nauki prawa, dla których sprzeczność pomiędzy normami wyższego rzędu, jak Konstytucja i konwencje międzynarodowe, a „czasowym” rozwiązaniem zawartym w ustawie o związkach zawodowych i wyprodukowanym na doraźne potrzeby władzy, od początku wydawała się oczywista.

Gdy w roku 1985 powołano w PRL do życia Trybunał Konstytucyjny, którego zadaniem jest, przynajmniej nominalnie, badanie zgodności ustaw i aktów prawnych niższego rzędu z Konstytucją, wydawało się, że błyska nadzieja zlikwidowania rozbieżności systemu prawnego. Wkrótce okazało się jednak, że Trybunał Konstytucyjny stanowi li tylko jedno jeszcze decorum. Pomimo to, po pierwszych orzeczeniach Sądu Najwyższego oddalających wnioski o rejestrację niezależnych związków zawodowych w zakładach pracy, do Trybunału Konstytucyjnego zwróciło się siedmiu wybitnych prawników polskich (byli wśród nich m.in. prof. prof. A. Stelmachowski, T. Zieliński i K. Skubiszewski) — członek Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, sędzia Zofia Wasilkowska (były minister sprawiedliwości) oraz wspomniany już dr A. Rozmarzynowicz).

W sporządzonym memoriale wytykali oni rażącą niezgodność art. 60 ust. 3 ustawy o związkach zawodowych z Konstytucją i innymi prawami obowiązującymi w PRL, domagając się zbadania sprawy pod kątem zapewnienia spójności systemu prawnego i respektowania praw obywatelskich. Memoriał ten nie doczekał się ani rozpa-

trzenia, ani odpowiedzi. Następną próbę zainteresowania Trybunału Konstytucyjnego tą niernormalną bądź co bądź sytuacją podjął adw. Piotr Andrzejewski (niepokorny członek palestry warszawskiej, któremu w swoim czasie minister sprawiedliwości wyteoczył aż osiem spraw dyscyplinarnych), pełnomocnik komitetów założycielskich w Świnoujściu i Szczecinie. Podczas rozprawy przed Sądem Najwyższym, adw. P. Andrzejewski zgłosił wniosek, aby pierwszy prezes Sądu Najwyższego skierował do Trybunału Konstytucyjnego pytanie prawne dotyczące zgodności przepisu ustawy o związkach zawodowych, ograniczającego czasowo wolności związkowe, z Konstytucją. Wniosek ten oczywiście odrzucono jako bezzasadny. Ostatnio pismo o podobnej treści złożył bezpośrednio w Trybunale dr A. Rozmarynowicz.

Czyniono też i inne kroki w celu skłonienia Rady Państwa do określenia terminu ponownego wprowadzenia w Polsce pluralizmu związkowego. W tym celu do Rady Państwa w styczniu 1988 r. wystąpili in corpore członkowie komitetu założycielskiego „Solidarności” Uniwersytetu Warszawskiego, domagając się przywrócenia pluralizmu związkowego w PRL od dnia 1 stycznia br. Pismo w tej sprawie podpisało 418 pracowników naukowych. Odpowiedź oczywiście nie nadeszła. Znacznie śmielej poczęli sobie niezależni związkowcy ze Świnoujścia i Szczecina, występując do Rzecznika Praw Obywatelskich prof. Ewy Łętowskiej z wnioskiem o wystąpienie aż do dwóch trybunałów, powołanych do życia w związku z „odnową”.

Związkowcy żądali, aby Rzecznik spowodował pociągnięcie siedemnastu członków Rady Państwa w samym generałem na czele do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu za zaniechanie wydania uchwały umożliwiającej istnienie pluralizmu związkowego. Autorzy wniosku domagali się również wystąpienia Rzecznika do Trybunału Konstytucyjnego o skreślenie w ustawie związkowej passusu o czasowym zakazie tworzenia niezależnych związków zawodowych, sprzecznym z ustawą zasadniczą i normami międzynarodowymi.

Rzecznik udzielił odpowiedzi w przepisowym terminie, bo już po miesiącu, informując, że nie podejmie postępowania w zgłoszonej mu sprawie, do czego ma dobre prawo. Prof. E. Łętowska nie dopatrzyła się zresztą naruszenia praw obywatelskich w ograniczaniu swobód związkowych, uważając, że wszystko dzieje się lege artis.

Interesująco brzmi następujący fragment odpowiedzi: *Ograniczenie stosowania ustawy o związkach zawodowych, które nakłada jej art. 60, a które dotyczą odsunięcia w czasie realizacji pluralizmu związkowego wynikały z przesłanek politycznych. Zakładano przy tym, że będą one miały charakter przejściowy i wprowadzono je z uwagi na istniejące w chwili wprowadzenia i utrzymującą się po tej dacie sytuację polityczną w kraju.* Ograniczenia pluralizmu związkowego argumentuje się też niebezpieczeństwami dodatkowej presji i licytacji między równymi związkami w roszczeniach o charakterze materialno-ekonomicznym wobec państwa. W zakończeniu tekstu Rzecznika Praw Obywatelskich pojawia się akcent optymistyczny. Prof. E. Łętowska wyraża mianowicie nadzieję, że prace nad nowelizacją Konstytucji i przepisami o zrzeszaniu się obywateli „sprzyjać będą weryfikacji szeregu decyzji politycznych w kierunku rozszerzenia praw obywatelskich”.

Pragnąc uzasadnić potrzebę powołania do życia drugiego związku zawodowego w zakładach pracy, komitety założycielskie starały się zainteresować sądy, a zwłaszcza Sąd Najwyższy, warunkami, w jakich przychodzi pracować załogom niektórych przedsiębiorstw. Są one bardzo często gorsze od dziesiętnastowiecznych i urągają wszelkim zasadom higieny i bezpieczeństwa pracy, co wywiera fatalny wpływ na stan zdrowotny załóg. Zarówno dyrekcje przedsiębiorstw, jak i oficjalne związki zawodowe orientują się oczywiście w sytuacji, dbałość o zdrowie pracujących ustępuje jednak zawsze trosce o wykonanie planów produkcyjnych. Stąd też niektóre komitety założycielskie, przygotowując się do rozpraw sądowych, zwłaszcza przed Sądem Najwyższym, opracowały raporty na ten temat. Miały one stanowić dodatkowy argument przemawiający za potrzebą powstania niezależnych związków, które troszczyć się będą o zaniechane sprawy pracownicze. Sąd Najwyższy bez protestu przyjmował te dokumenty z rąk pełnomocników lub członków komitetów założycielskich i włączał je do akt zgodnie z przybraną od pewnego czasu taktyką, którą można by zamknąć w hasło „przede wszystkim nie drażnić”. Potem raporty te wraz z aktami wędrowały do szaf.

Miałem w ręku dwa takie dokumenty. Jeden z nich pochodzi z Dolnośląskich Zakładów Metali

Niechelaznych „Dolmel” i jest wręcz wstrząsający. Pracownicy „Dolmela”, w znacznej części kobiety, narażeni są na zatrucia szkodliwymi substancjami, takimi jak etylen, polistyren, aceton, denaturat i ulatniające się lakiery. Wdychanie wyziewów tych trujących związków powoduje choroby układu trawiennego, niezżyty gardła i różnego typu alergię. W zakładach używa się również azbestu jako materiału izolacyjnego, co przy braku wszelkich zabezpieczeń sprawia, że powietrze w halach produkcyjnych nasycają substancje rakotwórcze.

Kobiety zatrudnione w „Dolmela”, a jest ich około 2 tysiące, pracują w wysokich temperaturach i przy zupełnym braku wentylacji, co wywiera fatalny wpływ na ich zdrowie i samopoczucie. Najlepszym przykładem ilustrującym stosunek dyrekcji do warunków, w jakich pracuje załoga, jest sprawa wentylatorów, które doprowadzone do ostateczności pracownice gotowe były zainstalować na własny koszt przy swoich stanowiskach pracy. I to jednak okazało się niemożliwe. W halach produkcyjnych brak bowiem gniazdek z dopływem prądu elektrycznego. W tej sytuacji, której bliższe omówienie wymagałoby osobnego elaboratu, w zakładach „Dolmel” zamiast poradni lekarskich prowadzony jest — niczym kwiatek przy kożuchu — gabinet kosmetyczny, w którym pracownice mogą się, i to bezpłatnie, upiększać. W praktyce z gabinetu piękności korzystają jedynie urzędniczki, robotnice pracujące na akord w nieustannej pogoni za zarobkiem nie mają na to czasu. Stan zdrowotny kobiecej części załogi jest wręcz opłakany. 95% kobiet pracujących na najgorszym ze zdrowotnego punktu widzenia wydziale W-5 cierpi na anemię, znaczna jest absencja chorobowa, z którą kierownictwo „Dolmela” próbuje walczyć metodami administracyjnymi; mniej więcej u 30% kobiet oczekujących dzieci dochodzi do poronień. Z raportu sporządzonego przez komitet założycielski zjeje beznadziejnością i bezsilnością.

Na podobne bolączki skarżą się pracownicy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego PKP — również we Wrocławiu. Krótki, lecz wymowny raport w tej sprawie złożył Sądowi Najwyższemu przedstawiciel komitetu założycielskiego, podczas rozprawy w dniu 12 kwietnia br., po której wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” w tymże zakładzie został naturalnie oddalony. Pracownicy Zakładów Naprawczych również narażeni są na bezpośrednie wdychanie pyłu azbestowego (szczególnie w rurlowni, w tłoczni i kot-

larni), wzywów dymnych pochodzących ze spawania elektrycznego, a także pyłu cementu — szlifierki używane w zakładzie nie są bowiem wyposażone w tzw. odkurzacze itd. Rezultaty nietrudno odgadnąć. Wśród zatrudnionych szerzą się takie choroby, jak chroniczny bronchit, azbestoza, nowotwory i inne. I tu warunki pracy załogi nie wzbudzają większego zainteresowania dyrekcji i neozwiązków. Poza organizacją związkową pozostaje zresztą dwie trzecie około 2 tys. pracowników, którzy pragną założyć własny związek zawodowy, aby zająć się na serio ochroną ich interesów. Fatalne warunki pracy panują zresztą w większości zakładów przemysłowych w PRL, na ogół przestarzałych i zaniedbanych, zwłaszcza, że dyrekcje unikają wszelkich inwestycji i wydatków w ich pojęciu nieproduktywnych, bo nie mających wpływu na wykonanie czy przekroczenie planu. Zdrowie pracowników znajduje się na szarym końcu zainteresowania dyrekcji, powszechnie wiadomo, że nawet dobrzy fachowcy nie są w PRL cenieni. Zagadnienia te mogłyby stanowić wdzięczne i nader pożyteczne pole działania dla nowo powstałych związków zawodowych. Cóż, kiedy jak na razie przynajmniej nie ma na nie miejsca w peerelowskiej rzeczywistości.

Walka o stworzenie samorządnych niezależnych związków zawodowych w zakładach pracy nie toczy się bez ofiar, choć opinii publicznej niewiele na ten temat wiadomo. Nie mówi się o tym na salach sądowych rozpatrujących sprawy rejestracji. Od pierwszej chwili powstania nowej fali ruchu związkowego, działaczy i sympatyków komitetów założycielskich spotykały rozmaitego rodzaju przykrości i szykany. Niektórym z nich, jak trzem członkom komitetu założycielskiego ze stoczni im. Warskiego w Szczecinie Ryszardowi Liszewskiemu, Kazimierzowi Ilnickiemu i Wiesławowi Milewskiemu grożono podczas przesłuchań prowadzonych przez funkcjonariuszy SB nie tylko utratą pracy, ale i śmiercią. Innych członków założycieli nowych związków, jak Henryka Tachasiuka z „Ursusa” i Krzysztofa Zadroznego z wrocławskiego „Polaru” zwolniono z pracy.

W ciągu roku zmagają o wolne związki szykany nie ustają. Szarpani przez SB i wzywani na przesłuchania są członkowie komitetu założycielskiego w hucie Stalowa Wola, Wiesław Podsiadło, Wiesław Turasz, Michał Rostek i Władysław Li-

wak, których dyrekcja przenosi karnie z jednego wydziału na drugi, grożąc im usunięciem z pracy. W Kopalni Węgla Brunatnego w Bełchatowie, gdzie poza neo-związkiem pozostaje 4 tys. górników, doszło w prawdziwej dintojry nad niezależnymi działaczami związkowymi, w którą gorliwie włączyła się również dyrekcja. Andrzej Głowacki i Tadeusz Lis otrzymali upomnienia za, jak to określił dyrektor, „samowolną działalność”, co pociąga za sobą represje finansowe w postaci obciążenia premii i nagrody z zysku przedsiębiorstwa, (a zarobki w Bełchatowie są stosunkowo niskie), a także przeniesienie na gorsze stanowiska pracy. Zagrożono im też zwolnieniem w razie kontynuowania działalności. Wiesława Dąbkowskiego wyrzucono z pracy za rzekomy udział w nielegalnym zebraniu, jak określono koleżeńskie spotkanie członków komitetu założycielskiego w prywatnym mieszkaniu. Innych jeszcze członków komitetu zatrzymano i poddano przesłuchaniom, na których jak zwykle padały pogróżki.

W miarę, jak powstawało coraz więcej komitetów założycielskich, zaczęto wymyślać nowe utrudnienia dla działaczy. Dyrekcje zakładów pracy zaczęły np. odmawiać udzielania jednodniowych bezpłatnych urlopów członkom komitetów założycielskich, którzy zamierzali uczestniczyć w rozprawach sądowych o rejestrację związku. Początkowo na rozprawy te komitety założycielskie stawiały się in corpore. W wyniku utarczek z dyrekcjami, mogli już przyjeżdżać tylko ich przedstawiciele. W Bełchatowie doszło do sytuacji, w której członkowie komitetu, chcąc pojechać na rozprawę, zdecydowali się wystąpić jako honorowi krwiodawcy, oddając za dzień wolny własną krew. Również to wywołało żywe niezadowolone zwierzchników, którzy sięgnęli po kary dyscyplinarne, jak „wytyki” i upomnienia.

Ani padające jedna za drugą odmowy rejestracji, ani represje spadające na działaczy związkowych nie osłabiły jednak walki o niezależne związki, która nie tylko nie wygasa, ale wciąż się zaostrza. Organizacje związkowe, którym odmówiono rejestracji istnieją nadal w swoich zakładach pracy i działają pomimo represji i trudności. Członkowie komitetów założycielskich cieszą się wśród załóg szacunkiem i autorytetem, przynajmniej zdaniem pracowników, którzy założyli swój akces do związków. Ciągłe też powstają nowe komitety założycielskie. W ostatnim okresie szczególnie interesujące jest wyłonienie się takiego komitetu na Lubelskim Uniwersytecie Katolickim, przy któ-

rym nie działają neo-związki. Jako uzasadnienie odmowy nie będzie więc można tym razem puścić znanej płyty, z której wynika, że w jednym zakładzie pracy może działać tylko jeden związek.

Choć władze udają, że jak się to mówi w perelowskiej gwarze — „nie ma sprawy”, sprawa jest i w dodatku nabrzmiewa coraz bardziej. W kręgach pracowniczych trwają ostatnio dyskusje nad nowelizacją Konstytucji, a także kodyfikacji karnej. W jednym i drugim wypadku rozlegają się głosy uczonych i pracowników naukowych w całym kraju o konieczności respektowania przez Polskę konwencji międzynarodowych i wpisania takiej zasady do Konstytucji PRL. Równocześnie wzrasta presja społeczna na Sejm, Radę Państwa i Rzecznika Praw Obywatelskich celem położenia kresu bezprawnym i szkodliwym zakazom dotyczącym pluralizmu związkowego. Może więc rzeczywiście nadejście dzień, w którym jak powiedział znajomy sędzia, zakładanie niezależnych związków stanie się możliwe. Ani argument „nie, bo nie”, ani udawanie, że czarne jest białe nie może mieć w obecnych polskich warunkach szans na długą metę, choćby władzy było tak najwygodniej. ■

NOWOŚĆ WYDAWNICTWA POGLĄD

Wiktor Grotowicz
i
Stanisław Oleś

CZY POLAKÓW STAĆ NA OPTYMIZM?

Rozmowy ze Zdzisławem Najderem

Zapis kilkudniowych rozmów przeprowadzonych przez autorów w dwa tygodnie po odejściu Zdzisława Najdera ze stanowiska dyrektora Rozgłośni Wolna Europa w marcu 1987 r. Zdzisław Najder opowiada o powodach swojej rezygnacji, działalności i pracy w Polsce (miesięcznik TWÓRCZOŚĆ, Polskie Porozumienie Niepodległościowe) przelomowych wydarzeniach politycznych w kraju oraz roli i funkcji polskiej emigracji. W redakcji ROZMÓW zachowano żywy i bezpośredni styl narracji Najdera, przeplatanej wspomnieniami i komentarzami, które składają się na kolejny niecodzienny polski zyciorys.

str. 103

DM 14,50

Do nabycia w redakcji „Poglądu”
lub księgarniach polskich na Zachodzie

Sytuacja ekologiczna polskiej wsi

W Polsce stopień zniszczenia osiągnął już takie rozmiary, iż wreszcie po Sierpniu rząd musiał zająć oficjalne stanowisko w tej sprawie. I choć niejednokrotnie oświadczał, iż nie jest źle, bo w innych krajach jest jeszcze gorzej, to przecież ustalono oficjalnie tzw. obszary ekologicznego zagrożenia (OEZ). Podstawowymi kryteriami była tu wielkość opadu pyłów, ilość emitowanych gazów i ścieków oraz nagromadzonych odpadów. Pomimo, iż opublikowano nawet odpowiednie sprawozdania, wydawany jest rocznik poświęcony ochronie środowiska, w rzeczywistości władze starają się utrzymywać społeczeństwo w niewiedzy. Po co niepokoić prostaczków, prawda? Tym bardziej, że te OEZ są właściwie obszarami klęski ekologicznej, a nie zagrożenia. Zaliczono do nich bowiem Górnośląski Okręg Przemysłowy, Legnicko-Głogowski Okręg Miedziowy, Białe Zagłębie (cementowe) i 24 inne obszary, obejmujące w sumie 11% powierzchni kraju, na której zamieszkuje 1/3 ludności. Skróconym życiem, o wiele wyższą śmiertelnością niemowląt i osób słabszych, zwiększoną zachorowalnością (chodzi także o choroby psychiczne) płać one za błędy marksizmu. Skutek wiadomy: zatrute wody, zdezastrowane lasy, skażone powietrze.

Coraz częściej w prywatnych kręgach mówi się o zagrożeniu życia przez nadal konsekwentnie niszczone środowisko i o kompletnej indolencji władz. Tylko w 1987 roku rząd nie wykorzystał ponad 1 mld złotych na ochronę środowiska (co na to Sejm, którego ustawy budżetowej w tym względzie rząd nie wykonał?). Poszczególne urzędy wojewódzkie osiągnęły jeszcze gorsze wyniki, nie wykorzystując nawet 50% przyznaných środ-

ków. A szeroko reklamowane nowe oczyszczalnie czy filtry, to kropla w morzu potrzeb. Zakłady płać kary za przekraczanie dopuszczalnych norm emisji (zamiast np. płać w formie podatku progresywnego za wielkość emisji) na Fundusz Ochrony Środowiska, z którego następnie... funduje się im oczyszczalnie!

Jak może być inaczej, skoro ponad połowa zakładów, zobowiązana niedawną ustawą Prawa Wodnego do budowy oczyszczalni, nie podjęła żadnych kroków. Polska zatrutowana jest nadal.

Na tę sytuację, szczególnie tragiczną w rejonie większych miast i zakładów przemysłowych, dodatkowo nakładają się zanieczyszczenia atmosferyczne z zagranicy. Dużo ich płynie z zachodniej Europy, ale najwięcej z NRD i Czechosłowacji. Oto w końcu lat siedemdziesiątych opinia publiczna wymusiła w Görlitz (NRD) budowę nowego odprowadzania spalin z miejscowego zakładu przemysłowego. Wybudowano więc komin o takiej wysokości, aby zaoszczędzić na instalacji filtrów, ale przeważające wiatry zachodnie unoszą pyły i gazy w większości na teren... Polski. A niedaleko przecież działają potężne elektrownie korzystające z zasiarczonego węgla brunatnego, emitując ponad 600 tys. Mg^o dwutlenku siarki rocznie, w większości na Polskę. Podobnie dzieje się z elektrowniami w północnych Czechach, a my nic nie możemy zrobić, po pierwsze dlatego, że w tak idyllicznym obozie moskiewskim brak ustalonych zasad dla postępowania rozstrzeniowego, po drugie, nie mamy odpowiedniej sieci pomiarowej (monitoringu), która pozwoliłaby obiektywnie ustalić sprawcę. Jak w rezultacie wygląda zaawansowanie niszczenia środowiska przyrodniczego,

widać najlepiej na przykładzie aglomeracji katowickiej i lasów sudeckich ginących w szybkim tempie. Wystarczy choćby wspomnieć, iż Czesi szacują biologiczne życie lasów po północnej stronie Karikonoszy (chronionych przez polski Park Narodowy!) co najwyżej na piętnaście lat.

Jednakże mało kto, poza wąskim gronem specjalistów, zdaje sobie sprawę z fatalnej sytuacji ekologicznej polskich wsi. Wynika to zarówno z mniejszej koncentracji źródeł emisji, a poza tym część zanieczyszczeń „opuszcza” glebę... wraz z jej płodami, nie kumulując ich w sobie, jak np. lasy. Dwutlenek siarki przenika wszędzie, tworząc w połączeniu z wodą kwas siarkowy. Coraz więcej w powietrzu tlenków azotu, które z kolei tworzą kwas azotowy lub azotawy. W rezultacie spadają na nas kwaśne deszcze, będące przyczyną zniszczeń odzieży, skóry, roślin, budowli itp. Średnie stężenie dwutlenku siarki nad Polską w wielu rejonach wynosi ponad 5 Mg/m^3 , ale są obszary, gdzie stężenie to jest jeszcze wyższe. Oto Polska południowa i południowo-zachodnia notuje ponad 10, a rejon Katowic i Sudetów nawet ponad 20 Mg/m^3 . Są to już wartości zagrażające bezpośrednio zdrowiu człowieka. I, rzecz jasna, dotyczy to także terenów wiejskich. Szczególny wzrost stężenia tego gazu notuje się w okresie jesienno-zimowym. Jest to efekt sezonu ogrzewczego, a

wiadomo, iż do opału używa się węgla najgorszego gatunku: zarówno kamiennego, jak i brunatnego — bo tylko wysoce zsiarczony, który nie znajduje zbytu za granicą, otrzymuje indywidualny nabywca. A ten przecież nie będzie w swoim kominie instalował filtrów. Mimo woli rolnicy (i nie tylko) trują się sami, nawet na tych terenach, na których latem sytuacja jest całkiem niezła.

Zgubny wpływ wywiera, niestety, motoryzacja a zwłaszcza samochody. Produkowane w Polsce pojazdy są przestarzałym rozwiązaniem technicznym w oparciu o benzynę „uszlachetnianą” związkami ołowiu, z którymi poprzez katalizatory tak uporczywie walczy Zachód. Czy nowy model licencyjnego samochodu przejdzie na benzynę bezołowiową? Póki co, spaliny zatruwają rozległe przestrzenie, w uprawianych roślinach znajduje się coraz więcej tak groźnego dla zdrowia ołowiu. Z nieba sypie się pył i to w dużych ilościach. W miastach opady sięgają nawet ponad 2000 mg/km^2 , ale i na wsi nie jest lepiej. Na wielu obszarach opad pyłu wynosi ponad 100 mg/km^2 , a liczone są i takie, gdzie wartość ta wzrasta do ponad 200 mg/km^2 . Czy to dużo, czy mało? Otóż polskie normy ochronne mówią o wielkości 250 mg/km^2 na obszarach chronionych (są to praktycznie wszystkie obszary) i 40 mg/km^2 na obszarach specjalnie chronionych, tj. zdrowiskach, parkach narodo-



wych, rezerwach itp. Tak tedy oficjalnie głosi się, iż wszystko jest w porządku, ponieważ opady nie przekraczają normy. Ale jeżeli założyc poziom 40 mg/km² na całym obszarze, jak być powinno, to sytuacja staje się dramatyczna. Mieszkańcy zapyłonych miast uciekają na wieś w poszukiwaniu świeższego powietrza, którego i tam nie ma.

To wszystko prowadzi do ogromnych strat zdrowotnych w substancji materialnej, w gospodarce. Tylko w południowej Polsce wskutek zanieczyszczenia powietrza zniszczeniu ulega około 20% plonów, a gdzie indziej 5-10%. Szczególnie wrażliwe są tu warzywa, owoce i buraki cukrowe. Znany „ochroniarz przyrody” prof. Stefan Kozłowski kilka lat temu publicznie stwierdził, iż 25% polskich produktów żywnościowych skażone jest (choć „poniżej dopuszczalnej normy”) obcymi substancjami.

Następny problem polskiej wsi to woda. Jest jej coraz mniej i coraz gorszej jakości. Pierwsze wynika z dyktanda speców od melioracji i urządzeń rolnych. Melioranci chcieliby osuszyć co się da (przykładem cudowne Bagna Biebrzańskie, unikalne w skali europejskiej, z których po spaskudzeniu około 5 tys. ha na szczęście wycofali się), uważając odwodnienie za jedyną metodę działania. Dążą do wybetonowania wszystkich potoków i strumyków (co przyspiesza spływ wody), wyprostowania i pogłębienia wszystkich rzek. W ten sposób Polska stepowieje. Wylesienie kraju ponad miarę, niekorzystne usytuowanie pod względem hydrologicznym, likwidacja tzw. zbiorników małej retencji⁸⁸ powoduje osuszanie gruntów w zastraszającym tempie, pogarszając możliwości produkcyjne wsi. Ta ostatnia sprawa to też swoisty przyczynek do „osiągnięć” Polski Ludowej. Komunistyczny rząd w trosce o ideologiczno-ekonomiczną czystość społeczeństwa doprowadził m.in. do zamknięcia wszystkich młynów, opartych w większości o energię wodną, czerpaną z niewielkich zbiorników. Młynarz nie tylko męł złoże, ale i regulował stosunki wodne: podnosił i opuszczał zastawki, czyścił rowy doprowadzające wodę, która dzięki temu znajdowała się w wystarczającej ilości w środowisku. Kiedy młynarzy nie stało, wszystkie te urządzenia diabli (przepraszam, władze PRL) wzięli i woda wyciekła. Zrobiło się sucho. Tylko w ostatnich latach poziom wód gruntowych w Polsce obniżył się o 0,4-1 m, a to oznacza spadek zasobów o około 21 mld hl¹. I będzie coraz gorzej, bo wspomniane prace trwają, a pobór wody zwiększa się.

By ułatwić życie na wsi (bardzo słusznie, tylko szkoda, że dopiero teraz tak się do tego podchodzi), buduje się wodociągi, w oparciu o ujęcia podziemne. No tak, ale nie buduje się zarazem sieci kanalizacyjnej: bo są drogie i skomplikowane. Istnienie wodociągu pociąga za sobą automatycznie zwielokrotnienie ilości ścieków bytowo-gospodarczych. Gdzieś trzeba je wypuścić, a więc do mało pojemnych szamb, do kanalizacji deszczowej, czy po prostu do rowów i strumieni. Środowisko zalewa więc coraz wyższa fala fekaliiów podprawionych rosnącą zawartością detergentów. Rzeczki zmieniają się w cuchnące przewody ściekowe, docierające głęboko w pola uprawne, trujące swym podsiąkiem warzywa czy zboża. Sypane bez umiaru niekiedy w pegecerach (bo rolnik indywidualny otrzymuje nader skromne przydziały) nawozy w dużej mierze splukiwane są do tychże wód. A z nimi — pestycydy czy inne środki ochronne, żle rozprowadzone lub wymyte z pojemników w rowach czy stawkach, z wyrzuconych opakowań i nieszczelnych urządzeń.

Dodajmy do tego fakt, że na tereny wiejskie przedostają się oczywiście ścieki miejskie, gdyż ponad połowa polskich miast nie ma oczyszczalni, w tym... Warszawa, Łódź. Czy można tedy się dziwić, że około 60% studni wiejskich posiada wodę złą, a w wielu regionach wskaźnik ten sięga 75%. Dodajmy do tego jeszcze, że 15-20% ma ocenę niepewną, a obraz będzie prawie jasny. Główne przyczyny? Skontrolowane ujęcia (bo wchodzi w to i wodociągi, acz wskaźniki skażenia są daleko niższe, ale są) wykazują przede wszystkim obecność bakterii fekalnych, na co wpływa też fatalny stan sanitarny obejmujący: składowanie gnojownika koło studni, wylewanie nieczystości w jej pobliżu, przecieki z szamba. Stwierdza się też rosnącą zawartość azotanów i, co gorsze, azotynów. Te drugie mają charakter rakotwórczy, przy czym norma polska dopuszcza ich stężenie do 20 mg/dm³ (podczas, gdy np. amerykańska tylko 10). A tymczasem liczne są studnie z zawartością ponad 50 mg/dm³! Rak zbiera więc coraz obfitsze żniwo. Trzeba sobie powiedzieć, iż nie jest to choroba cywilizacyjna, a choroba ludzkiej beźmyślności. I jest coraz gorzej, bo działają też gigantyczne fermy, które w czasach gierkowskich organizowano w technologii beżściółkowej. W rezultacie powstał „problem gnojownicy”, z którą nie wiadomo, co robić. Wylewa się ją albo na pola albo do lasu, albo do rowów. Polska wieś zaczyna więc pławić się w gnojowce.

Sytuacji nie ułatwia, a wręcz pogarsza, ujednolicanie środowiska wiejskiego poprzez likwidowanie naturalnych nieużytków, kęp, zadrzewień i krzaków, oczek wodnych, a więc tego wszystkiego, co urozmaicało przyrodę — w imię wygody traktorzystów. Prowadzi to do zubożenia przyrody i skrócenia obiegu pierwiastków, które gromadząc się w nadmiarze, przekształcają się w skażenia. Szkoda, że tak mało kto słucha w tej mierze prof. Lecha Ryszkowskiego, jednego z tych nielicznych, którzy wołają o zdrowie polskiej wsi.

Jednak argumenty naukowe nigdy nie posiadały mocy przekonującej dla zainteresowanej wyłącznie „umacnianiem” władzy partii. Tyle tylko, że pogorszenie i tak już fatalnej sytuacji na rynku żywnościowym, po przekroczeniu bariery społecznej wytrzymałości, doprowadzi z pewnością do kolejnego kryzysu władzy. Trudno pomać polskich komunistów o świadome dążenie do unicestwienia społeczeństwa i wybitnie złą wolę. Są jednak kraje, gdzie władzę ocenia się nie na podstawie szczyrych chęci, a rezultatów poczynań. Po 43 latach istnienia PRL doczekaliśmy się ojczyzny, w której nie ma się w co ubrać, trudno o dach nad głową, a ubożuchne i wystawne w kolejkach pożywienie jest zatrute.

Arogancka władza niechętnie przyjmuje podpowiedzi z drugiej strony barykady, a wypływające z najszczerzych pobudek bicie na alarm, czy najsluszniejsze nawet propozycje uzdrowienia sytuacji ekologicznej, jako że płyną ze strony opozycji, traktowane są jako zamach na monopol podejmowania decyzji. Poza tym wszelkie próby diagnozowania sytuacji, choćby tylko ekologicznej, utykają na poziomie profilaktyki. Pytanie o przyczynę choroby przynosi bowiem nieodmiennie tę samą odpowiedź: system. Zresztą, jak wynika z opinii ekspertów, polskiemu środowisku naturalnemu pomoc może tylko cud — czyli pomoc z zewnątrz. Skuteczne leczenie choroby polega na likwidacji jej przyczyny, lecz o utworzeniu obok istniejących rezerwatów przyrody, ściśle strzeżonego rezerwatu dla polskich komunistów możemy tylko pomarzyć.

* — W związku z brakiem greckiej czcionki „m” używamy dla oznaczenia mikrogramów umownego skrótu Mg.

** — retencja — gromadzenie się wody opadowej (także w postaci śniegu i lodu) w gruncie, w rzekach i jeziorach oraz gromadzenie wody w sztucznych zbiornikach; zapas zgromadzonej w ten sposób wody.

UWOLNIĆ
POLITYCZNYCH



Świergotały jaskółki, ze najlepsze są spółki

Najmodniejszym tematem polskich rozmów u cioci na imieninach są spółki.

Kolejki do notariatów i kolejki w sądach (w wydziałach nieprocesowych) są dłuższe niż kolejki po kolorowe telewizory... Przynoszące milionowe dochody firmy zakładane z wkładem 15 złotych... „Socjalizm” spisany na straty — prywatne spółki prawa handlowego to cicha restytucja kapitalizmu w Polsce... W spółce „Agrokomputer” zarobki prezesa firmy wynoszą ponad milion złotych dziennie... Notariusz za ominięcie wielomiesięcznej kolejki „spółkowiczów” do swego biura bierze sto tysięcy...

Oto zbiór obiecanych opinii na temat bulwersujący coraz większą ilość obserwatorów polskiego życia gospodarczego: powstawanie i rozwój spółek prawa handlowego, najczęściej przybierających postać spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Prawdy i mity. Ramię w ramię, łeb w łeb. Prawdą nie podlegającą żadnej dyskusji jest tylko bezprzykładna ekspansja spółek z ograniczoną odpowiedzialnością i spółek akcyjnych na polskim rynku w ciągu ostatnich trzech lat.

Aby zrozumieć, co się stało, dlaczego i co stać się może (lub nie może), trzeba analizę prawd i mitów wesprzeć przypomnieniem kilku faktów.

* * *

Spółki, teoretycznie, mogły powstawać przez cały okres historii PRL. Ich tworzenie oparte jest obecnie na dwóch różnych podstawach prawnych. Spółki prawa cywilnego (bardzo rzadko powoływane do życia) tworzy się zgodnie z przepisami kodeksu cywilnego, opublikowanymi w 1964 ro-

ku. Generalnie, są to przepisy bardzo rygorystyczne i wręcz represyjne dla osób podejmujących inicjatywę. Wspólnik nie może rozporządzać udziałem we wspólnym majątku, ani też udziałem w składnikach tego majątku. W okresie trwania spółki wspólnik nie może też domagać się podziału majątku. Każdy ze wspólników odpowiada za zobowiązania spółki nie tylko majątkiem wspólnym, ale i prywatnym, bez żadnych ograniczeń w tym względzie.

Znacznie większe zainteresowanie ludzi z inicjatywą budzą spółki prawa handlowego — których powstawanie i działalność normuje kodeks handlowy z 1934 roku (!), z niektórymi zmianami wprowadzonymi po wojnie, lecz nie mającymi charakteru restrykcyjnego. Spółki prawa handlowego mogą być zawiązywane w trzech postaciach.

Spółka jawna — praktycznie najbardziej zbliżona do wyżej omówionej spółki cywilnej, ale w przeciwieństwie do tamtej nie obowiązują jej przepisy powojennego kodeksu cywilnego, lecz przedwojennego kodeksu handlowego (bardziej liberalne). Spółka jawna nie posiada osobowości prawnej (stąd jej niewielka atrakcyjność), niemniej może nabywać prawa i zaciągać zobowiązania, może pozywać w sądzie i być pozywana.

Najwięcej emocji budzi *spółka z ograniczoną odpowiedzialnością*. Ostatnio, w roku 1988, sądy w PRL rejestrują już kilkadziesiąt takich spółek dziennie! Do zawarcia spółki z ograniczoną odpowiedzialnością potrzebny jest akt notarialny umowy spółki, wniesienie całego kapitału zakładowego (np. na ręce prezesa spółki), ustanowienie wkładu spółki i wpis sądowy do rejestru handlowego. Istotnym jest, że w myśl zasad kodeksu

handlowego wspólnicy odpowiadają przed ewentualnymi wierzycielami tylko do wysokości wniesionych przez siebie wkładów, natomiast odpowiedzialność nie obejmuje ich majątku osobistego. Ale, uwaga! — owo ograniczenie odpowiedzialności (to już dodatek *powojenny* do prawa) — nie dotyczy zobowiązań podatkowych spółki wobec państwa. Państwo więc, a raczej urzędnicy sterowani przez partię lub „cichociemną” SB mogą, gdy tylko zechcą, puścić z torbami każdą spółkę.

Coraz częściej powstają też spółki akcyjne. W skład spółki akcyjnej wchodzi większa ilość wspólników, którzy wnoszą znaczny majątek. Spółka emituje akcje, będące gwarancją udziału w majątku i zysku spółki. Akcje mogą być imienne lub na okaziciela. Akcjonariusze nie odpowiadają w ogóle za zobowiązania spółki. Założycielami spółki są osoby podpisujące statut, który powinien mieć formę aktu notarialnego.

Najsłynniejszą polską spółką akcyjną ostatnich miesięcy jest niewątpliwie firma „Polskie Zagłę” z siedzibą najpierw w Warszawie, a później w Gdańsku — która sprzedaje akcje po 50.000 zł za jedną, zaś minimalnym pakietem, pozwalającym na korzystanie z dorobku spółki, jest zestaw 10 akcji. Spółka zawarła umowę ze Stoczną Gdańską na budowę luksusowego żaglowca wycieczkowego „Gwarek”, zaś każdy z udziałowców dzierżących 10 akcji ma prawo do jednego biletu na rejs wycieczkowy rocznie przez okres 20 lat (trasy do wyboru: Morze Śródziemne, Hiszpania, Skandynawia, Bałtyk z zawinięciem do portów Finlandii, Szwecji i ZSRS). Akcje są ważne na okaziciela, a więc i bilety na rejs można dowolnie odstępować. Udziałowcami są przeważnie bogate firmy ze Śląska (kopalnie węgla), osoby ze sfer ministerialnych (tzw. prominentów) i wreszcie prywatni spekulanci, którzy liczą na zyski ze sprzedaży miejsc na statku. Zaciekłym przeciwnikiem spółki, nie liczącym się nawet z udziałem w niej warszawskich prominentów, okazał się przewodniczący gdańskiego PRON-u, kpt. żegl. wielkiej Walenty Milenuszkin, który miesiącami torpedował podpisanie umowy o budowę żaglowca między spółką a Stoczną Gdańską, nasyłając do biura spółki kontrolę jedną za drugą, aż wreszcie kolejna ekipa kontrolerów zmuszona była przyznać, że projekt statku nie wymaga poważniejszych zmian, zaś przyszli pasażerowie będą cieszyć się bezpieczeństwem zgodnie z wysokim standardem, wyznaczanym w tego rodzaju przypadkach. Skąd taka

nienawiść Milenuszki do Spółki? Podobno idzie o pominięcie jego nazwiska w gronie założycieli, do czego początkowo pretendował.

Polskie przepisy, normujące udzielanie zezwoleń na różne rodzaje działalności gospodarczej są dla spółek identyczne, jak dla firm prywatnych. Jedyną praktycznie różnicą jest nieco niższa stopa podatku obrotowego dla spółek — i to przesądza, że większość potrafiących liczyć Polaków lokuje swe ambicje indywidualnego dorobku raczej w działaniu spółek z o.o. i akcyjnych niż w „czysto” prywatnych firmach. Niemniej, całą hośbę „spółkową” trzeba traktować jako typowo prywatną, indywidualną inicjatywę gospodarczą. Prywatne są też pomysły — czym handlować, co robić, na czym zarabiać. Aby odnieść sukces, trzeba nauczyć się trochę zapomnianego (nie przez wszystkich na szczęście) kapitalizmu — i znaleźć lukę rynkową, którą należałoby wypełnić swoim działaniem.

W kraju, w którym korzystanie z usług tzw. społecznej służby zdrowia jest koszmarem — na natychmiastowe powodzenie mogło liczyć przedsiębiorstwo pt. „domowe wizyty lekarzy specjalistów”, czyli coś w rodzaju prywatnego pogotowia. Pierwszy na pomysł wpadł pewien prawnik z Łodzi, który uruchomił z niemałym trudem (opory biurokracji!) biuro pośrednictwa usług lekarskich. Było to trzy lata temu. Prawnikowi wystarczyło własne mieszkanie z telefonem i kontakty z lekarzami różnych specjalności, pełniącymi w określone dni dyżury w swych własnych mieszkaniach i gotowych do wyjazdu w każdej chwili. Warunek: każdy z lekarzy musiał mieć telefon i samochód. Za wizytę (trzy lata temu) lekarz pobierał 1500 złotych, z czego 500 trafiało do pośrednika. Obecnie, gdy spółek prowadzących taką działalność jest już w kraju kilkadziesiąt, cennik jest inny (inflacja!), ale też tam, gdzie działa konkurencja — np. w Gdańsku 5 spółek — ceny rosną wolniej niż tam, gdzie konkurencji nie ma. Podobną spółkę założyli w Warszawie lekarze weterynarii, wyjeżdżający dzień i w nocy do ukończonych piesków i papużek. Można się z tego śmiać, ale interes jest obustronny, szczególnie tam, gdzie np. suka rodzi rodowodowe szczenięta, każde warte 30.000 zł; czyż nie lepiej wtedy wydać te parę marnych tysięcy na asystę lekarza w domu, niż ryzykować stratę miotu? Suki i szczenięta, a zwłaszcza

cza ich właściciele może i są zadowoleni — gorzej z Wojewódzkim Zarządem Weterynarii w Warszawie, a właściwie z dyrekcją, pominiętą przy zakładaniu spółki. Większość lekarzy podlegających temu Zarządowi, a dodatkowo działających w spółce, otrzymała wypowiedzenia z państwowej posady, wbrew oczywistemu interesowi pacjentów (ale oni mówić nie potrafią).

Powstała też spółka, zajmująca się pośrednictwem w wynajmie samochodów (nie ukrywa, że idzie głównie o cudzoziemców, bo w końcu pomysł „rent a car” podpatrzono za granicą).

Powstała spółka, pragnąca kupować i sprzedawać zagraniczne leki, których brak tak bardzo dokucza chorym i ich rodzinom.

Setki spółek kupują z rąk prywatnych i sprzedają państwowym odbiorcom anteny satelitarne z turnerami i konwerterami; cena ok. 4-5 milionów za komplet, ale przedsiębiorstwa państwowe mają nieraz sporo złotych i jeszcze więcej kłopotów, na co je wydać pod koniec roku.

Powstała spółka, prowadzona przez byłego pracownika Izby Skarbowej, w której można uzyskać konsultacje na takie tematy, jak uniknąć „domiaru”, jak uzyskać ulgę w podatku, jak umknąć działaniu ustawy karno-skarbowej.

Ba, powstają coraz liczniejsze spółki, których jedynym przedmiotem działania jest doradzanie, jak założyć spółkę...

Generalnie, analizując tylko treść ogłoszeń, zajmujących coraz poważniejszą ilość szpalt prasy codziennej — można wyodrębnić następujące kierunki działania spółek: 1. produkcyjny — stosunkowo rzadki, 2. handlowy — najczęstszy, zwłaszcza w dziedzinie komputerów, zestawów do odbioru satelitarnego, video, kamer i sprzętu nagłaśniającego, 3. usługowy — mający najczęściej charakter pośrednictwa między wykonującym usługi a klientem, 4. konsultacyjno-wdrożeniowo-innowacyjny (ten rodzaj spółek może ubiegać się o obniżenie opodatkowania).

★ ★ ★

Pierwszym prysznicem, zmywającym entuzjazm z twarzy potencjalnych założycieli jakiegokolwiek spółki jest sytuacja w państwowych biurach notarialnych. W Polsce działa 290 biur notarialnych, obsługuje je zaledwie sześciuset notariuszy, (zaś ok. 25% biur ma obsadę jednoosobową). Oprócz aktów notarialnych, wymagających przygotowania i sprawdzenia (ponad trzysta tysięcy

rocznie) sporządza się *dziesięć razy więcej* różnych poświadczeń, nie licząc testamentów, wpisów do ksiąg wieczystych itp. Nic więc dziwnego, że np. w Biłgoraju już pod koniec 1986 r. na wizytę u notariusza czekało się pięć miesięcy, w Lubrytowie „tylko” trzy i pół, zaś obecnie w Gdańsku, który zdecydowanie przoduje pod względem ilości zakładanych spółek, czeka się nawet i pół roku. Są dwie drogi uniknięcia kolejek, obie skwapliwie wykorzystywane. Pierwsza — to szukanie notariusza w jakiejś małej miejscowości (np. z Gdańska jeździ się do Wejherowa i Kartuz), gdzie kolejki są krótsze. Druga to „drobna gratyfikacja” — od butelki winiaku po 100.000 złotych za przyspieszenie terminu podpisania umowy; w takim wypadku wizytę załatwia się z dnia na dzień... Szczególnie dochodowy dla notariuszy w większych ośrodkach był koniec 1987 roku; rozeszła się pogłoska, że Sejm na swym ostatnim posiedzeniu 1987 r. zmieni ustawę o spółkach (czyli właśnie Kodeks Handlowy z 1934 r.), ustanawiając znacznie wyższą dolną granicę wpłat wspólników. Mówiło się o tym, że niezbędna będzie co najmniej kwota 2 mln złotych dla założenia spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Okazało się, że Sejm „nie zdążył”. Niemniej w planie prac Sejmu jest, jak oficjalnie przyznano, zmiana Kodeksu Handlowego w nową ustawę, regulującą działalność spółek.

★ ★ ★

Półki co, aby założyć spółkę z o.o. wystarczy mieć w kieszeni 15 zł, lub w najgorszym wypadku 300 zł. Skąd te rozbieżności, skąd te śmieszne (w kontekście poważnej nieraz działalności gospodarczej) sumy? Otóż w latach czterdziestych, a później pięćdziesiątych mechanicznie „tłumaczono” przedwojenny Kodeks Handlowy, zmieniając wysokość wpłat w związku ze zmianą wartości pieniądza. Niektórzy prawnicy uważają, że istnieje możliwość trzymania się ustalonego tuż po wojnie minimum 15 zł na osobę, inni skłaniają się raczej ku późniejszym 300 zł (przed wojną minimalna wysokość wkładu wynosiła 10.000 ówczesnych złotych). Tak, czy inaczej — *istnieją realnie i takie spółki, w których wspólnicy złożyli się po 15 złotych*, pierwsi dokonali tego wyczynu trzej prawnicy z Gdańska, co prasa odnotowała jako sensację. Niemniej większość powstających spółek ma minimum wkładu 300 zł. Jest ono całkowicie wystarczające, gdy spółka nie produkuje, ani nie

handluje, lecz np. doradza i konsultuje lub pośredniczy w obiegu informacji. Tam, gdzie potrzebne są narzędzia (choćby najprostsze), wynajęcie pomieszczenia z telefonem, telex, powierzenie magazynowe, transport własny lub wynajęty — wspólnicy nie mają co marzyć o starcie bez zebrania co najmniej 1-2 mln zł.

Koszty: za wynajęcie w prywatnym mieszkaniu (przeważnie w nowo wybudowanej willi) jednego pokoju z telefonem trzeba zapłacić do 100.000 zł miesięcznie; za wielkie szczęście uważa się wynajęcie lokalu na biuro np. za 35.000 zł. Odpowiednio więcej płaci się za pomieszczenia, w których można produkować. Miesięczny czynsz za kilkudziesięciometrowe pomieszczenie nadające się na warsztat wynosi w skrajnych przypadkach i 300.000 złotych! Za telefon (wliczając w to również rozmowy właściciela mieszkania) płaci się oddzielnie, a nie są to sumy małe; dochodzą do dziesiątków tysięcy miesięcznie, a potrafią sięgnąć i setek tysięcy, gdy spółka opiera swą działalność na kontaktach z zagranicą.

Na trop działalności warszawskiej spółki „Inter-Commerce” wpadłem, wychodząc po mszy z „polskiego” kościoła w Berlinie Zach. Młody człowiek wręczył mi ulotkę, z której wynikało, że mogę pomóc rodzinie w Polsce (albo sobie) — uzyskując za 1 DM sumę 1280 zł netto (przy kursie czarnorynkowym w Polsce 800 zł za 1 DM).

Pomysł jest dziecinnie prosty, ale ktoś musiał na niego wpaść pierwszy. Idzie o to, aby uniknąć uciążliwej „turystyki handlowej”, zdjąć z kursujących tam i z powrotem Polaków ciężar wożonych i dźwiganych towarów, odjąć kłopot ze znalezieniem nabywcę w Polsce. Wystarczy w Berlinie wpłacić na konto firmy „Unipap” sumę 250 DM, a firma kupi za to towar (jaki sama zdecyduje), wyśle go do Polski własnym transportem, tam zaś odbiorą go przedstawiciele spółki „Inter-Commerce”, a następnie sprzedadzą kontrahentom i firmom państwowym.

Pomysł dobry — bo wiadomo, że państwowe firmy dewiz nie mają, za to ciągle potrzebują jakichś tam „wsadów” i „komponentów”, chętnie zapłacą złotówkami, które mają, a nie dewizami, których nie mają. A jak wygląda realizacja tego pomysłu? Odpowiedź brzmi — „po polsku”. Posłuchajmy, co mówią:

Roman, lat 38, od dwóch lat w Berlinie —

Chciałem pomóc rodzinie w Polsce, sam też trochę zarobić, poszedłem „na całość” — wpłaciłem we wrześniu 1987 do „Unipapu” 4500 DM naraz, rozbijając tę sumę na kilkanaście osób w Polsce (idzie o to, że unika się w ten sposób podatku od darowizny zagranicznej). Obiecali mi, że za 4 tygodnie w Polsce wypłacą pieniądze. Po wielu awanturach, dramatycznych telefonach — pierwsza z wypłat miała miejsce pod koniec grudnia ub. roku, dalsze w styczniu i lutym. Myślę, że nie idzie tu o zarobki na towarze (choć i to jest dobry interes, jakby się wydawało)...

— Więc o co? — pytam.

— No, gdyby ci wpłacali na konto po kilkaset tysięcy marek miesięcznie, a ty rosnące miliony przetrzymałbyś z miesiąc, dwa, albo trzy — to z procentów chyba też można niezłe żyć?

Wojtek, lat 33, od dziewięciu lat w Berlinie — Mnie obiecano w październiku wypłatę po 6 tygodniach. Rodzina w Polsce wielokrotnie interweniowała telefonicznie w spółce „Inter-Commerce” i firmie polonijnej „Helios” (obie kooperują z „Unipapem”) — ciągle były jakieś trudności. A to nie doszło upoważnienie — winna poczta. A to nie było kompetentnej osoby — „proszę zadzwonić w piątek” — słyszeli, dzwoniąc w poniedziałek, zaś „proszę zadzwonić we wtorek” — gdy dzwonili w piątek. Innym razem była pomyłka w adresie. W końcu rodzina otrzymała pieniądze w lutym — marka na czarnym rynku tymczasem skoczyła tak bardzo, że przewidywany zarobek diabli wzięli. Dobrze, że chociaż pieniądze odzyskałem.

No cóż, można i tak — a chętni są nadal, bo w końcu pieniądze jednak docierają, a nie wszystkim się spieszy tak, jak Romanowi czy Wojtkowi.

Jeśli komukolwiek wydawałoby się, że wystarczy ułożyć i spisać umowę spółki, podpisać ją u notariusza, a następnie zarejestrować ją w sądzie (co czyni spółkę zdolną do czynności prawnych) — jest w błędzie. Istotą polskiej „pierestrojki gospodarczej” jest bowiem to, że wiele dzieje się na szczycie lodowej góry, zaś mamusia podstawa w dalszym ciągu jest domeną konserwatywnej, niechętniej innowacjom biurokracji. Tak więc, jeśli niezupełnie łatwo spółkę zarejestrować — ze względu na wspomniane już terminy u notariusza i w sądzie, a każda poprawka umowy oznacza tygodnie lub miesiące zwłoki) — to już bardzo trudno spółkę „uruchomić”. Do każdego rodzaju dzia-

łałości wymagana jest bowiem zgoda odpowiedniego urzędu, a raczej całego łańcucha urzędów i urzędników.

Prezes H., szef spółki geodezyjnej:

— Stosunkowo prędko uporałem się z notariatem i sądem. Potem następny etap: wniosek o zalegalizowanie działalności spółki musi trafić do Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług. Zrzeszenie jest zresztą tylko pośrednikiem. Wysłał mój wniosek do Wydziału Gospodarki Przestrzennej Urzędu Miejskiego. Ten ma czas — do dwóch miesięcy na odpowiedź. Domaga się jednak, zanim rozpatrzy moje podanie — następujących dokumentów: zaświadczenia o tym, że nie pracuję w żadnej państwowej firmie (miałem więc natychmiast się zwolnić, nie mając pewności czy i kiedy spółkę uruchomię), odpisu umowy o najmie lokalu, w którym spółka będzie prowadzić działalność, opinii z komitetu osiedlowego właściwego dla miejsca wynajmu lokalu, wreszcie — ponieważ geodezja to m.in. mapy o znaczeniu wojskowym — zezwolenia z jednostki wojskowej. Każde z tych zaświadczeń, lub zezwoleń to długie tygodnie oczekiwań, tygodnie, w ciągu których nic się nie dzieje, a pieniądze uciekają.

Adam B., prezes spółki produkującej sprzęt dyskotekowy:

— Gdybym wiedział, ile to trwa, ile kosztuje nerwów i pieniędzy...

— Jakich znowu pieniędzy? Przecież opinie są za darmo?

— A łapówki? Za „przyspieszenie” urzędnicy biorą co najmniej 20 tysięcy, a zdarzyło mi się usłyszeć i 50 tysięcy. Tyle, że popukalem się w czoło i stanęło na „standardowych” dwudziestu...

Czy długo w tej sytuacji trwało załatwianie niezbędnych opinii i zezwoleń?

— W sumie dwa tygodnie z groszami.

Na koniec — **chór prezesów nowo powstałych spółek**: samo dopuszczenie do istnienia tej formy prywatnej własności, jaką są spółki, oznacza na razie bardzo niewiele. Praktyka — potwierdzona wieloma przykładami — wskazuje na to, że po okresie biurokratycznych zmagani przy ubieganiu się o niezbędne zezwolenie następuje okres 1-2 lat prosperity. Oczywiście, płynącej z ludzkiej przedsiębiorczości i pomysłowości. A potem zjawia się kontrola z Urzędu Skarbowego lub Izby Skarbowej i wszystko szybkimi krokami zmierza do plaży. W czasie kontroli niemożliwa jest normalna działalność, która spółce przynosi pieniądze, zaś pensje i podatki płać trzeba. Im wyższe

pensje — tym bliżej ruina. Żadna, nawet najbogatsza firma nie wytrzyma tego dłużej niż pół roku — a zdarzają się kontrole trwające i dłużej, zresztą jedna może się skończyć, a natychmiast rozpocząć następną.

Tego rodzaju sytuacja jest wręcz symboliczna dla „polskich reform gospodarczych”. Z publikacji prasowych, bardzo ostrych, mówiąc pięknym partyjnym językiem „pryncypialnych” i krytycznych wynika, że jednolity front od *Tygodnika Powszechnego* po *Trybunę Ludu* domaga się nieomal wprowadzenia kapitalizmu i ostatecznej rezygnacji z systemu nakazowo-rozdziałczego, natomiast prawda jest taka, że urzędnicy nie czytają gazet, tylko ustawy, które ani na jotę nie zostały dotychczas zmienione i jak gnębiły „prywatę”, tak nadal gnębią.

To prawda, czasem robimy pieniądze, nawet niczaj jak na polskie warunki, bardzo duże. Jest zapał, jest kupa pomysłów, czasami w wirze pracy zapomina się, gdzie żyjemy.

Ale przychodzą momenty, gdy sprowadzają nas na ziemię. *Dopóki nie zmienią się ustawy i zarządzenia wykonawcze* — spółkowe eldorado będzie wciąż graniczyć z kryminałem. A decyzja czy to kryminał, czy prawidłowy proces gospodarczy, póki co, każdorazowo leży w rękach tych samych od lat „decydentów”.

Jedyna w Ławarzi **POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA**

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, plakaty,
odezwy, prospekty, karty świąteczne, ulotki, blankiety
oraz wszelkie inne
organizacyjne, społeczne, przemysłowe i prywatne druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Polski stomatolog przyjmuje:
pon.-piąt. 8-13 i 15-18

HAMBURG
Langereihe 66

Zamówienia terminów: tel. 040/24 54 40

Afganistan: Wyjście smoka?

Kiedy ogląda się w telewizji wycofujące się z Afganistanu kolumny sowieckich czołgów, wozów pancernych i ciężarówek wypełnionych wojskiem, trudno uwierzyć, iż jest to ta sama armia, która zagarnęła prawie pół świata i zagraża drugiej połowie. A jednak Rosjanie wycofują się z zajętego obcego terytorium, po raz trzeci w historii ZSRS, po Austrii i Finlandii. W kwietniu tego roku doszło w Genewie do porozumienia w sprawie Afganistanu. Porozumienie to nie różni się zbyt od innych podpisywanych na „arenie międzynarodowej” i gwarantowanych przez „obce mocarstwa”. Tak jak i przed kilkudziesięciu choćby laty o przyszłości jednego narodu zdecydowały strony trzecie: Sowietci, Amerykanie, komuniści afgańscy i Pakistan.

W Genewie uzgodniono, a w Taszkencie podpisano (Gorbaczow z Nadżibullahem — szefem komunistów afgańskich) ośmiopunktowe porozumienie mające zakończyć trwającą od 9 lat wojnę. Najważniejszym (i właściwie jedynym rzeczowym) punktem porozumienia jest wyznaczenie daty wycofania wojsk sowieckich (15 maja) oraz zakończenie tej operacji (po 9 miesiącach). Bardzo mętnie natomiast w porozumieniu genewskim mówi się o przyszłości Afganistanu. Wprawdzie wspomina się o „niezależnym, nie związanym z żadnym paktem neutralnym państwie”, ale nie wymienia się praktycznych gwarancji mających ową niezależność podpieać. W następnym punkcie mówi się o „systemie wielopartyjnym” zagwarantowanym nową konstytucją, którą w popłochu uchwalili reżim Nadżibullaha.

Sowieci nie zgodzili się na proponowane przez Amerykanów obopólne wstrzymanie pomocy dla walczących stron: Sowietci dla reżimu w Kabulu, Amerykanie dla Mudżaheddinów. Według Gorbaczowa istnieje zasadnicza różnica między dostarczaniem broni „prawowitemu rządowi” i „rebeliantom”. Stało na tym, iż obie strony nadal będą wspierać militarnie i finansowo swoich podopiecznych. Kuriozalnym wręcz zapisem jest punkt mówiący o zakazie prowadzenia „wrogich działań” z terenu Afganistanu wobec sąsiadów, w tym ZSRS. Niedawny agresor, a obecnie pierwszy piewca pokojowych rozwiązań nie tylko nie przyrzekł, iż w przyszłości pozostawi w spokoju sąsiada znaną Hindukuszu, ale wymusił zapis w porozumieniu, w którym ofiara ma się zobowiązać do zachowania spokoju na granicy z byłym agresorem. Ale tak zazwyczaj wyglądają paktów podpisywane w tego typu towarzystwie.

„Agresor zewnętrzny” postanowił więc dać za wygraną. W dużo trudniejszej sytuacji znajduje się obecnie agresor wewnętrzny czyli komunistyczna partia Afganistanu. Wycofanie wojsk sowieckich oznacza nie tylko przegraną komunistów z Kremla, ale także klęskę ideologiczną partyjnych w Kabulu. Oczywiście na wszelki wypadek podjęto kroki zapobiegawcze mające ochronić zdrowie najwierniejszych potakiwaczy wytycznych płynących od 1979 roku z głównej kwatery światowego komunizmu. Już w marcu, jak podało Radio Pekin, wydano 80 najwyższym rangą komunistom afgańskiego KC wizy wjazdowe do ZSRS umożliwiające w każdej chwili ucieczkę

w ramiona Wielkiego Brata. 800 mniej wartościowych towarzyszy uzyskało miejsce schronienia w ambasadzie sowieckiej w Kabulu — w razie czego. Potencjalnym emigrantom politycznym wydano także przepustki mające umożliwić im ewakuację z wojskami sowieckimi. Zabrać będzie wolno jedynie 10 kg bagażu, co nie stanowi raczej zachęcającego przykładu dla zwolenników „rewolucji socjalistycznych” w innych zakątkach świata — 10 kg łupów to dokładnie kilogram za każdy rok panowania — nie był to, jak się okazuje, najlepszy interes. Pozostali nieszczęśliwi posiadacze czerwonej książeczki będą musieli udać się na tułaczkę do innych krajów zaprzyjaźnionych: 15 tys. zwolenników teorii Marksa zdecydowały się przyjąć Indie, dalsze 10 tys. może osiedlić się w Bułgarii. Cała ta akcja przygotowawcza wydaje się być jednym z najważniejszych elementów całej afery: psychologicznego oddziaływania na innych „poprawiaczy świata”.

Przygotowania do ucieczki dokonywane są jedynie na wszelki wypadek. Jak na razie nikt komunistów z Kabulu nie wieszka na latarniach i nie podrzyna im gardel. Korzystając więc z nienajgorszej jeszcze koniunktury, zwolennicy Nadżibulla-ha robią co mogą by przekonać naród, że właści-

wie oni także nie byli zachwyceni pobylem sowieckich czołgów w Afganistanie, iż w równym stopniu co reszta kochają swoją ojczyznę, oraz że są tak samo pobożni jak partyzanci. Komuniści w Kabulu nie ograniczyli się jedynie do słów i deklaracji. Zaczęli powoli realizować „strategię odwrotu ideologicznego”. Przede wszystkim pospiesznie odrzucono wszelkie komunistyczne dogmaty: uchwalono nową konstytucję zapewniającą wprowadzenie systemu wielopartyjnego oraz uznanie islamu jako „religii państwowej”. Rozpisano wybory powszechne do parlamentu, 1/4 miejsc ma zostać przydzielona reprezentantom Mudżaheddinów. Szef partii afgańskiej przechrcił się po raz wtóry przywracając własnemu imieniu pierwotne brzmienie: Nadżibullah. Przed objęciem stanowiska I sekretarza skrócił imię odcinając podejrzanie pobożnie brzmiącą końcówkę.

Wszystkie te odwroty wojskowe i ideologiczne najmniej obchodzą trzecią stronę konfliktu — czyli Mudżaheddinów. Dowództwo partyzantów afgańskich oświadczyło, iż nie zamierza respektować podpisanego bez nich porozumienia. Mudżaheddini chcą walczyć do końca. Wojna dla nich nie skończyła się z chwilą podpisania papierka w Taszkencie. Zapowiedzieli, iż nadal będą



Wojska sowieckie wycofujące się z Afganistanu

atakować sowieckie konwoje wojskowe bez względu na to, czy poruszają się one w stronę granicy ZSRS, czy też w głąb kraju. Taka postawa Mudżaheddinów wprowadza kolejny nieznany Sowietom element do tej i tak raczej niecodziennej dla nich sytuacji. Czegoś podobnego Rosjanie jeszcze nie przeżyli: nie dość, iż po dziewięcioletniej okupacji muszą wycofać własne wojska przyznając się wobec opinii światowej do klęski militarnej i politycznej, to dodatkowo wobec nieugiętej postawy partyzantów odwrót Armii Czerwonej przestaje być „dobrowolny”, jak próbuje to przedstawić sowiecka propaganda.

Jednak mimo tych optymistycznych raczej faktów sytuacja w samym Afganistanie nie jest najlepsza. Przede wszystkim wygląda na to, iż reżim Nadżibullaha widzi szanse na utrzymanie się u władzy. Świadczy o tym nie tylko wolta ideologiczna, jakiej dokonują funkcjonariusze partyjni w Kabul, ale także „nowa ofensywa ideologiczna” partii. Nadżibullah nie tylko stał się z dnia na dzień bardziej religijny, ale także martwi się o zdrowie całego narodu afgańskiego, który „chce obecnie jednego: pokoju”. A kto nie chce respektować tego ogólnonarodowego pragnienia? Oczywiście partyzanci. Nadżibullah w wywiadach udzielanych zagranicznym korespondentom przedstawia siebie jako zatroskanego pośrednika między zwaśnionymi stronami wewnątrz Afganistanu. W pełnych nowo-mowy wypowiedziach opowiada o własnych kłopotach związanych z próbami „włączenia wszystkich przedstawicieli narodu” do wspólnego rządzenia krajem — oczywiście z większością komunistów u steru. Nadżibullah próbuje znanego skądinąd manewru pod nazwą *jak Afgańczyk z Afgańczykiem*, pozwalającego każdego kto nie chce włączyć się do „zgody narodowej” określić mianem rebelianta i ekstremisty.

Komuniści nie poprzestają jednak na ofensywie ideologicznej. Jednym z głównych powodów „internacjonalistycznej pomocy” wojsk sowieckich przed 9 laty był fakt, iż Afganistan należy do jednych z najzasobniejszych w bogactwa naturalne krajów świata. Zasoby gazu ziemnego zaliczane są do największych na świecie. Także pokłady wysokoprocentowej rudy żelaza stanowią jedno z najbogatszych złóż w tamtym rejonie (tak wysokoprocentowej rudy — 65% — jeszcze w ZSRS nie odkryto). Dochodzą do tego bogate zasoby węgla, srebra, cynku, złota, ołowiu oraz kamieni półszlachetnych. Najbogatsze zasoby leżą w

północnej części Afganistanu, przy granicy ze Związkiem sowieckim. Partyzanci podali ostatnio do wiadomości, iż Rosjanie zaczęli militarnie zabezpieczać rurociąg gazowy na terenie Afganistanu budując na jego trasie bunkry wojskowe. Nadżibullah natomiast połączył dwie północne prowincje w jedną tworząc z nich osobną „jednostkę administracyjną” z oddzielną radą ministrów. Według krążących pogłosek rejon ten ma być ostatnim bastionem komunistów w przypadku ponownej ofensywy Mudżaheddinów na Kabul. Z tego rejonu pochodzi 50% dochodu narodowego Afganistanu.

Drugim elementem obecnej sytuacji w Afganistanie jest przede wszystkim brak jedności politycznej wśród siedmiu największych grup powstańczych. Jak dotąd, jednoczył ich jedynie wspólny wróg. Po wycofaniu się Sowietów niesnaski między poszczególnymi ugrupowaniami mogą wybuchnąć z nową siłą. Przykład opozycji w Korei Południowej pokazał do czego doprowadzić może brak jedności politycznej: w pierwszych demokratycznych wyborach w tym kraju, wobec podziału opozycji, do władzy *legalnie* doszedł przedstawiciel rządzącej od lat partii. Dużą niewiadomą są także ugrupowania ekstremistyczne wśród Mudżaheddinów, z których największy wpływ posiadają zwolennicy utworzenia republiki islamskiej na wzór Iranu.

Jak na razie partyzanci wspólnie chcą doprowadzić do całkowitego wyzwolenia kraju, tzn. nie tylko od Sowietów, ale od wszystkich komunistów. Przywódcy Mudżaheddinów jako cel swojej walki określili obalenie rządów Nadżibullaha i uwolnienie kraju od komunistycznych wpływów. Nie mają więc zamiaru wierzyć w pokojowe zapewnienia Sowietów jak i w ideologiczne i propagandowe wolty rodzimego reżimu. Nie ma żadnej pewności, iż Sowietci rzeczywiście wycofają całą 120-tysięczną armię, nikt też nie może dać gwarancji, że za jakiś czas ponownie nie zechcą pomóc „towarzyszom afgańskim”. Jeden z dowódców zjednoczonych sił Mudżaheddinów powiedział: „Odejście Rosjan niewiele znaczy. Bardzo szybko mogą być tu z powrotem”.

Póki co, odchodzą, zostawiając po sobie kraj wyniszczony 9 latami wojny, zrujnowaną gospodarkę, tysiące grobów, tysiące kalek — a wszystko w imię internacjonalizmu i bratniej pomocy, o czym zdaje się zapominać przyklaskujący agresorowi Zachód.



„Polski” National Geographic

Jubileuszowy, wydany w setną rocznicę istnienia numer miesięcznika „National Geographic” ze stycznia br., bez wątpienia najwybitniejszego pod względem merytorycznym i poligraficznym amerykańskiego pisma zajmującego się problemami szeroko pojętej geografii, w 1/4 poświęcono Polsce za sprawą reportażu Tada Szulca pt. „Nadzieja, która nigdy nie umiera”. Obok zaprezentowano Amerykę widzianą oczami świeżo przybyłych tam Polaków – dziennikarki Małgorzaty Niezabitowskiej i jej męża, fotoreportera Tomasza Tomaszewskiego. Poniżej drukujemy recenzje obu reportaży: pierwsza – pióra naszego amerykańskiego współpracownika, Andrzeja Zwanieckiego; druga – Amerykanina polskiego pochodzenia, Thomasa R. Wolanina

ANDRZEJ ZWANIECKI

Rewolucja starych gniewnych

W styczniowym numerze amerykańskiego miesięcznika *National Geographic* ukazał się reportaż z Polski zatytułowany „The Hope that never dies” („Nadzieja, która nigdy nie umiera”). Bogato ilustrowana zdjęciami redakcyjnego fotoreportera Jamesa Stanfielda relacja specjalnego wysłannika *NG* Tada Szulca jest swego rodzaju ewenementem. Rzadko się bowiem zdarza, by niepolityczne czasopismo jakim jest *NG* poświęciło niemal jedną czwartą numeru politycznej analizie sytuacji w Polsce. Wcześniej, na podobne przedsięwzięcie amerykański miesięcznik zdobył się aż 16 lat temu.

Z porównania obu tekstów wynika, że w ciągu owych 16 lat Ameryka, a w każdym razie jej bardziej świadoma część, sporo dowiedziała się o Polsce. Dzięki „Solidarności” Polska przestała być dla wielu bliżej nieokreślonym miejscem na mapie świata, gdzieś pomiędzy Związkiem Sowieckim a Niemcami i Francją. Można to wynio-

skować chociażby z tego, że Tad Szulc nie widzi potrzeby wykładania czytelnikom *NG* polskiego, historyczno-politycznego abecadła.

W roku 1973 inny wysłannik amerykańskiego miesięcznika Peter White, przemierzył Polskę wzdłuż utartej, turystycznej trasy od plaż nad Bałtykiem poprzez Mazury, Białowieżę i Łańcut do Krakowa i Oświęcimia. Wiedziony przez dobrze poinstruowanego przewodnika zobaczył niewiele więcej niż zwykły turysta. A więc egzotyczne obyczaje, ludowe przytupy, sztuczne ceremonie i partyjne pohukiwania na zadany temat (dyrektor zakładów mięsnych do reportera: „nigdy więcej wojny!”).

Tad Szulc, amerykański dziennikarz urodzony w Łodzi, który spędził kilka lat w Polsce jako korespondent dziennika *New York Times* jest daleko bardziej kompetentny. W Polsce chodzi własnymi ścieżkami i nie ulega jak White powierzchownej fascynacji polską egzotyką i folklorkiem. Niemniej jednak autor, którego Urban określa na łamach *Polityki* mianem przyjaciela, jest zbyt mocno pochłonięty meandrami ewolucji władzy komunistycznej, by zauważyć, co dzieje się za dekoracjami jaruzelskiej inscenizacji „głasności” i „pieriestrojki”.

Tak więc w reportażu „Nadzieja, która nigdy nie umiera” obraz Polski ujęty jest z perspektywy

partyjno-rządowej. Przedstawiciele opozycji autor dopuszcza do głosu tylko po to, by wnieśli drobne poprawki do oficjalnej panoramy zdarzeń. Brak opozycji w tej panoramie, tak zorganizowanej jak spontanicznej, jest uderzający. Szulce nie słyszy szemrających przeciwko komunistom kolejek ani otwartych drwin z ustroju w autobusach (może nie jeździ autobusami?!). Na naszkicowanej przez niego scenie narodowej lud modli się i milczy.

O istnieniu opozycji zorganizowanej świadczy niemal wyłącznie jedno zdjęcie przedstawiające podziemną drukarnię. Pomimo tego, że amerykański dziennikarz powołuje się na Wałęsę, Michnika i Konwickiego, najdosadniejsze, najostrzejsze diagnozy stawiają w jego reportażu przedstawiciele rządu i partii: Jaruzelski, Miodowicz, Sadowski i pułkownik Kwiatkowski. Mówią oni mniej więcej to samo co „Solidarność” osiem lat temu, ale Szulce nie zwraca na to większej uwagi. Najwyraźniej wierzy on, że „starzy gniewni” naprawdę robią rewolucję w Polsce.

10 milionów członków „Solidarności” rozplynęło się gdzieś lub rozpełzło w niewiadomych kierunkach, a sam autor nie bardzo pamięta, o co im właściwie chodziło. Gdyby miał lepszą pamięć, być może nie musiałby się głowić nad ambiwalencją komunistycznych reformatorów: najpierw ogłaszają stan wojenny, wsadzają do więzień i przykręcają śrubę, a teraz dekretują na potęgę reformy i liberalizację.

Sprawa jest zasadniczo prosta i dla czytelnego w literaturze marksistowskiej Szulca nie powinna przedstawiać większych trudności. Jedyną rzeczą jaką produkuje partia komunistyczna są kryzysy. Gdy pojawia się autentyczny, robotniczy ruch, który próbuje wskazywać drogi wyjścia, partia nie może przyjąć jego postulatów, ponieważ jako awangarda proletariacka z założenia jest bardziej uświadomiona, czyli, krótko mówiąc, wie lepiej. Tak więc partia likwiduje ów ruch, przejmując jego hasła i postulaty czyniąc tym samym załość tezie o swej dziejowej misji.

Uwzględniwszy to, że według Szulca odnowiona partia-rząd jest siłą sprawczą wszelkich pozytywnych zmian w Polsce, przestają dziwić nawet tak absurdalne, przyjmowane z dobrodziejstwem inwentarza stwierdzenia, jak to, że rząd pozwala na druk publikacji podziemnych, bo uważa je za użyteczne. W interpretacji Szulca stosunki panujące w Polsce są nieantagonistyczne, ponieważ partia zмага się raczej z obiektywnymi procesami niż ze społeczeństwem. Nic dziwnego, że gdy wy-

mienia on symptomy polskiego kryzysu: alkoholizm, zatrucie środowiska, alarmujący stan zdrowia Polaków itp., winy za tę degenerację nie przypisuje bynajmniej komunistom, lecz „obiektywnym skutkom rozwoju powojennego społeczeństwa przemysłowego”.

W tekście zamieszczonym w *National Geographic* jest również kilka wzmianek o kryzysach, protestach i masakrach (Katyń), ale wyjaśnienia na temat genety i sprawców są nadzwyczaj mętne. Niemniej jednak czytelnikom amerykańskim pozostawia się nadzieję, że wspólna radziecko-polska komisja historyków zbierze się, ustali i zadekretuje całą prawdę. Nam pozostaje żywić nadzieję, że Ameryka weźmie z tego przykład, powoła mieszaną komisję historyków z Południa i Północy i obwieści Amerykanom, kto zabił prezydenta Lincoln.

Dziennikarstwo amerykańskie charakteryzuje się personalistycznym podejściem do polityki, widzeniem gry politycznej przez pryzmat osobowości szefów partii, rządów i przywódców opozycji. Szulce prezentuje szczególną odmianę tego podejścia, a mianowicie skłonność do ulegania fascynacji osobowościami autorytarnymi. Nie jest on zapewne ani pierwszym ani ostatnim intelektualistą, którego pociągają silne osobowości dyktatorów. Nasz Witkacy pisał w roku 1937, że Hitler to jedyny chłop z jajami w Europie („Niemyte dusze”), a Ingmar Bergman, w niedawno wydanych wspomnieniach, wspomina o amoku, w jaki wpadł jako chłopiec na widok Hitlera podczas demonstracji z jego udziałem. Ale Witkiewicz zdawał sobie doskonale sprawę z tragicznych konsekwencji totalitaryzmu i w roku 1939 wyciągnął z tego ostateczne wnioski, a Bergman szybko otrząsnął się z chwilowej, młodzieńczej fascynacji.

W odróżnieniu od nich amerykański dziennikarz zdaje się być przypadkiem nieuleczalnym. Dwa lata temu wydał biografie Fidela Castro, która jest plonem licznych spotkań, przyjacielskich pogawędek i polowań z dyktatorem. Pomimo różnych zastrzeżeń do komunizmu kubańskiego i samego Castro bije z niej nieskrywana fascynacja „silnym człowiekiem”. Z epitetów, którymi Szulce obdarza Castro — wizjoner, człowiek czynu, fascynujący fenomen, pełen oszałamiającej wyobraźni, odwaga, instynkt, niewzruszone poczucie słuszności... itd., itp. — socrealistyczny poeta mógłby utkać naprawdę piękną makatkę na cześć Stalina. W odróżnieniu od szarego, ponurego świata zachodniego i jego przedstawicieli, stwier-

dza Szulca, Castro jest postacią żywą i barwną. Ludzie go kochają lub nienawidzą, ale nikt nie jest wobec niego obojętny.

W Polsce zdunzonego demokracją dziennikarza podbił generał Jaruzelski, który wprowadził nie zaprosił go na polowanie jak Fidel, ale za to poczęstował herbatą i oświecił w sprawach ludowej ojczyzny. Szulce zachował się w naszym kraju nie jak niezależny dziennikarz z Zachodu, ale jak wysłannik oenztetowskiej Komisji Praw Człowieka. Najpierw wysłuchał władzy, a potem ruszył w Polskę starając się dopasować to, co widział do tego, co usłyszał.

Wracając do porównań z wcześniejszym o 16 lat reportażem White'a, trzeba jednak Tadowi Szulcowi oddać sprawiedliwość. „Nadzieja, która nigdy nie umiera” jest pewną wizją narodu uwikłanego w sprzeczności, obciążonego historycznie, ale z żarliwą wiarą zmagającego się z niesprzyjającymi okolicznościami o fizyczne przetrwanie i o zachowanie godności. Ospiście nie

zgadzam się ani z punktem wyjścia, ani z punktem widzenia Szulca, ale jego reportaże nie jest serią przypadkowych przeżyci, których nie ma cię zrozumienia relacji White'a. W obu fotoreportażach z Polski wiele motywów powtarza się: pielgrzymki i kardynał Wyszyński (później papież), hutnik, rolnik zwożący zboże, obóz koncentracyjny w Oświęcimiu i pochód pierwszomajowy.

Są zatem, jak można wnioskować, pewne niezmienniki w amerykańskim spojrzeniu na Polskę. Natomiast tekstowi Szulca towarzyszy mniej poezji, a więcej portretów: Wałęsy, Gercemka, Wajdy, Osmańczyka, kardiologa Religi i ogrodnika Witeczaka. Na tej podstawie można przypuszczać, że amerykańska opinia publiczna, a przynajmniej jej część, za przyzółkymi plakatami z pomnikami Frycka i góralskim weselem odkryła żywych ludzi. Nie traćmy nadziei, może za następne 16 lat, liberalna lewica amerykańska zacznie ich również słuchać. ■

THOMAS R. WOLANIN

Odkrywanie Ameryki

Do odkrycia jest wiele Ameryk: Ameryka historyczna — Statua Wolności, Gettynsburg i Dzwon Wolności; Ameryka kulturowa — Broadway, narodowa Galeria (sztuki) i (symfoniczna) orkiestra clevelandzka; Ameryka naturalnego piękna — Grand Canyon, wodospady Niagary i Cape Cod w Massachusetts; wreszcie Ameryka wypoczynku i rozrywki — Disneyland, Las Vegas i plaża w Fort Lauderdale. Polska rodzina: Małgorzata Niezabitowska, stypendystka uniwersytetu harwardzkiego, jej mąż, fotoreporter Tomasz Tomaszewski i ich córka Maryna, otrzymała od miesięcznika *National Geographic* zamówienie na „odkrycie rzeczywistej Ameryki”. Przejechali oni kraj wduż i wszęsz samochodem w roku 1986 i 1987, a reportaż pani Niezabitowskiej „Odkrywanie Ameryki” (*National Geographic*, styczeń 1988) ze zdjęciami jej męża stanowi ich relację z amerykańskiej „rzeczywistości”. W swoim podejściu do tej rzeczywistości zignorowali oni dużą

część Ameryki historycznej i kulturalnej, Ameryki naturalnego piękna i rozrywki wybierając spotkania z „prawdziwymi” Amerykanami, na których najczęściej przypadkowo napotykali się w drodze przez ponad trzydzieści Stanów Zjednoczonych.

Odniosłem wrażenie, że Ameryka, którą odkryli to zbiór dziwaków na pograniczu panopticum. Fotoreportaż otwiera całostronicowe zdjęcie młodego mężczyzny w kowbojskim kapeluszu z twarzą pomalowaną w czerwono-biało-niebieskie pasy, stanowiące motyw amerykańskiej flagi. Obraz niezbyt typowy. Dalej spotykamy fanatyka religijnego dźwigającego 40-kilowy krzyż, wiejskich ćwoków, sztabusów z upodobaniem do broni palnej, kowboi, typa przekonanego o wyższości białej rasy, handlarza starzyzną, ortodoksyjnych Żydów w uzdrowisku i spawacza podróżującego po kraju w barakowozie. Wszystkie te postacie i wiele innych z pewnością istnieją w Ameryce i składają się na amerykańską mozaikę, ale stanowią one raczej interesujące uzupełnienie niż główny nurt amerykańskiej rzeczywistości. To czego brakuje, to posmak Ameryki stolarzy, urzędników, nauczycieli, mechaników, kelnerów, techników, maszynistek i policjantów, którzy mają normalne prace, jadają w barach McDonalds, robią zakupy w domu towarowym Sears, kupują samochód od pośrednika Forda, posyłają dzieci do szkół publicznych i chodzą w niedzielę do kościoła. Kiedy

na przykład autorzy zapoznają nas z listonoszem, to nie jest on jednym z dziesiątków tysięcy zwykłych listonoszy chodzących od drzwi do drzwi lub jeżdżących od domu do domu wzdłuż wiejskich ulic. Ten listonosz należy do garstki dostarczających przesyłki łodzią i umykających przed aligatorami na jednej z rzek w Alabamie.

Chciałbym, żeby pani Niezabitowska skierowała swe przenikliwe oczy, a pan Tomaszewski swój aparat fotograficzny, na centrum handlowe z dziesiątkami dużych i małych sklepów umieszczonych pod wspólnym dachem budynku otoczonego przez hektary parkingów samochodowych. To jest moja propozycja do tytułu instytucji społecznej najbardziej typowej dla współczesnej Ameryki.

Jako że jestem zwierzęciem miejskim, które wychowane w Detroit spędziło wiele lat w Bostonie, Nowym Jorku i Waszyngtonie, szczególnie uderzyło mnie skoncentrowanie przez autorów reportażu uwagi na Ameryce wiejskiej i małomiasteczkowej. Większość Amerykanów mieszka w ośrodkach miejskich, a dominująca dzisiaj w Ameryce rzeczywistość wiąże się z doświadczeniami życia miejskiego. Pomimo tego, w reportażu na pierwszym planie znajdują się miejscowości takie jak Meeteetse w Wyoming, Lewellen w Nebrascie, Independence w Kalifornii, Sharon Springs w stanie Nowy Jork i Mont Vernon w New Hampshire. W rezultacie zlekceważenia przeżyć mieszkańców miast, w amerykańskiej mozaice brakuje dwóch głównych fragmentów.

Po pierwsze, niemal wszyscy, których spotykamy to WASP (biali protestanci pochodzenia anglo-saksońskiego) albo Murzyni i Indianie. Nie dane jest nam zobaczyć dzielnic włoskiej czy greckiej. Nie spotykamy nawet pojedynczego Latynosa, pomimo ich różnorodności i znacznej liczby, w tym Amerykanów meksykańskiego pochodzenia mieszkających w barrios Los Angeles i El Paso, Kubańczyków w Miami, Portorykańczyków w Nowym Jorku oraz Salwadorszczyków i Honduranczyków w wielu dużych miastach. Nieobecna jest duża i rosnąca społeczność azjatycka. Nie tylko Chińczycy i Japończycy, ale także Wietnamczycy, Laotańczycy, Koreańczycy i Kambodżańczycy. Dzisiaj na przykład typowym właścicielem małego sklepu spożywczego w Waszyngtonie jest Koreańczyk, a chińska pralnia jest stałym elementem amerykańskiego pejzażu miejskiego co najmniej od stu lat. Najbardziej zaskakujące dla mnie jako Amerykanina polskiego po-

chodzenia jest to, że w reportażu „Odkrycie Ameryki” nie napotyamy w ogóle na Polonię. Wydawałoby się, że Polacy podróżujący przez Amerykę odnajdą parę polsko-amerykańskich enklaw istniejących w wielu dużych miastach. Niechby tylko po to, by odnaleźć tam chwilę wytchnienia w rozmowie prowadzonej po polsku i kupić dobrej kiełbasy.

Tak więc skupienie uwagi na Ameryce wiejskiej i małomiasteczkowej powoduje, że zamazuje się etniczna i rasowa różnorodność Ameryki, najbardziej widoczna w naszych miastach.

Drugim rezultatem takiego rozłożenia akcentów jest to, że autorka może z całą szczerością zdobyć się na uogólnienie: „Amerykanie są niezwykle miłymi, ciepłymi, otwartymi ludźmi”. Chociaż chciałbym, żeby to stwierdzenie było prawdziwe w odniesieniu do wielu, a może nawet większości Amerykanów, uderza mnie ono jako nadzwyczaj laurkowa charakterystyka wszystkich Amerykanów. Pominięte zostają w nim niektóre z najbardziej ponurych i szorstkich stron rzeczywistości amerykańskiej, znów najbardziej rzucające się w oczy w naszych miastach. Bezdomni, narkomani, bezrobotna młodzież w gettach, oszuści, prostytutki, stręczyciele, małeletnie matki i rozbite rodziny są również częścią amerykańskiej rzeczywistości. Obraz świeżej, zdrowej i odświętnej wyszorowanej Ameryki przedstawiony przez panią Niezabitowską należałoby zmącić cieniem krat w oknach, nabazgranymi „graffiti” na murach i śladami mocz w kłatkach schodowych.

Pani Niezabitowska jest spostrzegawczą dziennikarką, która przypominała mi o niektórych cechach tego kraju, unikających uwadze rodowitego Amerykanina. Zauważenie przez nią, jak Amerykanie manifestują przywiązanie i szacunek dla narodowej flagi przypominało mi o autentycznym i głębokim patriotyzmie większości Amerykanów, niezauważanym często lub przedrzeźnianym przez filistrów w miejscach takich, jak Waszyngton. W przeciwieństwie do Polski, narodowa flaga przyjmowana jest u nas za symbol rządu a nie opozycji. Identyfikacja z flagą znamienna zarówno dla ludowego patriotyzmu jak i formy sprawowania rządów świadczy o tym, że Amerykanie nie czynią tak ostrego rozróżnienia pomiędzy „społeczeństwem” a „państwem”, które pojawia się jako podstawa analiz politycznych sytuacji w Polsce.

Donosy na Reagana

Już do tradycji amerykańskiej należy pisanie książek wspomnieniowych przez osoby z tzw. świata polityki, biznesu, życia publicznego, wyższych sfer społecznych. Po zamknięciu jakiegoś okresu ziemskiego bytowania pierwsza lepsza „szyszka” łapie za pióro, przy czym nie jest ważne czy dobrze i pewnie dzierży je w dłoni — ważne, że rodzi się z tego „przyczynek do historii”. Zresztą nie trudno o pomagierów, którzy za godziwą opłatą nadadzą kształt literacki wypocinom autora. W Polsce klasycznym przykładem takiej odróbki są „Barwy walki” Mieczysława Moczara, które odpowiednio „ubarwił” Wojciech Żukrowski. Z dozą dużego prawdopodobieństwa można zaryzykować prognozę, że już wkrótce na amerykańskim rynku wydawniczym ukaże się książka czterdziestego prezydenta USA. Można nawet spróbować wyobrazić sobie tytuł: „Diabły”, „Szarża” czy coś w tym rodzaju. Autor będzie miał do tego pełne prawo, ponieważ byli współpracownicy obsmarowywują go przy każdej nadarzającej się okazji.

Ostatnio na księgarskie półki trafiły „wspominki” byłego rzecznika prasowego Białego Domu Larry'ego Speakesa pt. „Speaking Out”[®] („Wypowiadam się”), które wywołały burzę w Waszyngtonie. Połująca jak sęp na sensację amerykańska prasa rzuciła się pazernie na barwną historijkę, wyciągając z niej co smaczniejsze kąski. A wybierać było w czym. Speakes przez sześć lat potwarzał światu, co powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych. Z ponad dwóch tysięcy odbytych konferencji prasowych, niezliczonej ilości wypowiedzi dla środków masowego przekazu, wywiadów i dyskusji uzbierała się pokaźna porcja materiału. Nie pozbawiony ambicji i chcący „przejsć do historii” autor spreparował dwie wypowiedzi szefa państwa. Z braku należytej reakcji Reagana

na dziejące się wydarzenia — jak to ujął — włożył w jego usta słowa, których prezydent nigdy nie wypowiedział. Po raz pierwszy stało się to we wrześniu 1983 roku, kiedy po zestrzeleniu koreańskiego samolotu z 269 osobami na pokładzie przez sowieckie siły powietrzne, na użytek prasy sfabrykował cytaty prezydenckie. Drugi poszedł w świat dwa lata później, podczas spotkania na szczyt w Genewie, gdzie Gorbaczowowi udało się po mistrzowsku oczarować zachodnich dziennikarzy i przyćmić aktorskie zdolności Reagana. „Świat oddychający z ulgą” miał poprawić „image” amerykańskiego prezydenta.

Autor z rozbrajającą szczerością ujawnia omawiane szczegóły, jakby zapomniał o świętej zasadzie dziennikarskiej, którą wbija się do głowy adeptom tego zawodu w Ameryce (skąd zresztą miał o niej wiedzieć, skoro dziennikarzem nie jest), że cytaty można opisać z różnych stron, przejechać się po nim tam i z powrotem, obudować nawiasami, ale nie można go zmieniać. Oblegany przez żadnych nowych szczegółów przedstawiciele publikatorów broni się jak może, jednak królestwo słów, którym niepodzielnie władał, rozpadło się. Speakes (sprawował urząd rzecznika prasowego przez 6 lat) po ogłoszeniu wspomnień nie może być traktowany poważnie przy ubieganiu się o jakąś posadę. Za ciagoty szybkiego przejścia do historii zapłacił frycowe, wylano go z firmy inwestycyjnej Merrill-Lynch, jak widać dbającej bardziej o reputację niż prezydent.

Czytając książkę Speaksa odniosłem wrażenie, że czytam donos — donos niczym nie różniący się od tych, jakie wpływają do naszych troskliwych organów Milicji Obywatelskiej, które dzięki temu genialnemu wynalazkowi wykazują niezwykłą operatywność w wykrywaniu przestępczości. Co bardziej demokratycznie nastawieni poli-

tycy dołączają się do chóru popleczników byłego rzecznika prasowego, twierdząc, że człowiek wolny ma prawo decydować o własnym losie. I słusznie, Speakes niech będzie kowalem swego szczęścia, niech, na litość boską, nie kuje przyszłości innym. Jako „gruba ryba” wśród przybocznych prezydenta miał dostęp do tajnych informacji, znał powiązania nie tylko dyplomatyczne, strategię polityki szefa Białego Domu, dysponował możliwościami przyglądania się wszystkiemu służbowo i prywatnie. Poprzez plotkarski ton opowieści ujawnia tajemnice państwowe, nastroje w rządzie i Kongresie, strategię polityki zagranicznej i wewnętrznej, układy personalne, prezentuje przegląd charakterów i postaw.

Ameryka nie przestała jeszcze mówić o książce Speakesa, a tu nagle, jak z podziemi ukazała się książka innego byłego współpracownika prezydenta — Donalda Regana „For the Record” („Do rejestru”). Regan od początku prezydentury Reagana piastował wysokie stanowiska w jego administracji: początkowo jako minister (nie sekretarz, jakby komuś się wydawało) Skarbu, później jako Szef Personelu Białego Domu. Podobnie jak Speakes miał wgląd w tajne papiery, aranżował prezydenckie podróże, spotkania, bankiety i konferencje. Dla środków masowego przekazu „puszczał” protokoły, wywiady, zdjęcia, taśmy filmowe. Przez jego ręce przechodziły dokumenty nie znane nawet głowie państwa. Usunięty ze stanowiska w lutym 1987 roku za udział w aferze Iran-Contras na bez mała czterystu stronach ujawnia plotkarskie rewelacje np. dotyczące astrologicznych upodobań Nancy Reagan.

Według autora pani prezydentowa zasięga porad wróżki z San Francisco nazwiskiem Joan Quigley, która przepowiada dalszą i bliższą przyszłość prezydenckiej parze — szczególnie przed podjęciem ważnych decyzji, zarówno w kwestiach prywatnych, jak i państwowych. Dla przykładu: bez horoskopu nie obeszło się przy ustalaniu marszruty wizyty w RFN, podczas której Reagan składał wiązankę kwiatów na cmentarzu w Bitburgu. Pani Quigley doradzała, kiedy prezydent ma poddać się operacji wycięcia nowotworu. W rozmowie telefonicznej, na krótko przed zamachem na Reagana w 1981 roku, kalifornijska wróżka miała powiedzieć małżonce prezydenta: „wkrótce coś złego się wydarzy”. Były Szef Personelu Białego Domu opowiada więc chcąc przekonać czytelnika, tzn. opinię światową, że państwem rządzi niepoważny facet, posiadający w do-

datku żonę wariatkę. „Reagan trzyma na biurku specjalnie zakodowany kalendarz, gdzie zielony kolor cyfr oznacza dni dobre, czerwony dni złe, żółty dni takie sobie, i w ich oparciu przemieszcza się z miejsca na miejsce, wygłasza publiczne mowy oraz rozpoczyna negocjacje z zagranicznymi przywódcami” — pisze Regan.

Nancy Reagan porównana zostaje przez autora „For the Record” do Livy z dzieła Roberta Gravesa „Ja, Klaudiusz” — słodziutka, miłutka, ale bezwzględna i okrutna kobieta, która zza kulis rządziła Imperium Rzymskim przez manipulowanie znacznie od siebie starszym mężem, Cezarem Augustem. Reagan nie jest człowiekiem bezgrzesznym, za jakiego chce uchodzić jego były współpracownik Regan. Były Szef Personelu Białego Domu spalił za sobą wszystkie, nie tylko swoje, mosty. Rozkosz wspomniania polega na poczuciu absolutnego bezpieczeństwa przed nagłym i niespodziewanym wkróceniem losu. Świadomość, że nie może wydarzyć się nic nad to, co się już wydarzyło przyświecała autorom omawianych pozycji. Mogą spokojnie spać, zrobili, co chcieli, teraz przeliczają autorskie tantiemy. W tym wypadku ucierpieć może tylko Ameryka, której międzynarodową reputację starało się podważyć dwóch pięknochodów.

1 — Larry Speakes i Robert Pack „Speaking Out: The Reagan Presidency From Inside the White House”. Charles Scribner & Sons, New York, str. 322

2 — Donald T. Regan „For the Record: From Wall Street to Washington”. Harcourt Jovanovich, New York 1988, str. 397

Jerzy i Jadwiga Moszczyńscy
zapraszają do

Hotel de Ville
CH - 1671 Rue (FR)
Szwajcaria

- Kuchnia tradycyjna, dania szwajcarskie, francuskie
- Specjalności polskie: flaki, bigos, gołonka itd.
- Organizujemy: przyjęcia, bankiety, bale, imprezy artystyczne (do 300 osób)
- Dysponujemy pokojami hotelowymi do 14 osób.

Udzielamy wyczerpujących informacji listownie lub telefonicznie, tel. 021/909 50 23

ZSRS przed Wszechzwiązkową Konferencją Partyjną

Wygląda na to, iż od tak dawna przez kilkadziesiąt milionów ludzi oczekiwany *prawdziwy* początek końca systemu komunistycznego powoli, powoli, ale nieustrudzenie zaczyna przybierać realne kształty. Kraje Europy Wschodniej znajdują się w permanentnym kryzysie ekonomicznym i społecznym. O stopniu pauperyzacji „obozu socjalistycznego” świadczą nie tylko puste sklepy i rosnąca w całej Europie Środkowej inflacja, ale także, co w komunizmie zawsze było sygnałem zaawansowanego kryzysu, „reformatorska” frazeologia przywódców poszczególnych partii komunistycznych.

Najbardziej spektakularnymi wydarzeniami w ZSRS w ostatnich miesiącach była przede wszystkim bezprecedensowa polemika w czolowych „organach prasowych” na temat reform jak również przygotowania do Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej oraz posiedzenie Rady Najwyższej.

13 marca tego roku gazeta organizacji partyjnej Rosyjskiej SRS *Sowietskaja Rosija* opublikowała bardzo ostry atak na zwolenników reform Gorbaczowa, a także na kształt dokonujących się w Sowietach zmian. Autorka (niejaka Nina Andriejewna) z przerażeniem stwierdza, iż młodzież zamiast rzetelnie się uczyć zaczyna dyskutować

na tak obsceniczne tematy jak „system wielopartyjny, wolność religii, emigracji za granicę, prawo do szerokiego omawiania w prasie problematyki seksu, niezbędności decentralizacji kierowania kulturą, zniszczenia obowiązkowej służby wojskowej czy też na temat historii ZSRS”. Szczególnie ten ostatni element oburza autorkę. Opluwanie Stalina i takich jego dokonań jak kolektywizacja, czy wojna ojczyzniana uważa za niedopuszczalne zwłaszcza, że towarzyszy temu „przemilczanie wspaniałych osiągnięć przeszłości i teraźniejszości”. Zwolenników reform „Andriejewna” dzieli na dwa w różnym stopniu szkodliwe dla kraju obozy. Jedni to zwolennicy „socjalizmu inteligentkiego”, potępiający w czambuł historię Sowietów i kształt sowieckiego socjalizmu, który jakoby pozostał w tyle za osiągnięciami „współczesnego kapitalizmu”. Drudzy to wyznawcy „socjalizmu chłopskiego” służnie krytykujący „niedociągnięcia” systemu, ale nie rozumiejący historycznej roli Rewolucji Październikowej. Ustrój istniejący obecnie w Sowietach jest wspaniały i jedynie możliwy. Wszelkie reformy dążące do zmiany jego kształtu godzą w pryncypia komunistyczne. Całość tekstu podłana została do smaku sosem antysemityzmu i szowinizmu z dodatkiem panegiryku o „wspaniałym Stalinie”.

W obozie zwolenników Gorbaczowa musiało zapanować spore zamieszanie, skoro odpowiedź na ten „Manifest przeciwników »perie-

strojki“, jak wynurzenia Andriejewny nazwała później *Prawda*, ukazała się dopiero z trzytygodniowym opóźnieniem. W swoim artykule (tym razem nie podpisanym, czyli pochodzącym z najwyższego szczebla władzy) *Prawda* potępiła Andriejewną za „odstępstwa od kursu reform“, za próby „wybielenia Stalina“, który „organizował i dyrygował“ masowym terrorem oraz błędne spojrzenie na historię ZSRS. *Prawda* oświadczyła, iż „nie ma powrotu“ do ery Breżniewa (w języku partyjnym okres ten nazywa się „erą stagnacji“), a dla kursu obranego przez Gorbaczowa nie może być alternatywny. Po kilku dniach *Sowietskaja Rosija* wydrukowała bez słowa komentarza cały tekst z *Prawdy*; a jej redaktorzy w rozmowach z dziennikarzami zachodnimi przyznali się do „popelnienia błędu“.

Sprzeciw, jaki w części aparatu partyjnego budzą planowane reformy Gorbaczow postanowił złamać na Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej, mającej odbyć się pod koniec czerwca. Ostatnia taka konferencja odbyła się przed 47 laty i zorganizowana została przez Stalina w celu dokonania „pokojowej czystki“ w aparacie (pozbawienie tylko urzędu a nie głowy). Na jedenastej i dwunastej Wszechzwiązkowej Konferencji z roku 1921 partia poparła leninowską Nową Ekonomiczną Politykę. Wygląda na to, iż Gorbaczow liczy na podobny sukces.

Różnica między konferencją a zjazdem partyjnym polega przede wszystkim na wyborze delegatów. Gorbaczow, ciesząc się podobno sympatią dolnych szczebli partyjnego rusztowania, liczy na zmianę układu sił. Na Zjazd delegaci wybierani są w otwartym głosowaniu (poprzez podniesienie ręki) na wszystkich szczeblach. Natomiast delegatów na Konferencję wyznacza sekretarz okręgowej organizacji partyjnej. Po dojściu do władzy Gorbaczow wymienił dwie trzecie spośród 157 sekretarzy okręgowych. Podstawowym celem Gorbaczowa jest obsadzenie własnymi zwolennikami wakujących dotąd 36 stołków w Komitecie Centralnym oraz utrwalenie polityki wewnętrznej.

Sygnalem, iż konferencja ta może zakończyć się zwycięstwem Gorbaczowa jest opublikowanie przez KC KPZS dziesięciu tez z propozycjami zmian w systemie zarządzania. Najważniejsze to:

— wprowadzenie tajnego głosowania we

wszystkich partyjnych gremiach;

— wprowadzenie kadencji wyborczej dla komitetów partyjnych (pięć lat) oraz ograniczenie czasu zasiadania na partyjnym stołku do lat 10-ciu (także w przypadku Genseka);

— Rady (Sowiety) na wszystkich szczeblach mają odzyskać „prawdziwą władzę“;

— urzędnicy (także ministrowie) nie będą mogli zasiadać w Radach, które sprawują kontrolę nad ich stanowiskami w machinie biurokracyjnej;

— powrót do „praworządnego państwa socjalistycznego“ z niezależnymi sądami, obroną praw jednostki i przestrzeganiem konstytucji.

Wprowadzenie tych propozycji w życie mogłoby oznaczać ograniczenie władzy wrogiego Gorbaczowowi skrzydła w partii (co nie oznacza rzecz jasna „całej partii“), zwiększenie możliwości działania Rady Najwyższej (konstytucyjnego „parlamentu sowieckiego“) oraz wprowadzenie pewnych elementów praworządności.

Ostatnie (w drugiej połowie maja) posiedzenie Rady Najwyższej poprzedzone było szeregiem publikacji prasowych, audycji telewizyjnych, wypowiedzi partyjnych i bezpartyjnych na temat konieczności wprowadzenia reform. To uderzenie w najbardziej dotychczas chronione przez partię zakamarki historii i współczesności ZSRS wprawdzie może w zdumienie nie tylko zachodniego socjologa. Mieszkańcy imperium nazywają to „rozstrzeliwaniem świętych krów“. Partyjni historycy potępiają zbrodnie Stalina, pakt Ribbentrop-Mołotow nazywają „kryminalnym postępkiem“, specjaliści od propagandy przyznają się do błędów popełnionych wobec współczesnego wroga nr 1: „Myśmy sprowokowali USA do wysiłgu zbrojeń“. W prasie ukazują się artykuły na podobne tematy. Ostatnio *Izwestia* opublikowała liczbę ofiar śmiertelnych kolektywizacji: 18 do 25 milionów dodając, iż drugie tyle obywateli ZSRS straciło życie w latach 1935-53 ... *nie licząc ofiar wojny!* Kliniki psychiatryczne mają zostać poddane kontroli międzynarodowej, liczba tzw. literatury wrogiej (tym samym niedostępnej dla zwykłego obywatela) zmniejszona ma zostać z 50.000 tytułów do 5000.

Największe gazety sowieckie publikują w rubrykach „Listy od czytelników“ teksty, za które jeszcze 4 lata temu wędrowało się do pudła, a na

pewno powiększało rzeszę bezrobotnych. Na przykład nazajutrz po hucznych obchodach 1 maja w prasie pojawiły się wywody pracownicy Ministerstwa Przemysłu Lotniczego na temat przesiąknięcia do partii „tuż po rewolucji październikowej” *obcych elementów dążących do dyktatury*. Elementy te, według autorki, są także i dziś we władzach partii. W innych gazetach pojawiły się listy na temat czegoś tak nieprawdopodobnego jak GULAG. Jeden z „czytelników” zauważa, iż ZSRS „ma dzisiaj najbardziej zaludnione więzienia na świecie”, inny domaga się pociągnięcia do odpowiedzialności *pracowników organów*, którzy zaczęli się nad zatrzymanymi i aresztowanymi. W telewizji pokazano msze święte opatrzone komentarzem, iż również wierzący powinni móc uczestniczyć w rządzeniu krajem, itp. itd.

W tej atmosferze zaczęła obradować Rada Najwyższa. Tematem numer jeden obrad był projekt zapewnienia ludziom sowieckim prawa do zakładania małych spółdzielni (restauracje, zakłady rzemieślnicze, przedsiębiorstwa budowlane i transportowe oraz gospodarstwa rolne) *pozostających na własnym rozrachunku*. W Radzie Najwyższej zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: *rozgorzała dyskusja*. Jeszcze dwa miesiące temu przewodniczący Rady Gromyko podpisał dekret mający zniszczyć ową sowiecką prywatną inicjatywę. Dekret ten (z 14 marca tego roku) wprowadzał kosmiczny podatek — dochody z prywatnych spółdzielni przekraczające 1500 rubli miesięcznie zostały obciążone podatkiem w wysokości 90%. Na ostatnim posiedzeniu zarządzenie to miało być *poddane dyskusji*. Nie tylko przedyskutowano ten problem, ale także (po licznych poprawkach wprowadzonych na tajnych obradach „komisji parlamentarnych”) uchwalono dekret o prywatnych spółdzielniach, a Ministerstwo Finansów zobowiązało się do „opracowania sprawiedliwego systemu podatkowego”.

Niestety wszystkie te zmiany, innowacje mające odmienić skostniałe imperium pozostają w większości przypadków nadal na papierze. Sklepy są puste tak jak były (niektórzy twierdzą, iż bardziej puste niż przed dwoma laty), w zakładach produkcyjnych nie się nie zmieniło, a sposoby zarządzania pozostały takie jak za Breżniewa. Pogorszyła się opieka lekarska i zaopatrzenie w leki, leży transport. Z 20 tys. zakładów pracy, które od

początku tego roku miały przejść na własny rozrachunek, jedna trzecia otrzymała już ściśle wytyczone z centrali planowania. Do Moskwy napływa coraz więcej skarg na centralną biurokrację ignorującą zalecenia Gorbaczowa. Jednak i tam, gdzie elementy reformy zaczęły być wprowadzane w życie, dzieje się nie najlepiej. W przedsiębiorstwach transportowych rośnie niezadowolone robotników, którzy w związku z przejściem na własny rozrachunek zaczęli mniej zarabiać. W Saratowie doszło do strajku kierowców autobusów. Do wyjątków należą zakłady odmawiające wykonywania zaleceń z góry. Kierownictwo kombinatu maszyn ciężkich w Swierdłowsku odrzuciło plan z centrali w Moskwie jako „nierrealistyczny”. Także zwolnieni biurokraci bardzo szybko wracają na równorzędne stanowiska. Takim siedliskiem wyrzuconych za korupcję czy brak kwalifikacji biurokratów z różnych zakątków ZSRS stał się Kazachstan. Aparatczycy pozabawieni stanowisk w innych miastach otrzymują nowe posady, niektórzy zostają nawet awansowani...

Motywy Gorbaczowa są jasne: wobec permanentnego kryzysu całego systemu próbuje on „wyjść na prostą” jedynie skutecznymi metodami czyli drastycznymi reformami. Jest to jedyna (obok wojny) szansa na utrzymanie Rosji na poziomie mocarstwa. Bez radykalnych zmian w metodach zarządzania sferą gospodarczą poprawa wydaje się wykluczona.

Kwestią sporną pozostaje sprawa przyszłości: czy owe innowacje w sferze ekonomicznej będą miały wpływ na sferę społeczną, na odmianę metod zarządzania społeczeństwem. Jak dotychczas żadnemu komunistycznemu reżimowi sztuka ta się nie udało. Prędzej czy później ograniczenie społeczeństwa w jego prawach rozszerzało się na „zliberalizowaną” sferę gospodarczą (vide Węgry, gdzie po odsunięciu Kádara podejmowane są kroki zmierzające do liberalizacji także sfery społecznej). Niewielkie są więc szanse na przeprowadzenie w ZSRS reformy jedynie w sferze ekonomicznej. Jak dotąd Gorbaczow nie jest gotowy do radykalnej zmiany metod polityki wewnętrznej (konflikt w Armenii, Czernobyl), a bez tego jego „pieriestrojka” może bardzo szybko utonąć w morzu biurokracji i zniechęcenia społecznego.

Dokończenie na str. 132

Problemy narodowościowe w sowieckich republikach bałtyckich

Wzrastające niezadowolenie miejscowej ludności ze stosunku i podejścia Moskwy do kwestii narodowościowych w trzech republikach bałtyckich zmusiło lokalne władze do zajęcia się z umiarkowaną „głasnością” dotychczas niechętnie podejmowanymi problemami. K. Vaino, pierwszy sekretarz KP Estonii, wyraził przekonanie, iż tak duża ilość osób brała udział w demonstracjach o podłożu narodowym w ostatnich latach, ponieważ „nie miały one najmniejszego pojęcia o prawdziwym tle gwałtownych wydarzeń przed i po wojnie”. Ponadto „osoby, którym obce jest sowieckie stanowisko co do ich własnej historiografii, i które w nie nie wierzą, wykazują zazwyczaj polityczną ślepotę i gdy pokazać im fałszywe drogowskazy lub zagrać na uczuciach narodowych, mogą łatwo pobłądzić” (*Eesti Kommunist*, 1/1988).

Historyczne fakty leżą u źródeł ideologicznych trudności, na jakie napotyka usiłowanie legitymowania sowieckiej władzy w trzech bałtyckich republikach. Oficjalna prasa do czasu zeszloroocznych demonstracji na Litwie ignorowała deklarację niepodległości z 16.01.1918. Innymi słowy, „głasność” doszła do głosu dopiero po artikulacji konkretnych żądań przez dysydentów. W drugiej połowie 1987 roku środki masowego przekazu w ZSRS przestały unikać drażliwych tematów, za to jednak wykorzystwały swój informacyjny monopol by prezentować własne (czytaj: partyjne) poglądy i interpretacje. To nowe podejście miało na celu likwidację rowu niewiarygodności poprzez sypanie do niego większej niż dotychczas „otwartości”. Powtarzanie starych kłamstw byłoby dostarcza-

niem atutów opozycji, podczas gdy zbyt duża otwartość mogłaby niebezpiecznie podkopać wiele mitów leżących u podstaw sowieckiej historiografii. Niemniej jednak podczas dyskusowania drażliwych kwestii, jak np. stalinowskie represje, władze powróciły do starej taktyki, stosowanej w przeszłości na Ukrainie i gdzie indziej.

W wydawanym po angielsku *Soviet Weekly* (2.04.88) czytamy, iż „doszło do niczym nieusprawiedliwionych wypaczeń i łamania socjalistycznej praworządności, w wyniku czego ucierpiało wielu niewinnych ludzi, zwłaszcza na Litwie w czasie deportacji z 1949”. Jednak stwierdzenie to opatrzone zastrzeżeniem, iż deportację podjęto w celu „usunięcia wrogów socjalizmu, ukrócenia szerzącej się przestępczości i zneutralizowania kułaków”. Litewski dziennik partyjny *Cina* z 4.03.88 po raz pierwszy przyznał, iż w 1949 roku deportowano 43.231 Litwinów, a I-szy sekretarz lokalnej partii, Pugo, wysunął nawet wniosek o wzniesienie im pomnika.

Od października 1986 litewscy pisarze i historycy domagają się reinterpretacji sowieckiej wersji historii Litwy, jej kulturowego dziedzictwa, a w grudniu zeszłego roku tygodnik literacki *Literatura i Manas* opublikował dyskusję „przy okrągłym stole”, poświęconą w/w tematowi. Zgodzono się, iż sowiecka historiografia odnośnie Litwy wykazuje wiele braków i nie zaspokaja oczekiwań zarówno specjalistów jak i zwykłych czytelników. Zgodnie z duchem wielu publikacji samizdatowych, dyskutanci potwierdzili doniosłość świadomości historycznej dla zachowania tożsamości

narodowej. Jeden z historyków domagał się nawet opublikowania tajnych klauzul paktu Ribbentrop-Mołotow. W tym samym miesiącu Związek Pisarzy Litewskich zorganizował otwarte spotkanie, by przedyskutować sposób nauczania historii w szkołach, podczas którego domagano się zmiany treści podręczników. Jednakże zasadnicza rewizja sowieckiej historiografii byłaby poważnym wyzwaniem dla twierdzeń o „postępowym” charakterze inkorporacji republik bałtyckich do imperium carskiego, czy o rzekomej wyższej stopie życiowej Bałtów obecnie w porównaniu z okresem międzywojennym. Poza tym mogłoby to poważnie zaszkodzić „przyjaźni między Litwinami i Rosjanami”. W tym względzie Gorbaczow nie różni się od swych poprzedników. Przemawiając w Rydze w lutym 1987 roku powiedział m.in.: „na przestrzeni wieków... rosyjski żołnierz-wyzwoliciel pomagał bałtyckim chłopom i rybakom w obronie ich krajów przed wydziedziczeniem i zniewoleniem, bronił przed obcym gajeżdźcą.” (Tiesa, 20.02.1987). Czyżby zapomniał o słowach Lenina, które określały carską Rosję jako „wzięcie narodów”?

Tymczasem w prasie fińskiej i samizdatach pojawiła się informacja, iż w obawie przed wzbudzeniem sympatii ogółu społeczeństwa dla niektórych żądań demonstrantów, publikowanych w oficjalnej prasie estońskiej, w grudniu zeszłego roku na szczeblu lokalnego komitetu partii podjęto tajną rezolucję potępiającą „liberalne” (tj. progłasnościowe) dzienniki. W tygodniu po uchwaleniu rezolucji zwołano zebranie partyjne poświęcone problemom ideologicznym, takim jak błędy w procesie „wychowania internacjonalistycznego” i coraz liczniejsze „nielegalne” demonstracje. Większość zebrania poświęcono jednak roli estońskiej prasy jako kuźni niepokojów społecznych na tle narodowościowym. Wymieniono co radykalniejszych autorów, redaktorów, dzienniki i czasopisma. W rezultacie wiele osób zwolniono z pracy. Chodziło szczególnie o dziennikarzy pracujących w czasopiśmie znajdujących się w awangardzie protestu przeciw postępującej rasyfikacji, migracji Rosjan, deprecjacji języka estońskiego. Jeden z dzienników został oskarżony przez I-go sekretarza Vaino o to, iż „w niczym nie przypomina partyjnego dziennika”. Inne oskarżano o udział w kampanii nas rzecz powrotu do starych (estońskich) nazw geograficznych i publikację listów czytelników sympatyzujących z demonstrantami. Czołowy stalinowiec estoński, G. Naan,

wyśmiał kampanię na rzecz wzniesienia pomnika ofiarom stalinizmu, w której zebrano ok. 10 tys. podpisów, twierdząc iż pomnik należy się raczej czekistom. Dalej Naan zauważył, iż do wypadków z 1956, 68 i 80 roku w Europie Wschodniej doszło dlatego, że partia utraciła kontrolę nad prasą, do czego właśnie ma dochodzić w Estonii. Na zebraniu wezwano do położenia kresu demonstracjom o podłożu narodowościowym, wzmocnienia inwigilacji pewnych środowisk poprzez KGB i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a także zwiększonego udziału etnicznych Rosjan w partyjnych instancjach estońskich. Jednakże Radio Tallin doniosło 5 lutego 1988 o skargach estońskich związków twórczych odnośnie „zawężania sfery użycia języka estońskiego”. Stwierdzono też, iż „prawem Estończyków jest gospodarowanie krajem, w którym się urodzili i gdzie mówi się ich językiem”, oraz iż „niepokój o los języka narodowego nie może być uważany za „przejaw nacjonalizmu”.

Sytuacja ideologiczna w Estonii była też przedmiotem dyskusji radiowej (Radio Tallin) z udziałem szefa partii Estonii i lokalnych sekretarzy. Sytuację w roku 1987 opisano jako „napiętą i trudną”, lecz z drugiej strony „spokojną i normalną”. Dyskutanci lamentowali, iż „wróg ideologiczny istnieje tu, na ziemi estońskiej, nie tylko zagranicą”. Władzom nie udało się ustalić, kto kolportował ulotki wzywające do demonstracji, ani też kto becześcił sowieckie groby wojenne. Przyznano, iż „wrogowie ideologiczni mają pewne wpływy”. Zgodzono się też, iż niepowodzenia gospodarce w Estonii „gdzie osiągnięto bardzo niewiele” także w pewnym stopniu doprowadziły do „trudności na polu walki ideologicznej”.

Z kolei problemami o podobnym charakterze na Łotwie zajęto się w 13-stronicowym liście otwartym trzech Łotyszów do władz sowieckich i środków masowego przekazu. List dotyczył trzech tematów: łotewskiej historii międzywojennej, przyczyn demonstracji na Łotwie z lipca i sierpnia ubiegłego roku i dysydenckiego ugrupowania *Helsinki-86*. W publikacji stwierdzono, iż historia Łotwy winna być pisana z łotewskiego punktu widzenia. Autorzy listu żądali by nie tylko hitlerowscy zbrodniarze wojenni stawali przed sądem. Domagano się też kary dla ich sowieckich kolegów. Jednak największym problemem jest wg autorów postępująca rasyfikacja Łotwy, gdzie obecnie Łotysze stanowią 53% populacji, przy 80% jeszcze w roku 1945. Dokumentując uprzy-

wilejowaną pozycję języka rosyjskiego podano do wiadomości, iż obecnie w 47 szkołach średnich w Rydze językiem wykładowym jest rosyjski, zaledwie w 18 łotewski. W dalszych 18 szkołach używa się obu języków. W liście poparto stanowisko aktywistów grupy *Helsinki-86*, zgodnie z którym prawo do odłączenia Łotwy od ZSRS jest zgodne z literą sowieckiej konstytucji. Natomiast Radio Ryga (15.12.1987) podało do wiadomości, iż tylko 40% mieszkańców miasta to Łotysze, a ledwie 20% nie-Łotyszy włada językiem łotewskim. Ci Rosjanie, jak stwierdzono, „nie wykazują zainteresowania historią i kulturą narodu łotewskiego”.

W innej audycji radia Ryga (30.12.1987) przyznano, iż jeszcze do niedawna władze twierdziły, iż na Łotwie nie istnieje problem narodowościowy. Lecz demonstracje pokazały, „iż taki punkt widzenia jest błędny”. Stwierdzono też „poważne uchybienia w ideologicznym, internacjonalistycznym i patriotycznym wychowaniu mieszkańców, zwłaszcza młodych ludzi” oraz wywnioskowano, iż „w ostatnich latach zdecydowanie osłabił front walki z przejawami nacjonalizmu i szowinizmu”. Dziennik *Cina* z 16.01.88 doniósł o zebraniu partyjnym poświęconym poprawie „internacjonalistycznego wychowania”, podczas którego stwierdzono, iż „problemy narodowościowe nie pojawiły się nagle, a narastały przez lata”. Wzywano do rozróżniania między „dumą narodową a nacjonalizmem”, ostrzegano, iż „każdemu niepowodzeniu nasi ideologiczni wrogowie przypisują podłoże narodowe”. Szczególnie młodzi ludzie, „poddawani codziennie działaniu rozpowszechnionego nacjonalizmu i szowinizmu”, są obiektem troski władz.

Same zaś władze działające, jak się wydaje, zgodnie z tradycyjną receptą: „więcej tego samego”, nie mogą poważnie liczyć na zmianę sytuacji ideologicznej w republikach bałtyckich. Grupa *Helsinki-86* w ciągu kilkunastu miesięcy swego istnienia zdołała zebrać 50 dokumentów świadczących o nieprzestrzeganiu praw człowieka na Łotwie jak i zainicjować zakrojone na szeroką skalę demonstracje. W pierwszym oświadczeniu wydanym przez grupę domagano się restytucji łotewskiego jako języka urzędowego, ustanowienia narodowej armii łotewskiej, powrotu do granic sprzed 1939 roku, przestrzegania swobód religijnych, zaprzestania zagłaszania zagranicznych radiostacji, likwidacji cenzury, deportacji „nielegalnych imigrantów” (Rosjan — przyp. red.), powołania trybunału, przed którym stanąć mieliby so-

wieccy zbrodniarze wojenni. Wydano też szereg innych dokumentów, a 18 listopada ubiegłego roku, w rocznicę odzyskania niepodległości przez Łotwę, rosyjscy dysydenci kolportowali w Moskwie specjalnie na tę okazję przygotowane ulotki. Natomiast w Rydze do zorganizowanych przez grupę demonstracji przyłączyło się wielu zamieszkujących tam nie-Łotyszy. W styczniu bieżącego roku powstała młodzieżowa sekcja grupy *Helsinki-86* pod nazwą *Ojczyzna i Wolność*.

Zgodnie z oczekiwaniami doszło do ostrych represji. Aktywistów skazano na kary do roku więzienia, gdzie ich bito... a następnie, w geście wielkoduszności, hospitalizowano. Wielu członków organizacji powołano do wojska lub wysłano do Czernobyla. Inni stanęli przed alternatywą: Gułag lub emigracja. Wszystkiemu oczywiście towarzyszył proces oczerniania i zastraszania w środkach masowego przekazu. Zgodnie z opinią jednego z aktywistów ruchu narodowego na Łotwie, po stłumieniu demonstracji z listopada ubiegłego roku, w Rydze „panował duch rewolucyjny”. Wcześniej, 14 czerwca odbyła się tam masowa demonstracja (5000 osób) ku pamięci deportowanych z Łotwy w 1941 roku, zaś protest z 23 sierpnia, w rocznicę podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow, zgromadził 10 tys. osób. W dniu 25 marca tego roku wspomniano z kolei deportowanych z Łotwy w roku 1949. W grudniu 1987 roku utworzono tajną organizację pod nazwą *Bóg, Prawda, Naród*, zapraszającą do współpracy nie-Łotyszy, której program przewiduje działania w ramach obowiązującego systemu prawa.

W obliczu narastających protestów do ataku przystąpiła oficjalna prasa Litwy i Estonii. Na Litwie sytuację komplikuje dodatkowo istnienie wpływowego Kościoła katolickiego. I tak litewski dziennik partyjny *Tiesa* z 27.01.88 rozpoznał wroga w „garście nacjonalistycznych i religijnych ekstremistów, inspirowanych przez antysowieckie ośrodki na Zachodzie” żądając od władz, by „na czas demaskowały przejawy burżuazyjnego nacjonalizmu i klerykałnego ekstremizmu wszelkiej maści dając im należyty odpór...”. Radio Wilno tego samego dnia doniosło, iż plenum litewskiej partii ostrzega przed skutkami „zasadniczych błędów popełnionych w toku internacjonalistycznego wychowania”. W styczniu bieżącego roku po raz pierwszy, za to przez sześć dni z rzędu, *Tiesa* atakowała samizdatowy periodyk *Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie*, ukazujący się nieregularnie od 1972 roku. Władzom zależało na wy-

wolaniu wrażenia, iż *Kronika* nie reprezentuje poglądów hierarchii kościelnej, nie służy jej interesom, a zaprzędana jest zagranicznym radiostacjom i kołom emigracyjnym. W rzeczywistości *Kronika* publikowała dziesiątki oświadczeń podpisanych przez ponad 90% litewskich księży, protestujących przeciwko antykościelnym i antylitewskim posunięciom władz jak i liczne petycje podpisane przez setki tysięcy Litwinów.

Mimo surowych represji ze strony władz, 16 lutego bieżącego roku, w Dniu Niepodległości, od 10 do 15 tys. osób rozwijając narodowe flagi wzięło udział w „nielegalnej” demonstracji w Wilnie. Przed zapowiedzianą manifestacją na miejsce przybyły milicja i wojsko sprowadzone z Białorusi, doszło do pobić, osoby potencjalnie niebezpieczne przetrzymywano w areszcie domowym; innych zakładano do ciężarówek i wysadzono 40 kilometrów za Wilnem. Uczniów szkółnych wywieziono na wycieczki, studentów Uniwersytetu Wileńskiego zmuszono do udziału w 7-godzinnym zebraniu.

W dn. 2.02. br. estońska *Grupa Domagająca się Ujawnienia Tekstu Paktu Ribbentrop-Mołotow* – organizator sierpniowych manifestacji w rocznicę podpisania paktu – demonstrowała w równo 68 lat po zawarciu traktatu pokojowego między ZSRS i Estonią przypominając ówczesne gwarancje sowieckie, jak i „wieczystą rezygnację ZSRS z wszelkich roszczeń terytorialnych wobec Estonii”. Pierwszy sekretarz partii estońskiej – wspomniany już Vaino – 24 lutego br. oświadczył w wywiadzie dla rozgłośni moskiewskiej, iż w/w grupa „jest finansowana przez zachodnie służby wywiadowcze”. Oficjalne podanie do władz o zezwolenie na przeprowadzenie manifestacji zostało odrzucone.

Mimo to 2.02. br. demonstrowało ok. 1000 osób. Władze odpowiedziały „wywózkami”, aresztowaniami, pobiciami i całym arsenałem innych szykan. Nie zdołało to jednak zniechęcić ok. 15 tys. Estończyków, którzy w Tallinie w Dniu Niepodległości wzięli udział w „nielegalnym” wiecu domagając się niepodległości Estonii i wznosząc okrzyki: „Rosjanie do domu”, „przec z Vaino”. Władze zorganizowały kontrdemonstrację, której uczestnicy – w większości nie-Estończycy – protestowali przeciwko „obcej ingerencji w sprawy wewnętrzne Estonii”. Jak było do przewidzenia, szef estońskiego Sowietu poinformował, iż „kontrdemonstranci” zdecydowanie przewyższali liczebnie tych, którzy „działali z antysowieckich i

ekstremistycznych pozycji”. (Radio Moskwa, 26.02.88).

W Estonii w ostatnich czasach powstały nowe ugrupowania dysydencie, takie jak 200-osobowa *Karta-87*, 100-osobowa *Wolna Niezależna Kolumna Młodzieży*, wydająca samizdatowy biuletyn *Opinia publiczna*. Powołano do życia także *Estońską Narodową Partię Niepodległości*, której program w organie estońskich komsomolców, (*Noorte Haal* z 20.02.88) określono jako „ograniczony i nacjonalistyczny”. Zgodnie z diagnozą dziennika organizacja „służy sprawie wzniecania napięć społecznych i narodowych, choć jej członkowie generalnie uważają się za bojowników niepodległościowych”. Oczywiście „wywoływanie napięć w Estonii służy konserwatywnym siłom w ZSRS i politykom za oceanem”. Natomiast agencja TASS 23.02.88 porównała partię do grupy *Helsinki-86*, gdzie trzonom grupy założycielskiej mają być „niedokształceni, nacjonalistycznie zorientowani ekstremiści”.

Aktywiści z republik bałtyckich nawiązali kontakty nie tylko z rosyjskimi dysydentami, którzy ułatwiają im dostęp do korespondentów zachodnich. Wiele wskazuje na istnienie związków z polską opozycją. Polska Partia Liberalno-Demokratyczna *Niepodległość* i czasopismo podziemne *Nowa Koalicja* specjalizujące się w problemach dotyczących bloku sowieckiego opublikowały wspólny apel z okazji 70 rocznicy odzyskania niepodległości przez Litwę. Z kolei w *Robotniku* (nr 130/87), organie nowej PPS, opublikowano rozmowę z Estończykiem, który przyznał, że wszyscy jego rodacy byli zafascynowani „Solidarnością”. Przeprowadzający wywiad wyraził „ogromną satysfakcję Polaków, iż do protestów dochodzi także w ZSRS”. Estończyk na zakończenie wyraził nadzieję, iż „być może imperium sowieckie rozpadnie się, choć będzie to zależęć od stopnia koordynacji niepodległościowych działań Bałtów w zdecydowanie szerszej konfiguracji – z Ukraincami, Mołdawianami, Gruzinami, muzułmanami”. (tłum. pk)

UWAGA!!!

RCI-Times Sharing, międzynarodowy klub czasowy poszukuje członków oraz współpracowników. Wspaniałe możliwości spędzenia urlopu bez straty opłat za wynajęcie mieszkania. Dla osób z kapitałem możliwość doskonałej lokaty pieniężnej w frankach szwajcarskich. Informacji udzieli:

Arkadiusz Kaźmierczak, Postfach 17, Langenmattstr. 8, CH-8552 Felben, tel. 054/65 21 38

Gorzkie żale braci Litwinów

Vilnius musu, let Lietuva rusu
(Wilno nasze, ale Litwa rosyjska —
powiedzonko litewskie z 1939 r.)

Pobieżna choćby lektura emigracyjnych i samizdatowych wydawnictw litewskich, jeśli chodzi o koncepcje niepodległego państwa litewskiego, jego granic, analizy historii stosunków polsko-litewskich, musi wprawić polskiego czytelnika w stan lekkiego osłupienia. Można bowiem zrozumieć, że bracia Litwini chcą być jedynie naszymi sąsiadami, natomiast niezmiennie antypolski charakter większości litewskich publikacji, w kraju jak i zagranicą, miałość historycznych przesłanek „litewskiej racji stanu” wobec Polski, lekceważenie historycznych faktów jak i dzisiejszych geopolitycznych realiów, czyni w polskich oczach z wielu przedstawicieli niezależnej prasy litewskiej i przywództwa litewskiej emigracji swoiste panopticum, a i mimo woli wywołuje brzydką satysfakcję. Oto bowiem gdzieś żyją, piszą i wymieniają myśli ludzie, których ksenofobiczne i nacjonalistyczne poglądy pozwalają na pewną relatywizację niebezpiecznego polskiego szowinizmu — w kontekście tromtadrackiego zapamiętania litewskiego jawiącego się niewinną fobią, jeśli nie cnotą patriotyczną o ewangelicznej czystości.

Oto kilka cytatów: kanadyjsko-litewski tygodnik *Teviskės Ziburiai* z czerwca 1984 r. z okazji watykańskich obchodów 500-lecia zgonu Św. Kazimierza przyznaje, iż: *Były również pogłoski, że Polacy organizują liczne pielgrzymki. Być może, że te plotki powstrzymały niejednego Litwina od wyprawy do Rzymu na uroczystości kazimierzowskie. Okazało się na szczęście, że były bezpodstaw-*

ne. (...) Chociaż Papież jest Polakiem, okazał Litwinom tak wiele serca i uwagi.

Szósty sejm litewskiej diaspory (27-30.06.1983) podjął m.in. uchwałę nr 7: *Sejm prosi zarząd Światowej Litewskiej Wspólnoty i inne organizacje o zorganizowanie zbiórki materiałów (...) o masowych mordach, deportacjach i innych zbrodniach na wielką skalę dokonywanych przez Sowietów, hitlerowców i POLAKÓW (podkr. moje) w czasie II wojny światowej i później.*

W *Kronice Kościoła Katolickiego Litwy* z maja 1985 r. — nieregularnej publikacji samizdatowej — czytamy m.in.: *Wśród młodzieży (litewskiej — przyp. mój) są i tacy, którzy odnoszą się nieżyczliwie do Kościoła katolickiego twierdząc, że Litwa została ochrzczona albo ogniem i mieczem przez Krzyżaków, albo przez polski kler (...). Nawiązują oni do tradycji Litwy pogańskiej.*

Gdy litewsko-amerykańskie pismo *Draugas* zamieściło 19 i 20.06.1984 r. obszerny wywiad z inż. Żubrem, obywatelem litewskim, byłym wileńskim akowcem, można było w prasie litewskiej znaleźć takie głosy: *Z zainteresowaniem śledzimy ruch „Solidarność”, ale gdy ci solidaryści zaczynają kreślić mapę Polski z Wilnem i Łwowem, to warto nam się zastanowić. (...) Jestem pewien, że za czasów naszej niepodległości żaden Litwin nie cieszyłby się z tego, że kardynała Wojtyłę wybrano papieżem. Gdyby Litwa po ostatniej wojnie odbudowała swe niepodległe państwo, z pewnością niejeńden z przywódców tak zwanej Armii Krajowej był-*

by pociągnięty do odpowiedzialności za zdradę i przestępstwa wobec narodu litewskiego. A teraz nawet takie pismo jak „Pasaulio Lietuvis” zamieszcza wywiad z dowódcą oddziału tej armii na Litwie. Nikt nie sprzeciwia się rozmowom z prawdziwymi Polakami, ale nie z samozwańczymi Polakami, którzy posiadali majątki i uczęszczali do gimnazjów na Litwie. (Proszę nie przecierać oczu – jest to zgodne z litewskimi zasadami określania przynależności narodowej.)

W „Kronice litewskiej” paryskiej Kultury (nr 6/453) E. Żagiell pisze o litewsko-kanadyjskiej gazecie, nie podając, niestety, jej nazwy, która drukuje nekrolog zmarłego nie w Polsce, a w „Trójkącie Suwalskim”. Tam też znajdujemy kształt przyszłej granicy polsko-litewskiej: Połock, Dźwina, Berezyna, Prypeć, Bug, dolna Wisła – wzdłuż jej biegu do ujścia, oraz komentarz: *Są to tylko minimalne korektury granicy Litwy z Polską, Litwa nie żąda ani piędzi ziemi polskiej. Tak powinni postępować również Polacy, jeżeli chcą, abyśmy byli z nimi w przyjaźni.*

Niejaki Plakunas tak pisał na łamach samizdatowego pisma *Aušra* (październik 1979 r.): *Charakter narodu nie zmienia się nagle. Nie mamy żadnych podstaw, by wierzyć, iż zmienić się charakter narodu polskiego, tego narodu, który ponad 500 lat, poczynawszy od czasów Jagiellły, to jest od tego czasu, gdy zaczęliśmy się z nimi „przyjaźnić i obcować” prowadził w stosunku do Litwy politykę agresywną i imperialistyczną, który dążył do wykreślenia narodu litewskiego spośród żywych, używając w tym celu wszystkich środków politycznych, dyplomatycznych, wojennych (zagarnięcie Wilna) i „apostolskich”. Na końcu tym podobnych rozważań pisze autor: *Mamy przyjaciół i prawdziwych towarzyszy wśród Polaków, lecz są to tylko wyjątki. W całości polityka polska wobec Litwy była niszczycielska i taką też pozostaje. Polacy (...) w Suwałkach urządzili stację telewizyjną (dla propagandy na Litwę?), lecz tylko po to, by kiedy pozbędziemy się jednego opiekuna, narzucić nam swą jeszcze wstrętniejszą opiekę.**

Litwini za jednym zamachem unieważnili wszelkie podpisane przez Litwę na przestrzeni wieków traktaty i unie, poza umową z bolszewikami z 1920 roku, na mocy której otrzymali od nich Wilno. Poza tym mówią Litwini o „zagrożeniu białoruskim”, bowiem szowinizm i wrogość Białorusinów mają być równie zajadłe jak polskie, a ze strony Światowej Wspólnoty Litewskiej z pożalowania godną regularnością padają zarzuty pod

adresem wileńskiej AK, której żołnierze po zwoleniu Wileńszczyzny w 1944 r. rzekomo chodzili od domu do domu mordując wszystkich nie potrafiących zmówić „Ojciec nasz” po polsku. (Dodajmy, iż nie istnieją żadne dowody na rzekome polskie masowe zbrodnie na Litwinach w Wilnie w 1944 r. oraz, iż każdy Litwin MUSIAŁ znać polskie słowa modlitwy, bowiem w tym języku modlili się jego pradziadowie, dziadowie i rodzice.)

Natomiast bezspornym faktem jest, iż w drugiej połowie XIX w. doszło do ożywienia narodowego Litwinów: powstała, wywodząca się z warstw niskich narodowa inteligencja litewska, której istnienie uszło uwadze Polaków – zarówno lewej stronie polskiej myśli politycznej, która doprowadziła do powstania SDKPiL – Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (podkr. moje), jak i prawicy, reprezentowanej przez Dmowskiego, który widział Litwę jako autonomiczną część przyszłej Polski.

Jednak nacjonaliści litewscy wystąpili z bardzo śmiałą „geograficzną” koncepcją państwa litewskiego, zgodnie z którą Litwinem jest każdy, kto zamieszkuje tereny byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, bez względu na język, jakim się posługuje i własne poczucie przynależności narodowej. Litewscy nacjonaliści dowodzili, zgodnie zresztą z prawdą, iż litewska szlachta bezprykladnie spolonizowała się, wobec tego należy ją na powrót zlituanizować, a od Polski zdecydowanie odciąć się, bowiem atrakcyjność jej kulturowych wpływów i tradycyjne związki zagrażają kompletnym wynarodowieniem Litwinów. Naturalnie szły za tym roszczenia terytorialne. Jak każdy młody ruch narodowy, tak i litewski nie znał umiaru – żądał dla siebie Wilna i Trok, Święcian, Braśławia i Druł nad Dźwiną, Nowogródka, Białowieży, Białegostoku, Grodna, Augustowa i Suwałk. Rozmach tych żądań nie był jedynie wyrazem historycznych wspomnień. W niemalej mierze przyczynili się do tego Niemcy, oddając na wiosnę 1918 roku we władanie Litwinom Kowieńszczyznę, północną część Suwalszczyzny oraz powiaty wileński, trocki i święcicki. Stolicę Litwy widziano w grodzie Giedymina – Wilnie, mimo wielowiekowej tradycji polskiej na Wileńszczyźnie, liczebnej większości ludności czującej się polską. (Warto tu przypomnieć o spisie ludności przeprowadzonym przez Niemców w 1916 roku, który w Wilnie wykazał 50,3% Polaków, 42% Żydów i... 2,6% Litwinów. W podobnym spisie w Kownie –

przyszłej stolicy Litwy — narodowość polską zdeklarowało 42% mieszkańców. Natomiast w 1939 roku w Wilnie do narodowości litewskiej przyznało się 0,7% populacji.)

Trudno nam — Polakom — dziwić się, iż ta fantastyczna koncepcja posiadała nośność wśród społeczeństwa litewskiego. Przecież równie odważne było pociągnięcie Stalina, w wyniku którego nawiązaliśmy do tradycji piastowskich wracając w 1945 roku do Wrocławia czy Szczecina i młoda polska inteligencja z werwą dyskutowała o słowiańskim sposobie kładzenia cegły w fundamentach wrocławskiej katedry, co rzekomo miało tłumaczyć terytorialną rewindykację Dolnego Śląska. Szczęściem nikt nie chciał polonizować mieszkających tam Niemców, których wywieziono w bydłowych wagonach, by ustąpili miejsca Polakom z litewskiego Wilna i ukraińskiego Lwowa. Poza tym świadomość historyczna narodów zawsze karmiła się mitem i legendą i jej stan jest problemem sprawności zabiegów propagandowych w o wiele większym stopniu niż zaawansowania badań historyków.

Dalszą konsekwencją litewskiej doktryny geograficznej było okrzyknięcie Władysława Jagiełły zdrajcą za podpisanie Unii w Krewie, zaś Unia Lubelska stała się symbolem litewskiej Targowicy. Trudno dociec na czym polegała zdrada Jagiełły, który swym krokiem dał początek jednej z najpotężniejszych dynastii w Europie, natomiast zupełną aberacją wydaje się być ukrycie za tym sądem myślenie kategoriami narodowymi czy patriotycznymi o epoce, w której panowały stosunki wczesno-feudalne, gdzie ścierały się ze sobą nie różne języki, tradycje kulturowe i patriotyzmy, a raczej potężnych feudałów, zagrożonych równie potężnym Zakonem Krzyżackim. I tu nie dziwnym się braciom Litwinom — przecież stosunkowo niedawno z całą powagą klóćiliśmy się o polski rodowód Kopernika. Posądzanie zaś „Judu” — czyli niewolników polskich czy litewskich o myślenie w kategoriach państwa należy pomieścić (i dobrze zamknąć) w arsenale myślenia magicznego, z którego pełnymi garściami w swoim czasie, choć dla różnych celów, czerpali Sienkiewicz, propaganda komunistyczna, polska kinematografia, no i... bracia Litwini.

Wyrosły z takich przesłanek szowinizm litewski doprowadzał np. do powszechnego wśród Litwinów przekonania, iż w Warszawie, ba, w całej Europie, język litewski jest powszechnie znany, a strzelanina pod Szwercami, w której poległ je-

den polski żołnierz, urosła do rangi wielkiego tryumfu oręża litewskiego nad wojskiem polskim i rzekomo tylko interwencja Ligi Narodów uniemożliwiła wówczas Litwie zdobycie Wilna. Odłóżmy jednak na bok księgę mitów litewskich — mamy przecież pisaną po dziś dzień własną — a sięgnijmy do dokumentów: zachował się memoriał z początku wieku, złożony rządowi carskiemu przez niejakiego Jana Sliupasa i grupę działaczy litewskich, gdzie autorzy twierdzą, iż Litwę zamieszkuje wyłącznie Litwini, których część została spolonizowana i pozostaje pod polskimi antyrządowymi wpływami. W zamian za zezwolenie na drukowanie litewskich ksiązek łacińskim alfabetem i powierzenie spraw oświatowych Litwinom, memoriał proponował wyćwiczenie w ciągu kilkunastu lat wszystkich śladów polskości na Litwie.

Zespół takich i podobnych sądów wszedł na stałe do redagowanego z mozołem przez z górą 100 lat kuriozalnego kompendium historycznej myśli litewskiej, dla której idealnym polskim odpowiednikiem są kroniki Wincentego Kadłubka, zaś jej polityczna doktryna przypomina jako żywo ksenofobię Patriotycznego Zjednoczenia „Grunwald”. Najwyższy więc czas spojrzeć w oczy faktom, skonstatować sytuację geopolityczną Europy w czasie kształtowania się niepodległego państwa litewskiego — może lepiej nie z wysokości kurka na wieży w Kownie, a z perspektywy Wersału, Londynu, Moskwy i Warszawy.

Popularne w Europie w czasie I wojny hasło „walki o wolność ludów” dotarło również na Litwę. Litwini, początkowo przekonani o zwycięstwie Rosji, widzieli szansę na połączenie się w jej ramach z rodakami w Prusach Wschodnich. Tak w każdym razie wynikało z deklaracji składanych dowództwu rosyjskiemu, tak też wyrażali się litewscy posłowie w Dumie. Stanowisko to poparli litewscy emigranci w Ameryce w uchwale swego kongresu (wrzesień 1914 r.). Jednak pod wpływem rozwoju wydarzeń wojennych, już w maju 1916 r. w Lozannie odbył się zjazd działaczy litewskich, gdzie mówiono o całkowitej niepodległości Litwy i powołano do życia Radę Narodową. Tymczasem od lata 1915 roku tereny etniczne Litwy okupowali Niemcy i nie kryli się z planami przyłączenia ich wraz z Kurlandią do Rzeszy. By do tego doprowadzić, musieli Niemcy w pierw-

szym rządzie wypowiedzieć otwartą wojnę polskiemu pierwiastkowi kulturowemu i gospodarczemu, popierając, wykorzystując i antagonizując dla celów swej polityki podatny żywioł litewski i białoruski.

Wobec przystąpienia USA do wojny wiara Niemców w ostateczne zwycięstwo przerodziła się w nadzieję na kompromisowy pokój. W tej sytuacji, działając pod płaszczykiem modnego hasła „o samostanowieniu narodów”, Niemcy zezwolili na zwołanie zjazdu działaczy litewskich w Wilnie (18-23 września 1917 r.) i z odpowiednio dobranych delegatów wyłoniono 20-osobową „Valstybes Taryba” (Radę Narodową, popularnie nazywaną Tarybą). Uchwała zjazdu, mówiąca o tym, że granice i stosunek do narodów sąsiednich określi zwołana w przyszłości konstituanta nie przypadła do gustu Niemcom, którzy 11 grudnia 1917 r. wymusili na powolnej sobie Tarybie deklarację, w której „odbudowane państwo litewskie że stolicą w Wilnie zrywa wszystkie więzy łączące ją dotychczasowo z innymi państwami” (czyli Polską i Rosją). Ponadto deklaracja zwracała się do Niemców z prośbą o pomoc i opiekę nad powstającym państwem. Zaś z głębi z bolszewizowanej Rosji dochodziły głosy o kongresie w Petersburgu (czerwiec 1917 r.) i zjeździe w Woroneżu (listopad 1917 r.), gdzie delegaci litewscy opowiedzieli się za niepodległym państwem litewskim. Szczytowym osiągnięciem sowieckiej propagandy w tym względzie była słynna deklaracja o prawach narodów Rosji z 15 grudnia 1917 r.

Jednak już 22 grudnia 1917 r. rozpoczęły się rokowania pokojowe między Niemcami a bolszewikami. Lenin postawiony wobec faktów dokonanych (wojska niemieckie podeszły pod Petersburg) przystał na warunki niemieckie i 3 marca 1918 r. podpisano traktat pokojowy w Brześciu nad Bugiem, zgodnie z którym Rosja zrzekała się praw do terytoriów przyszłej Polski i państw bałtyckich. Niemcy, po niepodległościowej deklaracji Taryby z 16 lutego 1918 r. dekretem cesarskim z marca 1918 r. uznali państwowość litewską za cenę czterech niemiecko-litewskich konwencji o uni wojskowej, monetarnej, celnej i komunikacyjnej. Ponadto cesarz Wilhelm, jako król pruski, został miał wielkim księciem litewskim. Tak właśnie powstała zręby państwowości litewskiej.

Niemcy, okupujący terytoria cesarstwa rosyjskiego po Dniepr, Dźwinę i Narwę, po załamaniu się ofensywy na zachodzie, 11 listopada podpisały równoznaczny z kapitulacją układ pokojo-

wy zobowiązując się do stopniowego opuszczania zajętych terenów na wschodzie. W tej sytuacji już 18 listopada bolszewicy wypowiedzieli traktat brzeski, a ustępujący Niemcy, pod wpływem zbolszewizowanych rad żołnierskich ustępowali Armii Czerwonej terytoria pozostawiając im broń, tabor kolejowy i ciche przyzwolenie na prowadzenie agitki (np. 21 i 22 grudnia 1918 r. dwaj wybitni działacze bolszewicy, Joff i Kamieniew przemawiali w okupowanym jeszcze przez Niemców Wilnie na mitingach z żołnierzami niemieckimi)

17 grudnia 1918 r. trzy dywizje Armii Czerwonej rozpoczęły tzw. „czerwony marsz na Zachód” z rejonu Witebsk-Orsza, uzasadniany przez bolszewików koniecznością zajęcia „pustych miejsc” po Niemcach i zapobieżeniu „szerzącej się anarchii”. Poza tym rząd Lenina czuł się w moralnym obowiązku poparcia „dążeń ludu pracującego Litwy i Białorusi w jego walce z zaborczością burżuazji polskiej”. Wyrazem tej troski było z pewnością utworzenie 8 grudnia 1918 r. „tymczasowego robotniczo-włościańskiego rządu rewolucyjnej Litwy” z przywiezionym z Moskwy W. Mickiewiczem-Kapuskasem na czele (z siedzibą w Dyneburgu, bowiem bolszewicy podchodzili dopiero pod Mińsk).

Tak więc Litwini posiadali zainstalowany przez Niemców rząd Taryby prof. Valdemarasa w Wilnie, a drugi, wyczarowany przez bolszewików, gotował się do objęcia władzy, której jedyną legitymacją były sowieckie bagnety. Tak jak i w Polsce, rewolucyjne idee Lenina nie znalazły odźwięku na Litwie, wobec czego bolszewicy uderzyli z werwą w naszpanowaną strunę litewskiego patriotyzmu — jak się wydaje, z litewskim rezonansem.

Z sowieckiego niebezpieczeństwa zdawali sobie w pełni sprawę Polacy w Wilnie, gdzie już 10 listopada 1918 r. stworzono Związek Wojskowy Polaków z zakonspirowanych członków POW. Podobne organizacje powstały w Mińsku Litewskim, Grodnie i Białymstoku. Na obszarach tych znajdowało się w sumie ok. 250 tysięcy wojska niemieckiego — jedyna realna ostoja wileńskiego rządu Taryby prof. Valdemarasa. Armia Czerwona zbliżała się do Wilna, a rząd Valdemarasa i wojsko litewskie podały tyły wycofując się bez walki wraz ze swymi niemieckimi mocodawcami do Kowna (które zresztą nieco później — 17 stycznia 1919 r. — oddali bolszewikom bez wystrzału).

Rząd litewski, mimo rosnącego niebezpieczeństwa ze strony Moskwy, odrzucał nie tylko

propozycję współdziałania, ale nie chciał sąsiedzkiego bodaj ułożenia stosunków, domagając się uznania państwa litewskiego bez żadnych zastrzeżeń, ze stolicą w Wilnie, a w granicach, jakie sam dla tego państwa widział, oskarżając zresztą Polskę o zaborczość i gwałty, okupację... białostoczczyzny, a nawet groził „krwawym gniewem ludu”.

Tak więc czoła Armii Czerwonej w Wilnie stawiała jedynie szczupła polska „Samoobrona” pod dowództwem gen. Wejtki, uprzednio rozbrajając resztki oddziałów wycofujących się Niemców i dobrze uzbrojone misje bolszewickie. W dniu 5 stycznia 1919 r., po zaciętych walkach z Armią Czerwoną gen. Wejtko uznał sytuację za beznadziejną wycofując się z Wilna. Już 27 lutego 1919 r. Moskwa proklamowała „zjednoczoną socjalistyczną republikę rad Litwy i Białorusi”.

Postępy Armii Czerwonej i niechętnie wycofywanie się Niemców z innych terenów, jak i jawna współpraca sowiecko-niemiecka były otwartą realizacją polityki faktów dokonanych kosztem kształtu polskiej granicy wschodniej, przy czym Polska nie tyle nie była w stanie przeciwstawić się sowieckiej agresji, co przedostać się przez pas okupacji niemieckiej (ogółem ok. 250 tys. żołnierzy) na wschód od linii Kowel-Brześć-Białystok-Grajewo. Wreszcie po licznych interwencjach Piłsudskiego francuski marszałek Foch wymógł na Niemcach zobowiązanie nieustępowania dalszych terenów bolszewikom. Na tej podstawie Polacy — ryzykując otwarte starcie z Niemcami — obsadzili linię Skidel-Kobryń... i zostali zaatakowani przez pracę na zachód Armię Czerwoną. W ten sposób 17 lutego 1919 r. wybuchła wojna polsko-bolszewicka. Tymczasem wojska polskie w 4/5 zaangażowane były pod Lwowem. Tempo prac wersalskich zmuszało Piłsudskiego do pośpiechu i podejmując ogromne ryzyko dokonał potajemnego przemieszczenia wojsk, by wyzyskać, jak mawiał, „najpiękniejszy przywilej wojny — niespodziankę, która zabija siłę” i po trzydniowym natarciu (16-19 kwietnia 1919 r.) odbić Wilno z rąk sowieckich. Doszło nawet do niezbyt groźnych starć z Litwinami, którzy atakowali tyły wojsk polskich, zaabsorbowanych walką z Sowiecami. W efekcie polskiego natarcia popierany przez Niemców rząd Valdemarasa mógł powrócić do Kowna. W kilka dni później (25 kwietnia) doszło do bezowocnych polsko-litewskich negocjacji w Warszawie, zerwanych z powodu nieprzejednania Kowna, domagającego się zwrotu Wilna i oskarżającego Polskę o

„okupację litewskich obszarów”. Tymczasem powołana do rozstrzygnięcia kwestii polskich granic wschodnich komisja Cambona, wobec chwilowych sukcesów Denikina i Kołczaka, stanęła na stanowisku, iż należy wytyczyć „minimalną a tymczasową wschodnią granicę Polski”. Decyzja w tej sprawie zapisać musiela po wyswietleniu etnograficznego charakteru i nastrojów ludności. Wniosek komisji głosił: „Do rozstrzygnięcia należy poczekać, aż wyłoni się nowy rząd rosyjski — NAJWŁAŚCIWSZY I NIEZBEDNY PARTNER MÓCARSTW W SPRAWIE WYZNACZANIA WCHODNIEJ GRANICY POLSKI” (podkr. moje). W rezultacie utworzono linię demarkacyjną o 10 km na korzyść Polski wzdłuż linii kolejowej Grodno-Wilno-Dyneburg. Nieco później znów doszło do walk polsko-litewskich w okolicy Mercza, Olity i Żyżmorza, poważniejszych jedynie w czasie polskiego natarcia na Dyneburg (Łotwa), kiedy Litwini, zgodnie z ustaloną już taktyką, znów usiłowali zaatakować tyły wojsk polskich. Natomiast poważniejszy w skutkach był incydent w Sejnach. Zgodnie z decyzją Rady Najwyższej Niemcy zobowiązani byli oddać powiat sejneński Polakom 24 sierpnia 1919 r. Miast tego sprowadzili tam kilka garnizonów litewskich, które zaatakowały wkraczających Polaków. W rezultacie Litwini zostali pobici, ale po obu stronach padło po kilkudziesięciu żołnierzy.

Cztery dni wcześniej młode państwo litewskie przeżyło swój pierwszy nieudany zamach stanu. Koła rdzennie litewskie, zniechęcone germanofilską polityką swego premiera Słęczewiczusa pragnęły doprowadzić do powstania rządu opowiadającego się za współpracą z Polską, Łotwą i Estonią, licząc naturalnie na poparcie zamieszkujących Litwę Polaków i współpracując z istniejącą tu zakonspirowaną POW. Spisek został wykryty, doszło do licznych aresztowań, a represje spadły na wszystkich bez wyjątku Polaków.

W czasie cofania się wojsk polskich przed Armią Czerwoną znów doszło do współpracy sowiecko-litewskiej, a opanowanie przez Sowieców Wilna (14.07.1920) poprzedziło uderzenie litewskie na tyły wojsk polskich. W ramach układu litewsko-sowieckiego Wileńszczyzna przekazana została Litwie, przy czym Sowieci zastrzegli sobie prawo swobodnego ruchu Armii Czerwonej na terytorium całej Litwy. Naturalnie Sowieci nie dopuścili Litwinów na obszary Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny, a swoje prawdziwe intencje wobec Litwy potwierdzili w Wilnie, które przekazali „we

władanie" Litwinom dopiero po 6 tygodniach od wkroczenia do miasta – 27 sierpnia 1920 r., już po klęsce nad Wisłą, kiedy losy wojny były najwyraźniej rozstrzygnięte na polską korzyść. Wycofując się polecili jednostkom litewskim obsadzenie Suwalszczyzny, na co Litwini skrzętnie przystali, ustępując jednak bez walki przed polską ofensywą, ale po to tylko, by zaatakować polskie oddziały od tyłu i wkroczyć do Sejna (2 września 1920 r.). Ponadto stwierdzono współdziałanie wojsk litewskich z sowieckimi w rejonie Grodna i Lidy. W końcu sierpnia do Kowna wysłany został płk Mackiewicz celem uregulowania stosunków polsko-litewskich. Nie uzyskał jednak niczego, nawet wypuszczenia z obozu internowanej na Litwie brygady Pasławskiego, choć w tym samym czasie Litwini nie czynili żadnych przeszkód przedostającym się przez Litwę z Prus do armii Tuchaczewskiego żołnierzom sowieckim.

Do Wilna wojska polskie wkroczyły 9 października w wyniku słynnego „buntu Żeligowskiego”. We wrześniu Piłsudski, spotykając się z wielkim rozczarowaniem niczego nieświadomych żołnierzy, przemianował dywizję litewsko-białoruską na „oddział nieregularny”, który wraz z innym oddziałem ochotniczym nazwano grupą „Bieniakowie” i oddano pod komendę gen. Żeligowskiego. Następnie oddziały te „zbuntowały się” i rzekomo bez uzgodnienia z rządem i dowódcztwem polskim zdobyły Wilno, a Żeligowski przesłał rezygnację na ręce swego bezpośredniego przełożonego, gen. Sikorskiego i proklamował „niezależne” państwo – Litwę Środkową – składające się z 3 powiatów Wileńszczyzny. „Buntownicza” fasada inkorporacji Wilna wynikała ze zobowiązań podjętych przez premiera Grabskiego na konferencji w Spa (lipiec 1920 r.), w pierwotnej wersji mającej uregulować stosunki w Europie, głównie zaś skontrolować stan wykonania przez Niemcy postanowień traktatu wersalskiego. Jednak konferencja przekształciła się praktycznie w „sąd nad Polską”, która wobec wojsk sowieckich zbliżających się do Wisły zmuszona była przystać na dyktando w zamian za militarną pomoc mocarstw.

Litwini oddali Wilno bez walki, przekazując władzę w mieście tuż przed wkroczeniem oddziałów Żeligowskiego przedstawicielowi Rady Najwyższej, francuskiemu gen. Reboulowi, który stał się niewygodnym dla propagandy litewskiej świadkiem nieopisanego wybuchu entuzjazmu mieszkańców na widok polskich oddziałów – jak sam pisał: „bardziej wymownego niż najlepiej

przeprowadzony plebiscyt”. Po wyborach do Sejmu Orzekającego (8 stycznia 1922 r.), w których frekwencja wyniosła 64,4%, ponieważ zbrojkotowali je Litwini i Żydzi, nowopowstałe ciało 20 lutego wypowiedziało się za przyłączeniem Litwy Środkowej do Polski. 22 kwietnia 1922 r. Piłsudski przybył do Wilna i w swym przemówieniu do mieszkańców, wygłoszonym po polsku i litewsku, powiedział m.in.: *W dniu wielkiego tryumfu polskiego(...) nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący ręki do tych, tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego tryumfu, uważają za dzień klęski i żałoby. (...) Nie mogę ich nie uważać za braci.* Litwini odrzucili rękę Piłsudskiego, a „bunt” Żeligowskiego i inkorporacja Wilna kazały Litwie pozostawać z Polską formalnie w stanie wojny do 1928 r., zaś do 1938 r., nie utrzymywać z nią żadnych kontaktów dyplomatycznych, wymuszonych zresztą przez Becka groźbą interwencji wojskowej.

Konflikt polsko-litewski o Wileńszczyznę był oczywiście drobnym epizodem w skali toczonej się wojny światowej czy interwencyjnej, a opis wydarzeń ograniczający pole widzenia i opis sytuacji do dwóch najbardziej zainteresowanych, lecz stosunkowo mało istotnych stron sporu jest jedynie analizą skutków. Przyczyn szukać należy w miastach i krajach tak odległych, że rzeczywiście niewidocznych gołym okiem z Kowna.

Nawet z perspektywy Warszawy zatarg z Litwą jest ledwie jednym z incydentów toczzonej na wielu frontach walki o niepodległość i kształt państwa polskiego i nie sposób, jak robią to niektórzy historycy litewscy, rozpatrywać go jedynie w polsko-litewskim kontekście. Polska, a w jeszcze większym stopniu Litwa, dostały się niespodziewanie w tryby ogromnej maszyny I wojny światowej, rewolucji bolszewickiej, wojny interwencyjnej, gdzie warunki dyktowane były przez ścierające się interesy wielkich mocarstw, zmieniającą się linię frontów. Polska dysponowała pewnym potencjałem militarnym i jakimi takimi wpływami w świecie, jednak zdana była w dużym stopniu na łaskę i niełaskę Rady Najwyższej zwyciężczych w I wojnie mocarstw, dyplomatyczne kluczenie w labiryntach zmieniających się priorytetów polityki Anglii i Francji. Natomiast karta litewska w tej ogromnej grze była nie znaczącą zrzutką.

Nie należy oczywiście lekceważyć godnych szacunku i podziwu osiągnięć działaczy litewskich, którzy zdołali rozbudzić w swym narodzie jak najszustniejsze dążenia do emancypacji, wyar-

tykułować je na forum międzynarodowym, co w rezultacie doprowadziło do powstania niepodległego państwa. Wypada jednak trzeźwo spojrzeć na Europę tamtych lat i postawić sobie pytanie: czy polska racja stanu pozwalała Piłsudskiemu na inne stanowisko wobec Litwy? Czy było to stanowisko rzeczywiście imperialistyczne i zaboborne?

* * *

Problem niepodległości państw bałtyckich na poważnie rozpatrywać zaczęto po zwycięstwie rewolucji w Rosji i posiadając w tej kwestii głos rozstrzygający Anglia, Francja i USA podporządkowały swoją politykę wschodnią dwu priorytetom: restytucji imperium rosyjskiego, czyli zdławieniu rewolucji bolszewickiej oraz określeniu kształtu i roli państwa niemieckiego po jego kapitulacji.

Najogólniej rzecz biorąc, Anglia w stosunku do państw bałtyckich wahała się w wyborze między ich niepodległością a autonomią w granicach przyszłej Rosji, podczas gdy Francja opowiadała się zdecydowanie za tą drugą koncepcją, co było jeszcze jednym z przejawów dochodzących raz po raz do głosu sprzeczności interesów obu sprzymierzonych mocarstw, które najwyraźniej zweekowały z podjęciem decyzji o losach państw bałtyckich czekając na rozwój sytuacji w Rosji, licząc oczywiście na zwycięstwo „białych”. Doraźnie zaś, w połowie lata 1919 r., gdy mające się niebawem skończyć klęską sukcesy „białych” osiągnęły apogee, chodziło o zabezpieczenie logistycznego wsparcia dla „białych” via terytoria przyszłej Litwy, Łotwy i Estonii, oraz o bazy dla brytyjskiej floty operującej wówczas w Zatoce Fińskiej. Wtedy to właśnie Brytyjczycy dążąc do koordynacji wszystkich sił i działań przeciw bolszewikom musieli na Francuzach zgodę na uznanie warunkowej (do rozstrzygnięcia w przyszłości przez Ligę Narodów w ramach całokształtu zagadnienia rosyjskiego) niepodległości państw bałtyckich – 20 sierpnia 1919 r.

Rzecz jasna, ów warunek wzbudził niepokój Bałtów, jak i, choć z innych zupełnie względów, protest „białych”, co zostało wykorzystane natychmiast przez Moskwę, deklarującą już w 11 dni później bezwarunkowe uznanie suwerenności Litwy, Łotwy i Estonii oraz gotowość do natychmiastowego zawarcia pokoju. Kraj bałtyckie na wspólnej konferencji w Tallinie wyraziły zgodę na podjęcie z Sowietami negocjacji o rozejm. Nato-

miast Brytyjczycy i Francuzi poprzez bezwzględny nacisk storpedowali te zabiegi w imię panującej wówczas doktryny strategicznej o kluczowym znaczeniu obszaru nadbałtyckiego dla zdobycia Petersburga, co z kolei miało być kluczem do zdobycia Moskwy. Jednak już w połowie stycznia 1920 r., gdy Kołczak i Denikin przestali istnieć jako siła, a wszystko wskazywało na utrwalenie się w Rosji władzy bolszewików, Lloyd George, w nadziei na otwarcie ogromnego rynku rosyjskiego dla osłabionego wojną i właściwie chylącego się ku upadkowi imperium brytyjskiego, wkroczył na drogę porozumienia z czerwonym Kremlom (zobowiązującym się wówczas m.in. do spłaty zadłużeń carskich) nakłaniając państwa bałtyckie... do zaniechania dalszej walki z bolszewikami i przystąpienia do rokowań.

W tym samym czasie, od 15 do 22 stycznia, w Helsinkach trwała konferencja Polski, Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii, mająca na celu stworzenie wspólnego bloku antysowieckiego, do czego nie doszło między innymi z powodu nacisków Anglii i litewskiego uporu. Stąd też brała się początkowo polityka powstrzymywania polskiej ekspansji na wschód – w imię zabezpieczenia interesów przyszłej Rosji czy też korzyści mających płynąć z handlu z bolszewikami. Przy końcu stycznia 1920 r. Lloyd George stwierdził, iż bolszewizm nie stanowi „poważnej groźby na zewnątrz” i przystąpił do handlu z „Centrosojuzem”, twierdząc, iż sprzedaż bolszewikom poważnych ilości leków, nasion i artykułów żywnościowych nie jest równoznaczna z popieraniem bolszewizmu. Polacy natomiast usłyszeli, iż wdarli się na tereny „o dużej przewadze rosyjskiej(!)” i w przypadku targu o nie z bolszewikami Wielka Brytania nie będzie w stanie poprzeć Polski ani militarnie ani wojskowo. Mało tego – Lloyd George w rozmowie z Grabskim z całą powagą dowodził, iż Rosja Sowiecka na pewno nie chce dla siebie Wilna, więc należy je bezwzględnie ustąpić Litwinom, a Armia Czerwona ominię je z własnej i nieprzymuszonej woli. Bracia Litwini wydawali się ów optymizm podzielać.

Jak się wydaje, ten sprzedajny stosunek do ZSRS wszedł na stałe do katalogu konsekwentnie serwilistycznych postaw Zachodu wobec sowieckiego imperializmu. W tej sytuacji, również przejrzystej dla działaczy litewskich, trudno przypuszczać, iż widzieli oni w chwiejnym i koniunkturalnym stanowisku mocarstw rękojmnię swej przyszłej niepodległości. W latach 1917-20 polityka

Francji, a szczególnie Anglii podyktowana była absolutną ignorancją rewolucyjnego wrzenia w Rosji i w pewnym uproszczeniu wyrażała się przekonaniem, iż wystarczy na wakującym po zamordowanym carze tronie posadzić Kołczaka czy Judenicza, a wszystkie problemy zostaną rozwiązane. Stanowisko „białych” do dążeń emancypacyjnych państw mających powstać kosztem terytoriów należących przed wojną do imperium rosyjskiego winno z góry przekreślać ideę jakiegokolwiek rzeczywistej autonomii w granicach powojennej „białej” Rosji. „Biali” reprezentowali uparcie carską rację stanu, a więc Rosję „wielką i niepodzielną”.

Np. Kołczak na 6 tygodni przed upadkiem, 4 grudnia 1919 r. podkreślał niezmiennność swoich poglądów na „kwestię materialnych i terytorialnych roszczeń ze strony tych nowych tworów państwowych, Polski nie wyłączając, które w granicach i kosztem Rosji powstały”. Judenicz nazwał narodowców estońskich „bandą zbrodniarzy”, zaś Denikin wobec Ukraińców stosował ostrzejsze ograniczenia od carskich. Koncepcja Rosji niepodzielnej łączyła się oczywiście z powrotem do przedrewolucyjnych stosunków społecznych, a na zajmowanych przez „białych” terenach przywracano dawny porządek bezsensowną drogą krwawej i dzikiej zemsty — stąd „biali” wbrew dość powszechnemu dziś przekonaniu nie byli wyzwolicielami ludu rosyjskiego gnębionego przez bolszewików. Wprost przeciwnie — byli powszechnie nienawidzeni i znajdowali oparcie jedynie w pomocy z zewnątrz. Choćby poprzez to nie mogli być naturalnym sojusznikiem w walce Polaków czy Litwinów o niepodległość.

Warto tu przytoczyć relację Jerzego Iwanickiego, szefa polskiej misji handlowej w Taganrogu (Rostowie), ówczesnej stolicy „białych”, zdaną Piłsudskiemu w lipcu 1919 roku: *W Rostowie zastaliśmy dobrane towarzystwo najgorszych carskich dostojników, całą „ochranę”, żandarmerię, policję, gubernatorów, generałów — tych wszystkich, którzy mieli stare porachunki z różnymi ruchami wolnościowymi, a z Polską przede wszystkim. Ludzie ci zwartym kołem otaczali Denikina, człowieka, równie jak oni nie rozumiejącego, że czasy ich panowania minęły bezpowrotnie i że ludzie, którzy raz zrzucili jarzmo carskie, dobrowolnie doń nie powrócą(...) Starym carskim dostojnikom w głowie nie mogło się pomieścić, żeby ci ludzie, którym oni wymierzali surowe kary(...) mieli otrzymać niepodległość.*

Trudno też było Litwinom liczyć na jakies realne poparcie swych narodowych ambicji ze strony Niemiec. Po zawarciu pokoju brzeskiego z Sowietami Niemcy przerzucili znaczne siły na zachód i w marcu 1918 r. rozpoczęli ogromną ofensywę, w wyniku której Paryż znalazł się pod ostrzałem dalekosiężnych działań niemieckich. Akcją tę poprzedziło zabezpieczenie granicy wschodniej poprzez powołanie do życia powolnej sobie litewskiej Taryby, a plany niemieckie najwyraźniej zmierzały do zamknięcia Polski „niepodległymi” Litwą i Ukrainą w „pruskim worku” — na co Polska przy najprzychylniejszym nawet stosunku do emancypacyjnych ambicji Litwinów w ich proniemieckim kształcie przystać nie mogła. O wartości gwarancji niemieckich wobec Litwy niech świadczy chociażby inicjatywa szefa sztabu frontu wschodniego, gen. Luddendorfa, który w obliczu klęski na zachodzie złożył Radzie Regencyjnej — namiastce polskiego rządu przy państwach centralnych, reskrybowanej równocześnie z utworzeniem litewskiej Taryby — we wrześniu 1918 r. propozycję przejścia Wileńszczyzny za cenę części byłego Królestwa Polskiego.

Niemcy po klęsce na zachodzie próbowali za wszelką cenę zachować zdobycze na wschodzie, przy czym sprawa niepodległości Litwy i kształtu granic polsko-ukraińsko-litewskich była jedynie funkcją jasno sprecyzowanego celu. Stąd też brała się chwiejność niemieckiej polityki wschodniej, z dzisiejszej perspektywy miejscami wręcz humorystycznej. Oto bowiem cesarz Wilhelm II w sierpniu 1918 r., na 3 miesiące przed abdykacją i ucieczką do Holandii, proponował ministrowi spraw zagranicznych w „rządzie” bezwzględnej Rady Regencyjnej, ks. Radziwiłłowi, związek z Niemcami, przy czym królem polskim miałby zostać... arcyksiążę Karol Stefan Habsburg z Żywca.

Przewrotność jak i prawdziwe cele polityki niemieckiej na wschodzie dokumentuje choćby tworzenie przez nich na Litwie „rosyjskich” oddziałów Pawła Bermondta-Awałowa w lecie 1919 r. Napływali do nich „ochotnicy” z głębi Rzeszy, Niemcy nadwożąc się jak i wracający z niewoli jeńcy rosyjscy. Bermond, kapelmistrz armii carskiej, zwiąawszy się z Niemcami przybrał nazwisko Awałow pasując się na księcia i generała, mimo swej całej megalomanii zdołał przy pomocy Niemców zgromadzić dość znaczne siły (40 tys. Niemców i 10 tys. Rosjan), wyposażone w broń maszynową, a nawet lotnictwo, co było zagroże-

nem dla Polski jak i krajów bałtyckich. (Awalów na podstawie tajnego porozumienia współpracował z... bolszewikami i w październiku 1919 r. uderzył na Łotwę, której armia zdołała odeprzeć atak dzięki militarnej i dyplomatycznej pomocy udzielonej przez Piłsudskiego, przy czym rząd litewski nie zgodził się na przemieszanie wojsk polskich przez swe terytorium. Nieco później, w trakcie ofensywy polskiej 3 stycznia 1920 r. dwie dywizje pod dowództwem Rydza-Smigłego zdobyły z rąk sowieckich Dyncburg — obecnie Daugavpils — i oddały miasto Łotyszom).

Jeśli więc nawet bracia Litwini wierzyli wówczas ślepo w Niemców jako gwarantów swej niepodległości, sytuacja taka była w latach 1917-19 nie do pogodzenia z racją stanu walczącego o swą niepodległość państwa polskiego, zagrożonego przez Niemców też na zachodzie i Śląsku; zresztą późniejsza agresywna polityka III Rzeszy świadczy dobitnie o bezzasadności takich nadziei.

Ostatnim, choć najistotniejszym elementem militarnego i politycznego labiryntu na wschodzie Europy tych lat są oczywiście Sowiety, które z przyczyn oczywistych nie były i nie są gwarantem niczyjej niepodległości. W tej sytuacji dziwić musi, iż bracia Litwini, mimo doświadczeń dwu krótkich okresów sowiezycyzacji, zdobyli się na atakowanie wojsk polskich w czasie trwania wojny polsko-bolszewickiej. Godzi się tu przypomnieć, iż wojsko polskie nie potraktowało poważnie tych incydentów — np. na Wileńszczyźnie Litwinów poddających się po krótkiej walce „zbuntowanemu” oddziałom Żeligowskiego wysłano do domu, by powiedzieli rodakom, że Polacy nie chcą wojować z Litwinami, a przyszli po swoje. Ziejącym do dziś nienawiścią do Polaków pamiętliwym historykom(?) litewskim warto też rzec, iż w żadnej powojennej publikacji polskiego autora na temat stosunków polsko-litewskich nie udało mi się znaleźć w odniesieniu do dzisiejszej sytuacji Litwinów złośliwej argumentacji typu „masz, czego chciałeś, Grzegorz Dyndało”.

Prawdziwe intencje sowieckie były chyba jasne dla każdego, kto czytał wydawane w Moskwie gazety. Już 25 grudnia 1918 r. *Izwestia* głosiły: *Litwa, Łotwa i Estonia są przeszkodą na drodze, która prowadzi z Rosji do Europy Zachodniej. Są tedy zaporą dla naszej rewolucji, oddzielając Rosję Sowiecką od rewolucyjnych Niemiec. Ten mur musi być obalony.* Przypomnijmy jeszcze, iż sowiecki plan strategiczny wojny z Polską jak i decyzja inwazji pochodzą z listopada 1918 r. i noszą dość

charakterystyczną nazwę „Operacja Wisła”, o czym donosi np. oficjalne wydawnictwo sowieckie pt. „Grażdanskaja Wojna”.

Pozostaje jeszcze omówić polskie stanowisko wobec Litwy. Jak już wspomniano, rozbudzenie się litewskiej świadomości narodowej było dla przeciwnego Polaka z przełomu ostatnich wieków zaskoczeniem. Stąd też między innymi np. Roman Dmowski początkowo w ogóle nie brał pod uwagę niepodległości Litwy. Natomiast pochodzący z Wilna Piłsudski postawił przed Litwinami dwie opcje:

1) państwo litewskie o narodowości mieszanej, tj. bez przewagi narodu litewskiego w jakiś sposób związane z Polską, posiadające jednak autonomię kulturową i polityczną, opartą o zasady równouprawnienia;

2) uznanie całkowitej niezależności Litwy w jej granicach etnicznych, tzn. bez Wilna, Grodna, Białegostoku czy Nowogródka.

Wobec uporu Litwinów Piłsudskiemu pozostawało jedynie zajęcie stanowiska drugiego. Bez ryzykowania wielkiego błędu z perspektywy czasu stwierdzić można, iż zarówno federacyjna koncepcja Paderewskiego i Piłsudskiego jak i poparta czynem zbrojnym idea zabezpieczenia wschodnich granic Polski istnieniem niepodległych państw bałtyckich była jedynym konsekwentnym gwarantem niepodległej Litwy w jej etnicznych granicach. Stanowisko to było jednak nie do przyjęcia dla radykalnych nacjonalistów litewskich, którzy koncepcowali swoje granice w sposób zgoła fantastyczny i byli gotowi sprzymierzyć się z każdym, kto obiecał im Wilno. Jak wówczas, tak i dziś swe pretensje do Wilna uzasadniają Litwini... dokumentami podpisanymi z Niemcami, albo Sowieciami z lipca 1920 r. lub też sprzecznymi decyzjami Rady Najwyższej, co w obliczu w/w faktów traci chyba walor argumentu.

Zdając sobie sprawę, iż „gdybanie” jest jedną z uciążliwszych plag publikacji historycznych. Niemniej jednak zasadne jest chyba podejrzenie, iż gdyby doszło do utworzenia solidarnego bloku państw w Europie środkowej po I wojnie, mapa kontynentu mogłaby dziś wyglądać nieco inaczej.

* * *

Tak czuli na punkcie własnych swobód Litwini poczynali sobie z polską mniejszością na Litwie „kowieńskiej” bezceremonialnie. Żeby uszczuplić jej prawa fałszowano spisy ludności.

Chodziło o to, by wykazać przed światem, iż polska mniejszość na Litwie nie istnieje. Przy wydawaniu paszportów wpisywano zgodnie z instrukcjami władz bez pytania zainteresowanych *Lietuvis*, a wpis zmieniano dopiero na uparte żądania zainteresowanego. Ekscesy szowinistów litewskich wobec Polaków odbywały się za milczącej zgodą władz. Zerwano wszelką łączność z Polską, a paszporty litewskie zawierały wpis: *Ważny na wszystkie kraje z wyjątkiem Polski*. Z tego względu Polacy zmuszeni byli podróżować do ojczyzny przez Prusę lub Łotwę, gdzie w polskich przedstawicielstwach wymieniano im paszporty. Często podróżowano przez „zieloną granicę”. Obrót pocztowy odbywał się podobnie okrężną drogą — tzn. listy i paczki adresowane były do znajomych w krajach ościennych, skąd dopiero ekspedycyjne były do Polski. Z nieubłaganą systematycznością likwidowano szkolnictwo polskie. Doszło do tego, że w szkole polskiej mogły się uczyć tylko te dzieci, których rodzice mieli w paszporcie wpisaną narodowość polską, przy czym istniał okólnik (z dn. 21.08.1927 r.) dyrektora departamentu ochrony obywatelskiej, skierowany do naczelników powiatów, zabraniający poprawiania raz już dokonanych wpisów paszportowych.

Jak ogromna była potrzeba szkół polskich, niech świadczy fakt, że gdy w 1926 r. na krótki okres do władzy doszedł rząd lewicowy, ilość polskich prywatnych szkół powszechnych wzrosła z 7 do... 77, by już w roku następnym po zamachu stanu nacjonalistów litewskich pod przywództwem A. Smetony, spaść do 20. Poza tym odmawiano zatwierdzania nauczycieli w ogóle lub we właściwym czasie. Aby uniemożliwić nauczanie dzieci po polsku zakazano specjalną ustawą udzielania w prywatnych domach lekcji dzieciom, które nie należą do tej samej rodziny. Za nieprzestrzeżenie tej zasady skazano w latach 1937/38 kilkaset osób. Język polski wyrugowano z życia publicznego nawet w miejscowościach gdzie odsetek Polaków przekraczał 50%. Urzędnikom litewskim zabroniono odpowiadać interesantom po polsku. Gdy zaś ktoś nie znał lub nie rozumiał języka litewskiego, zmuszony był zwracać się... po rosyjsku. W roku 1924 i w latach następnych ministerstwa litewskie rozsyłały kwestionariusz, w którym dopytywano się o narodowość urzędnika, jego żony, w jakiej szkole uczą się dzieci, oraz o język używany w domu. Wkrótce w ten sposób pozbyto się polskich urzędników. W Kownie, w którym Polacy w 1924 roku stanowili 28% ogółu miesz-

kańców (połowę ludności katolickiej) nie istniał żaden polski kościół, a ostatnie polskie nabożeństwo zlikwidowano w 1937 r. Z okazji „przejeżdżania” stowarzyszeń mniejszości narodowych z dnim 1.01.1931 r. zlikwidowano 38 organizacji polskich, w tym 4 centralne.

W marcu 1923 roku Litwini, przy cichym poparciu Berlina i Moskwy, opanowali Kłajpedę, będącą dotychczas na mocy decyzji Ligi Narodów wolnym miastem (polsko-litewskim). Stacjonujący tam garnizon francuski po krótkiej walce wycofał się na stojące w porcie okręty. Ten następny antypolski krok przysłużył się zresztą Polsce, bowiem Liga Narodów uznała zagrożenie polskich interesów na wschodzie ze strony Niemców i Sowieców za realne i, choć przyznała Litwie prawa do Kłajpedy, zaaprobowała ostatecznie kształt polskiej granicy wschodniej. Poza tym przyspieszyło to budowę portu w Gdyni, i Kłajpeda, wobec braku zainteresowania ze strony polskiej jako port bez mała splątała. Poza tym usilne lituanizowanie mieszkańców (w 80% protestantów pochodzenia niemieckiego) odniosło skutek wręcz odwrotny — ludność zgermanizowała się i miało to niewątpliwie swój wpływ na zajęcie miasta przez Hitlera 16 lat później — w marcu 1939 roku.

Pakt Ribbentrop-Mołotow oddawał pierwotnie Litwę w ręce niemieckie, jednak zajęli ją Sowieci i po toczących się 15 miesięcy sporach wypłacili za nią Niemcom 7,5 mln dolarów w złocie w kwietniu 1941 roku, kiedy niemiecki plan agresji na Sowiety był już gotów. Absolutna sowietyzacja Litwy rozpoczęła się dopiero w czerwcu 1940 r., kiedy Armia Czerwona zakończyła połowicznym tylko sukcesem agresję na Finlandię. Sowieci, po wkroczeniu na wschodnie tereny Polski, z godną podziwu konsekwencją znów obdarzyli Litwinów Wilnem, które formalnie przeszło w ręce litewskie 28.10.1939 r., a 15.06.1940 r. Litwa zmuszona była przystać na sowieckie ultimatum i formalnie 3.08.1940 r. Najwyższy Sowiec uczynił zadość prośbie fasadowego Litewskiego Sejmu Ludowego przyjmując kraj w skład ZSRS.

Rozpoczęła się lituanizacja Wilna, w którym Litwini stanowili w 1939 roku 0,7% ludności. Nie ulega wątpliwości, iż plany działań antypolskich zostały przygotowane wcześniej. We wszystkich dziedzinach życia wprowadzono język litewski. Na rozkaz władz policyjnych znikły polskie szklane sklepowe. Wszelkie rozporządzenia wydawano w językach litewskim, białoruskim, jidis, a na końcu po polsku z dopiskiem: *tlumaczenie z litew-*

skiego. Prawo wykonywania wszelkich zawodów (nawet dorożkarza) uzależnione było od znajomości języka litewskiego. Przyznanie obywatelstwa litewskiego obwarowane było szeregiem perfidnych warunków, toteż uszczęśliwiono nim zaledwie 30 tys. mieszkańców 200-tysięcznego miasta, przy czym większość z tych osób była pochodzenia żydowskiego.

Trzeba pamiętać, iż na Litwie wyłącznie osoby narodowości litewskiej mogły być posiadaczami nieruchomości czy jakiegokolwiek warsztatu pracy. Polacy zarabiali też o wiele mniej niż wykonujący tę samą pracę Litwini (np. litewska urzędniczka pocztowa zarabiała miesięcznie 350 litów, a Polka 75). W błyskawicznym tempie likwidowano wszelkie placówki polskie, takie jak Izba Przemysłowo-Handlowa, Rolnicza i Rzemieślnicza, co oczywiście zrujnowało lokalną gospodarkę i doprowadziło do masowego bezrobocia, by następnie... zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o pomoc. Szykana nie ominęła szkolnictwa. Z 375 czynnych nauczycieli w Wilnie Litwini przyjęli do pracy zaledwie 150. Stanowiska dyrektorów i kierowników szkół objęli Litwini. Rozwiązali nawet dopuszczone przez cara w 1905 roku polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Na wiosnę 1940 roku nacjonaliści litewscy doprowadzili do awantur w wileńskich kościołach. Dochodziło do pobić, których ofiarą padł między innymi... przedstawiciel nuncjatury kowieńskiej, mons. Peroni, przybyły do Wilna, by osobiście zorientować się w sytuacji. Pobito go, następnie zaarrestowano, a wypuszczono dopiero po okazaniu dyplomatycznych dokumentów na komisariacie.

Po przyłączeniu Litwy do ZSRS, dzięki obecności Polaków w partii komunistycznej w Wilnie przeniknęły do społeczeństwa echa dyskusji i postulatów litewskich komunistów „wileńskich”. Otóż proponowali oni... wywiezienie Polaków z Wilna do Kazachstanu. Pobożne to życzenie zostało wysłuchane, tyle tylko, że przy deportacjach Sowietci trzymali się własnego klucza.

Wkraczające na Litwę oddziały niemieckie w czerwcu 1941 r. przyjęte zostały przez Litwinów entuzjastycznie, a w Kownie wybuchło regularne powstanie i Niemcy wkroczyli do miasta bez walki. „Partyzanci” litewscy nie czekając na Niemców spędzili Żydów na plac stacji autobusowej, by tam w okrutny sposób dokonać samosądu za rzekomy udział Żydów w organizowanej tuż przed wybuchem wojny deportacji „wrogów

ZSRS i szpiegów”. Dochodziło też do antypolskich ekscesów i np. w Druskiennikach, chyba jedynie raz w tej wojnie, Niemcy stanęli pośrednio w obronie Polaków wydając obwieszczenie, iż w razie dokonania zamachu na żołnierza armii niemieckiej, NA POLAKA (podkr. moje) lub kogokolwiek innego, będzie natychmiast rozstrzelanych 10 Litwinów. Już w grudniu 1941 roku nacjonaliści litewscy wystosowali do władz niemieckich memoriał, w którym uskarżali się m.in. na treść cytowanego wyżej oświadczenia, jak i na powoływanie na szereg odpowiedzialnych stanowisk w Wilnie Polaków. Natomiast dalsze zabiegi Litwinów o położenie kresu nauczaniu po polsku doprowadziły tylko do tego, iż Niemcy, iście salomonowym wyrokiem, nakazali nauczać po niemiecku.

W stosunku do Kościoła polskiego na Wileńszczyźnie Litwini otrzymali od Niemców wolną rękę. Pogrom objął wszystkie placówki kościelne. Arcybiskupa Jąbrzykowskiego wywieziono do Kirjampola, gdzie został internowany. Klerycy i profesorowie teologii zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu w Wyłkowszkach, a po kilku dniach dano im do wyboru dalszy pobyt w więzieniu lub podpisanie ochotniczego zgłoszenia na roboty do Niemiec. Osobnym i wstydliwym rozdziałem historii litewskiej jest współpraca Litwinów z Niemcami i ich udział w mordach na Żydach.

★ ★ ★

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie było moim celem wypominanie braciom Litwinom bezceństw popełnianych przez niektórych z ich rodaków, a jedynie pokazanie, iż szowinizm jest kijem o dwóch końcach. W paryskim *Kontakcie* w nrach 11(55), 12(56) i 3(59) wydrukowano 3-częściowy cykl pt. „Państwa Bałtyckie 1940-80” pióra Aleksandra Stromasa, gdzie autor ni słowem nie wspomina o cytowanych powyżej faktach, natomiast bardzo wyczerpująco informuje o antysowieckich tradycjach i poczynaniach Bałtów, sowieckich zbrodniach w państwach bałtyckich — stąd i zainteresowanego tymi problemami czytelnika odsyłam do miesięcznika paryskich kolegów. Najpewniej w długiej litanii krzywdy litewskiej doznanej z polskiej ręki wiele jest zarzutów słusznych — tyle tylko, iż przemilczanie historycznych faktów, przymykanie na nie oczu, gdy nieco kują i zakłócają sielską harmonię obrazu własnego narodu ma krótkie nogi — szczególnie na Zachodzie.

gdzie dostępu do informacji nikt nie hamuje, gdzie w bibliotekach nie istnieje dział prohibitów, a historyka ocenia się nie za piękno, a rzetelność dzieła.

Naturalnie dzieje Litwy są i powodem smutnej refleksji nad losem państw małych i słabych, dążących uparcie ku wolności i w dążeniu tym miotanych najłżejszym powiewem zmian koniunkturalnych między mocarstwami, zmuszanych do konwulsyjnych zmian frontu i lojalności. Skoro jednak stanęli Litwini wobec fatalnego wyboru mniejszego zła, to właśnie sojusz z Polską był owym mniejszym złem. Cóż, wynalazek kompromisu, będący obok wojny jedynym skutecznym sposobem rozwiązywania międzynarodowych sporów, na Litwę widocznie nie dotarł, a antypolskie emocje, miast ulec odgórnjej neutralizacji, świadomie podsycane przez litewskie władze i kler, stały się dumną litewską racją stanu.

Rozumiem też, że antypolskość była Litwinom potrzebna, by zorganizować naród wokół jakiejś idei. Jeśli przyjmijemy, iż w imię najwyższego dobra, czyli stworzenia niepodległego państwa, należy złożyć na ołtarzu wiele — obiektywność, prawdę historyczną i uczciwość — i tu jestem w stanie zrozumieć szowinizm litewski. Natomiast podnoszenie głowy i głosu przez litewskich polakożerców i szowinistów dziś, w 48 rocznicę założenia Litwie sowieckiego jarzma, jak i obawa, iż po ewentualnym upadku Sowietów miliony Polaków spakuje walizy i wyruszy na podbój Wilna, jest przejawem poważnej choroby, z którą należy walczyć.

Światowa Wspólnota Litewska w Chicago 24 listopada 1986 roku opublikowała słynne oświadczenie w odpowiedzi na podobny dokument czterech polskich organizacji podziemnych w sprawie przyszłych granic Ukrainy, Polski, Białorusi i Litwy. Oto wyjątki: *W celu normalizacji stosunków konieczne jest, by naród polski uznał, szanował w pełni i bezwarunkowo niepodległość Litwy oraz jej terytorialną integralność ze stołecznym Wilnem i Wileńszczyzną jako jednolitymi i nierozłącznymi częściami Litwy. (...) jednocześnie musimy przypomnieć, że Litwa i naród litewski*

nigdy nie uznały okupacji Wilna i Wileńszczyzny w latach 1920-39.

Nie jestem pewien, czy przyjęcie tych warunków jest konieczne, a już zupełnie powątpiewam, czy służyć to może jakiegokolwiek normalizacji. Natomiast absolutnie pewne jest, iż jeśli po raz kolejny dojdzie do przewożenia z jednego końca Europy na drugi milionów ludzi w bydłych wagonach w imię powrotu do legendarnych macierzy, to stanie się to za sprawą decyzji zapadającej na szczyblu tak wysokim, iż nie dochodzi tam po nure ujadanie polskich czy litewskich szowinistów. Nie ujadajmy jednak za głośno, bowiem i ledwo słyszalne szczełknięcie było nierazko w historii pretekstem dla niewyobrażalnych w skutkach działań. ■

Dokończenie ze str. 84

W Polsce społeczeństwo czy naród związane są z flagą i innymi symbolami patriotycznymi, natomiast rząd usiłuje sprawować władzę bez fundamentów patriotycznej lojalności, na których mógłby się oprzeć. Inaczej niż rząd amerykański, który jest prawomocny i cieszy się powszechnym szacunkiem. Fakt ten zaciemniają niejednokrotnie antyrządowe slogany, które są nieodłącznym elementem wielu patriotycznych kampanii wyborczych w Stanach Zjednoczonych.

Jedną z najbardziej ponurych stron amerykańskiej rzeczywistości, która została przedstawiona w reportażu „Odkrycie Ameryki” z pewną głębią i wrażliwością jest trwanie rasizmu w naszym kraju. Należy przypomnieć, że Ameryka ma jeszcze długą drogę przed sobą, jeśli chodzi o budowanie wielorasowego społeczeństwa, w którym każda jednostka mogłaby rzeczywiście żyć godnie, liczyć na sprawiedliwość i korzystać z możliwości. Gwarancje tego wszystkiego zawarte są w każdym razie w prawie i w politycznych deklaracjach. Mam nadzieję, że polska rodzina powróci wkrótce do Ameryki. Pani Niezabitowska i pan Tomaszewski odkryli już wiele, ale wiele pozostało jeszcze do odkrycia i zbadania.

Thum. A. Zwaniacki ■

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Ogłaszamy stały konkurs na prace w technice fotograficznej (zdjęcie, collage, montaż, fotoreportaż) dotycząca aktualnych wydarzeń i sytuacji w Polsce. Najlepsze prace będą co miesiąc prezentowane w „Poglądzie”. Wysokość nagrody 70,- DM. Redakcja zastrzega sobie prawo wykorzystywania prac nienagrodzonych do celów ilustracyjnych placąc ca. 20,- DM za zamieszczony materiał. Prace prosimy nadsyłać do 1-go każdego miesiąca.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Polacy w Australii: Dwie miłości porucznika Dolańskiego

Wśród europejskich osadników w Australii, to jest na przestrzeni dwustu lat, emigranci polscy pojawiają się prawie od samego początku. Nierzadko są to emigranci polityczni, przybyli do Australii po klęskach powstańczych w XIX wieku, po przegranej dla sprawy suwerenności naszego kraju II wojny światowej, oraz ostatnio, po wprowadzeniu stanu wojennego w PRL w 1981 roku.

Ich spojrzenie na Australię i stosunek do tego kraju różni się w zależności od osoby, czasu, temperamentu. „Nie umiem powiedzieć, czy mógłbym w Australii żyć dłużej niż na długich, półrocznych wakacjach. Chociażby ze względu na oddalenie” — oświadczył w wywiadzie dla polskiej prasy w Australii znany współczesny polski dysydent i poeta Jacek Bierezin. Innego zdania o tym kraju był porucznik Bolesław Dolański, uczestnik powstania w Poznańskim w 1848 roku, który odwiedził Australię w połowie ubiegłego stulecia. Porównując ten kraj z Francją pisał on: *Z cywilizowanej Europy i niejednym może laskawy czytelnik pობлаżającym może będzie czytał okiem niecne czyny, a w końcu może sobie raczej pomyśleć: Oj, nieszczęścia chodzą za ludźmi, od których nie mogą się w żaden sposób wyrwać. Że w tym dzikim kraju nie ma nic, co by wynagradzało pracę i ciężkie trudy. Ja jednak innego jestem o Australii zdania i po Polsce ona jest pierwszą i jedyną którą kocham, gdyż dla człowieka, który się nie leni i chce pracować, i umie sobie radzić, a zarobiony grosz nie traci, Australia przy swoim zdrowym, czystym i łagodnym klimacie jest najwładziejniejszą krainą, która pracę pilnego sowsice płaci... Stokroć*

*razy wolę Australię niżeli Francję, gdzie zarabiając bardzo trudno przy najcięższej pracy ledwie na życie, zostaje się jeszcze od grymasów Francuza zawisłym lub w Anglii od majstrów. Kiedy w Australii przeciwnie — kto tylko ma głowę zdrową i z pięciu zmysłów nie ogołoconą, może w krótkim czasie swoją niezawisłość otrzymać przez swoją gorliwą pracę i nie masz większej przyjemności, jak kiedy człowiek pracuje, chociażby i najwięcej nawet, byle tylko na swoim kawałku chleba i nikt mu nad karciem nie stał. Przybyłem do Australii we trzy szelągi, a opuszczając ją po tylu nieszczęściach, miałem przed opłatą podróży, która mnie dużo kosztowała, 5000 franków. Przyjechałem chory na żółtę, wątroby, płuca, a opuszczając Australię byłem zdrow jak ryba a silny jak lew.**

Chociaż Dolański skończył spisywać swoje wspomnienia z Australii „dnia 1-go stycznia 1855 roku”, to ukazały się one drukiem dopiero niedawno, bo w roku 1981. W międzyczasie rękopis spoczywał w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Dzieje Dolańskiego po jego powrocie do Europy na wieść o formowaniu się polskiego legionu w Turcji nie są znane. Wiadomo o nim jedynie, iż był synem kapitana artylerii oraz członka i rady Towarzystwa Królewskiego Gospodarczo-Rolniczego, Grzegorza Koraba Dolańskiego. Bolesław Dolański urodził się w 1824 roku we wsi Stawce, w województwie lubelskim, którą jego ojciec dzierżawił od rodziny Zamoyskich.

W Australii porucznik Dolański przebywał krótko, bo 20 miesięcy, pomiędzy 1852 a 1854 rokiem. Jednym z powodów wyjazdu na antypody

była wieść o odkryciu tam bogatych złóż złota. Ale były też i inne powody. *Będąc znudzonym nędznym życiem, jakie emigracja polska we Francji doznaje — pisał Dolański — byłem mocno przekonany, że moje wydalenie się z Europy, jeśli nie przyniesie mi wielkiej korzyści, zgubnym dla mnie być nie może. Przy moim odjeździe zaś wielu z emigracji obсыpywało mnie potwarzami, mówiąc, że jestem wzywany z uczuć prawdziwego Polaka i że jedynie dla zysku puszczam się w tak dalekie kraje. Wyjeżdżając zostawiłem ich pośmiewisko za sobą, a dziś widzę tych samych ze zazdrością przede mną.*

Podróż Dolańskiego do Australii na pokładzie statku *Chalmers*, nie obeszła się bez strat, na szczęście niezbyt dotkliwych: z *utonionych* nie było nikogo prócz jednego żagla, którego był wpadł do morza. Ze zabitych tylko parę poprzecznych belek od żagli, które trupem na pokładzie leżały. Z rannych kilkanaście pociętych lin, powrozów, podarowanych żagli.

Dolański twierdzi, iż poduczyszwszy się nieco języka angielskiego w czasie podróży statkiem, po zejściu na ląd w Melbourne mówił *złamaną ale dosyć zrozumiałą angielszczyzną*, dodając: *A co nie umiałem wypowiedzieć po angielsku, to pan A. M. (znajomy ze statku Anglik) mi szflerował.* Zabawiwszy jakiś czas w Melbourne udał się następnie w poszukiwaniu złota do miejscowości Castelmaine, odległej o 110 mil. O tym, iż szczęście bywa zmienne porucznik Dolański przekonał się nie raz. Początkowo, nie mając prawpy nie udało mu się wypukać złota. Ale wkrótce, *poduczyszwszy się cokolwiek lepiej, wymyśliłszy złota funtów pięć i pół wagi. Wówczas to, dorobiwszy się nieco zacząłem myśleć o spekulacji.* Wspólnik Dolańskiego, Wehl, *bardzo dobry doktor medycyny, tylko nie mający praktyki, gdyż w kraju jakim nim jest Australia ludzie są zdrowymi, oświadczył, że najlepszą spekulacją byłoby kupić wóz i konie.* Co też Dolański uczynił, bowiem jak pisze, *wynajęcie furmanki było bardzo drogo płacone.* Niestety, nieco później, w czasie burzy, wszystkie konie puszczone wolno uciekły spłoszone lub, co jest bardziej prawdopodobne, zostały skradzione. Zdruzgotany niepowodzeniem, niespełna trzydziestoletni poszukiwacz złota myśli o samobójstwie. *Z utratą koni straciłem wszystko, prócz pozostałych kilkadziesiąt szelągów [i] gdyby nie moralność od dzieciństwa mi wpojona i religia, byłbym może stał się samego siebie mordercą.*

Złamany niepowodzeniem powraca do Melbourne, gdzie przypadkiem spotyka znajome-

go ze statku Anglika, który go w trakcie podróży uczył angielskiego. Po krótkiej rozmowie dochodzi do zmiany ról: *Pan A. M. prosił, aby go uczył czytać po polsku. Czyniłem to chętnie i mój uczeń nie zawiódł mnie w mych oczekiwaniach, gdyż w przeciągu dwóch tygodni czytał doskonale i nie bardzo złym akcentem.*

Ciekawe, iż wielu z przebywających wówczas w Australii Polaków ukrywało swoją narodowość i nazwisko. Tak na przykład Bolesław Dolański przez dłuższy czas podawał się za „Alfreda Lennarda, Duńczyka”. Podobnie czynił inny rodak, podający się za „kapitana Bole”, którego Dolański poznał w Castelmaine. *Był to Polak ze starszej emigracji (to jest emigracji po powstaniu listopadowym) przybyły tu z Ameryki, bardzo dobrze się mający i również trunków sprzedawał się trudniący; mnie samemu tylko się przyznał, że jest Polakiem, ale nazwiska swego nie chciał mi powiedzieć. Mówił mi tylko że jest z 1-go Pułku Ułanów, którego stał w Lubartowie. Uchodził tu jako amerykański kapitan, pod nazwiskiem pana Bole, mający lat przeszło pięćdziesiąt i kilka.*

W czasie drugiej wyprawy z Melbourne w poszukiwaniu złota, porucznik Dolański zaprzyjaźnia się w przydrożnej karczynie z Ludwikiem Markusem, doktorem filozofii, Żydem niemieckiem, autorem znanego Dolańskiemu dzieła „*Ułomny świat czyli niesłuszny przyjaciel królów*”. W parę dni potem, po przybyciu do Castelmaine, porucznik z doktorem zdecydowali się *postawić duży namiot na założenie store czyli sklepu.* Zrazu interes szedł im nadzwyczaj dobrze, szczególnie dużo wspólnicy zarobili na nielegalnym handlu alkoholem. Wówczas to właśnie Dolański postanawia osiedlić się na stałe w Australii i *przedsięwziąć co innego, to jest kupić kawał gruntu i sprowadzić następnie brata z Europy i zacząć kultywować grunt.* Z planów tych jednak, jak się okazało, nic nie wyszło, gdyż niebawem wspólnicy utracili prawie wszystko co uprzednio zarobili, kiedy policja poinformowana przez zawistnych konkurentów, zaarrestowała pana Markusa i zakrekirowała towar.

Mimo iż Dolański postanowił unikać za wszelką cenę swoich rodaków w Australii, to w zamiarze tym nie całkiem do końca wytrwał, czego też później okrutnie żałował. Irytowały go spory i właśnie pośród polskich uchodźców, powstające często z błahych powodów. *Ja zaś nie wierząc nigdy w jedność młodej emigracji w jej sily moralne — pisał autor „Trzech epok” — jako też w zdolność*

genialną nowo się jej narzucających naczelników bez doświadczenia, bez imienia i znaczenia politycznego, nie dawałem się ich obtudno-płochym planom powodować. W tym przekonaniu starałem się utwierdzić Dolańskiego znajomy cudzoziemiec, którego krytyczną wypowiedź o polskiej emigracji politycznej Dolański przytacza z wyraźną aprobatą. Znajomy ów mówił, iż niezłe poznał emigrację polską w Londynie i twierdził, że jest ona podzielona na wielką liczbę stowarzyszeń, a każde przeciwnej opinii, przeciwnego zdania i każdego naczelnik onegoż ubiega się o władzę nad krajem... Wracać tam nie masz po co, bo Polacy powitają cię potwarzą. Oj miał rację — komentuje Dolański — by już po paru tygodniach mego pobytu w Paryżu za powrotem do Francji przejść nie mogąc spokojnie na ulicy, żeby któren z demokratycznych rodaków nie nazwał mnie szpiegiem itd.

Gdy Dolański pisze, iż starał się unikać swych ziomków w Australii, chodzi mu o konkretną grupę znajomych z Francji, którzy w tym czasie — choć osobno — przybyli do tego kraju. Ich to właśnie ma na myśli, gdy pisze: *Chcę tu powiedzieć, dla jakich przyczyn ja ich unikał potem w Australii. Nie będąc nigdy od nich poznany i nie wiedząc, gdzie pozostają, długo mój pobyt w Australii bez zmnęczenia głowy najszczęśliwiej przepędziłem. Tymczasem ich liczna kompania, która była z Anglii, w osiemnastu wyjechała po stracie wszystkiego i po potłuczeniu mikroskopów i zielonych okularów, rozbiła o pięć niezgody rozsypała się na jednostki. Ja, znając język niemiecki, byłem pod obcym nazwiskiem i bywałem między nimi, i widywałem ich, i wiedziałem o nich, lecz oni mnie nigdy.*

Słowu „nigdy” porucznik Dolański nadał w swoich wspomnieniach specyficzne znaczenie, jak to jasno wynika z dalszego opisu, a w szczególności z następującej przygody: pewnego dnia stojąc przed swoim sklepem Dolański zauważył otyłego człowieka i na swój honor, byłem przekonany, że to kapucyn lub bernardyn rodem z Hiszpanii lub Włoch. Pan Markus, wspólnik porucznika, nie mógł się w żadnym języku dogadać z przybyszem, choć języków znał sporo. *Ale o cudy!!! O dziwy!! Zakonnik mówi po polsku i pyta się mnie, jak się mam. To jakiś ojciec święty — pomyślałem sobie — że przez ducha wie, kto chrześcijanin jest, a kto nie, gdyż do pana Markusa nie chciałem mówić po łacinie, a do mnie mówi, i jeszcze po polsku! To musi być jakiś patron Polski lub też, że ten ojciec święty jest dobrym polskim patriotą. Tak sobie myśląc, święte-*

go oblicza rysy zbadywałem, myśląc mu po niemiecku odpowiedzieć, że go nie rozumię, i nie przyznać się mu, że Polak.

Jednak w swoim postanowieniu Dolański długo nie wytrzymał, co z kolei zemściło się srodze: *Wnet bowiem ten „ojciec święty” naklonił mnie do wejścia z nim w spółkę za co wyplacony zostałem podwójną stratą i brutalstwem, jak to czyni zwykle Polak dla Polaka...*

Ale ludzie niegodziwi zdarzali się nie tylko wśród rodaków porucznika, jak sam to przyznaje, opisując szczegółowo przygodę innego Polaka w Australii, niejakiego Konstantego Weleszyńskiego. Pan Weleszyński, również poszukiwacz złota, natknął się pewnego dnia na rabusia, który stwierdziwszy iż ma do czynienia z Polakiem, nie tylko nie zrewidował go ale na odwrót, sam chciał coś niedoszłej ofiarze zaofiarować. *Zauję mocno — rzekł rabus — że przy sobie nic nie posiadam, bo bym cię opatrzył, gdyż ja znałem i znam wielu Polaków we Francji, Anglii i Ameryce, którzy są bardzo godnymi, dobrze edukowanymi, lecz nieszczęście jest do nich tak przywiązane, że ich pieniądze nigdy się nie trzyma.*

Choćby porucznik Dolański nosił się z zamiarem osiedlenia na stałe w Australii, zdecydował się powrócić do Europy natychmiast, gdy tylko doszła go wieść o powstaniu legionu polskiego w Turcji. *Umiłowawszy Australię jak mało który w dziejach Polak, w podróży powrotnej w czasie srożej burzy w następującym śpiewie swoje uczucia opisał:*

*Giniesz mi w dali z moich oczu,
Australio, kochanko moja,
Wśród ciemnej nocy pomroczu
Ukrywa się piękność twoja.*

.....
*Żegnam ciebie, moja biedna,
I nie powiem nic już więcej
Jak, że matkę ma się jedną,
A kochanek nieco więcej.*

.....
*Choć cię kochałem serdecznie
Od wspomnianego poranka,
To jednak nie zawsze, wiecznie
Jak matkę — boś tylko kochanka!*

* — Bolesław Dolański, Trzy epoki z życia mego czyli wyjazd do Australii, tamże mój pobyt i powrót do Europy. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981

Wybory we Francji



WALTER ŻELAZNY

„Cohabitation” — ostatnim taniem w Paryżu?

Urząd prezydenta Francji jest godnością nie tyle reprezentacyjną, ile bardziej realną jednoosobową siłą polityczną, która jest ponad parlamantem. Prezydent Francji wybierany jest w dwóch turach, bezpośrednio przez naród, na 7-letnią kadencję. Do pierwszej tury przystępują kandydaci, którzy uzyskują poparcie 500 osobistości politycznych, zazwyczaj lokalnych, według pewnego

klucza. Do drugiej tury przechodzą dwaj z największą ilością głosów i bezpośrednio walczą o urząd. Prezydent może w dowolnej chwili rozwiązać parlament, podpisać referendum, w jego rękach spoczywa również decyzja o użyciu sił nuklearnych Francji itp.

8 maja 1988 r. przed południem, ostatni raz wystąpili razem w funkcjach państwowych podczas uroczystości z okazji Dnia Zwycięstwa — lewicowy prezydent Francois Mitterrand i prawicowy Jacques Chirac. W ten sposób zakończono trwającą od 16 marca 1986 r. „cohabitation”. 8 maja o godz. 22.00 ogłoszono, że Mitterrand wygrał ponownie wybory prezydenckie uzyskując 54% głosów. Chirac podał się do dymisji.

Twórca V Republiki, gen. de Gaulle nie przewidywał możliwości „kohabitacji”, tzn. dzielenia najwyższych funkcji państwowych między lewicę i prawicę. Właśnie de Gaulle dla uzyskania

przejrzystości politycznej, bez konieczności kompromisów, układów, rozgrywek politycznych stworzył konstytucję, która czyni z prezydenta nieomal władcę absolutnego. Oczywiście francuska demokracja zabezpieczyła się przed ewentualnymi nadużyciami ze strony tego urzędu, jednak „reguły gry” faworyzują akcje prezydenta. Kiedy w 1981 roku Mitterrand został wybrany prezydentem, rozwiązał parlament i w koalicji z Francuską Partią Komunistyczną (FPK) zdobył większość parlamentarną i utworzył rząd, w którym FPK miała czterech ministrów. Z perspektywy 1988 r. można powiedzieć, że żaden polityk francuski nie zadał większego ciosu FPK niż właśnie Mitterrand. W okresie ostatnich dziesięciu lat popularność tej partii spadła z ponad 20% do 7%.

W 1981 r. Mitterrand po raz pierwszy wygrał wybory przedstawiając socjalistyczny program: nacjonalizacja przemysłu, banków, walka z bezrobociem, podwyższenie minimalnych płac, zwiększenie minimum socjalnego, zniesienie kary śmierci, więcej „wolności”, „sprawiedliwości”...

Socjalistyczne porządki we Francji nie zaowocowały likwidacją bezrobocia (wzrastało ono za socjalistów, tak jak przed nimi), czy zmniejszeniem inflacji, w deficyt wypadły przedsiębiorstwa państwowe, banki opanowało asekuranctwo, marazm, rósł deficyt ubezpieczeń społecznych.

W 1986 r., podczas wyborów do parlamentu prawica uzyskała większość. Mimo tego, lewicowy prezydent nie zrezygnował ze swej funkcji (nie ma tego wymogu) i mianował Jacquesa Chiraca, lidera Zjednoczenia Republikańskiego (RPR), mera Paryża, na premiera. Chirac próbował rozwiązać problemy społeczne (np. zmniejszył deficyt ubezpieczeń społecznych, powstrzymał rosnące bezrobocie (a później je zmniejszył) i gospodarce (np. reprivatyzowane przedsiębiorstwa zaczęły przynosić zysk), rosły prywatne fundusze inwestycyjne, zahamowano inflację na poziomie ok. 2,5%. Rzecz jasna, w ciągu dwóch lat rządów Chirac nie mógł uczynić cudów. Jednak bilans gospodarczy jego dwuletnich rządów należy uznać za pozytywny.

Podczas kampanii wyborczej Chirac wystąpił z klarownym programem społeczno-gospodarczym. Mitterrand unikał problematyki gospodarczej, eksponował to, co prawica nazwała demagogią: zjednoczenie Francuzów, solidarność społeczną, podatek od wielkich fortun, opiekę nad „nowo-biedackimi”. W polityce zagranicznej właściwie nie było widać zasadniczych różnic.

Wszyscy kandydaci (z wyjątkiem FPK) stawiali na mocną zjednoczoną Europę, której lokomotywą ma być współpraca francusko-niemiecka. W pierwszej turze wyborów, arytmetycznie, wygrała prawica uzyskując ponad 51% głosów. W drugiej wygrał kandydat lewicy.

Dlaczego więc wyborcy odwracając się do socjalizmu za prezydentury Mitterranda podczas wyborów parlamentarnych w 1986 r. i w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 1988 r. zdecydowali się głosować „wbrew własnej logice”? Jak na razie nie ma zdecydowanej odpowiedzi na to paradoksalne pytanie. Przez wszystkie analizy przewija się jednak jeden temat: Front Narodowy (FN), z podkreśleniem, że pejzaż polityczny Francji w ciągu ostatnich dziesięciu lat uległ decydującej zmianie. Jeszcze przed wyborami, najinteligentniejszy i najbardziej proeuropejski kandydat — Raymond Barre z Unii Demokratycznej (UDF) — kwestionował zasadność tradycyjnego podziału Francji na lewicę i prawicę.

Od czasu ostatnich sukcesów Chiraca żaden poważny polityk socjalistyczny nie mówi o nacjonalizacji przemysłu czy banków, o receptach na likwidację bezrobocia. Innymi słowy, żaden nie dopuszcza się demagogii gospodarczej, preferuje raczej socjalistyczne „sacrum”, to jest tradycyjne: liberalité, egalité, fraternité oraz podatki od wielkich fortun z ich podziałem dla „nowo-biedniaków”. Socjaliści mieli poparcie FPK i skrajnej lewicy oraz w dwóch trzecich „zielonych”. Wszystkie te ugrupowania nie popierały programu Mitterranda, lecz jednocyli je z socjalistami nadrzędny cel: pobicie prawicy.

Tradycyjna prawica pozostaje przy swoich, skutecznych gospodarczo programach. Nie różnią się one zbyt wiele od programów tradycyjnych partii prawicowych Zachodniej Europy. Wybór Mitterranda wstrząsnął jednak częścią wolnych demokratów z UDF (samo UDF jest konglomeratem najróżniejszych orientacji centro-prawicowych). Być może odcją oni od tradycyjnej prawicy, by zająć pozycje zbliżone do FDP w Niemczech Zachodnich. Na takie rozbitcie prawicy liczą z pewnością socjaliści. Są w stanie zaproponować „wahającym się” centrystom teki ministerialne.

Na mapie politycznej Francji pojawili się „zieloni”, jako licząca się już siła, której nie sposób już dłużej lekceważyć. W przeciwieństwie do kolegów z drugiej strony Renu, są bardzo umiarkowani, a nawet purytańscy. Stanowią ok. 4-5% wyborców.

Do omówienia pozostaje jeszcze kontrowersyjny Front Narodowy, z którym (mimo uzyskania przeczeń 14,43%) w pierwszej turze wyborów nie chciały zblokować się żadne ugrupowania polityczne. W 1981 r. lider FN Jean-Marie Le Pen nie był w stanie zebrać 500 wymaganych podpisów kandydackich, siedem lat później uzyskał on w pierwszej turze wyborów ok. 4 mln głosów. Kuszająca jest konstatacja (i chyba nie jest ona odległa od prawdy), że rozbiście FPK zaowocowało inną skrajnością, mianowicie FN.

Czym jest FN? Jest to formacja polityczna bez sprecyzowanego bliższego (prawicowego) programu społeczno-gospodarczego, narodowo-katolicka, widząca aktualną sytuację społeczną i gospodarczą Francji w skrajnie czarnych barwach. Oprócz „kosmetycznych” żądań FN jak np. przywrócenie kary śmierci czy usunięcie z obowiązku ubezpieczenia świadczeń na przerywanie ciąży. FN głosi, że upadek Francji jest głównie skutkiem błędnej polityki emigracyjnej. Emigranci (chodzi głównie o wyznawców islamu) nie są w stanie zasymilować się — ba, wręcz tego nie chcą, za to odbierają pracę Francuzom i Europejczykom i zagrażają Francji i Europie problemami z jakimi obecnie boryka się Izrael, RPA czy Irlandia Północna.

Fakt, że FN uzyskał tyle głosów w pierwszej turze (zaś w drugiej za Mitterrandem głosowała 1/4 zwolenników Le Pena, za Chiracem 3/4), komentuje się na lewicy i prawicy jako zjawisko, które wywołuje poprawne pytania i błędne odpowiedzi.

Spróbujmy więc odpowiedzieć na pytanie: dlaczego prawica mając większość w 1986 r. i obecnie w pierwszej turze wyborów, przegrała wybory prezydenckie? Były prezydent V. Giscard d'Estaing stwierdził: „prawica nie skupiła się wokół jednego kandydata, prowadziła zbyt technokratyczną akcję wyborczą, nie przemawiała do serc”.

W tym miejscu należy spojrzeć na Francję „spoza Francji”. Zarówno tradycyjna prawica jak i nowa lewica starannie omijają problematykę podniesioną przez Front Narodowy. W opinii większości Francuzów FN to neo-faszyzm, nie więcej. Myślę, że należy do tego tematu podejść szerzej. Skrajna prawica odradza się w Europie (patrz ostatnie wybory w Danii) i niewątpliwie artykułuje niezadowolenie wobec przerostu funkcji społecznych państwa opiekuńczego, w którym godnie można przemycić się przez życie nie pla-

niąc się w zasadzie pracą. Na to lewica odpowiada, że jest bezrobocie, a żyć trzeba godnie. Skrajna prawica twierdzi, że jest bezrobocie, ponieważ są emigranci zarobkowi, którzy sprowadzili do Francji rodziny, a po wygaśnięciu kontraktów nie powrócili do swoich krajów; lewica odpowiada, że w tym miejscu zaczyna się rasizm, zaś prawica twierdzi, że w tym miejscu zaczynają się problemy itd.

Mitterrand wygrał wybory, bowiem mimo braku konkretnego programu umiał zjednoczyć wszystkich tych, „którym Chirac nie dał roboty” (ci przy każdym głosowaniu głosują inaczej, a jest ich ok. 2 miliony), tych „dla których Mitterrand odbierze część z wielkich fortun”. A przede

wszystkim tych, którzy „woleli przegrać niż wygrać z FN”. Wszyscy ci, dalecy od socjalizmu, głosowali na socjalistę.

Prezydent nie ma większości parlamentarnej. Nowo mianowany premier Michel Rocard nie kandydował na prezydenta. Będąc osobistością bardzo poułarną wśród intelektualistów socjalistycznych (i nie tylko) gwarantował Mitterrandowi sukces. Nie rozbił lewicy i za to otrzymał funkcję premiera. Należy przypomnieć, że Rocard nie jest tuzinkowym politykiem. Nie godząc się z towarzyszami z partii socjalistycznej (PS) co do pewnych wyborczych koncepcji legislacyjnych zrezygnował w 1985 r. z teki ministra rolnictwa. Ponieważ ponowny wybór Mitterranda jest raczej



Jean-Marie Le Pen

wyborem przeciwko nowej prawicy, niż wyborem za socjalizmem, w najbliższym czasie oczekują Francję wielkie manewry polityczne. Rocard powoła rząd prowizoryczny, a socjaliści będą oczekiwać bardziej sprzyjającego momentu, by ich człowiek, Mitterrand rozwiązał parlament. Z sondaży wynika, że lewica może nie uzyskać większości, a więc potrzebna będzie koalicja.

W ten sposób Francuzi odchodzą od V Republiki stworzonej przez gen. de Gaulle'a. W dodatku wielu wyborców FN w sondażach (by nie ujawniać nawet przed ankietą swoich przekonań) podaje inne sympatie polityczne, niż później ujawniają to wybory (np. sondaże przedwyborcze oceniały popularność Le Pena na 8-9%, uzyskał zaś faktycznie 14,5% głosów). Można powiedzieć, że dopiero teraz po wyborze prezydenta Francję oczekują zasadnicze (również i konstytucyjne) problemy polityczne.

Metz, 12 maja 1988 r.

EWA DARMAS

POWRÓT LEWICY

A więc Francja ma nowego prezydenta. Jest nim po raz drugi socjalista Francois Mitterrand, przez ostatnie dwa lata współpracujący z prawicowym rządem Jacquesa Chiraca. Otrzymał on 54% głosów, więcej niż w 1981 roku, gdy po raz pierwszy wybrano go prezydentem tego kraju. Mitterrandowi nie odebrał popularności u Francuzów ani kryzys ekonomiczny ostatnich lat, ani trudne doświadczenia współrządzenia z prawicą. Natomiast popularność stracił właśnie Chirac, podejmujący próby podźwignięcia gospodarki francuskiej poprzez większą liberalizację poczynań gospodarczych. Czy to oznacza, że zabieg Chiraca nie przyniósł żadnego pozytywnego skutku? Z pewnością był to zbyt krótki okres, aby zmiany stały się widoczne gołym okiem. Wprawdzie nie zmalało bezrobocie, ale udało się zatrzymać jego wzrost. Równocześnie jednak Francuzi odrzucili wiele z propozycji rządu Chiraca w sprawach ich bezpośrednio dotyczących — w

zwiększeniu czynszów mieszkaniowych, opłat na cele socjalne, groźbie zlikwidowania instytucji Securite Sociale (ubezpieczenia socjalne), gwarantujące częściowy zwrot kosztów opieki lekarskiej. Kampania wyborcza Chiraca kosztowała ogromne pieniądze — znacznie więcej niż innych kandydatów. Chirac znacznie przekroczył wyznaczony limit 120 mln franków i mówi się, że na jego kampanię wydano ok. 100 mln więcej. Plakaty głosiły zapał i odwagę, obiecywały, że z takim prezydentem „Francja zajdzie dalej”. Poza tym Chirac dysponuje niezaprzeczalnymi walorami zewnętrznymi — jest przystojny, ma piękny niski głos i potrafi się nim świetnie posługiwać. Wydaje mi się, że część z nich myślała — podobnie jak ja — że Chirac obiecuje zbyt wiele, nadmiernie manifestuje swój optymizm, gdy niełatwa sytuacja gospodarcza kraju wymaga raczej ogromnej rozwagi i spokoju. I te właśnie cechy Francuzi odnaleźli w Mitterrandzie.

Wiele wskazuje na to, że Francuzi wybierając prezydenta, nie tyle opowiadali się za tendencjami politycznymi obu kandydatów, co dokonywali wyboru osobowości. Co ciekawe, Mitterrand obiecywał bardzo niewiele, a jeżeli chodzi o a jeżeli chodzi o strategię gospodarczą na przyszłość, wręcz unikał odpowiedzi. Ta oszczędność słów i obietnic okazała się genialnym pociągnięciem taktycznym. Dodać do tego należy, że Mitterrand bardzo długo grał na zwłokę i do kampanii wyborczej przystąpił w ostatniej chwili — jakby czekał, aż jego przeciwnicy, wystrzelają wcześniej całą amunicję. Plakaty Mitterranda zwracały uwagę oszczędnością formy, były bardzo eleganckie i wyrafinowane. Mitterranda przedstawiano na nich profilem, trochę jak twarz cesarza z rzymskiej monety. Plakaty te sugerowały obraz „ojca ojczyzny”, wyrastającego ponad przedwyborcze klótnie, podczas gdy plakaty Chiraca wydawały się wprost krzyczeć. Kampania przedwyborcza Mitterranda była przemysłana do perfekcji, do ostatniego szczegółu.

Bardzo pouczający był telewizyjny pojedynek obu kandydatów. Czy tak naprawdę był to tylko pojedynek idei, dwóch różnych koncepcji politycznych? Można odnieść wrażenie, że była to raczej walka dwóch odmiennych osobowości, próba nerwów z której Mitterrand już po pierwszych minutach wyszedł zwycięsko. Obu kandydatom wyznaczono w tv identyczny limit czasu. Chirac ciągle go przekraczał, zbyt ponościł go temperament. Tymczasem Mitterrand miał ciągle tego czasu w

nadmiarze, mówił krótko i niezwykle jasno, potrafił jedynym celnym zdaniem zamknąć swojemu przeciwnikowi usta. Mitterrand potrafił zachować twarz wytrawnego polemisty, Chirac zdradzał się uśmiechem, za którym widać było źle skrywaną niecierpliwość, utratę panowania nad sobą. Ten pojedynek oglądało 30 milionów Francuzów, opustoszały ulice i kawiarnie i te 30 milionów śledziło i oceniało każdy gest, każde potknięcie kandydatów. Mitterrand zwyciężył i zapewnił sobie prezydenturę na kolejne 7 lat rządzenia Francją.

Ważnym zjawiskiem, świadczącym o aktualnych nastrojach części Francuzów, były wyniki pierwszej tury głosowania. Okazało się wówczas, że skrajnie prawicowy, nacjonalistyczny Front Narodowy, który uważano dotychczas za marginesowe zjawisko polityczne, niespodziewanie nabrał znaczenia. Lider FN, Jean-Marie Le Pen, kandydujący w wyborach, otrzymał aż 14% głosów (dla porównania — Chirac 19%), co oznacza, że opowiedziało się za nim ok. 4,5 miliona obywateli. Kartą, którą zagrał Le Pen, była emigracja, z którą należało według niego zrobić wreszcie we Francji porządek. Nic dziwnego, że do wyobraźni wielu Francuzów nie przemówiły ekonomiczne koncepcje Chiraca czy Barra, natomiast obiecane przez Le Pena wyrzucenie emigrantów i zwolnienie miejsc pracy dla bezrobotnych obywateli państwa wydawało się koncepcją najprostszą i najbardziej obiecującą.

Ten nagły wzrost popularności Le Pena wywołał oczywiście liczne głosy oburzenia. Przede wszystkim jednak stał się dla tego społeczeństwa bardzo pouczający. Dotychczas mówiło się bowiem oficjalnie, że we Francji nie ma rasizmu (poza nieliczną grupą ekstremistów). Coś tam przebąkivano o ksenofobii, ale to słowo zawsze brzmia ładniej niż rasizm. Bo nie ulega wątpliwości, że Le Pen i jego zwolennicy są rasistami. Świadczy o tym niejedna skandaliczna wypowiedź Le Pena; świadczą inne „drobne” wydarzenia, jak np. postrzelenie emigranta w kawiarni, w której zbierali się bojownicy Frontu Narodowego. Kryzys zawsze rodzi zjawiska ekstremalne i jeśli w ciągu kolejnych lat Mitterrand nie upora się z bezrobociem i wzrostem cen, wiele wskazuje na to, że popularność Le Pena i jego idei będzie rosła. Mówi się, że Chirac dlatego przegrał wybory, bo nie zgodził się na alians z Frontem Narodowym. Co interesujące — do zwycięstwa Mitterranda przyczynili się właśnie wyborcy Le Pena. To że w drugiej turze głosowania za Mitterrandem opowie się

cała lewica było raczej oczywiste i tak się też stało. Ale te wszystkie głosy nie mogły dać Mitterrandowi wyraźnej przewagi. Okazało się, że za Mitterrandem głosowało aż 3,5% zwolenników Le Pena z pierwszej tury. Jest to nader zadziwiająca zmiana stanowiska, bowiem Mitterrand w czasie kampanii wyborczej stanowczo opowiedział się przeciwko „polowaniom” na emigrantów, a nawet obiecywał im przyznanie prawa udziału w wyborach do władz miejskich. Mitterrand jest również przeciwny zmianie praw o przyznawaniu obywatelstwa ludziom, którzy się tutaj urodzili. Dotychczas było ono przyznawane automatycznie, natomiast prawicowy rząd Chiraca starał się przeformować projekt, aby urodzone we Francji dzieci emigrantów występowały po ukończeniu lat 18 o przyznanie im obywatelstwa.

Wszyscy kandydaci na prezydenta rozgrywali, każdy na swój sposób, kartę emigracji. Chirac również zapowiadał twardy kurs, w tym przede wszystkim likwidację emigracji nielegalnej. Dotychczasowy minister spraw wewnętrznych, Charles Pasqua miał już zresztą w polowaniach na emigrantów pewne osiągnięcia. Kiedyś odesłano do domu ok. 100 Malijczyków, przy czym Francuzom tak się spieszyło w załadowywaniu ich do samolotu, iż trzem z nich nie udało się wytłumaczyć, że są już posiadaczami obywatelstwa francuskiego.

Rozbudzenie szowinistycznych nastrojów wzbudziło jednak niepokój wielu Francuzów. Jeśli nawet nie darzą emigrantów specjalną sympatią mimo to zdają sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa niosą dla każdego społeczeństwa takie tendencje. O rozsądku wielu Francuzów świadczy m.in. właśnie zwycięstwo Mitterranda.

Tymczasem przed prezydentem i jego nową ekipą rządową wiele trudnych spraw. Niektóre z nich wymagają działań natychmiastowych. Wiadomo na przykład, że połowa bezrobotnych we Francji pozostaje bez żadnych środków utrzymania, bez żadnego zasiłku ze strony państwa. Mitterrand obiecuje wprowadzenie dla tych ludzi stałego zasiłku, wypłacanego tak długo, aż znajdą pracę. Aby zdobyć fundusze na ten cel zapowiada ponownie wprowadzenie podatku od wielkich fortun. Prawica uważa to pociągnięcie za fatalne, bowiem może ono spowodować ucieczkę kapitału za granicę. Wydaje się poza tym, że Mitterrand będzie musiał przyjąć bardziej liberalne metody kierowania gospodarką. Czy tak się stanie — dowiedzą najbliższe miesiące. ■

Z Kopenhagi...

Roman Śmigiełski

Spotkanie rosyjskich pisarzy

Największa duńska wyspa Zelandia, a konkretniej miejscowość Ełsynor weszła do historii światowej literatury za sprawą Szekspira, natomiast pod koniec lutego br. do światowej literatury trafiła miejscowość Humlebaek, położona 10 km na południe od Ełsynoru. Tu, w salach muzeum sztuki nowoczesnej Louisiana, z duńskiej inicjatywy doszło do spotkania oficjalnej delegacji literatów sowieckich z rosyjskimi pisarzami, żyjącymi na emigracji. Wśród tych ostatnich w spotkaniu uczestniczyli m.in. Andriej Sieniański, Lew Kopelew, Efm Etkind, Chronid Ljubarski i Wasyli Aksjonow.

Jak podkreślił Lew Kopelew, który jak zawsze wystąpił ze znacznikiem „Solidarności” w kłapie marynarki, obie strony mają wspólne nadzieje i życzenia: „Należy zasypać dzielące nas rowy, które nie my kopaliliśmy i zwałci dzielące nas mury, które nie przez nas zostały wzniesione”. Wypowiedź Efima Etkinda (z Paryża) sugerująca, iż podstawy literatury sowieckiej budowane były na nienawiści, wzbudziła kontrowersje, podobnie jak i stwierdzenie, że podział literatury rosyjskiej jest wynikiem prowokacji sowieckich kręgów reakcyjnych. Wszyscy zgromadzeni zgodni byli co do oceny zbrodni Stalina. Pisarz Fazil Iskander stwierdził, że „dla prawdziwego pisarza nie ma tematów-tabu”. Iskander przypomniał też, że stosunek narodu do Stalina nie był tak jednoznaczny, jak się to próbuje przedstawiać dzisiaj: „My w Abchazji mieliśmy ze Stalinem romans. Gdy młodych odrywano od piersi matki, natychmiast przysłali się oni do wąsów Stalina”. Inny sowiecki pisarz, Władimir Dudincow, wspominał, że podczas studiów, gdy zaarrestowano połowę studentów, jego żona pytała go: „Kogo kochasz bardziej, Stalina czy mnie?”. Natalia Iwanowa, badaczka literatury z ZSRS, podkreśliła: „Teraz żąda się od nas pokajania, przyniesienia się do winy. Ale jeśli wszyscy są winni, to nie jest winny nikt. Reżim Stalina zwałcał i mordował własny naród. Błędem jest zwala-

nie dzisiaj odpowiedzialności za to co się stało na tenże sam naród”.

Za najważniejszą w ciągu 30-godzinnej debaty uznano zgodnie wypowiedź profesora historii z Moskwy, Jurija Afanasiewa. Zaaapelował on do emigrantów, w tym i do tych, którzy stoją w otwartej opozycji do KPZS, „aby myśleli o możliwościach pojednania. Podstawą tego powinno być uznanie sowieckiej rzeczywistości. Uznał ją przecież sam Reagan rozmawiając z Gorbaczowem. Nikt jednak, łącznie z Komitetem Centralnym KPZS, nie jest z tej rzeczywistości zadowolony, czego wykładnikiem jest »pieriestrojka«”. W dalszym ciągu swego apelu Afanasjew nawoływał do likwidacji podziału w literaturze rosyjskiej na „my i oni”. „Wszyscy, czy to w Związku Sowieckim czy na emigracji, chcemy demokratyzacji i mamy prawo marzyć o bogatym i wolnym Związku Sowieckim”. Emigracyjny redaktor Boris Miller stwierdził, że wypowiedź Afanasiewa ma historyczne znaczenie. Miller przyznał, że dotychczas odnosił się sceptycznie do „nowomyślenia” i niezbyt rozumiał znaczenie tego słowa. Wypowiedź Afanasiewa przyjął z entuzjazmem i wierzy, że słowa zaczynają odzyskiwać swoje znaczenie. W. Aksjonow dodał, że większość sowieckich delegatów posługuje się „nowomyśleniem”, ale są też i tacy, którzy używają starej „nowomowy”. Galina Biełaja, profesor literatury z Moskwy, stwierdziła, że „pieriestrojka” jest drugą historyczną szansą Rosjan, ale dodała, że trzeciej szansy już nie będzie. (Pierwszą był XX Zjazd KPZS — przyp. aut.)

Mieszkający w RFN Chronid Ljubarski podkreślił, że reformy Gorbaczowa wynikają z aktualnych potrzeb sowieckiej polityki, a następnie przedstawił historię ruchu praw człowieka w ZSRS, zbrodni politycznej psychiatrii oraz przypomniał, że w tym samym miesiącu, w jakim miała miejsce słynna rozmowa telefoniczna między Gorbaczowem a Sacharowem, KGB zamordowało aktywistę ruchu praw człowieka Marczenkę. W obozach przebywa w dalszym ciągu około 450 znanych więźniów politycznych. Mówca wyraził opinię, iż socjalizm nie jest w stanie doprowadzić do takiej liberalizacji, jakiej sobie wszyscy życzą.

W świetle tego historycznego dialogu rosyjskich pisarzy ze Wschodu i zachodu, należy zadać sobie pytanie, kiedy oficjalną Polskę stać będzie na taki dialog, zarówno z emigracją, jak i — a może przede wszystkim — z pisarzami żyjącymi w Polsce, którzy zerwali z oficjalnymi wydawnictwami.

Z biblioteczki emigrantki

Adam Bień: Więźniowie Moskwy. Chicago 1987, Wydawnictwo „Wici”.

Zacznijmy od tego, że tytuł książki jest mylący. Składa się ona z dwóch części, z czego pierwsza, licząca 220 stron, dotyczy wspomnień autora z okresu okupacji, od 1 września 1939 do marca 1945, a dopiero druga, mniejsza, tylko 120-stronicowa, dotyczy podstępnego wywiezienia Adama Bienia i innych przywódców Polski Podziemnej do Moskwy, a następnie ich uwięzienia, „osądzenia” i przetrzymywania na Łubiance. Można się domyślać, że sensacyjnym tytułem opatrzył książkę wydawca amerykański, licząc na to, że w ten sposób szybciej się rozejdzie – a przecież szkoda: wspomnienia okupacyjne Bienia są równie ciekawe, co jego przejścia więzienne, a w ten sposób giną pod tamtym tytułem i do wielu potencjalnych czytelników mogą w skutek tego nie dotrzeć.

Adam Bień, senior ruchu ludowego, mieszkający obecnie w rodzinnej Ossali pod Sandomierzem, dał się poznać jako pamiętnikarz książką „Bóg wysoko, dom daleko” (Warszawa 1981, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza), w której opisał dzieciństwo i lata szkolne. Niniejszy tom nie mógłby się zapewne ukazać w wydawnictwie podlegającym cenzurze PRL ze względu na bezkompromisowe przedstawienie bestialskiego zachowania żołnierzy radzieckich na ziemiach polskich w roku 1945 oraz dalszych perypetii autora w Moskwie, a także ze względu na jego ocenę sytuacji politycznej w Polsce, formułowanej na przykład tak: „Polacy Wielkiej Konspiracji nie odbudowali Polski według własnej, polskiej woli i wy-

pracowanej przez siebie recepty. Imperialistyczna od wieków wobec wszystkich sąsiadów, zaborcza Rosja, najechała słabą Polskę, okroiła ją na wschodzie, pozbawiła naród polski autentycznie polskiej, suwerennej władzy i przy pomocy garstki kupionych albo zastraszonych „targowiczów” stworzyła kadłubowe pseudopolskie państwo przymusu, niewoli, zakłamania, przekupstwa, zafofania, niedołęstwa, ubóstwa i złodziejstwa”.

Pamiętnik z lat okupacji obok spostrzeżeń człowieka, który znajdował się blisko szczytu konspiracyjnej hierarchii (był pierwszym zastępcą Delegata Rządu RP na Kraj) zawiera też zapis kolejnych programów politycznych, opracowywanych przez ludowców (często bezpośrednio przez Bienia). Te strony książki mają rangę przyczynków historycznych. Bień, z wykształcenia prawnik, był też inicjatorem i wykonawcą unikalnej publikacji ustawodawczej: w pierwszym miesiącu powstania warszawskiego wydał dwa „Dzienniki Ustaw”, zawierające rozporządzenia Krajowej Rady Ministrów. O tych rzadkich drukach pisał parę lat temu *Tygodnik Powszechny* (1983, nr 35). W „Więźniach Moskwy” można zapoznać się z wartością obu „Dzienników”, a także z ich genezą.

Drugą część wspomnień Adama Bienia należy umieścić w rzędzie relacji innych podsyndnych w tzw. „procesie szesnastu” (Kazimierza Bagińskiego i Kazimierza Pużaka w *Zeszytach Historycznych*, Zbigniewa Stypułkowskiego w książce „Zaproszenie do Moskwy, 1977). Dodatkowa ich wartość wynika z przytoczenia obszernych fragmentów zachowanych listów, jakie Bień wysyłał z Łubianki do rodziny podczas odsiadki pięcioletniego wyroku.

Książka Adama Bienia opatrzona została indeksem, co się zawsze chwali w tego typu publikacjach. Poza tym jednak wydanie roi się od błędów, których tylko drobną i najmniej ważną część („literówki”) uwzględniła „Errata”. Niekiedy zaś można podejrzewać, że fragmenty tekstu sędziwego pamiętnikarza po prostu opuszczono w druku: na przykład pod koniec książki, kiedy zwolniony z więzienia moskiewskiego i przewieziony do Warszawy Bień ma się spotkać z innym działaczem ludowym, Niecką. Zaraz po tej wiadomości autor wspomina przedwojenny artykuł tego Nieckiego i — bez żadnego przejścia — pisze: „Wstępujemy do mieszkania Józefa Nieckiego w Podkowie Leśnej Wschodniej”. Ale co się działo między wysadzeniem Bienia przed „Księgarnią Chłopską” na ulicy Mazowieckiej w Warszawie („Tu ma pan spotkanie z Józefem Niecką...” — powiedzieli ubecy) a wizytą w Podkowie Leśnej, co ma znaczyć „uparte milczenie Nieckiego” — tego się czytelnik nie dowiaduje. Czyżby wydawca mechanicznie wyrzucił stronice lub dwie tekstu, żeby nie musieć zaczynać nowego arkusza druku? Tak czy inaczej podobna niestaranność edytorska obniża rangę publikacji tych interesujących wspomnień. Szkoda.

Adam Michnik: Polskie pytania. Paryż 1987 „Zeszyty Literackie”.

Po książce Adama Zagajewskiego „Solidarność i samotność” jest to drugi tom w Bibliotece „Zeszytów Literackich”. Składają się nań niemal wyłącznie teksty napisane w aresztach i więzieniach (dużą ilość obszernych cytatów można tu, podobnie jak w „wypisach więziennych” pt. „Z dziejów honoru w Polsce”, tłumaczyć względami technicznymi: tekst przemycany z więzienia łatwiej oprzeć na cytatach, niż budować w całości z własnych słów). Michnik wyraża się w pewnym miejscu — z jawną ironią — o ministrze Kiszczaku *per* „największy przyjaciel literatów, dobrodziej więźniów politycznych, mój najtroskliwszy opiekun” i rzeczywiście jest rzeczą dziwną funkcjonowanie systemu, w którym czołowy więzień polityczny regularnie pisze i publikuje swoje nowe eseje w podziemiu i na emigracji. Miłośz powiada, że jest to „czymś w rodzaju cudu”.

Większość zebranych w tym tomie esejów ukazywała się uprzednio na łamach *Zeszytów Literackich*. Niektóre mają swój pierwodruk książkowy w wydaniu przez NOW-ą tomiku „Niezłomny z Londynu i inne eseje (lektury wię-

zienne)”. Jeden tylko — brawurowo napisany szkic o Tomaszu Mannie — ukazał się pod pseudonimem Andrzej Jagodziński, w piśmie legalnym — w krakowskim *Tygodniku Powszechnym*.

Tytuł wywodzi się ze słów, jakie Michnik wygłosił na Uniwersytecie Jagiellońskim w listopadzie 1980: „Nie stać mnie na patos, choć zapewne czas temu sprzyja, jest po temu odpowiedni. Po wiem tyle: polskie pytania, to pytania skierowane do każdego z nas. Polski los jest losem każdego z nas. Jest to nasz los ludzki. Bronić go musimy, jak bronili go nasi dziadowie i ojcowie. Za każdą cenę. Niechaj o tym pamiętają wszyscy moiżni tego świata”.

„Możni tego świata” to w tym kontekście przede wszystkim Związek Sowiecki. Dochodzimy w ten sposób do najciekawszej bodaj strony rozważań Michnika, a mianowicie do kwestii stosunków polsko-rosyjskich. Wątek ten przewija się przez całą książkę, najjaskrawiej występuje w szkicach, zainspirowanych przemyśleniami Pruszyńskiego, Newerlego, Turgeniewa i Woroszyńskiego („Czerwona nieć”, „Ginąć odświeżnie”, „Rudin — człowiek zbyteczny”, „Puszkina i Rosjanie”). Wyraźnie dystansując się od Wałęsy, który stawiał na ewentualny kompromis z ówczesnymi władzami Rosji, Michnik proponuje inną platformę porozumienia: nie w ścisłym tego słowa znaczeniu polityczną, ale moralną. Jego wymarzonymi partnerami są zatem sowieccy dysydenci: z nimi się spiera i z nimi godzi. Patronem takiej postawy jest u Michnika zapewne Józef Czapski (o którym piękny szkic, zacytowany „Czytając”, znalazł się także w omawianym tomie). Michnik szuka w Rosji takiego partnera, jakim byłby dlań przed stu pięćdziesięciu laty przyjaciel Puszkina, ks. Wiaziemski, który w swym dzienniku osobistym zapisał po powstaniu listopadowym: „Polski nie da się rozstrzelać ani powiesić, a zatem siłą niepodobna z nią zrobić nic trwałego, nic ostatecznego. Za pierwszą wojną, ruchawką w Rosji, Polska powstanie przeciwko nam, albo i też trzeba będzie przy każdym Polaku postawić rosyjskiego strażnika. Jeden jest środek: opuścić Królestwo Polskie... Niech Polska sama wybierze sobie sposób życia”.

Można powiedzieć: „pobożne życzenia”. A jednak są ludzie gotowi dla takiej wizji latami siedzieć po więzieniach. Taka postawa zmusza do szacunku, do uważnego wsłuchania się w to, co mają do powiedzenia. Wspomniana na wstępie skłonność do zbyt długich cytatów sprawia co

prawda, że często myśl Michnika gubi się w cudzych wypowiedziach, prozą i wierszem. Nie na tyle jednak, żeby nie można było odcyfrować zasadniczego przesłania „Polskich pytań”, jakim jest wezwanie do dążenia do prawdy. Mottem tego tomu mogłyby być słowa ze szkicu o przedwojennym eseście Bolesławie Micińskim:

„Dzieło Micińskiego to obraz uporczywego dążenia prawdy o sobie, o świecie, o swoim miejscu w świecie. To autoportret pisarza, który rozumie, że jedyne wartości autentyczne i godne obrony to te zrodzone z bólu. Kto chce w tym świecie — tym, jaki nam przypadł w udziale — uniknąć bólu, ten wyrzeka się wartości: kto wyrzeka się wartości — otwiera wrota naszego domu fatalizmowi”.

Karol Wędziagolski: Pamiętniki. Londyn 1987, Polska Fundacja Kulturalna.

Drugie wydanie (pierwsze ukazało się w roku 1972) wartościowej książki wspomnieniowej, obejmującej wydarzenia, w których autor brał czynny udział, najpierw na terenie Rosji, w okresie od wybuchu pierwszej wojny światowej do wojny polsko-sowieckiej (1914-1920).

Wędziagolski, wychowany w Petersburgu młodzieniec z „dobrej” kresowej rodziny, dzięki zaletom charakteru i wrodzonej zręczności zdobył sobie w carskiej armii swoistą reputację mediatora, człowieka, który potrafi rozwikłać wszelkie problemy. Ta fama, w połączeniu z popularnością wśród szeregowych żołnierzy, w okresie rewolucyjnego wrzenia wyniosła go na wysokie stanowisko komendanta armii z ramienia rządu tymczasowego.

Jego relacja ma znaczenie dokumentu historycznego bezpośredniego świadka (a przy tym bystrego obserwatora) przebiegu pierwszych dni rewolucji październikowej (opis czestych i dość niecodziennych kontaktów z eserowskim terrorystą, późniejszym politykiem emigracyjnym Borysem Sawinkowem, wreszcie — już z okresu powojennego — sprawozdanie z kilku istotnych rozmów z Piłsudskim).

Po przewrocie bolszewickim Wędziagolski znalazł się na liście „wrogów ludu pracującego”. Zbiegł do „białych”, a następnie ukrywał się w Kijowie, gdzie nawiązał współpracę z POW. Aresztowany przez okupacyjne władze niemieckie, oczekiwał się uwolnienia z chwilą obalenia w Niemczech cesarstwa. W niepodległej Polsce, przekonany o rychłym upadku Lenina i bolszewików w

Rosji Sowieckiej, działa na rzecz zbliżenia politycznego, polsko-rosyjskiego. Praktycznym owocem tych zabiegów było powołanie w Warszawie Rosyjskiego Komitetu Politycznego oraz utworzenie na terenie Polski rosyjskich jednostek wojskowych, które w lecie 1920 wzięły udział w wojnie z Armią Czerwoną. Po zawarciu rozejmu polsko-sowieckiego Polska cofnęła swe poparcie, nakazała opuszczenie kraju członkom Komitetu, a wojska internowała. Po tej porażce swoich planów politycznych Wędziagolski wycofał się z życia publicznego i osiadł w rodzinnym Jaworowie.

„Pamiętniki” Wędziagolskiego napisane są niezwykle barwnie i plastycznie. Spora w tym zapewne zasługa Barbary Toporskiej (poetki i prozaičky, żony Józefa Mackiewicza), która — jak podaje M. Danilewicz Zielińska w „Szkicach o literaturze emigracyjnej” — na prośbę autora nadała jego wspomnieniowym notatkom kształt literacki.

Wewnętrzna niezależność Wędziagolskiego pozwala mu bez zaślepienia, ze zdrowym krytycyzmem patrzeć na wszystkie środowiska, w jakich przyszło mu się obracać. Oto na przykład charakterystyka postawy inteligencji rosyjskiej pod koniec października 1917: „Zamiast objąć przewodnictwa nad masami, ująć anarchię w karby a motłoch za kark, inteligencja rosyjska szła za masami, jak skazaniec przykuty do swojej taczki, nawet gdy rozumiała, że idzie po fałszywej drodze i w roli dla siebie niewłaściwej. Było w tym jakieś mistyczne urzeczzenie, obce rozsądkowi i silniejsze od instynktu, jakiś nakaz pokornej uległości wobec wyroków losu czy historii. (...) W krytycznym i ostatecznym okresie, gdy należało walczyć już po prostu w obronie swego nagiego życia, inteligencja rosyjska manewrowała niemrawo i nieudolnie o zachowanie swoich ideałów, a jak się to z bliska często wydawało, więcej w trosce o uszanowanie ideałów wroga, a przede wszystkim w obawie o jego bezpieczeństwo. Byłe nie splamić sobie rąk »krwią ludu«.”

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU »POGLĄDU« „ŻEBY POLAK BYŁ POLAKIEM”

Redakcja postanowiła wyróżnić pracę autorki krajowej, opatrzoną godłem „ONA”. Autorkę prosimy o kontakt.

Redakcja

Nim będzie pogrzebany

(W odpowiedzi Jakubowi Szermanowi)

Z pilną uwagą przeczytałem artykuł Jakuba Szermana, który zapowiada śmierć kultury niezależnej. Z uwagą, gdyż sam od pewnego czasu odnoszę się dość krytycznie do działalności Komitetu Kultury Niezależnej, a także do nie najszcześliwszego w wielu wypadkach mariażu niezależnych twórców z Kościołem. Co do tej ostatniej sprawy, to była ona swego czasu dyskutowana na łamach prasy katolickiej. Bez wątpienia Kościół w Polsce nie był organizacyjnie i duchowo przygotowany do inwazji ludzi sztuki, jaka nastąpiła po wprowadzeniu stanu wojennego. Ale też nie należy zapominać o tym, że zbliżenie Kościoła i artystów nie jest wyłącznie efektem zmian zachodzących po Fatalnej Dacie. Wiele lat wcześniej w przestrzeni kościelnej czy przykościelnej następowało powolne zbliżanie obu środowisk – czy to przy okazji Dni Kultury Chrześcijańskiej, którym patronowali kardynałowie Wyszyński i Wojtyła, czy poprzez współpracę z prasą katolicką, czy wreszcie poprzez wypowiedzi Kościoła, zwłaszcza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, w obronie swobód twórczych i wolności badań naukowych.

Pisze Szerman, że „Kościół nie potrafił, nie chciał, albo też nie mógł zostać mecenasem z prawdziwego zdarzenia”. I dalej: „Faktem jest, że żadne z ważnych i nowych zjawisk w polskiej sztuce lat 80-tych nie pojawiło się nawet w pobliżu galerii kościelnych”. Delikatnie mówiąc – nieco w tym przesady. Przypomnę choćby wspaniałą działalność wystawienniczą Marka Rostworowskiego, znanego przede wszystkim z imponującej wystawy „Polaków portret własny” z przełomu lat 1979-1980. Jego ekspozycja „Niebo nowe – ziemia nowa” to dzieło wybitne, które pozostanie na

trwale w dorobku polskiej sztuki. Podobnie z wystawą „Znak krzyża”. W pobliżu kościelnych galerii w pełni ujawnił się wielki talent warszawskiego malarza Łukasza Korolkiewicza, o którym zapewne nie raz jeszcze usłyszymy. Ale plastyka to nie wszystko – „w pobliżu Kościoła” powstały wielkie utwory muzyczne tak znanych twórców jak Penderecki czy zwłaszcza Lutosławski. W tym samym kręgu – że wspomnę o pismach i wydawnictwach katolickich, takich jak *Znak* czy *W drodze* – opublikowano wiele utworów ważnych dla współczesnej polskiej literatury: najnowsze powieści (z cyklu biblijnego) Juliana Strykowski, poezje Anny Kamieńskiej. Tu także, by pozostać przy kilku zaledwie przykładach, udostępniono dzieła emigrantów – eseje Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Józefa Czapskiego, ostatnio także powieść Henryka Grynberga „Kadisiz”: a przecież to daleko nie wszystko.

Zapewne – jest o co w stosunku polskiego Kościoła do kultury się spierać, jednakże niedostrzeżenie jego roli w odbudowie niezależności działań artystycznych i tradycji świadczy o zadufaniu i ignorancji. Tym bardziej, że dodać do tego należy wielką akcję odczytową i wykładową: przecenić tego nie sposób, gdyż w imprezach takich jak Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, czy po prostu zwykłe cykle odczytowe biorą udział tysiące, dziesiątki tysięcy słuchaczy, często w ośrodkach małych, prowincjonalnych, gdzie właściwie tylko Kościół ma wystarczającą „siłę przebicia”, pozwalającą na oficjalne organizowanie imprez, których inaczej by tu nigdy nie było.

Nie znaczy to, bym nie dostrzegał niedostatków czy wręcz beznamiętności i głupoty w stosunku poszczególnych księży, czasem i wysoko posta-

wionych w kościelnej hierarchii, do sztuki i artystów. Nie ma też powodów, by nie krytykować zalewu zwykłego kiczu patriotycznego prezentowanego w przestrzeni kościelnej, lub by nie protestować przeciw zwykłemu chałturzeniu „przy Kościele”, podobnie jak to dawniej bywało „przy czerwonym”. Należy jednak pamiętać, że każdy tego rodzaju ruch kulturalny musi się rzeczy prowadzić i do tego typu zjawisk. Jest to słabość każdego ruchu kulturalnego, w dowolnej części świata i w dowolnym czasie.

Podobnie dzieje się z pracą niezależnych instytucji kulturalnych, które uformowały się po 13 grudnia 1981 r. Sporo tu, jak słusznie sugeruje Szerman pisząc o salonach, było i jest nadal koniunkturalizmu czy „wzajemnego popierania się”. Tak jednak dzieje się wszędzie — wystarczy obserwacja życia kulturalnego w dowolnym kraju zachodnim, co przecież nie znaczy, że tak być powinno. Tym bardziej, że — jak o tym już wiele razy mówiono i pisano — obieg niezależny nie potrafił wykształcić mechanizmów promocyjnych, zwłaszcza dla młodych, dopiero debiutujących. Jednakże jest bezsensowna interpretacja niezależnego ruchu kulturalnego jako zjawiska przeciwstawnego kulturze oficjalnej: od początku był to ruch mający na celu dwie sprawy — stworzenie alternatywy dla tych, którzy nie mogą się pogodzić z cenzurą oraz wywieranie presji na „politykę kulturalną socjalistycznego państwa”. Oba te zadania były i są w pełni realizowane. Nie można mieć pretencji do ludzi, którzy zajmują się organizacją tego ruchu o to, że artyści nie stworzyli dzieł „rzucających na kolana”.

Ale ileż tych dzieł w ciągu ostatnich lat na świecie powstało? Nie przesadzajmy może z tym krytykowaniem, tym bardziej, że jeśli się przyjrzeć temu, co zostało już po wprowadzeniu stanu wojennego wyprodukowane, okaże się, że wcale — przynajmniej w literaturze — tak źle nie jest, jak to usiłuje wmówić nam Jakub Szerman. Wystarczy przypomnieć tak ważne książki, jak trzy tomy prozy Jarosława Marka Rymkiewicza, poezje Zbigniewa Herberta, dwie powieści Hanny Krall, święcący obecnie triumf na Zachodzie „Początek” Andrzeja Szczypiorskiego, niedocenioną w moim przekonaniu poezję Antoniego Pawłaka, publicystykę Teresy Torańskiej, dzieła historyczne Krystyny Kersten, Jerzego Łojka, Jerzego Holzera czy Tadeusza Łepkowskiego, wreszcie esecystyk Adama Michnika, Tomasza Burka czy Andrzeja Wernera, by przekonać się, że tak źle nie jest. A to

jedynie wierzchołek góry lodowej. To nie znaczy, że u jej podstaw nie zabrakło wszelkiego rodzaju śmiecia i kiczu — ale znów: tak jest w każdym obiegu kulturalnym. I nie zapominajmy: bez tego wszystkiego komuniści nie zwolniliby z pótek przetrzymywanych tam filmów, nie poluzowałyby z cenzurą, nie drukowałyby z takim namaszczeniem Tadeusza Konwickiego, nie wpuściliby do kraju emigrantów itp.

Jest w artykule Szermana jakaś dziwna tęsknota za minionym bojkotem. Ale bojkot instytucji oficjalnych nie jest i nie był celem samym w sobie — był demonstracją niezgody i protestu, a demonstracje nie mogą się ciągnąć w nieskończoność. W moim przekonaniu zasięg bojkotu i jego znaczenie trudno wprost przecenić i nie mam dość podziwu dla ludzi — zwłaszcza dla aktorów — którzy tę akcję tak długo potrafili prowadzić. Jest też w tym artykule coś z dziecięcej choroby poszukiwania nowości. Pisze autor: „Nie pojawiły się nowe postawy, odmienne jakościowo, wymierne w kategoriach artystycznych, dla których zarezerwowane są łamy gazet, a nie powieści, wiersze i galerie”.

Cóż — postawa polityczna, jeśli na to spojrzeć z estetycznego punktu widzenia, jest takim samym tematem artystycznym, jak każdy inny. Nie można chyba twierdzić poważnie, że w powieściach i wierszach oraz galeriach nie ma miejsca dla miłości i seksu, dla których zarezerwowane są miejsca w łóżkach. To śmieszne. Pytanie dotyczy tego, jak się temat w dziele sztuki przedstawia. A że we współczesnej Polsce akurat temat polityczny jest dla wielu ludzi ważny, to chyba nie takie znowu dziwne. I może nie bez znaczenia jest fakt, że właśnie dzięki istnieniu niezależnego obiegu udało się w Polsce powiedzieć także oficjalnie trochę więcej prawdy o nas samych i o naszym życiu, niż to było możliwe przedtem. Ludziom, którzy wyrosli lub wkraczali w świadome życie wówczas, gdy bibuła i książki podziemne stały się w polskim życiu oczywistością, trudno to wszystko od podstaw tłumaczyć. Oni żądają już czegoś więcej — „nowych postaw” i „dzieł, które rzucają na kolana”. Takie nowe postawy i takie dzieła powstają niezmiernie rzadko — w każdych warunkach, dobrych i złych. Oczekiwanie na takie dzieła jest jednym z najtrwalszych marzeń uczestników życia kulturalnego. Często się wszakże zdarza, że tych dzieł — gdy się zjawiają — nie potrafią zauważyć i ten brak spostrzegawczości nadrabiać muszą ich następcy. Ale to też normalne.

Gdy czytałem artykuł Szermana, oczekiwałem analizy mechanizmów życia instytucji kultury niezależnej, wskazania ich niedostatków, błędów, rzeczowej krytyki. Poza ironią i eksponowaniem emocji nic takiego nie znalazłem. A w końcu można by się paru minusów doszukać — nie tyle w pracy samych artystów, lecz w niewątpliwie ciężkiej i niewdzięcznej działalności organizatorów. Choćby niedoinwestowanie prowincji czy nie zawsze przemyślana struktura wydatków. Choćby właśnie wspomniany brak mechanizmów promocyjnych. Choćby niedostatki organizacji sieci kolportażu i informacji.

Można by dyskutować nad tym czy i gdzie potrzebna by była centralizacja decyzji, a gdzie i dlaczego jest ona niedopuszczalna. Można by w ogóle spytać o status poszczególnych organizacji, ich cele i ocenę roli, jaką odegrały dawniej i odgrywają obecnie. Jeżeli czytam, że „nie sięgnięto po wiele wartościowych nazwisk”, które można by było wydać w obiegu niezależnym, to chciałbym choć jedno z nich poznać — inaczej zarzut, jaki stawia autor niezależnym wydawnictwom, nie ma żadnych konkretnych podstaw. A można wskazać takie dzieła godne opublikowania — jak choćby znany z fragmentów nowy, wielki poemat Tymoteusza Karpowicza. Wówczas jednak powstaje pytanie: kto i jak za to zapłaci, kto będzie dotował taki wydawniczy wysiłek? I kolejne pytanie — dotować wydawnictwa, czy konkretne, już opublikowane pozycje?

Pytań jest więcej. Jednakże autor „Naturalnej śmierci Kultury Niezależnej” nie zadał sobie trudu ich sformułowania. Szkoda. Nim zostanie przez niego pogrzebany (żywcem) Komitet Kultury Niezależnej, a także inne instytucje pozapaństwowego obiegu wartości, należałoby chyba pilniej przyjrzeć się zasadom ich działania. Może jednak da się coś uratować?

Porzućmy jednak ironię. Nie zgadzam się z tezą, że Kultura Niezależna umiera śmiercią naturalną. Zgadzam się natomiast z pomysłem, by funkcjonowanie tej sfery poddać oglądowi krytycznemu, by wreszcie przestać szeptać sobie na ucho jedno, a głośno mówić co innego. Wydaje mi się, że instytucje niezależnego życia kulturalnego są dostatecznie silne, zaś publiczność wytarczająca wyrobiona, by odrzucić obawy, że taka otwarta dyskusja może owym komitetem, czy ich działaczom zaszkodzić. Przed paru laty stwierdzał Michnik, że czytelnik jest dziś w Polsce na tyle wyrobiony, że potrafi odróżnić dzieło literackie

od policyjnego donosu. To samo można by odnieść i do dyskusji na temat działalności niezależnych struktur społecznych, także kulturalnych. Niedawna dyskusja na łamach *Kultury* świadczy o tym, że wciąż jeszcze niektórzy działacze podziemia do takich subtelnych rozróżnień nie dorosli, że każdy głos krytyczny traktują jako donos. Stąd większość autorów krytykę taką podejmujących ukrywa się za pseudonimami — nie chcą być zadziobani i zdeptani przez obrońców obłądzonej twierdzy, gdzie nie można „podważać morale” dzielnych i walecznych żołnierzy. Tymczasem sytuacja się od paru lat zmieniła — twierdza nie tylko się broni, lecz jej załoga coraz częściej podejmuje udane wycieczki do obozu przeciwnika sięgając tam niemały zamęt i spustoszenie. Czas to wreszcie dostrzec.

ZESZYTY LITERACKIE Nr 22 (WIOSNA 1988)

W numerze 22 (WIOSNA 1988): CZESŁAW MIŁOŚZ, O Josifie Brodskim. **PROZA I POEZJA:** STANISŁAW BARAŃCZAK, Nowe wiersze; KAZIMIERZ BRANDYS, Sztuka konwersacji; ADAM ZAGAJEWSKI, Wiersze; MACIEJ NIEMIEC, Wiersze. **LISTY Z PARYŻA:** WOJCIECH KARPINSKI, Nowe oczy ŚWIADECTWA; JERZY STEMPOWSKI, Listy do Józefa Czapskiego. **PREZENTACJE:** Z eposów, hymnów i pieśni babilońskich; ANDRZEJ RAPACZYŃSKI, O ludziach i wilkach — filozoficzna teoria Piotra Hoffmana. **O KSIĄŻKACH:** STANISŁAW BARAŃCZAK, Ulotne i wieczne; ADAM MICHNIK, Spór o Rosję; TOMAS VENCLOVA, Nieistniejąca strzała; FRANÇOIS ROSSET, Dawidek, der Weise. **WSPOMNIENIA:** FELICJA KRANCE, Zygmunt Mycielski (1907-1987); WIKTOR WOROSZYLSKI, Jedna śmierć tamtej zimy. **NOTATKI, LISTY DO REDAKCJI, NOWE PUBLIKACJE, NOTY O AUTORACH, SOMMAIRE.**

Numer 22 *Zeszytów Literackich* ukazał się w kwietniu 1988.

Do nabycia w redakcji
(CAHIERS LITTERAIRES, 44, rue Tiquetonne,
75002 PARIS).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką
55 FF; (US \$ 10);

poctą lotniczą 64 FF; (US \$ 11,50).

Prenumerata roczna — 185 FF; (US \$ 33,00);

poctą lotniczą 240 FF (US \$ 40,00).

NSA

Wymięte flagi

W nadesłanym przez Katarzynę Łagodzińską do redakcji *Poglądu* materiale obficie cytowane są fragmenty wypracowań uczniów pewnego liceum zawodowego w kraju, poświęconych ich wizji Polski w roku 2000. Oto one:

— *Gdy byłem mały, bardzo chciałem, aby był już dwutysięczny rok. Marzyłem o epoce robotów, pojazdów kosmicznych, szybkich samochodów mknących po szerokich autostradach, o epoce kolorowych, przestronnych przeszklonych domów i szczęśliwych ludzi, którzy mają wiele wolnego czasu, gdyż ich prace zastąpiły maszyny. Jeszcze w drugiej połowie lat siedemdziesiątych moja wizja XXI wieku miała fantastyczne i kolorowe odcienie. Z czasem zaczęły one szarzeć i bladeć. Moja dzisiejsza wizja roku 2000 niczym nie przypomina tej, którą wymarzyłem sobie w dzieciństwie.*

— *Trudno jest myśleć o przyszłości kraju, w którym wszystko się wali, a rząd poza ogłaszaniem kolejnych etapów reformy gospodarczej i podnoszeniem cen, nic nie robi.*

— *Młodym ludziom brak perspektyw rozwoju. Panujące zakłamanie powoduje, że młodzież rozczarowuje się do systemu i chce opuścić kraj, aby na Zachodzie znaleźć możliwość samorealizacji, a także należne przestrzeganie praw człowieka.*

— *W ostatnim czasie w naszym kraju obserwuje się zanik wielu wartości. Dla większości młodzieży patriotyzm to regułka poznawana w szkole i nie obowiązująca w życiu. Wielu z nas opuściłoby Polskę, gdyż nie widzi w niej szczęśliwej przyszłości.*

— *W dwutysięcznym roku środowisko naturalne będzie już w 95% zniszczone. Stężenie dwutlenku siarki będzie tak wielkie, że nie będzie żadnego drzewa iglastego, a drzewa liściaste będą już na wymarcu. Śląsk będzie jednym wielkim skupiskiem pyłu i to o takim zagęszczeniu, że słońce bę-*

dzie tylko w 5% dochodziło do tych rejonów.

— *Polska to obraz wielkiej ruiny gospodarczej i ekologicznej. Potężne lasy zamieniają się w wielkie cmentarzyska suchych drzew, a zielone łąki traw w suche łąki przypominające sawannę. Rzeki będą zawierały jakiś maź, która ani kolorem, ani zapachem nie będzie przypominała, że to kiedyś była woda.*

— *90% dzieci będzie się rodziło już niezwykłych, a wielu z nas — wówczas trzydziestoletnich — będzie oczekiwało swojej śmierci, która zacznie zbierać żniwo. Nasze zęby przestaną funkcjonować, a włosy zaczęły spadać z głów, jak jesienią liście z drzew.*

— *Domy bez okien, na wpół leżące w gruzach i ziejące pustką, będą odstraszały swym widokiem. Wszystkie zakłady, fabryki, huty, stocznie itp. staną, bo niebędzie miał kto obsługiwać maszyn. Nie będzie też komunikacji i łączności. Nad Polską przelewać się będą czarne, złowieszcze chmury, zza których nigdy już nie wyjrzy słońce.*

— *Cały teren Polski zajmie nasz sąsiad i przyjaciel, który resztę ludzi, jaka pozostanie w Polsce, ześle na północ swojego państwa, a teren Polski wykorzysta jako poligon doświadczalny, na którym będzie próbował swoją broń atomową.*

— *Europa wschodnia XXI wieku to Europa oczyszczona ze zła krwią wielu ofiar wielkiej rewolucji. Przemiany o charakterze rewolucyjnym następują dość regularnie i sądzą, że takie czasy nadciągają, bo tylko krew jest w stanie zmyć brud nagromadzony przez lata.*

— *Pierwszy dzień nowego, dwutysięcznego roku Polacy spędzają w większości w swoich domach rodzinnych. Oczy polskich robotników są błyszczące od łez, są pełne bólu, u niektórych mają w sobie dziwną pustkę. Rodziny są często niepełne. Tu i ówdzie brakuje syna czy córki; byłego studenta*

(studentki) jakiejś politechniki czy uniwersytetu, który miał (miała) zbyt trzeźwe spojrzenie na sytuację, więc musiał zmienić adres zamieszkania... Ale brakuje nie tylko studentów... W niektórych rodzinach zginęli ojcowie, w niektórych małaletnia młodzież. Na ulicznych słupach powiewają brudne i wymięte flagi, już od kilku lat nie białoczerwone, ale czerwone. Odmowa przysięgi wojskowej jest coraz częściej jedyną i ostatnią próbą ratowania honoru młodych Polaków, którzy nie chcą służyć w mieszanym wojsku z „kałasznikowem” na szyi.

— Za dużo będzie pieniędzy aby umrzeć, a za mało, żeby żyć. Dlatego naród powstanie, aby upomnieć się o swoje prawa i poszanowanie godności ludzkiej. Mam więc nadzieję, że w 2000 roku będzie już inny, prawdziwie pragnący dobra obywateli rząd.

— W dwutysięcznym roku Polska nie będzie już krajem socjalistycznym. Staniemy się krajem o nowym ustroju, bogatszym w doświadczenia minionych lat. Służby pilnujące porządku publicznego nie będą łamały praw, autentycznie będą troszczyły się o bezpieczeństwo i spokój. Będą one kontrolowane przez specjalnie do tego celu powołane urzędy.

— Chciałbym, aby rok dwutysięczny był rokiem, w którym nie będzie więźniów politycznych i pijanych ludzi walśających się po ulicach. Aby każdy człowiek — obywatel Solidarnej Polski — widział sens swojej pracy i otrzymywał za nią godziwe wynagrodzenie. Aby wzrosła świadomość obywateli i odpowiedzialność za swoją ojczyznę. A przede wszystkim — aby znikło to uczucie beznadziejności i bezsensowności, jakie obecnie mamy. Żeby nie było widać kolejek, chyba, że będą to kolejki ludzi przystępujących do komunii świętej.

— Chciałbym bardzo, aby przeobrażenia gospodarcze i polityczne szły w parze z odnową moralną społeczeństwa, ale widząc co się w naszym kraju dzieje, nie wierzę niestety w realizowanie ani pierwszych z nich, ani drugich, ani trzecich.

Tyle sama młodzież w wypowiedziach bezpośrednich. Badania socjologiczne informują, że ponad 60% populacji młodzieżowej widzi dla siebie szansę jedynie w emigracji. Te dane naukowców i te wypowiedzi młodych ludzi są sygnałem nie tyle ostrzegawczym — tych już dotąd było dosyć — ile po prostu alarmowym. Wiadomo, że 60% nie wyemigruje: nie ma po temu szans. Ale już dzisiaj, nawet powierzchowna obserwacja polskiej wędrowności ludu napawa przerażeniem: wygląda na to, że rozpoczął się exodus pod hasłem

„ratuj się, kto może”. Trudno to nazwać emigracją, to dokonywana w popłochu ucieczka.

Powyzsze głosy jednak świadczą o narastaniu napięcia, które może — wobec braku innych możliwości — znaleźć swe ujście w społecznej eksplozji. Mowa o powstaniu, o konieczności przeciwstawiania się siłą polityce komunistów oznacza, że w młodym pokoleniu narasta świadomość i gotowość zapłacenia ceny krwi za uzyskanie, czy raczej odzyskanie swych praw społecznych i obywatelskich. To wydaje się najbardziej dramatycznym sygnałem pojawiającym się w cytowanych wypowiedziach. Ostatnie wypadki w Polsce raz jeszcze wykazały — tym razem właśnie najmłodszej generacji, tym, którzy „Solidarność” i okres jej jawnego działania zaliczają już do historii, a nie do osobistych przeżyć — że postawa odrzucająca użycie siły jest całkowicie bezskuteczna. O ewentualności odrzucenia tej postawy mówili zresztą w wywiadach dla prasy włoskiej w maju profesorowie Geremek i Stelmachowski. Jest to ewentualność, której nie można wykluczyć w społeczeństwie, w którym młodzież wychowywana jest w etosie powstańczym. Nawiązania do niego znajdujemy w cytowanych wyżej fragmentach wypracowań. Nie jest to zapewne jeszcze postawa dominująca, jednakże jej pojawienie się należy uznać za sprawę poważną. Tym bardziej, że w miarę upływu czasu sytuacja gospodarcza kraju staje się coraz cięższa, a koszty wychodzenia z kryzysu z miesiąca na miesiąc wzrastają. Powoduje to narastanie rozpacz i determinacji społecznej, której wyrazem są nie tylko powyzsze wypowiedzi, lecz coraz częściej także teksty publikowane w prasie podziemnej.

Nie tylko w niej zresztą — w ostatnim swym artykule na łamach *Der Spiegel* Adam Michnik określa sytuację w Polsce jako rewolucyjną i obecny stan rzeczy nazywa „zimną wojną domową”. Jej przekształcenie w „wojnę gorącą”, a więc w eksplozję, może być dziełem przypadku, tym groźniejszego, że absolutnie niemożliwego do przewidzenia — pretekstem może być dosłownie wszystko.

Ważną wymowę posiada fakt, że wśród młodzieży — poza wiedzą o stanie kryzysu i odczuciem napięcia społecznego — wyraźnie wzrosła świadomość klęski ekologicznej. Jest to niewątpliwie efektem oddziaływania ruchu „Wolność i Pokój”, który zagadnienia zagrożenia środowiska naturalnego uczynił jednym z głównych przedmiotów swych działań. Wizja kraju zatrutego, po-

zbawionego wody i roślinności jest wizją niemal apokaliptyczną, powtarza się zaś w kilku cytowanych wypowiedziach, co nie może być wyłącznie wynikiem oddziaływania propagandowego, ale musi też mieć korzenie w osobistych doświadczeniach.

Uderza dwoistość wizji — z jednej strony mamy tu do czynienia z przewidywaniem pogłębiającej się ruiny i rozpadu kraju, z drugiej zaś z odnalezieniem perspektywy niepodległościowej. Obecność obu tych projekcji wzajemnie się nie wyklucza — obie bowiem oddają w sposób niezwykle wyrazisty, że młodzież odrzuca całości system, w którym przyszło jej żyć nie znajdując w nim żadnych nadziei. I to wydaje się najważniejsza konstatacja z tej lektury. „Idealy socjalizmu” to dla tej generacji w najlepszym razie nieudany eksperyment, który trzeba odrzucić i którego efektem jest życie w kraju kompletnie zrujnowanym. Dla olbrzymiej większości jest to wyłącznie represyjna rzeczywistość, przeciw której część nie waha się wystąpić czynnie lub wystąpienie takie uważa za naturalne, część zaś nie znajdując zapewne szans dla takiego wystąpienia — przewiduje po prostu zanurzanie się w śmierć.

Odczucia maturzystów nie odbiegają tu zbyt od odczuć niewiele od nich starszych poetów i pisarzy. Cytaty z literatury świadczące o przewidywanym obumieraniu kraju można mnożyć w nieskończoność — od obrazu, który nakreślił w „Małej apokalipsie” Tadeusz Konwicki, po wiersze debiutantów, jak choćby ten, pióra warszawskiej poetki Katarzyny Boruń, zatytułowany „Głos w dyskusji o apokalipsie”:

*Już nie drżymy o losy świata
w przeciwieństwie do starszych kolegów.
Wiemy,
doskonale wiemy, że zostanie on
zwiniony jak namiot
rozbity na jedną noc przy drodze.
Umówmy się tylko, że będziemy
mocno trzymać się za ręce.
Będzie pięknie,
my — trzydziestoparoletni
na zawsze
najmłodszy.*

Ale nie tylko ucząca się młodzież i nadwrażliwi, jak zwykle, pisarze, uderzają na alarm. To samo wyczytamy w raportach naukowców i dziennikarzy. Jeżeli więc na głos młodzieży warto zwrócić szczególną uwagę, to między innymi dla-

tego, że właśnie w jej kręgach narastać zaczynają obecnie postawy radykalne. To ludzie, którzy w narodowym sztandarze widzą już dzisiaj tylko „wymiętą flagę”, którzy bądź rezygnują z własnej narodowej tożsamości decydując się na życie poza krajem, bądź za jej obronę gotowi są oddać życie w walce zbrojnej. Obie postawy, równie radykalne, stanowią rzeczywistość, której w obecnej Polsce coraz trudniej stawić czoła. ■



MŁODA POEZJA KATASTROFICZNA

MARCIN BARAN
(KRAKÓW)

*na wschód od utraconego
w ziemi obiecanej wygnańców
między wzruszeniem ramion i serc
między treścią życia a treścią żołądka
między spełnianiem toastów i obowiązków
między wydaniem w ręce a oddaniem się w
opiekę*

*cierpliwie znosząc obrazę
by nie ponieść obrażeń
barabaszują
sezonowi europejczycy
którym za jedyne antyczne dziedzictwo
pozostało minimum socjalne
chleba i igrzysk*

ADAM POPRAWA
(WROCŁAW)

*PORANEK
ból papierosów w płucach
pytającego świata blednących latarni
mysli dosięgających chodników
szarego furkotu pierwszych gołębi
trwa
cicha apokalipsa
nie objawiona*

PIOTR SZEWC
(LUBLIN)

ŚWIADECTWO

Czy jesteś co myślisz, co czujesz, jak żyjesz
Co mówisz, co piszesz, jakie mówisz sny
Kogo znasz, komu ufasz, kto jest twoim
cieniem
Czy ty stoisz przed sobą w jasnych bramach
świu

Czy krzyczysz nocą, co ze snów rozumiesz
Jakie ptaki za twoim oknem rozmawiają
Jeśli kochasz, jak kochasz, dlaczego i kogo
Czy płaczesz, czy grzeszysz, kiedy mówisz
prawdę

Z grzechów policzonych, które będą policzone
Czy poznajesz twarz w lustrze, pokaż swoją
duszę

Otwórz pierś, swą węz, serce musisz dać
świadectwo

LESZEK SADOWSKI

x x x
prześladowane myśli ukryte
myśli bite, myśli chowane
myśli zakryte, myśli niewypowiedziane
myśli krwawiące, myśli rozdrapane
myśli śledzone, podsłuchiwane
myśli wypaczone, myśli cenzurowane
myśli amputowane, myśli dorabiane
myśli narosłe, myśli
jak góry brudu
jak góry oddechów
jak ropiejące, pootwierane, cięte rany
jak kamieniołomy —
nie widzę ratunku

MARIUSZ ROSIAK
(POZNAŃ)

JEST W NAS

Jest w nas jeszcze trochę
czasu na rachunek sumienia
z czynów i słów, których

nie zdążyliśmy dopełnić

Jest w nas jeszcze trochę
odwagi, rozwinięcia skrzydeł
które uniosą nas w krainę
Disneylandu na serio

Jest w nas jeszcze trochę
nas, lecz zaplątały się usta
w słowach, ręce w gestach
twarze w pustych lustrach

JAROSŁAW OLEJNICZAK
(KRAKÓW)

KLEPSYDRA

Zacierają się granice
nacierają już
białe płatki popiołu

Mądre stare księgi
przekwitają w alejach
zasuszonych słów

Przestrzenie nieprzetarte
pokrył martwy kurz
zacierają się granice

i nikt nie wie już
czy przekracza Styks
Łabę czy też Bug

PAWEŁ NIEMKIEWICZ
(KRAKÓW)

W JAKIM JĘZYKU

W jakim języku mówią paleni na stosie
że każdy ich rozumie

W jakim języku mówią ci
których ciała dawno już nie istnieją
a wciąż świadczą przeciwko

W jakim języku mówią umarli
za życia, że nikt ich nie słyszy

Nasze usta poruszają się

POLEMIKA Z POLEMIKĄ O PROJEKCIE ZASAD IDEOWYCH I PROGRAMIE »SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ«

W ubiegłorocznym grudniowym wydaniu „Poglądu” (19140) drukowaliśmy „Dwugłos o „Projekcie zasad ideowych i programie Solidarności Walczącej” p.p. Michała Olkiewicza i Wojciecha Krzyckiego. Obecnie otrzymaliśmy poniższy tekst, będący polemiką z „Dwugłosem...”, autorstwa Andrzeja Lesowskiego, członka Komitetu Wykonawczego SW. Pominęliśmy wstępną część tekstu merytorycznie nie mającą nic wspólnego z dyskusją. Redakcja zastrzega sobie, iż nie będzie drukować dalszych polemik z tekstem „Projektu...”. Tytuł pochodzi od redakcji „Poglądu”.

(...)Akademicka — z założenia — analiza języka „Zasad Ideowych...” przeprowadzona przez Wojciecha Krzyckiego (którego raz staropolszczyzna w niektórych sformułowaniach i rozejście się z nowoczesnym, politycznym myśleniem) opiera się na pomyleniu retoryki z nowomową. Odwoływanie się do systemu wartości, do emocji, a nie tylko do rozumu, było sztuką znaną już starożytnym i sztuka ta nazywała się retoryką. Nowomowa jest późniejszym wytworem i akurat, odwrotnie niż chce Krzycki, polega na zmianie sensu słów. (Patrz: Jakub Karpiński „Polska, komunizm, opozycja” /Słownik/, str. 161, Polonia Book 1985). Dość często ujawnia się to przez dodanie funkora Fedorowicza, czyli przymiotnika „socjalistyczny”. Zmieniony sens słów paraliżuje możliwość środowisk akademickich dokonania analizy rzeczywistości, szczególnie wtedy, gdy są „wyprani” ze wszelkich emocji i wartości, i holdują oświeconej pysze o nieograniczonych możliwościach rozumu.

Dla Krzyckiego „komunizm”, „system burżuazyjny”, „imperializm amerykański” jako te same kategorie gramatyczne są zastępowalne w każdym tekście, bo... dla Niego brzmiają emocjonalnie. Pomieszczenie syntaksy z semantyką jest wielkim wkładem Krzyckiego do rozwoju nowoczesnego myślenia językowo-politycznego.

Autorzy „Zasad Ideowych...”, w tym przede wszystkim Kornel Morawiecki, świadomie nawiązywali do starszych przykładów języka polskiego, aby odwoływać się do znaczenia słów niezafałszowanego przez nowomowę. To, że w komunizmie widzimy największą przeszkodę w dalszym rozwoju społeczeństw nie oznacza, że nie widzimy innych zagrożeń. Nie ogłaszamy nowej utopii — kondycja ludzka jest zmaganiem się z losem, na pewno nie postzegamy świata dwubiegunowo, chcemy tylko świata trochę lepszego niż demokratyczny kapitalizm i chcielibyśmy poszczególne stadia osiągnąć na drodze ewolucji. Nie mówiąc przewidzieć postępowania komunistów, liczymy się również z możliwością zmian rewolucyjnych.

W „Zasadach Ideowych...”, które z założenia są pisane skrótowo, nie można zawrzeć — krok po kroku — wszystkich przemyśleń autorów i dokonanych przez nich analiz, które poprzedziłyby napisanie tekstu. Trochę dobrej woli, mniej uprzedzeń i znajomość podstaw lingwistyki, a mógłby Krzycki odtworzyć część z tych przemyśleń. Zamiast tego jest „Skrócony pamfletowy program SW”. Proponuje, aby

Krzycki z cytatów z Biblii ukozył krwiożerczy kryminał, a z cytatów z dzieł Lenina, a jeszcze lepiej z dzieł Wielkiego Językoznawcy, powiastkę umoralniającą. Sukces gwarantowany.

Dosadność sformułowań w „Zasadach Ideowych...” jest nie tylko konsekwencją oszczędności papieru, lecz również szacunkiem dla języka, gdyż zamiast mówić np. „człowiek, który być może rozminął się z prawem” wolęliśmy krótkie „bandyta”.

Przechodząc do artykułu Michała Olkiewicza można się zastanawiać, czy po przeczytaniu kilku numerów „Forum” z przedrukami prasy zachodniej i pobieżnym zetknięciem do „Zasad Ideowych...” warto pisać artykuł tylko po to, aby cokolwiek napisać. Można doradzać więcej cierpliwości przy czytaniu i więcej namysłu zamiast młodzieżowo-telewizyjnego slangu. Dopuszwanie do zaznaczonych odnośników własnej myśli, której w „Zasadach Ideowych...” nie ma, jest starym zabiegiem, lecz wtedy trzeba uprzedzić czytelników, że autor polemizuje z własnymi wysiłkami zrozumienia „Zasad Ideowych...”, a nie z „Zasadami Ideowymi...”. Polemika w tej sytuacji jest bardzo trudna, gdyż Olkiewicz dodaje np. „musimy stoczyć bezkompromisową walkę z szatanem uosobionym w obecnym rządzie PRL, z W. Jaruzelskim na czele. Trąci to mistyką”. Z takich fragmentów składa się artykuł. Autor dopisał „szatana”, „Jaruzelskiego” i potem stwierdza, że trąci to mistyką. Wg Olkiewicza gwoździem do trumny jest ocena perspektyw negocjacji rozbrojeniowych, które — wg M.O. — w obecnej sytuacji są aż nadto obiecujące.

Autorzy „Zasad Ideowych...” uważali i uważają, że lepszą drogą jest rozwinięcie systemu SDI, który skazałby sowiecką potęgę nuklearną na złom. Jeśli już negocjacje rozbrojeniowe mają się toczyć, to powinny dotyczyć o wiele droższej broni konwencjonalnej i nie hamować przewagi technologicznej Zachodu. Związek Radziecki nie dąży do rozbrojenia, lecz do zmniejszenia dystansu technologicznego, aby rywalizację wojskową utrzymać na poziomie technologicznie mu dostępnym. Obecny układ rozbrojeniowy przewiduje likwidację nie więcej niż 5% zapasów broni rakietowej, natomiast zamęt w umysłach znacznie przekracza 5%. Ten układ militarnie jest bez znaczenia dla dwóch światowych potęg, osłabia Europę Zachodnią i dezorientuje opinię publiczną. M. Olkiewicz mógłby wiedzieć, że lord Carrington oraz Jacques Chirac nie reprezentują większości opinii publicznej w ocenie komunizmu. Większość jest pacyfistyczna i podatna na komunistyczne umigi.

Pomijając wyszydzenie religijności strajkujących w Polsce i koncepcji strajku czynnego, produkcyjnego reszta tyczy tematyki gospodarczej.

M. Olkiewicz, chociażby przez przesłedzenie odmiennych rozwiązań gospodarczych w USA, Szwecji, Francji, W. Brytanii, RFN itd., mógłby zauważyć, że nie ma uniwersalnych, idealnych rozwiązań dotyczących propozycji, takich czy innych form własności, polityki podatkowej, metod zarządzania itp. Jednak w gospodarce rynkowej jest miejsce na demokratyczne ustalanie reguł życia gospodarczego poprzez stanowienia prawa (np. antymonopolistycznego, aby w ogóle rynek pełnił funkcję regulacyjną wobec gospodarki). Zamiast tego wysławia wpływ instytucji demokratycznych na gospodarkę myśląc, że ma to polegać na ciągłych referendach w sprawie cen. Trzeba był dziecko PRL-u, trochę za znajomości się z neoliberalizmem, a trochę z gazetowym marksizmem, żeby własny zamęt pojęciowy przypisać autorom „Zasad Ideowych...”.

M. Olkiewicz stawia pytanie — własne pytanie — „Jeżeli komunizm istnieje w Polsce i jest nierreformowalny oraz odrzuca się możliwość porozumienia z nim, to w jaki sposób mogą być realizowane wyszczególnione fazy wyso-bodzenia się z komunizmu przed jego upadkiem?”

Już starożytni znali rozumowanie, które dowodziło, że ruch jest niemożliwy (paradoks Zenona z Elei z różnymi nazwami w tytule np. Achilles, żółw, strzała), mimo że się fu-szali. Ino doktrynalne niepokoję dobrym lekarstwem jest do-wyższanie jednoznacznej odpowiedzi teoretycznej. My sprawdzamy. Jeśli ewolucyjną drogę przemian komuniści za-blokują, to pozostaje jeszcze droga rewolucyjna. Historia komunizmu pokazuje, że obszar społecznej niezależności jest zmienny, a prócz tego np. z obecną ekipą rządową PRL pertraktować nie trzeba. Zaszłyła z jednostronnych posu-nie i jest na tyle inteligentna, że wiele potrafi zrobić sama z siebie, aby zachować własne istnienie.

Martwienie się Olkiewicza w jednym miejscu „Na czy-je barki przerzucania będzie w demokratycznej Polsce ciężar kryzysu gospodarczego?”, gdy dwa akapity wyżej napisał, że jest za możliwością „rozwoju warstwy bogaczy, albowiem pieniądze dają szczęście biednym, a nie nędza biedaków uszczęśliwia bogaczy” wygląda na trochę świętoszkowate martwienie się i to na zapas.

Olkiewicz domaga się radykalnej zmiany „Zasad Ideowych...”, gdy tymczasem Rada Solidarności Walczącej — po zebraniu opinii — uważa, że dopisek „projekt” można by już opuścić.

Wrocław, maj 1988.

Andrzej Lesowski

DOKUMENTY

REZOLUCJA RADY POLITYCZNEJ KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ

Wydarzenia przelomu kwietnia i maja wstrząsnęły Polską. (...) Zdecydowana większość strajków wybuchała spontanicznie. Działacze „Solidarności” dopiero do nich do-lączali, nieraz w wyścigu z neo-związkami. Zarysowała się wyraźnie sprzeczność między młodymi — którzy stanowią główną siłę napędową strajków, ale nie bardzo potrafia radzić sobie z ich kierowaniem — a starszymi działaczami „So-lidarności”, którzy często zachowywali się tak, jakby brakło im serca, albo jakby ktoś wysypał piach w tryby związkowej maszyny. Uzasadnione są skargi, że w decydujących momen-tach często zabrakło wystarczającej pomocy dla strajkują-cych. Opozycyjna poligrafia w większości wypadków spo-kojnie realizowała swe plany wydawnicze, gdy brakowało ulotek i instrukcji.

Niektóre kierownictwa regionalne „Solidarności” nie zdążyły dotychczas publicznie zabrać głosu. Stanowisko KKW było mało stanowcze i nie dość precyzyjne. NSZZ „Solidarności” zamiast prowadzić wystąpienia robotnicze, w większości wypadków jedynie do nich dołączała. Chlubnym wyjątkiem był URSUS. Źródłem tej bierności wyższych struktur Związku nie była jednak zła wola, ani jakiegoś pokrę-tnę koncepcje polityczne, choć i takie się pojawiały, ale ogólna słabość organizacyjna i brak sprecyzowanej, jawnej linii poli-tycznej Związku.

W tej sytuacji Rada Polityczna Konfederacji Polski Niepodległej uważa, że konieczne jest:

— po pierwsze — powszechne działanie inspirujące i wspierające ruch protestu społecznego we wszelkich jego przejawach, poczynając od strajków, wieców i manifestacji,

— po drugie — precyzacja wspólnego programu dzia-łania całej opozycji, zmierzającego do wywalczenia zasadni-czych zmian politycznych, gospodarczych i społecznych. Punktem wyjścia tych zmian musi być przywrócenie legalne-go bytu „Solidarności”, zdecydowane kroki na rzecz popra-wy warunków bytowania ludzi pracy, oraz reforma gospo-darcza w kształcie, jaki uzyska całkowitą aprobatę społecz-ną.

— po trzecie — stworzenie instytucjonalnych form współdziałania całej opozycji, oraz artykułowanie opinii społecznej. W mocy pozostaje wysunięta wcześniej przez KPN propozycja utworzenia Komisji Tymczasowej Stowa-rzyszeń i Stronnictw Niepodległościowych, łączącej ugrupo-wania polityczne.

W poszczególnych miejscowościach i regionach po-winny powstawać Obywatelskie Rady Oporu, skupiające przedstawicieli głównych struktur niezależnych, danego te-renu i koordynujące ich działalność. Na szczeblu krajowym należy uformować Radę Opozycji, obejmującą wszystkich działaczy niezależnych o autorytetyce ogólnopolskim. Stwo-rzy to zasadniczy fakt polityczny i odpowiadać będzie po-wszechnemu oczekiwaniom. Nie czas na spokojne wyczeki-wanie „co się zdarzy”. Nakazem chwili jest dynamiczne dzia-łanie, pełna jedność i solidarność wszystkich ugrupowań opozycyjnych.

(-) Rada Polityczna KPN

11 maja 1988

OREDZIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ NA SPRAWODZIANIE PROCHÓW „PONUREGO” MJR. JANA PIWNIA DO WSI RODZINNEJ.

Pod patronatem Biskupów Diecezji Kieleckiej i Sandomier-sko-Radomskiej wracają w rodzinne strony po wielu latach starych prochy „Ponurego”, majora Jana Piwnia, dowódcy oddziałów Armii Krajowej.

Wracają one z mickiewiczowskiej „nowogródzkiej strony”. (...)

Major Piwnik, „cichociemny” spadochroniarz Armii Krajowej wysłany jak wielu innych z Londynu, zrzucony z samolotu w Kraju w listopadzie 1941 r., wypełnił swój żołnierski obowiązek do końca. Dowodził oddziałami party-zanekami Armii Krajowej na różnych terenach Rzeczypos-politej Polskiej. Żołnierska śmierć dosięgła go w Jewluszach, w Ziemi Nowogródzkiej.

W czasie jego czynów bohaterских otrzymał w roku 1943 Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari. W uznaniu jego zasług jako dowódcy w okresie od czerwca 1943 do jego bohaterских śmierci na polu walki nadałemu mu Krzyż Złoty Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Przewielebny Księżom Biskupom obu diecezji, (...) opiekunom tych uroczystości i Eminencji Księdza Kardyna-łowi Gulbinowiczowi Metropolicie Wrocławskiemu należy się szczerza wdzięczność za opiekę i udział w tych uroczysto-ściach.

Przy trumnie „Ponurego” zbiorą się, obok towarzyszy broni, liczni Harcerze wierni Bogu i Polsce, aby świadczyć o tym, że kolejne młode pokolenia przejmują ideały i sprawy, którym służyli ich Ojcowie i Dziadowie. Przekazują im har-cerskie pozdrowienia „Czujaj!”

(-) Kazimierz Sabbat, prezydent RP
Londyn, 11 czerwca 1988 roku

KRONIKA EMIGRACYJNA

„EMIGRANTCI” DLA EMIGRACJI

W dniu 21 maja w sali Berliner Kunst Forum przy Pfluelstrasse, przedsiębiorstwa prowadzonego przez Elżbietę i Janusza Żmudów zaprezentowano sztukę Sławomira Mrożka „Emigranci” w wykonaniu Mieczysława Czechowicza i Andrzeja Łapickiego, który jest równocześnie reżyserem spektaklu — obecnie aktorów warszawskiego teatru „Kwadrat”.

Doszło do paradoksalnej sytuacji — berlińscy emigranci mieli okazję przejrzeć się w (krzywym?) zwierciadle mrożkowskiej ironii, szczególnie wyraźnie odbijającym sytuację i oblicza plugawą. Jakby wycięte z papieru, dwuwymiarowe postaci Mrożka, pozbawione świadomości „ludzkiego” pierwiastka, zdają się jedynie eksplikować i artykułować przeciwstawne racje etyczno-politycznego dyskursu. Jak wiadomo, w „Emigrantach”, dziś należących już do klasyki repertuarowej, autor zderzył ze sobą postawy z przeciwległych biegunów — pogrążonego w twórczej indolencji „politycznego” inteligenta i indolenta umysłowego, typowego „zarobkowicza” („turyście” — jak chce slang berlińskiej emigracji na prawach stałego pobytu).

O darze obserwacji Mrożka, zdolności wyławiania z „polskich sytuacji emigracyjnych” elementów, które na stałe weszły do kanonów naszych postaw za granicą niech świadczą choćby pełne zrozumienia uśmiechy publiczności, potakujące kiwanie głową towarzyszące co trafniejszym kwestiom.

Spektakl wraz z oprawą scenograficzną (plótno z naszkicowanymi rekwizytami) przetransportowano do Berlina pociągami i zaprezentowano dosłownie pękającej w szwach, za to niezwykłe żywo reagującej sali.

Koncepcja reżyserska Łapickiego (prze?)jakcentowała elementy komizmu i groteski, wobec czego refleksyjne partie tekstu zagłuszał śmiech widzów. Pisanie czegośkolwiek o aktorskich walorach przedstawienia mija się z celem, bowiem artyści klasy Łapickiego i Czechowicza nie mogą grać źle.

Na sali w pierwszej części spektaklu zauważono prof. Jana Koita, natomiast bezwzględnie wszystkim rzucił się w oczy cztery panie, które tuż po rozpoczęciu spektaklu przeparıdowały w superkreacjach przez całą długość pierwszego rzędu, rzekomo w drodze do toalety — skapanie w światłach rampy i pyłe gwiazdny, który emanował od obu warszawskich aktorów.(pk)

WYSTAWA MARIANA STERANOWSKIEGO W „STODIECK”U”

Od 11 czerwca, przez dwa kolejne miesiące, można oglądać w berlińskiej księgarni i galerii „Stodiek’s” wystawę „zdjęć” Mariana Stefanowskiego, polskiego fotografa od 7 lat mieszkającego w Berlinie.

M. Stefanowski (ur. 1950), fotograf z zawodu od ponad 20 lat, w swojej pierwszej berlińskiej wystawie sięgnął po zapomnianą, mało używaną i pracochłonną XIX-wieczną

technikę fotograficzną, tzw. „gumę”. Metoda ta polega na naświetlaniu naniesionej ręcznie na papier światłoczułej emulsji, sporządzonej na bazie gumy arabskiej. Mieszając emulsję z barwnikami, można poprzez kolejne nanoszenie kilku różnych warstw oraz kilkakrotne naświetlanie tego samego lub różnych negatywów osiągać ciekawe efekty plastyczne i kolorystyczne.

M. Stefanowski wykorzystując z dużą wprawą możliwości techniczne i artystyczne tej techniki zaprezentował kilkadziesiąt „gum”. Prace te poprzez zatarcie ostrości konturu i grafizację obrazu, nabrały swoistego nastroju i uroku. Najciekawszymi wydają się cykle portretów, multiplikacje obrazu pustych torów kolejowych, czy kilka współczesnych scen, które po przetworzeniu tą techniką nabrały cech nostalgicznych pamiątek ubiegłej epoki.

Dla tych, którzy znają dotychczasowe zdjęcia Stefanowskiego, publikowane, między innymi, w *Pogładzie i Kontakcie*, wystawa ta jest dużym i miłym zaskoczeniem.

Marian Stefanowski: „Vergessene Phototechniken”, 11 czerwca do 31 sierpnia, Stodiek’s Buchhandlung & Galerie, Richard Wagner Str. 39, 1000 Berlin 10, Tel. 341 40. (r.)

BYŁY DYREKTOR RWE JAN NOWAK W BERLINIE ZACHODNIM

W dniu 20 maja br. w zachodnioberlińskim KIK-u odbył się wieczór autorski Jana Nowaka, do 1976 r. dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Zaprezentował on ponad 50 słuchaczom swoją trzecią — po „Kurierze z Warszawy” i „Wojnie w czterech” — autobiograficzną książkę — „Polska z oddali”, będącej kontynuacją poprzedniego tomu, przedstawiającego pierwszy okres pracy polskiego radia z Monachium. W tomie drugim swoich wspomnień, przepłatanymi materiałami archiwalnymi, Nowak, jak sam stwierdził w prelekcji, starał się pokazać nie tylko oddziaływanie Rozgłośni na sytuację polityczną w kraju lecz także sprawy zaku-



Jan Nowak (stoi Wiktor Woroszyński)

lisowe: swoją współpracę jako dyrektora z właścicielami radia — Amerykanami, pełną napięcie a niekiedy nawet i konfliktów, oraz współdziałanie zespołu redakcyjnego, którym kierował 24 lata (i który przecież sam stworzył).

Do ostrego konfliktu między Nowakiem a Departamentem Stanu doszło z powodu różnic w ocenie Gomułki, który (po dojściu do władzy w 1956 r.) szybko zrezygnował z polityki „odnowy” likwidując jedne po drugim obszary wolności, jakie przyniósł społeczeństwu „Październik”. Amerykanie widzieli w nim polskiego Titę i zdołali w nim zdecydowanego poparcia zupełnie nie zauważając tego, że Gomułka, umocniwszy swoją pozycję, konsekwentnie dążył do prosowieckiego zgłajchszaltowania społeczeństwa.

RWE psuło mu szyki, szło „za daleko” podobnie jak inne wschodnioeuropejskie „sekcje” RWE, w negatywnej ocenie reżimów komunistycznych, co nie odpowiadało kierunkowi ówczesnej polityki amerykańskiej. „Prógomułkowscy” urzędnicy Departamentu Stanu na wniosek ambasadora USA w Warszawie, P. Beama, postanowili niejako wycisnąć Rozgłośnie Polską poprzez wprowadzenie „cenzury prewencyjnej”. Oparł się temu z całą stanowczością Nowak, za którym stanęli dyrektorzy pozostałych „sekcji”. Udało mu się obronić niezależność Rozgłośni, bo wobec protestów Amerykanie zrezygnowali z niegodnego przecież ich demokracji projektu wprowadzenia cenzury.

Na spotkaniu w Berlinie Nowak nie powiedział jednak, ile zdecydowania, zrzeczności i inteligencji potrzeba było, by nie dopuścić do ograniczenia samodzielności Radia; do tego, aby z prawdziwego Głosu Wolnej Polski — tak nazywała się radiostacja w latach 50-ych — właściwie pierwszej słyszalnej opozycji PRL-u, nie zrobiono rozgłośni amerykańskiej, takiego ówczesnego Głosu Ameryki, informującego Polaków o kierunkach mody w USA. Wyczytać to można w „Polsee z oddali”.

Wg Nowaka w jego książce nie ma „białych plam”: z dużą swobodą ujawnił on tu konflikt z Amerykanami, co jest świadectwem ich partnerskiego stosunku do Polaków, pozwalającego na krytykę drugiej strony i otwarte stawianie spornych kwestii. Wg autora „Polscy z oddali” stanowisko takie jest swojego rodzaju „posuniem” (message) rządu USA, który właśnie dzięki demokracji może pozwolić sobie na otwartość i dopuszczać publiczną krytykę, nawet jeśli wypływa ona spod pióra człowieka będącego od szeregu lat konsultantem amerykańskiej administracji w sprawach polskich. W odpowiedzi na pytania i w dyskusji kontrowersje wywołało stanowisko Nowaka, iż w polityce wobec kraju emigracja (a właściwie Kongres Polonii i w konsekwencji administracja w Białym Domu) powinny opierać się na zasadzie „im lepiej, tym lepiej”, jako że Polacy w chwili korzystnych zmian politycznych w Europie powinni być narodem silnym, mogącym stawiać w taki czy inny sposób czoła niezbyt przyjaźnie nastawionym sąsiadom.

Zasada „im gorzej, tym lepiej” z polskiego punktu widzenia dobra jest dla Związku Sowieckiego, bo przecież nasilenie się kryzysu, a nawet rewolucja w tym kraju powinny leżeć w narodowym interesie Polaków.

Wg Bohdana Osadczuka, profesora emerytowanego z Freie Universität w Berlinie Zachodnim, wszelkie gwałtowne zmiany o charakterze rewolucyjnym w Rosji Sowieckiej spowodowały przypuszczalnie wciągnięcie w ich wir krajów ościennych. Zmiany takie muszą pociągnąć za sobą wiele ofiar, co nie może być narodowym interesem ani Polaków, ani Ukraińców, którzy przecież mogą być sprzymierzeńcami Polaków w przyszłej walce o suwerenność. (ek)

„MŁODA SIŁA” JAZZOWA W BERLINIE

W dniach 6, 7 i 8 maja w berlińskim domu kultury Ballhaus na Kreuzbergu odbył się maraton trzech polskich zespołów jazzowych. Liczne zgromadzenie słuchaczy miało okazję przekonać się na „własne uszy” o dokonującej się zmianie warty w polskim jazzie. Podczas tego swoistego jam-boree wystąpił big-band „Young Power” (Młoda Siła), oraz utworzone z jego członków zespoły; kwartet „Tie Break” i „Trio Priest & Big, Cork” (Trio Książ, Duży i Korek).

Koncert 17-osobowej orkiestry Krzysztofa Popka, flecisty, kompozytora i aranżera był dużym i miłym zaskoczeniem. Ci młodzi muzycy grają coś, co jest konglomeratem i collagem niekiedy skrajnych gatunków i stylów; free-jazzu, muzyki klasycznej, hard rocka, heavy metal, bluesa czy punk-rocka. Występ był fajerwerkem różnych pomysłów muzycznych oraz młodzieńczego żywiołu i humoru, muzyki pozbawionej jakichkolwiek hamulców. Wydaje się, że muzyka „Young Power” jest świadomą próbą stworzenia nowego nurtu w jazzie. Grupa „Tie Break” (dwie gitary, dwie perkusje, dwa instrumenty dęte) zagrała ciężki jazz-rock, a koncert „Trio Priest & Big, Cork” (flet, puzon, saksofon) był swoista



Grupa Trio Priest & Big, Cork

blażenadą stojącą na wysokim muzycznym poziomie. Muzycy obwieszani jarmarczonymi dzwoneczkami grali wszystko — od klasyki po muzykę strażackich orkiestr, pastisze orkiestry Duke'a Ellingtona i muzyki ludowej, a wszystko z lekkością i humorem. (r)

STRAJK GŁODOWY POLAKÓW W DORTMUNDZIE

Po mszy świętej „Za Ojczyznę” w Dortmundzie w dn. 15.05.88 grupa polskich emigrantów rozpoczęła w Polskim Domu Katolickim strajk głodowy. Uczestniczyli w nim Polacy z Dortmundu, Hamm, Velbert, Hagen i Bochum. Myślą przewodnią strajku było zwrócenie uwagi zachodniej opinii publicznej na dokonujące się w Polsce bezprawie, na łamanie podstawowych — mimo oficjalnych zapewnień władz reżimowych — praw człowieka i obywatela, na tłumienie wolnościowych i niezależnych aspiracji narodu polskiego. Jak stwierdził na konferencji prasowej rzecznik prasowy głodujących, Jerzy Ludwik Janiszewski — nie ma pokoju bez prawdziwej wolności. Wszelkie usiłowania wolnego Zachodu dogadania się z rządami państw satelickich Związku Sowieckiego, bez uwzględnienia autentycznych aspiracji tych narodów, skazane są na niepowodzenie i służą tylko obiektywnie umacnianiu nielegalnej władzy tych reżimów. Strajkujący rozesłał listy do społeczeństw, organizacji politycznych i społecznych oraz rządu RFN prezentując swoje stanowisko. Sformułowano także w niezwykle klarownej i zdecydowanej formie list do Wojciecha Jaruzelskiego, w którym



Uczestnicy strajku głodowego w Dortmundzie

odmówiono jego ekipie rządowej legalności. W liście stwierdza się również, iż decyzja pozostania w wolnym świecie Zachodu nie zwalnia emigrantów od troski o przyszłość Ojczyzny; że opuszczając PRL nie opuścili Polski jako ich Ojczyzny, co daje im prawo do reagowania na wszelkie akty przemocy i niesprawiedliwości i godzące w interes ogółu społeczeństwa polskiego decyzji generalskiej ekipy.

O strajku ukazały się relacje w prasie niemieckiej, audycji polskiej Radia Dortmund International oraz audycji polskiej BBC i Radiu Wolna Europa.

Na konferencję prasową, po której ogłoszono zakończenie strajku, przybyli m.in. przedstawiciel partii CDU w Nadrenii-Westfalii Edgar Prochnow, dziennikarz emigracyjny i prawnik mgr Tadeusz Fotek i znane w Europie małżeństwo artystów Barbara i Andrzej Piwarscy. E. Prochnow w swoim wystąpieniu wyraził poparcie i solidarność ze strajkującymi oraz ich celami w imieniu partii CDU i związków zawodowych. Akcje zakończono odśpiewaniem hymnu narodowego. (stb)

* * *

W dwu ośrodkach polskich w Dortmundzie — Klubie Polskim i Polskim Domu Katolickim odbyły się obchody rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja. (stb)

DEMONSTRACJA „POMOSTU” W DETROIT

W dn. 13 maja w Detroit (USA) odbyła się demonstracja, zorganizowana przez Ruch Społeczno-Polityczny „POMOST”. W wydanej odezwie czytamy: *W obliczu brutalnego dławienia praw człowieka i ruchów wolnościowych w Polsce my reprezentujący narody cierpiące pod jarzmem sowieckim domagamy się:*

- 1) zaprzestanie negocjacji dotyczących pomocy gospodarczej dla reżimu w Warszawie;
- 2) nałożenie natychmiast sankcje ekonomiczne na kraję bloku sowieckiego i ich satelitów;
- 3) zwiększyć limit ograniczający liczbę corocznie przyjmowanych przez USA dysydentów i politycznych emigrantów z krajów zza żelaznej kurtyny;
- 4) wolnych wyborów pod auspicjami ONZ w krajach pod sowiecką dominacją;
- 5) utworzenia komisji Senatu dla zbadania wyroków ZSRS przeciw normom międzynarodowego prawa;
- 6) zerwania kontaktów z ZSRS i niedostarczania mu nowoczesnych technologii zachodnich. (pk)



OŚWIADCZENIE ChSWN

Zarząd Tymczasowy Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, organizacji, której założycielem był twórca ruchu oazowego ks. dr Franciszek Błachnicki, zwrócił się do nas z prośbą o opublikowanie następującego oświadczenia o sytuacji jego organizacji:

OŚWIADCZENIE

Na Walnym Zebraniu ChSWN w dniu 22 listopada 1987 roku wyłynęła sprawa prowadzenia przez Prezesa Stowarzyszenia dr Jolanę Gontarczyk i jej męża Andrzeja Gontarczyka działalności na rzecz organów bezpieczeństwa PRL. Celem tej działalności było między innymi szkolenie rozwojowi naszego Stowarzyszenia. Pani Gontarczyk publicznie zaprzeczyła tym zarzutom i oświadczyła, że występuje ze stowarzyszenia ChSWN. Wobec zaistniałej sytuacji Walne Zebranie powołało Zarząd Tymczasowy, który pełnić będzie obowiązki do dnia następnego Walnego Zebrania.

W dniu 26 kwietnia 1988 roku rzecznik prasowy rządu PRL Jerzy Urban podał do wiadomości, że małżeństwo Andrzeja i Jolanta Gontarczykowie powrócili po 6-ciu latach pobytu w RFN do kraju, i że w RFN pracowali w Radiu Wolna Europa. Rozgłoszła tu kilkakrotnie dementowała fałszywą wiadomość o zatrudnieniu u siebie Gontarczyków. Równocześnie Prokuratora Generalna RFN podała do wiadomości, że przeciwko Gontarczykom prowadzone jest śledztwo pod zarzutem szpiegostwa na rzecz PRL.

W świetle tych faktów potwierdziła się słuszność zarzutów stawianych małżeństwu Gontarczyków na Zebraniu Walnym w listopadzie ubiegłego roku.

Wykryta próba infiltracji naszej organizacji przez agentów SB, nie była w stanie załamać naszego Stowarzyszenia, które nadal prowadzi i prowadzić będzie swoją działalność, służąc ideałom sformułowanym przez księdza Błachnickiego. Wszystkich chętnych do współpracy z naszą organizacją zapraszamy na Walne Zebranie w Carlsbergu w dniu 26 czerwca 1988 roku o godz. 10.00, a wszystkich Polaków zapraszamy do tłumnego uczestnictwa w dorocznym Marszu Wyzwolenia Narodów na Zamku w Hamburgu. Marsz ten odbędzie się w dniach 26-27 sierpnia br. pod hasłem wspólnej walki o wyzwolenie narodów uciskanych przez sowiecką przemoc.

*Za Zarząd Tymczasowy:
(-) Andrzej Chmielecki, (-) Andrzej Piwarski, (-) Marcin Zieliński.*

DEMONSTRACJA POD AMBASADĄ PRL

W dn. 4 czerwca pod ambasadą PRL w Kolonii odbyła się demonstracja polskich emigrantów. Zorganizował ją przedstawiciel Solidarności Walczącej (Poznań) — Szymon Jabłoński przy współpracy: Polskiej Partii Socjalistycznej, Chrześcijańskiej Służby Wyzolenia Narodów, Zjednoczenia Uchodźców Polskich.

W demonstracji brało udział około 200 osób, które protestowały przeciw nieprzestrzeganiu praw człowieka i praworządności oraz przeciwko nienawiązywaniu przez rząd PRL dialogu ze społeczeństwem w Polsce. Na początku zabrał głos Stanisław Cegliński, następnie Szymon Jabłoński przeczytał list do gen. Jaruzelskiego, pod którym podpisało się 198 osób. Demonstracja zakończyła się odśpiewaniem hymnu narodowego.

Drugi w przeciągu trzech tygodni protest pod ambasadą PRL (pierwszy 13 maja), duża ilość transparentów z rzymskimi hasłami, spora liczba uczestników świadczą o wyraznym ożywieniu politycznym polskich emigrantów po ostatnich strajkach w Polsce.

Ciekawostką: W demonstracji uczestniczyła także kukułka generała, która zgodnie z programem miała być zawieszona na płocie ambasady. Jednak dzięki interwencji policji „Wojtkowi” udało się tym razem uniknąć smutnego losu. Do kiedy...? — Do następnej demonstracji. (stc)

GRUPA ROBOCZA „SOLIDARNOŚĆ” ESCHWEILER-AACHEN

1. W miesiącu maju ogłosiła apel o uwolnienie więźniów politycznych i więźniów sumienia w Polsce. Zwróciła się do społeczeństwa niemieckiego o poparcie dla swojej inicjatywy. W czasie 3-dniowej akcji na ulicach Aachen zebrano 685 podpisów pod apelem i rozdano ok. 1500 ulotek informujących o aktualnej sytuacji politycznej w kraju.

Za pośrednictwem posła do Bundestagu, dr Sterkena, apel wraz z podpisaniami złożono w pierwszych dniach czerwca na ręce kanclerza Kohla z prośbą o przekazanie go ministrowi spraw zagranicznych PRL podczas jego wizyty w RFN.

2. W dniu 12.05.88 na prośbę Grupy, w kościele Św. Mikołaja w Aachen odprawiona została msza święta w intencji „Solidarności” i więźniów politycznych w Polsce.

3. Podczas strajków w Polsce zorganizowano zbiórki pieniędzy na pomoc strajkującym. Pieniądze zostały przekazane do kraju.



4. W dniach 26-29.05.88 odbył się w Paryżu zjazd CSSO. Jako członkowie tej organizacji grupa uczestniczyła w jej obradach.

Kolejny europejski zjazd CSSO zorganizowany został przez Grupę w Aachen.

W imieniu Grupy Roboczej „Solidarność” Eschweiler-Aachen, Jadwiga Piłarska, Stolberg 5.06.1988 r.

POLSKA KULTURA W BERLINIE ZACHODNIM

Z inicjatywy Akademii Ewangelickiej Berlina Zachodniego w Haus der Kirche w dniu 30 maja br. odbyło się spotkanie na temat „Polacy w Berlinie — przyczynek do dzisiejszego życia kulturalnego miasta”.

W prezydium zasiadli: Peter Sauerbaum, szefarz dotacji Senatu na rozwój kultury obcokrajowców, Barbara John — pełnomocnik Senatu d/s obcokrajowców, Witold Kamiński z Polskiej Rady Socjalnej i Ewa Śląska — reprezentująca aktualnie polską TV kablową w berlińskim Offener Kanal. (30 min. programu miesięcznie). Spotkanie prowadził Gottfried Hartman z Grupy Roboczej „Nasz Sąsiad — Polska” Akademii Ewangelickiej. Spotkanie otworzył występ pantomimiczny Dziśka Starzynowskiego.

P. John, po krótkim przedstawieniu potrzebnego losu polskich emigrantów w Berlinie, gdzie władze odmawiają im pozwolenia na pracę, co dotyczy również przebywających tu polskich artystów, stwierdziła, iż zwłaszcza jeśli chodzi o kulturę — Berlin powinien świecić przykładem innym landom w kwestii polsko-niemieckiego zbliżenia, zrozumienia i współpracy już choćby z racji swego położenia geograficznego. „Nasi” za stołem prezydalnym domagali się zwiększenia dotacji na rozwój działalności (także własnej) upowszechniającej polską kulturę. Przedstawiciel Senatu, p. Sauerbaum stwierdził, iż aktualnie Senat popiera takie inicjatywy, które z jednej strony zapobiegają wyłączeniu mniejszości, z drugiej zaś służą integracji i pogłębianiu wzajemnego zrozumienia mieszkańców Berlina, by już do końca skostnieniem słuchaczy konstatacją, iż kultury polska i niemiecka nie są sobie równe, wobec tego Senat popierać będzie prezentowanie berlińszczykom egzotyki kultury Górnej Wolty. Dalej okazało się, iż Senat popiera finansowo tylko taką działalność kulturalną, w którą organizatorzy zdążyli uprzednio ulokować własną pracę i pieniądze.

Wszelkie próby wymuszenia na p. Sauerbaumie konkretnych odpowiedzi i zobowiązań spełzły na niczym. Natomiast godne uwagi były dwa głosy: niemiecki, o moralnych zobowiązaniach Niemców wobec Polaków, pośrednio wg dyskutanta dotyczących i Senatu Berlina; oraz artyści plastyczni p. Skorupskiego, który reprezentując spiskową teorię kultury stwierdził, iż decyzje o dyskryminowaniu polskiej kultury w Berlinie zapadają w Bonn. Uczestnicy spotkania po wyłożeniu swych racji i kilku ostrych spieczach rozeszli się do domów, a jedynym konkretnym efektem spotkania była oferta bezpłatnego udostępniania sali Haus der Kirche na potrzeby kulturalne Polaków w Berlinie ze strony przedstawicieli Akademii Ewangelickiej.

Na marginesie ze smutkiem należy stwierdzić, iż arogancki ton przedstawicieli Senatu, szafującego przeciw pieniądźmi nie własnymi a podatnika, jak i ciągle zmieniające się uzasadnienia konsekwentnie negatywnych odpowiedzi na polskie prośby o dofinansowanie działalności kulturalnej nie wróżą polskiej kulturze w Berlinie Zachodnim niczego dobrego. (pk)

45 ROCZNICA ŚMIERCI GEN. W. SIKORSKIEGO

45 lat minęło od katastrofy gibraltarskiej. Zgon Naczelnego Wodza i Premiera Polski Walczącej, aresztowanie Dowódcy A K i zdrada teherańska – to były trzy ciosy w roku 1943, „czarnym” dla Polski, Europy i wolnego świata.

Odsłonięcie tablicy ku czci Generała Władysława Sikorskiego w katolickiej katedrze w Gibraltarze nastąpiło 5 maja w obecności ks. Biskupa Szczepana Wesołego, Delegata Prymasa Polski dla Duszpasterstwa Emigracji, i gospodarza, którym jest Biskup Bernard P. Devlin. Obecny był również p.o. Gubernatora Gibraltaru, Wilfiam Quantill z żoną.

Pod wizerunkiem orła polskiego (jak na czapce żołnierskiej) napis w języku angielskim: „Generał Władysław Sikorski, premier i Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych w Drugiej Wojnie Światowej, stracił życie w wypadku samolotowym na morzu przed North Front (północna strona przylądka) 4 lipca 1943 roku. Zwłoki jego były wystawione w tej katedrze, po czym przewieziono do Wielkiej Brytanii. Tablica ta została odsłonięta przez Biskupa Bernarda Devlin, w obecności Biskupa Szczepana Wesołego, za pontyfikatu Papieża Jana Pawła II. Równocześnie poświęcono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej ofiarowany przez Leona Śliwińskiego”.

Mistrzem ceremonii był wikariusz generalny, prał. Charles Caruana, oddany przyjaciel Polski i Polaków. Jego staraniem przygotowany drukowany program podwójnej uroczystości, odsłonięcia tablicy i poświęcenia wizerunku M.B. Częstochowskiej, fundowany przez Leona Śliwińskiego. Reprodukacja obrazu ozdabia program.

Po odśpiewaniu hymnu maryjnego, prał. Caruana zapowiedział po polsku uroczystość, składając hołd pamięci polskiego męża stanu i witaając serdecznie polskich przyjaciół. Pierwszą Lekcję odczytał Piotr Potocki z Madrytu, syn ostatniego ambasadora Rzeczypospolitej w Hiszpanii, Józefa Potockiego; drugą – Ludwik Łubiński z Londynu, świadek katastrofy jako ówczesny szef Polskiej Młsi Wojskowej w Gibraltarze, dziś prezes Skarbu Narodowego. Teksty obu Lekcji mówiły o zwycięstwie sprawiedliwości i ufnosci Boga, a Ewangelię o odwiedzinach Marii u Elżbiety koźczył hymn „Magnificat”.

Obecni Polacy – pod batutą jasnogórskiego paulina, o. Jana Pacha – śpiewali dzielnie „Chwalcie łki umajone...” i hymn z Lourdes „Po górach, dolinach...”

Biskup Devlin przemówił od ołtarza z prawdziwie irlandzką serdecznością, przypominając zasługi Polski i tragiczny zgon jej Wodza „na służbie”. Dziękował Polakom za przychód, także w cześć Matki Bożej, Królowej Polski; stwierdził, że Gibraltarska Matka Boska cieszy się z obecności obrazu Jej „siostry” Częstochowskiej...

Gromkie „Boże coś Polskę...” zakończyło ceremonię... Musiała się cieszyć także dusza Naczelnego Wodza i Premiera, tak wczesnie „wezwanego do raportu”; jak pisał o Nim jego adiutant, doradca i przyjaciel, płk Stefan Zamojski: „...On Polską żył!”

Spora grupa polska uczestniczyła w uroczystości, „pod wodzą” mjr. Łubińskiego; wśród nich ppłk Jerzy Morawicz (sprawy wojskowe w rządzie w Londynie), major Stefan Soboniewski (prezes Światowej Federacji SPK), Artur Rynkiewicz (prezes ZPWB); Jerzy Szymaniak (sekretarz Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. W. Sikorskiego w Londynie). APS (Anglo-Polish Society). Fundację Veritas i European Liaison Group reprezentował Stanisław Grochołski. Przedstawicielami Polonii hiszpańskiej byli: Rektor

PMK, ks. prał. Walorek wraz z Piotrem Połockim; współorganizator uroczystości, płk Leon Śliwiński, fundator obrazu M.B. Częstochowskiej dla katedry gibraltarskiej, poświęconego w tym samym dniu; z Sewilli – Ignacy Chmielewski; z Rabatu (Maroko) przyjechał ks. Jan Chorzempa T.Chłr.

Delegatem klasztoru w Częstochowie był o. Jan Pach. Z Londynu przybył sir Frederick Bennet MP, hon. prezes Rady Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego. W katedrze i na „nieszpiorach” w kaplicy M.B., Patronki Europy, było sporo Polaków obok przyjaciół gibraltarskich, brytyjskich i hiszpańskich.

Biskup Gibraltaru podejmował gości lampką wina. W trakcie przyjęcia sir Frederick, jako inicjator „Dnia Wolności Dla Europy Wschodniej”, otrzymał od Leona Śliwińskiego przedwojenną morską flagę polską.

Następnego dnia grupa polska udała się na lotnisko, skąd owej tragicznej nocy startował „Liberator”. Kolo gmachu dowództwa RAF zebrano się przy tablicy upamiętniającej katastrofę. Wielką tablicę z mosiądzu ufundował gubernator Gibraltaru w 18 miesięcy po wypadku: pod orłem polskim napis po angielsku głosi: „Niedaleko tego miejsca General Władysław Sikorski, Premier i Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, stracił życie w wypadku samolotowym 4.7.1943. Walczył i zginął w służbie swej Ojczyzny i wspólnie sprawy wszystkich narodów walczących o wolność. Non omnis moriar!” (tablica była początkowo umieszczona na lotnisku, w miejscu gdzie samolot odrywał się; później przeniesiono ją w miejsce obecne, łatwiej dostępne).

Odwiedzono następnie cmentarz wojskowy, gdzie leży kurier Gralewski. Zginął, zajmując w samolocie miejsce kpt. Łubińskiego, który miał lecieć do Londynu z Generałem, ale ustąpił miejsca kurierowi z Polski... Oprawdzał gości FO. Robin Philip, przyjaciel i uczynny przedstawiciel brytyjskiego lotnictwa.

Dla przybyłych z Wielkiej Brytanii zorganizowano zwiedzanie Gibraltaru: m.in. tuneli w skałe, instalacji hydraulicznych, sławnych małp, grotty św. Michała, itp.

Staraniem kpt. Caruana wydano pamiątkowe obrazki z wizerunkiem N.M.P. Częstochowskiej („Regina Poloniae”). (S. Grochołski)

KONGRES PISARZY W BERLINIE ZACHODNIM

W dn. 25-29 maja odbył się w Berlinie Zachodnim kongres pisarzy nazwany „Sen o Europie”. Wśród uczestników spotkania znaleźli się także goście z Polski – Jacek Bocheński, Andrzej Szczypiorski oraz Wiktor Woroszyński. Wśród tematów, które omawiano w trakcie tej międzynarodowej imprezy znalazły się m.in. zagadnienia pojałtańskiego podziału Europy, problem wielości form europejskiej demokracji oraz sprawy związane z miejscem kultury europejskiej we współczesnym świecie. Na zakończenie obrad uczestnicy Kongresu wystosowali wspólny apel do Reagana i Gorbaczowa o zwyciężenie powojennego podziału kontynentu.

W dn. 3-5 czerwca w zachodniobierlińskim Literaturhaus odbyła się sesja „Przybliżenie Praskiej Wiosny” – w dwudziestolecie podjętych przez Aleksandra Dubčeka i sformułowanych przez Leonida Breżniewa reform społecznych i politycznych. W dyskusji na temat szans zmian systemu komunistycznego wziął udział przebywający czasowo w Berlinie

prof. Leszek Nowak, który wskazał na dwa modele wyważania się społeczeństw bloku moskiewskiego z narzuconego im systemu — model Praskiej Wiosny i model „Solidarności”, przy czym stwierdził, że polska droga ku utworzeniu społeczeństwa posttotalitarnego ma większe szanse.

* * *

W dn. 10 czerwca w zachodniobrzezińskim Rathaus Schöneberg odbyło się spotkanie zorganizowane przez „Inicjatywę — Wolność dla innej myślenia” poświęcone aktualnej sytuacji Polski po strajkach kwietniowo-majowych. Dyskusję zajął Leszek Szaruga, zaś wśród jej uczestników znaleźli się goście z Berlina: pisarz Jacek Bocheński oraz przebywający tu na stałe germanista i autor cyklu opracowań na temat NRD, Andrzej Stach.

* * *

W dn. 31 maja w antykwariacie przy Langenscheidstr. 4 odbył się wieczór autorski Leszka Szarugi, w trakcie którego pisarz zaprezentował wydany przez *Pogląd* dwujęzyczny tom wierszy „Nie mówcie Europa”. (aw)

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,
dobre obyczaje redakcyjne nakazują, jeśli daje się komuś tekst niedrukowany do wglądu, udostępnić również autorowi ewentualną polemikę. Rozumiem, że w tym wypadku usprawiedliwieniem może być dla redakcji tylko chęć szybkiego zaprezentowania czytelnikom książki Jarosława Marka Rymkiewicza.

Pan Leszek Szaruga zarzuca p. Arturowi Kowalskiemu i mnie, że nie odróżniamy autora od bohatera książki. Nie wiem, czy i jak będzie się bronił pan Kowalski — ja ze swej strony chciałabym tylko zauważyć, że podobny zarzut może wynikać jedynie z pobieżnej lektury mojej recenzji. Wcale nie utożsamiam w niej autora z narratorem. Pan Szaruga sam natomiast zwraca uwagę na to, że w twórczości Rymkiewicza odbywa się ostatnio osobliwa gra pomiędzy autorem, a noszącym to samo nazwisko (i wiele innych cech) narratorem-bohaterem. Gdybym naiwnie utożsamiała w pełni i bez zastrzeżeń autora z narratorem, moja uwaga na temat zmiany imienia małżonki byłaby absurdalna; to tak, jakbym zarzucała komuś, że zapominał imienia swojej żony. Ale w grze, którą ze swoimi czytelnikami toczy Rymkiewicz fakt takiej zmiany nabiera szczególnej wymowy. Skoro ktoś kładzie duży nacisk na weryzm, na zgodność z rzeczywistością, musi też liczyć się z tym, że wszelkie odstępstwa czytelnicy traktować będą jako złamanie umowy, a zatem — rzecz dającą do myślenia.

Na koniec powtórzę raz jeszcze to, o czym mówiłam w recenzji — mnie też nie chodzi o stan faktyczny, tylko o użyte przez Rymkiewicza chwyt literackie i o to, co one znaczą.

Marta Waliszewska

Od redakcji:

Redakcja korzysta skwapliwie z zasugerowanego przez p. Waliszewską usprawiedliwienia. Jednocześnie wyjaśniamy, iż naszym zdaniem wszelkie polemiki prowadzone *ex post*

tracą walor aktualności, a wobec niedoczasu w jakim znajdujemy się zawsze tuż przed zamknięciem numeru, zmuszeni byliśmy skazać p. Waliszewską na zapoznanie się z zarzutami Leszka Szarugi dopiero z lamów *Poglądu*. W przyszłości obiegujemy lepiej godzić dobre obyczaje z priorytetami redakcyjnymi.

SPROSTOWANIA

Do raportu przed PT Czytelnikami znów staje dział korekty *Poglądu*, którym — o wstydzie! — kieruje świeżo upieczony, zakonspirowany doktor-polonista (Uniwersytet Warszawski). Korekta poza popełnieniem licznych grzechów interpunkcyjnych nie zaregowała na powtórzone przez redaktora błędy prasy zachodniej w kronice „W świecie”, czyniące z sowieckich czasopism *Komunist* i *Argumenty i Fakty* dzienniki (str. 9-10) jak i mylny podpis pod zdjęciem Stanisława Mikołajczyka (str. 44), którego przechrzciłismy na Edwarda. Korektor i redaktor otrzymali ustne nagany i złożyli samokrytykę. Przepraszamy.

* * *

Pana Grzegorza Girucia z Berlina Zachodniego przepraszamy za błędne wydrukowanie jego nazwiska na liście ofiarodawców w nr.3 *Poglądu*.

Odpowiedzi redakcji:

Pan Edward Kulesza, Konstancja/RFN

Za list dziękujemy. Uwagi pana o przyczynach emigracji z PRL są słuszne. Czy jednak warto polemizować z *Trybuną Ludu*?

* * *

W związku z urlopem następny numer *Poglądu* ukazuje się w drugiej połowie sierpnia. Jak PT Czytelnicy z pewnością zauważyli, numer niniejszy posiada podwójną objętość.

Dokończenie ze str. 89

Reformy planowane przez Gorbaczowa są ostatnim środkiem ratunku dla skostniałego imperium. Potwierdza się prawda, iż komuniści w momentach zagrożenia potrafią rezygnować nie tylko z własnych pryncypiów ideologicznych, ale także „ewoluować wewnętrznie” w kierunkach im dotąd więcej niż obcych. Gorbaczowa, bardzo starannie pielęgnującego własny wizerunek odnowiciela i liberała, łączy jednak coś z poprzednim Odnowicielem — Stalinem. Podobnie jak Ojciec Narodów, który po napaści Hitlera na ZSRS zabezczał do „synów zagrożonej ojczyzny” i po raz pierwszy (znakomicie opisał to Sołżenicyn) poprosił naród o pomoc, tak teraz w sytuacji również niebezpiecznej dla imperium zabezczał (jedynie z większym wdziękiem) Gorbaczow. należy mieć nadzieję, iż paralele do osoby Stalina na tym się skończą. ■

Stali współpracownicy

Ewa Darmas – PARYŻ, Paweł Gajownik – OSŁO, Wiktor Grotowicz – MONACHIUM, Krzysztof Kasprzyk – TORONTO, Maciej Rybinski – BONN, Roman Śmigiełski – KOPENHAGA, Krzysztof Wądrocki – FRANKFURT/M., Leszek Wyrwa – Polska, Andrzej Zwaniecki – WASZYNGTON

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 8 View St., Subiaco 6008, Tel. 09/3821662;
AUSTRIA – „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;
DANIA – Roman Śmigiełski, Worsaaensvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/383390;
FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Elienne Poulet, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 35 Confederation Dr. 205, ONT.M1G1A2, Scarborough; Marek Przykowski, 5050 Roslyn, Apt. 32 H3W 2L2, Montreal P.Q.

NORWEGIA – Paweł Gajownik, Linderberggassen 28c, 1068 Oslo – 10

RFN – Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Grupa Roccza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Pillarscy, 5190 Stolberg, im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348; Barbara Urbaniak, Euskirchen Str. 2, 5160 Düren, Tel. 02421/16727; Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Dariusz Scibor, Neumarkt 1, 4722 Emmigerloh 2; Waldemar Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13522 Tyreso, Tel. 08/7421457; Mirosław Marecki, P.O. Box 2202, Hølland, MI 49422, Tel. 616/3616648; Tamara Sochacka, 5026 Cariff Detroit, MI 48212, Tel. 313/6753377;

WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456;

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność s.k. – zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartijne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez udzielanie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”
Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BLZ 100 500 00
lub

Postcheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postcheckamt
1000 Berlin (West)
dopisek: POGŁAD

PRENUMERATA

RFN:
półroczna DM 40,-
roczna DM 75,-

Europa i kraje zamorskie
(poczta zwykła):
półroczna DM 45,-
roczna DM 80,-

Kraje zamorskie
(poczta lotnicza):
półroczna DM 55,-
roczna DM 100,-

Australia:
półroczna DM 65,-
roczna DM 120,-

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809-9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askaniering 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 6,-

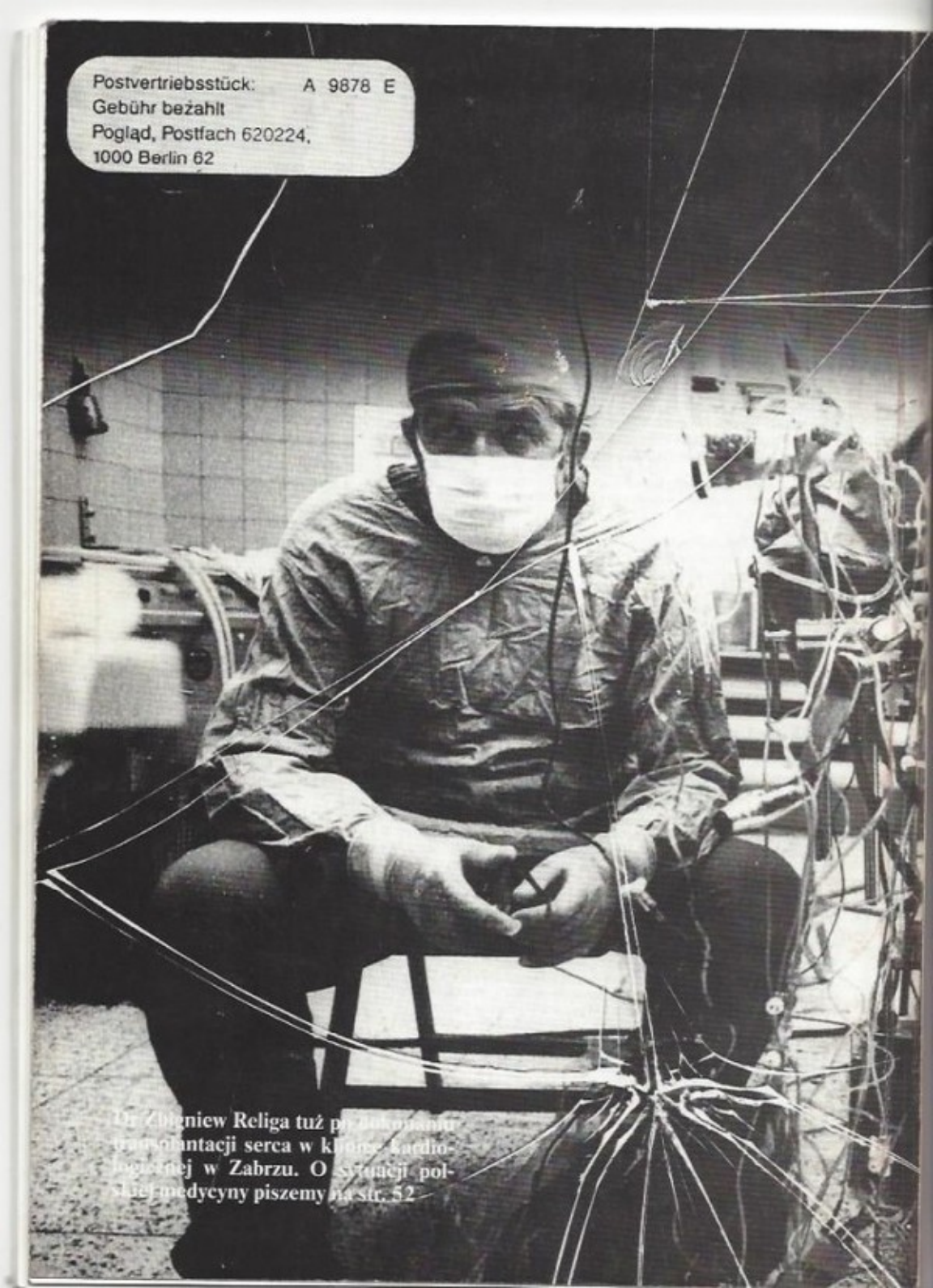
Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i składowanie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzeżenie prawu skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zaopiniowanych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponosi autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM

Verleger – Wydawnictwo
Gesellschaft Solidarność e. V.
Gefilstraße 10, D-1000 Berlin 62
Wydawca i redaktor naczelny
Edward Kłimczak
Sekretarz redakcji
Piotr Nowak

Adres redakcji
Postfach 62 02 24
D-1000 Berlin 62
tel. 030/782 93 84

Postvertriebsstück: A 9878 E
Gebühr bezahlt
Pogład, Postfach 620224,
1000 Berlin 62



Dr. Zbigniew Religa tuż po zakończeniu
transplantacji serca w klinice kardiolo-
gicznej w Zabrze. O sytuacji pol-
skiej medycyny piszemy na str. 52